

Mahtob Mahmoody



NARESZCIE WOLNA

Prawdziwa historia uprowadzonej dziewczynki
z bestselleru *Tylko razem z córką*.



Mahtob Mahmoody

NARESZNIE WOLNA

PRAWDZIWA HISTORIA UPROWADZONEJ DZIEWCZYNKI
Z BESTSELLERU „TYLKO RAZEM Z CÓRKĄ”

*tłumaczenie
Łukasz Müller*

znak *litera
nova*

*Dla mojej mamy,
która nigdy nie przestała o mnie walczyć,
i dla Anji, mojego anioła stróża,
której marzenia o moim szczęściu teraz się spełniły*

Tkacz

Moje życie jest tylko kobiercem,
Który Pan mój i ja wspólnie tkamy.
Ja nawet barw dobierać nie umiem,
Lecz On pracuje bez wytchnienia.
Nierzadko wplata weń smutek,
A ja w śmiesznej swej dumie
Zapominam, że On widzi wierzch,
Ja zaś spodnią widzę stronę.
Dopiero gdy zamilkną krosna
I czółenka śmigać przestaną,
Rozwinie Bóg gotową tkaninę
I swój zamysł wyjawi.
Bo ciemne nici są tak niezbędne
W tkacza zręcznych dłoniach,
Jak nici złote i srebrne
We wzorze, który On zaplanował.
Benjamin Malachi Franklin (1882–1965)

PROLOG

Otaczał mnie mrok, gdzieś głęboko w sercu lasu. Uciekałam w popłochu. Wąziutka ścieżka pod moimi stopami była kręta i wyboista. Nawet drzewa sprzysięgły się przeciwko mnie, bo ich konary atakowały moje ciało, gdy pędziłam, by schronić się w jaskini, która znajdowała się tuż poza zasięgiem wzroku. Ścigająca mnie w ciemnościach zjawa była coraz bliżej... Jej galop, jej dyszenie wskazywały, że dogania swoją ofiarę.

Bolały mnie płuca, a nogi płonęły od wysiłku. Oglądając się przez ramię, zerknęłam na księżyc odbijający się w jego dzikich oczach. Te oczy rozpoznałabym wszędzie. Ścigał mnie lis.

Popatrzyłam przed siebie w samą porę, aby dostrzec zakrzywiony korzeń, który wyrósł na ścieżce, jakby drzewo przebiegle podstawiło mi nogę, żebym się przewróciła. Potknęłam się, tracąc cenne ułamki sekundy. Niemal czułam lepki, gorący oddech lisa na karku. Odzyskawszy równowagę, pognałam w stronę jaskini. Teraz już ją widziałam. Bezpieczeństwo, które obiecywała, było prawie w moim zasięgu.

Z mocno bijącym sercem, gnając szybciej, niż nogi mogły mnie ponieść, znów zerknęłam do tyłu, dając jakiemuś oportunistycznemu drzewu okazję, na którą tylko czekało. Zanim spostrzegłam, na co się zanosi, jego korzeń doprowadził mnie do zguby. Uwięził moją stopę i runęłam na ziemię, przewracając się na plecy w tej samej chwili, gdy lis rzucił się na mnie.

Nagle wszystko zaczęło się poruszać w zwolnionym tempie. Leżałam bezradnie zaledwie kilka kroków od nieosiągalnej jaskini. Nie mogłam uciec, więc osłoniłam twarz ramionami. Lis zawisł w powietrzu z wyciągniętymi do przodu łapami, bliski rozerwania mnie na strzępy. Z jego kłów kapła ślina.

Zbudziłam się, ciężko dysząc i drżąc. Otworzyłam szeroko oczy. Moje serce biło jak oszalone, a czoło było wilgotne od potu. To tylko sen. To tylko sen, pocieszałam się, a jednak walczyłam z całych sił z ociężałością powiek, wiedząc, że gdy tylko się zamkną, lis znów będzie mnie ścigał. Na razie, przynajmniej chwilowo, uciekłam mu.

Wzięłam głęboki oddech, chłonąc zapach domu – wspaniały aromat karmelizowanej cebuli, ryżu basmati i świeżo posiekanej mięty zmieszany z wonią herbaty Earl Grey, cynamonu i dojrzałych owoców.

Prawie wszystkie noce wyglądały tak samo. Wabił mnie sen. Wiedziałam, że to nieuniknione. Choćbym nie wiem jak rozpaczliwie się zmuszała, żeby utrzymać oczy otwarte, w końcu się zamykały i wiecznie grasujący w pobliżu lis czał się w ciemnościach, tylko czekając, by mnie pożyć.

Światło przedświt sączyło się przez zasłony, rzucając cienie, które tańczyły na ścianach. Mocno przytuliłam do siebie szmacianą lalkę. Ależ żałowałam, że

musiałam zostawić Pana Bunny'ego u taty w Iranie. Bardzo tęskniłam za swoim króliczkiem.

Sennie zmrużyłam oczy. Czulałam, że błędzę w gęstej przestrzeni między jawą a snem. Zmusiłam się, żeby je otworzyć, i głęboko odetchnęłam. Nie zasypiaj. Nie zasypiaj. Nie zasypiaj!

Skupiłam się na ćwiczeniach pamięciowych. Miałam sześć lat i chodziłam do pierwszej klasy luterkańskiej szkoły podstawowej, w której raz w tygodniu uczyliśmy się na pamięć fragmentów Biblii i hymnów o tym, że Bóg kocha nas, swoje dzieci. Pani Hatzung, moja nauczycielka, powiedziała, że jeśli coś zapamiętamy, nikt nigdy nie zdoła nam tego odebrać. Nawet gdyby mój tato mnie znalazł i zabrał z powrotem do Iranu, mogłabym wziąć z sobą słowo Boże, tak że byłoby niewidzialne. Tato nawet by o tym nie wiedział.

– „Jezus kocha mnie, wiem, że tak – zanuciłam, dotykając lewej dłoni palcami prawej ręki, i na odwrót, potem krzyżując ręce na piersi, a następnie wskazując na serce – bo Biblia mówi mi to wszak”.

Wyciągnęłam przed siebie dłonie rozłożone płasko niczym książka.

– „Wszystkie dziatki należą do niego – nuciłam dalej, kołysząc na wysokości pasa rękami złożonymi w kołyskę – słabe są, lecz pod opieką silnego”.

To był mój ulubiony fragment. Uniosłam zgięte ręce do ramion i napięłam je, popisując się mięśniami, których nie miałam.

To naprawdę działało. Nie zasypiałam.

Gdy skończyłam piosenkę, przeszłam do modlitwy, której się uczyliśmy, tej o chlebie. Jak to szło? Było tam coś o otrzymywaniu chleba każdego dnia, tak jak wtedy, kiedy Bóg dał Izraelitom do jedzenia mannę, gdy wędrowali przez pustynię. Powieki mi opadły. Zamrugałam, daremnie usiłując je obudzić. „Chleba naszego powszedniego” – to było to. Co jeszcze? Moje oczy tęskniły za snem. Nie zasypiaj. Nie zasypiaj. Nie za...

Było ciemno. Biegłam. Wszędzie drzewa i korzenie. Ścieżka była usiana kamyczkami, które wykrzywiały mi kostki. Bałam się, że stracę równowagę. Lis warknął i popędził w moją stronę. Wiatr szeleścił złowieszczo w gęstym listowiu. Jaskinia, gdzie jest jaskinia? Musiałam ją znaleźć. Zupełnie sama, przerażona, biegłam w jedynym możliwym kierunku – jak najdalej od lisa. Zerknęłam gorączkowo przez ramię i zobaczyłam, że lis jest coraz bliżej. Przeskoczyłam przez korzeń i pognałam dalej. Wtedy wreszcie mignął mi przed oczami czarny otwór, gotowy przenieść mnie w bezpieczne miejsce i uwolnić od lisa. Spojrzałam do tyłu, potknęłam się o korzeń i upadłam na plecy. Lis w zwolnionym tempie poszybował w powietrzu, obnażając ostre kły, a ja osłoniłam twarz ramionami. Wiedziałam, że mnie rozszarpie.

Zbudziłam się zlaną zimnym potem, trzęsąc się i z trudem łapiąc powietrze. Byłam w swoim pokoju. Jestem bezpieczna. To tylko sen. Tym razem zamiast

znajomych zapachów domu uderzyła mnie przykra woń moczu. Zmoczyłam łóżko.

Ukradkiem ściągnęłam pościel i usiadłam na brzegu łóżka, przyciskając kolana do brody. Wiedziałam, że w pokoju nie ma lisa, lecz mimo to bałam się postawić stopy na podłodze. Wyobrażałam sobie, że czai się pod łóżkiem, gotowy zatopić zęby w mojej kostce, gdy tylko dotknę palcami dywanu. Zebrałam się na odwagę i odskoczyłam od łóżka, najdalej jak umiałam, a potem podreptałam na paluszkach w stronę drzwi. Wilgotna koszulka nocna w misie ziębiła mi uda. Po cichu otworzyłam drzwi i rozejrzałam się po przedpokoju, żeby sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie ma lisa. Kiedy się przekonałam, że droga wolna, powolutku ruszyłam korytarzem w kierunku sypialni mamy. Dotarł do mnie uspokajający rytm jej pochrapywania, gdy wpadłam do pokoju. Wskoczyłam do łóżka i zagrzebałam się w ciepłej pościeli. Dopiero tam, bezpieczną w swojej jaskini, mogłam w końcu pozwolić, by zmorzył mnie sen.

Mama i ja uciekłyśmy.

Ale nie byłyśmy wolne.

ROZDZIAŁ 1

Trzydzieści dwie przeprowadzki w ciągu tyluż lat. Te ostatnie przenosiny były dla mnie chyba najradośniejsze. Po raz pierwszy jestem właścicielką domu. Zapуściłam korzenie i postanowiłam nie ruszać się trochę dłużej niż zwykle – mam taką nadzieję. Siedzę na swojej werandzie skąpanej w promieniach światła, które przepływają przez okna. Dłonie ogrzewa mi kubek ulubionej kawy Berres Brothers, gęstej od mleka. Jak to jest, że mam tyle szczęścia, myślę sobie.

Na zewnątrz ptaki wyśpiewują podziękowania za świeżo zawieszone karmniki wypełnione po brzegi nasionami. Wiosna w Michigan jest cudowna. Śnieg już stopniał, odsłaniając zbitą powłokę brązowej ziemi lekko zabarwionej smugami żółtawej zieleni. Obok mnie stoi niski stolik, który wygląda olśniewająco dzięki wiele mówiącym ozdobom na Nouruz, perskie święto Nowego Roku. To symboliczne nakrycie stołu, znane pod nazwą *haft sin* – dosłownie „siedem »s«”, służy za mapę pradawnej mądrości, która ma pokierować przejściem od jednego roku do następnego. Najważniejszym spośród zadań Nouruzu jest oczyszczenie. Oczyszczenie umysłu z negatywnych myśli, oczyszczenie ciała, a nawet oczyszczenie domu.

Popijam kawę i czuję przyływ ambicji. Nie wiem, czy to od tej całej gadaniny o wiosennym oczyszczeniu, czy na widok mojego *haft sin*, ale postanawiam, że dzisiaj będzie ten dzień, w którym uporam się z kilkoma ostatnimi już pudłami wrzuconymi do piwnicy, oznaczonymi jako „Różne”. Trzy miesiące ignorowania ich to wystarczająco długo.

Schodzę na dół, czując wręcz zachwyty, że te pokryte miękką wykładziną schody rzeczywiście należą do mnie. Przystaję na chwilę przy szklanych rozsuwanych drzwiach w nieurządzonym jeszcze pokoju, który pewnego dnia będzie przeznaczony na relaks, i przyglądam się niemal pustemu skrawkowi ziemi wokół patio. Przez częściowo zamarzniętą glebę przebijają się dopiero pierwsze kielki tulipanów i żonkili. Krzewy bzu nadal są nagie. Nie mogę się doczekać, kiedy zapełnię tę przestrzeń kwiatami i ziołami, a może nawet kilkoma krzakami pomidorów. To jednak jest zadanie na inny dzień.

Piwnica jest niedokończona i w głębi znajduje się idealna kryjówka na rupiecie. Jeszcze zanim otworzę drzwi, wyrywa mi się westchnienie. Nie ma aż tak dużo tych pudeł do rozpakowania, mówię sobie, wchodząc do środka. Poczuję się lepiej, kiedy będę to już miała za sobą.

Stanowisko pracy jest gotowe. Na skraju rozkładanego stołu czeka nawet na mnie jakieś pudło, błagając, żebym je otworzyła. Szperając w nim, znajduję listy, wycinki prasowe, zdjęcia, odcinki biletów, czerwony breloczek do kluczy, który wygrałam w liceum w szkolnym konkursie talentów – przypadkowe przedmioty o znikomej albo żadnej wartości, chyba że sentymentalnej. Właśnie dlatego tak

trudno rozpakować te pudła. Są pełne reliktyw mojej przeszłości, które niezupełnie współgrają z terażniejszością, a jednak nie umiem się ich pozbyć.

Przeczesuję kolejne warstwy, odnajdując wspomnienia, które obejmują całe moje życie, i uświadamiam sobie, że nie zanosi się na szybkie zakończenie tego zadania. Będzie ono wymagało wygodnego fotela i kolejnego kubka kawy. Przytrzymując pudło na biodrze, gaszę światło, zamykam drzwi i wracam na górę, na werandę.

Pierwszą rzeczą, która przykuwa moją uwagę, jest album ze zdjęciami. Ma granatową okładkę ozdobioną paroma gwiazdami i żółtym sierpem księżycy, bo „Mahtob znaczy blask księżycy”. Uśmiecham się, myśląc o swoich kolegach, którzy dokuczali mi, powtarzając tę filmową kwestię. Gdy wyjmuję album z pudła, wyslizguje się z niego koperta i moje myśli zaczynają błądzić, cofając się o kilka lat, do ostatniego razu, kiedy próbowałam dokończyć uzupełnianie go.

Pracowałam wtedy jako opiekunka środowiskowa w pewnej organizacji zdrowia psychicznego w Michigan. Uwielbiałam swoją pracę, swoich kolegów, miasto, w którym mieszkałam, i swoją dziwną, eklektyczną grupę przyjaciół. Życie układało mi się dobrze, ale byłam niezwykle zapracowana. Kiedy nadarzyła się okazja, żeby wyjechać na długi weekend, natychmiast z niej skorzystałam i pakując się, pod wpływem kaprysu wrzuciłam do bagażu ten album oraz kopertę ze zdjęciami. Gdy samolot wystartował, zaczęłam układać w albumie stertę fotografii, rozmyślając, dlaczego właściwie nie mogę znaleźć czasu na takie drobne zajęcia w domu. Czy życie naprawdę musi być takie pracowite, zastanawiałam się, słuchając szumu samolotowych silników.

Gdy tylko zamieszkałam sama, moja sentymentalna matka zaczęła zapelniać mój dom stosami skarbów związanych ze wszystkimi aspektami mojego dziedzictwa, w tym pudłami pełnymi włożonych luzem fotografii z całego życia. Na odwrocie zdjęć dokumentujących pierwsze miesiące mojego dzieciństwa beczelnie sadził susami lis z pieczętki – ten sam lis, który po naszej ucieczce latami prześladował mnie we śnie. Był to zaledwie jego kontur odbity czerwonym tuszem, ale podobieństwo nie pozostawiało wątpliwości. Szybował w powietrzu z rozpostartymi łapami, uszami skierowanymi do tyłu i wyciągniętym za siebie ogonem. Pod nim widniał napis drukowanymi literami: „Fox Photo”.

Zdjęcia, które miałam z sobą w samolocie, były świeższej daty. Nie zostały wywołane w zakładzie Fox Photo. Wiedziałam, że na odwrocie nie będzie żadnego drapieznika, ale i tak sprawdziłam odruchowo. Był to nieświadomy nawyk, zrodzony z długich lat hiperczułości. Nie przez przypadek akurat takie wyobrażenie mój umysł zarejestrował w dzieciństwie jako symbol mojego ojca. Bądź co bądź to on był rodzinnym fotografem, a ja jego ulubionym modelem. Moje życie bardzo łatwo mogłoby potoczyć się inaczej. Zastanawiam się, kim byłabym teraz, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem ojca.

Byłam zatopiona we wspomnieniach, kiedy zagadnęła mnie siedząca obok wytworna kobieta. Zauważyłam ją od razu, gdy tylko wsiadła do samolotu. Robiła piorunujące wrażenie, cała ubrana na czarno, nie licząc szpilek z lamparcim wzorem. Nosiła przesadnie dużą torebkę i modny słomkowy kapelusz, a jej krótkie blond włosy przytrzymywała para ogromnych designerskich okularów przeciwsłonecznych. Jak to często ze mną bywa, rozmowa szybko zesłała na literaturę i już po chwili gryzmołam tytuły polecanych przez nią lektur na marginesie książeczki z krzyżówkami z „New York Timesa”, którą zabrałam w podróż: *Stowarzyszenie Miłośników Literatury i Placka z Kartoflanych Obierek*, *Służące*, *Kobieta Agencja Detektywistyczna nr 1*.

Dość szybko zrezygnowałam z uzupełniania albumu. Włożyłam resztę zdjęć z powrotem do koperty i wcisnęłam je za tylną okładkę.

Zupełnie obcy ludzie często otwierają przede mną serce. Jest to od dawna – przynajmniej od drugiej klasy – część mojego życia. Koleżanki ustawiały się w kolejce, czekając, żeby pohuścić się obok mnie i jak mawiamy w środowisku zajmującym się zdrowiem psychicznym, „odtworzyć swoje uczucia”. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, myślałabym, że nad moją głową unosi się dymek z napisem: „Pomoc psychiatryczna – 5 centów” albo że mam na szyi tabliczkę z informacją: „Pani doktor przyjmuje”, coś w stylu Lucy z komiksu *Fistaszki*.

Moja towarzyszka podróży mówiła non stop przez resztę lotu i zanim wylądowaliśmy, przedyskutowałyśmy *Szklany zamek*, *Wodę dla słoni* i *Sekretne życie pszczoł*, niczym przyjaciółki, które nie widziały się od wieków.

– Więc ile czasu masz do przesiadki? – zapytała, gdy czekałyśmy na swoją kolej, żeby popędzić do wyjścia.

– Około dwóch godzin.

– Czyli akurat tyle, żeby zjeść lunch.

To nie było pytanie.

Zaprotestowałam, ale nalegała. Skierowałyśmy się więc do restauracji, gdzie kontynuowałyśmy rozmowę przy winie i owocach morza. Poruszałyśmy jeden temat za drugim, a w końcu ta piękna kobieta opowiedziała mi o pewnym rozdzierającym serce przeżyciu z własnej przeszłości. Przez lata dźwigała ten emocjonalny ciężar w milczeniu, nie dzieląc się swoim cierpieniem nawet z najbliższymi przyjaciółmi.

Gdy jej oczy wypełniły się łzami, nie mogłam nie pomyśleć o sfatygowanej czarnej ramce, która stała na rogu mojego biurka w pracy. Na kremowym lnianym papierze wydrukowałam słowa wiersza *Tkacz*. Zostały zapisane dokładnie tak, jak mnie ich nauczyła moja przyjaciółka Hannah w dniu wręczenia świadectw w szkole średniej. Miałam wtedy osiemnaście lat i był to jeden z najsmutniejszych dni w moim życiu.

To, co opisywała moja nowa znajoma, z pewnością zaliczało się do

ciemnych nici. I jak we wszystkich niciach, byłam o tym przekonana, gdzieś w nich kryło się błogosławieństwo, niezależnie od tego, czy potrafiłyśmy je dostrzec, czy nie.

– Nie mogę uwierzyć, że opowiadam ci o tym – powiedziała, pociągając nosem. – Mam wrażenie, jakbym znała cię od lat, ale właśnie sobie uświadomiłam, że nawet nie wiem, jak ci na imię.

– Mam na imię Mahtob – powiedziałam z uśmiechem, wyciągając rękę nad stolikiem, żeby z udawaną powagą uścisnąć jej dłoń.

– Mahtob. Jakie piękne imię. Skąd pochodzi?

– Jest perskie.

– Perskie to znaczy irańskie?

– Uhm – odpowiedziałam, sącząc swojego rieslinga. – Mój tato był z Iranu.

– Kilka lat temu czytałam ciekawą książkę – zaczęła, delikatnie ocierając oczy serwetką z materiału.

Od razu się zorientowałam, do czego zmierza.

– To było o pewnej kobiecie z Michigan, która wyszła za Irańczyka – ciągnęła. – Zabrał ją i ich małą córeczkę w odwiedziny do rodziny w Iranie, a potem trzymał je jako zakładniczki. Tam wtedy trwała wojna, były bombardowania. To się wydarzyło naprawdę. Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić coś takiego? W końcu matka i córka uciekły. To była niesamowita historia. Nakręcono nawet film na jej podstawie. Jaki ona miała tytuł?

– *Tylko razem z córką.*

– Tak. *Tylko razem z córką.* No właśnie. Czytałaś ją?

– Nie – zachichotałam. – Ja ją przeżyłam.

ROZDZIAŁ 2

Kobierzec mojego życia zaczął być tkany w Teksasie w 1979 roku, w szczytowym momencie irańskiej rewolucji i w środku huraganu. W dniu moich urodzin, 4 września, w „Houston Chronicle” donoszono na pierwszej stronie: „David uderza w wybrzeże środkowej Florydy”. Spadek ciśnienia atmosferycznego spowodowany tropikalną burzą, która dotarła do lądu ponad półtora tysiąca kilometrów dalej, wystarczył, żebym przyszła na świat miesiąc przed terminem.

Huragan David był drobnostką w porównaniu z burzą, na którą zanosilo się jeszcze dalej, w ojczyźnie mojego ojca. W „Chronicle” sporą część siódmej strony poświęcono tamtego dnia zbrojnym utarczkom trwającym w Iranie – „Irańskie oddziały przełamują linie kurdyjskiej obrony”. Z artykułu jasno wynikało, że świeccy demokraci ustępują pod naporem zabójczej siły rodzącego się islamskiego reżimu ajatollaha Chomeiniego. Chociaż oko rewolucyjnego cyklonu znajdowało się dwanaście tysięcy kilometrów od nas, nawałnica uderzyła w nasz dom.

Mój tato Sajjed Bozorg Mahmoody wyjechał ze swojego kraju w wieku osiemnastu lat, żeby uczyć się angielskiego w Londynie. Stamtąd przeniósł się do Stanów Zjednoczonych z zamiarem podjęcia studiów uniwersyteckich. Świat akademicki tak mu się spodobał, że został wykładowcą matematyki, a potem inżynierem. W latach sześćdziesiątych pracował dla NASA. Potem zapisał się na studia medyczne. Najwyraźniej nadal spragniony wiedzy, zrobił specjalizację z anestezjologii.

Moi rodzice poznali się w Michigan w 1974 roku. Tato odbywał wtedy staż w Carson City Hospital, a mama pracowała w pobliżu, w administracji zakładów samochodowych – w tamtym okresie branża motoryzacyjna świetnie prosperowała w tym stanie. Latem 1977 roku pobrali się i przenieśli się do Teksasu.

W czasie rewolucji irańskiej mój tato bardzo się zmienił. Jego dobroduszość i charyzmatyczny urok szybko zniknęły w cieniu politycznego ekstremizmu. Choć kiedyś był miłośnikiem Zachodu i doceniał szanse, jakie on oferował, teraz zaciekle potępiał Stany Zjednoczone i wszystko, co reprezentowały.

Mama знаła go tylko jako niepraktykującego muzułmanina. To również się zmieniło w czasie rewolucji. Przeżyła wstrząs, gdy pewnego dnia wrócił do domu i wyrzucił cały alkohol. Chociaż zwykle on go pił, to teraz ona stała się osobą, którą zganił za tkwiące w alkoholu zło. Poczawszy od tamtego dnia, nalegał, żeby kupowała tylko koszerne jedzenie, ponieważ z tego, co można było dostać w sklepach, najbardziej odpowiadało żywności halal (usankcjonowanej przez prawo muzułmańskie), a na porządku dziennym były odtąd jego płomienne antyamerykańskie tyrady.

Mam takie zdjęcie z dzieciństwa – jest to jedna z wielu fotografii zaopatrzonych w pieczętkę z lisem – na którym kołysze mnie w ramionach młody

człowiek z głową owiniętą bandażem. Był jednym z dziesiątków Irańczyków, którzy przenieśli irańską rewolucję na ulice miast Teksasu. Mój tato był ich przywódcą.

Wykorzystując gwarantowaną przez amerykańską konstytucję wolność słowa, ojciec pomagał w organizowaniu demonstracji, podczas których ostro krytykowano Stany Zjednoczone ponoszące jego zdaniem winę za zachodnie, demoralizujące wpływy w jego kraju. Ten paradoks wprawia w zakłopotanie. Mężczyzna trzymający mnie na zdjęciu został ugodzony w głowę podczas antyamerykańskiego protestu, który pomógł zorganizować mój ojciec.

Moi rodzice przeprowadzili się do Michigan, kiedy miałam sześć miesięcy. Matka, mając powyżej uszu fanatyzmu ojca, zagroziła mu rozwodem. On, próbując ocalić swoje małżeństwo, obiecał, że porzuci idee rewolucji i zacznie od nowa w rodzinnym stanie mamy. Była to tylko obietnica – jeszcze jedna, której nie dotrzymał.

Michigan wygląda jak rękawiczka z jednym palcem. Jeśli spytacie kogoś z tego stanu, gdzie mieszka, podniesie rękę, jakby wiedziony wrodzonym odruchem, i wskaże na jakiś pieg, staw palca albo naskórek przy paznokciu, wyobrażający jego miejsce zamieszkania. Ja mieszkałam w najróżniejszych miejscach tej rękawiczki, ale odkąd skończyłam sześć miesięcy do wieku czterech lat żyłam w pobliżu najwyższego stawu palca wskazującego – w Alpenie.

O wschodniej części mojego stanu mawia się czule, że to strona świtu. Jest praktyczna, spartańska i zbudowana na przemyśle, w przeciwieństwie do strony zmierzchu, gdzie wybrzeże zostało skomercjalizowane, a gospodarka opiera się na turystyce. Miało minąć wiele lat, zanim się dowiedziałam, że to, co pachniało mi domem, gdy byłam mała, w rzeczywistości było mdłą wonią zanieczyszczeń wydobywających się z ogromnych kominów fabryki Abitibi-Price, która wytwarzała boazerię.

Mój dom rodzinny stał nad rzeką Thunder Bay. Woda, która przepływała przez nasz ogród na tyłach domu, wiła się, torując sobie drogę wzdłuż skarp w moim ulubionym parku, obok Alpena General Hospital, gdzie mój tato pracował jako anestezjolog, przez miasto i przez zaporę zwaną Ninth Street, a potem wpadała do zatoki Thunder. Z pomostu w przystani jachtowej można było patrzeć na otwarte wody i oglądać ogromne frachtowce wyładowane towarami przemysłowymi posuwające się powoli w stronę horyzontu. Gdzieś w oddali na wodzie przebiegała niewidzialna granica, za którą zatoka Thunder zlewała się z jeziorem Huron. A poza linią, gdzie niebo stykało się z wodą, była Kanada.

Park w zakolu rzeki był jednym z moich ulubionych miejsc. Mama zabierała mnie tam, żeby karmić ptaki, i właśnie przez tego rodzaju doświadczenia przekazała mi swoje zamiłowanie do ornitologii. Podczas gdy niektórzy rodzice zwracali uwagę dzieci po prostu na „ładnego ptaszka”, moi, oboje skorzy do

dzielenia się wiedzą, uczyli mnie nazw każdego gatunku. Widywaliśmy gęsi kanadyjskie, łabędzie, czaple i wszelkiego rodzaju kaczki. Kiedy robiło się ciepło, przyglądaliśmy się, jak drozdy wyciągają z ziemi i zjadają robaki. Zobaczenie pierwszego drozda było prawdziwą radością, bo oznaczało koniec zimy, która w północnym Michigan zdawała się nie mieć końca, i narodziny wiosny, która miała ustąpić miejsca o wiele za krótkiemu latu.

Moją pierwszą opiekunką, którą pamiętam, była Patty, nastolatka mieszkająca po drugiej stronie ulicy. Należała do licznej rodziny przyjaciółek, które lubiły lakierować mi paznokcie. Uwielbiałam mieć pomalowane paznokcie. Chociaż byłam mała, chętnie siedziałam nieruchomo i delektowałam się tym rozpieszczaniem. Zachowały się zdjęcia, na których już stoję, trzymając się niskiego stolika, i mam czerwone lśniące paznokcie oraz złote kolczyki sztyfty. Rodzice przekłuli mi uszy, kiedy miałam zaledwie sześć tygodni. Mama zaznaczyła miejsce na płatkach małżowiny usznej, a tato pociągnął za spust pistoletu do piercingu. Mama płakała bardziej ode mnie.

Poza tym że malowała mi paznokcie, Patty zabierała mnie do pracowni ceramicznej, gdzie zdobyliśmy wyroby garncarskie. Wybierała jakiś flakon na kwiaty, a ja miałam za zadanie go ozdobić. Sama używała modnych w tamtej dekadzie skrzących się pastelów, ja natomiast wolałam jeden z dwóch moich ulubionych kolorów – purpurowy fiolet. Moim drugim ulubionym kolorem był oczywiście blady róż.

Kuchnia jest sercem domu i ta prawda była od zawsze jedną z nielicznych stałych rzeczy w moim życiu. Wiele z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy właśnie kuchni. Gdy miałam dwa czy trzy lata, siadywałam z drewnianą łyżką na wyłożonej linoleum podłodze i mieszałam sok pomarańczowy w zielonym jak awokado dzbanku kupionym w Rubbermaid, ścigając w kółko zamrożoną bryłę koncentratu, aż się roztopiła. W tym czasie mama krzątała się po kuchni, ubijając jajka, przysmażając ziemniaki, smarując masłem tost, kiedy wyskoczył z tosterki, i wcale nie miała mi za złe, że wychlapałam sok na podłogę. Dzieci, ucząc się gotować, zawsze robią bałagan, a dla niej było ważne, żebym w kuchni czuła się swobodnie.

Pamiętam, jak kiedyś podśmiewaliśmy się z mamą z taty i tarapatów, w których się znalazł na własne życzenie. Uwielbiał ostre jedzenie, takie które oczyszcza człowiekowi zatoki i wywołuje siódme poty. Tamtego razu siedział przy kuchennym stole, chrupiąc surowe ostre papryczki, aż poczerwieniał na twarzy, a w ustach poczuł ogień. Ocierał chusteczką do nosa pot z czubka łysiny, sapiąc i prychając, ale był wyraźnie zachwycony tym doznaniem. Miał na sobie jasnoniebieską koszulkę Lacoste z charakterystycznym zielonym aligatorem wyszytym na piersi.

Moi rodzice byli utalentowanymi epikurejczykami i mistrzami w sztuce

gościnności. Pod tym względem tworzyli zgraną parę. Nasz dom często zapelniał się przyjaciółmi, a gdy byli przyjaciele, to zawsze było mnóstwo jedzenia. Nauczyli mnie, że właśnie przy jedzeniu przyjaciele stają się częścią rodziny.

W taki właśnie sposób w naszym życiu pojawiła się armeńska gałąź rodziny. Nie jestem pewna, jak nasze rodziny się poznały. Może przez Johna, który był okulistą moich rodziców, albo przez jego szwagierkę Annie, która była naszą krawcową. W każdym razie od chwili gdy byłam niemowlęciem aż do dnia niewiele poprzedzającego moje piąte urodziny, kiedy to mój tato wprowadził w życie swój podstępny plan, nasze rodziny miały miły zwyczaj wspólnego ucztowania. Nie potrzebowaliśmy specjalnej okazji, żeby gromadzić się przy stole.

Czasami gospodarzami byli John i jego żona Vergine. W takich razach Vergine, wraz ze swoją siostrą Annie i ich mamą nazywaną pieśczośliwie Naną, całymi godzinami przygotowywała apetyczne armeńskie przysmaki. Kiedy indziej rolę gospodarzy odgrywali moi rodzice i pracowali ramię w ramię, przyrządzając najpyszniejsze perskie potrawy.

Zwłaszcza tato szczyił się tym, że dzięki jego staraniom jedzenie wygląda pięknie. Czasami przygotowywał ekstrawagancką dekorację z owoców, w której każdy kąsek starannie układał na swoim miejscu. Z chirurgiczną precyzją nacinał arbuza wzdłuż, tworząc z niego koszyk i zostawiając na środku uchwyt utworzony z jego skóry. Pozwalał mi pomagać przy wybieraniu mięszu specjalną łyżeczką. Nie mogliśmy jednak ot tak po prostu włożyć kulek arbuza z powrotem do wydrążonej skóry i podać gościom. To byłoby za mało kolorowe. Musieliśmy dodać dopasowane do nich kulki kantalupy oraz czerwone i zielone winogrona, a także truskawki z Alpey albo borówki, w zależności od pory roku. Dopiero wtedy owoce wkładało się do koszyka ze skóry arbuza. Na stole piętrzyły się stosy świeżych owoców. Mój tato nie wiedział, co to umiar.

Niezależnie od tego, gdzie się gromadziliśmy i co jedliśmy, dorośli i dzieci siadali razem, żeby cieszyć się swoim towarzystwem. Gości różniły zainteresowania, wiek i osobowość, a do tego wywodzili się z odmiennych kultur, co dodawało uroku tym spotkaniom. Przyjęcia były głośne, wręcz hałaśliwe, i trwały godzinami. Kiedy myślę o swoim dzieciństwie, właśnie te dźwięki, zapachy, smaki i obrazy opanowują mój umysł.

Jedzenie nie wynikało z konieczności. Było środkiem wychowania, nauki, troski – miłości. Proces przygotowywania posiłku był równie ważny, jak samo jedzenie, jeśli nie ważniejszy. Nauczyłam się tego nie tylko od rodziców, lecz także od Nany i Annie, które przekazały mi tradycję formowania kibbe.

Siadałam na stole, a jedna z nich sięgała do miski wypełnionej masą ze zmielonej wołowiny i kaszy bulgur, odrywała odpowiedni kawałek i kładła mi na rękę. Nana, która nie mówiła po angielsku, dawała mi znak, żebym ją naśladowała. Najpierw kilka razy ścisnęła masę, żeby się skleić, a potem zaczęła ją rolować

na dłoni wokół czubka palca wskazującego, obracając palec przy każdym ruchu.

Zręcznie zanurzała rękę w misce z zimną wodą, która stała między nami. „Tylko trochę” – pouczała mnie po ormiańsku. Gdy kibbe miało już odpowiedni kształt i wystarczające wgłębienie, nadziewało się je mieszanką mięsa z przyprawami i orzeszków piniowych. Po kolejnym szybkim zanurzeniu ręki w misce z wodą nadchodził czas, żeby zacisnąć otwór i zalepić w środku nadzienie. Potem Nana składała dłonie w miseczkę, jedną nad drugą, i wykonywała nimi koliste ruchy, formując okrągły kształt zwięzający się delikatnie po bokach.

Robiłam wszystko krok po kroku razem z nią, a potem podawałam jej swoje kibbe do oceny. Biorąc je delikatnie z mojej dłoni, Nana przyglądała mu się uważnie. Gdy uznała, że jest całkiem dobre, przybliżyła do ust złączone palce, a następnie cmokając, odsuwała rękę od twarzy i rozpościerała nagle palce wraz z odgłosem pocałunku. Tak na swój sposób mówiła mi, że pięknie się spisałam.

Na każdym kroku Annie i Nana zasypywały mnie pochwałami. W ich kuchni porażka nie istniała. Jeśli coś poszło niezupełnie zgodnie z planem, stanowiło po prostu okazję, żeby odkryć jakiś nowy, może ulepszony przepis.

Gdy gotowałyśmy, Annie uczyła mnie śpiewać. „Bóg jest taki doooobry – wyśpiewywała z uroczym akcentem. – Bóg jest taki doooobry”. Między piosenkami wbijała mi do głowy pewne przesłanie. „Mahtob. – Uwielbiałam sposób, w jaki wymawiała moje imię. – Bóg jest dla nas baaardzo dobry, bardzo, bardzo dobry. Bardzo nas kocha. Nigdy o tym nie zapominaj”.

To, że Annie i Nana umiały dostrzec dobroć Boga, było prawdziwym świadectwem potęgi wiary. Te kobiety przeżyły okrucieństwa tego świata w ich najgorszym wydaniu. Nana ocalała z ludobójstwa Ormian. Została osierocona w wyniku barbarzyńskich aktów przemocy na początku XX wieku, kiedy na rozkaz rządu tureckiego dokonano rzezi mieszkańców jej wioski. Nikt dokładnie nie wiedział, ile miała lat. Mnie wydawała się staruszką. Pomimo bezmyślnej brutalności, która naznaczyła pierwsze lata jej życia, Nana promieniowała ciepłem oraz życzliwością i tę samą dobroć przekazała córkom.

Annie, zanim przeniosła się do Alpey, mieszkała w Bejrucie z mężem i trzema synkami. Gdy w 1975 roku w Libanie wybuchła wojna domowa, złożyli odpowiednie dokumenty, starając się o pozwolenie na wyemigrowanie do Stanów Zjednoczonych. Chcieli chronić swoje dzieci przed okropnościami wojny. Rodzina Annie w końcu uzyskała zgodę na opuszczenie kraju, ale dopiero wtedy, gdy jej mąż – tak jak ponad sto pięćdziesiąt tysięcy innych cywilów – stracił życie podczas walk szalejących przez następne piętnaście lat. Nie miał nic wspólnego z tym konfliktem, jedynie znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim momencie.

Bezsensowna śmierć męża umocniła determinację Annie, żeby zabrać chłopców do kraju, w którym będą mogli dorastać w pokoju. Spakowała rzeczy

i wyjechała do Ameryki, nie oglądając się za siebie. Niezależnie od tego, co zgotowało jej życie, Annie, idąc w ślady matki, zachowała niezachwianą wiarę i wciąż tryskała radością. I tak jak Nana zasiała w niej ziarna odporności psychicznej, Annie bardzo się starała zasiać i pielęgnować te ziarna we mnie.

Latem 1984 roku, niedługo przed moimi piątymi urodzinami, przeprowadziliśmy się na południe, w okolice Detroit, miasta leżącego również po tej stronie stanu, którą nazywano stroną świtu, przy stawie łączącym kciuk z dłonią. Kilkanaście dni później mieliśmy pojechać na dwutygodniowe wakacje do ojczyzny mojego ojca, a za miesiąc miałam iść do przedszkola.

Z perspektywy czasu widzę w tej przeprowadzce przebłysk geniuszu taty. Przekonując mamę, że zaczną budować swój wymarzony dom, gdy tylko wrócimy z podróży, tak ją omotał, że nawet nie rozpakowała naszego dobytku i potem łatwo go było przetransportować do naszego przyszłego więzienia.

Wtedy jednak nie miałam pojęcia o jego intrygach. Byłam zaabsorbowana beztruskimi szczegółami dzieciństwa, takimi jak prześcieradła z bohaterami *Truskawkowego Ciastka*, które mama kupiła do mojej nowej sypialni, czy nadmuchiwana piłka z Troskliwymi Misiami, która była ozdobiona wizerunkiem mojej ulubionej misi Słoneczne Serce – tej żółtej, z radośnie uśmiechniętym słoneczkiem na brzuszku – i podzwaniała, wydając przytłumiony, wibrujący dźwięk, kiedy odbijałam ją na podjeździe. Przede wszystkim byłam szczęśliwa, że poznałam nową koleżankę, dziewczynkę mniej więcej w moim wieku, która mieszkała po sąsiedzku. Miała na imię Stacey i zapoznała mnie z cudownymi przysmakami, takimi jak makaron z serem produkowany przez firmę Kraft i napój Kool-Aid.

Irańska rewolucja, która rozpoczęła się mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłam, pograżyła kraj w chaosie. Szach, władca Iranu, został obalony, a zajęcie amerykańskiej ambasady w Teheranie i wzięcie zakładników wciąż było świeżą historią. Szerzyły się niepokoje o charakterze religijnym i politycznym. Ajatollah Chomeini i radykalni ekstremiści, którzy go popierali, narzucili wszystkim znacznie surowszy niż do tej pory styl życia. W nowej Islamskiej Republice Iranu nawet niemuzułmanie byli zmuszeni przestrzegać rozporządzeń ajatollaha. Jakby mało było rozlewu krwi podczas rewolucji, Iran został zaatakowany przez Irak, a początkowe potyczki przerodziły się w wojnę totalną między obydwojema krajami.

Podczas gdy ja spędzałam słoneczne popołudnia, chlapiąc się ze Stacey w wodzie rozpylanej przez zraszacze, moja mama była pochłonięta nieskończenie bardziej ponurymi myślami o niebezpieczeństwach, o których ja nic jeszcze nie wiedziałam. Gdy pakowała bagaże przed zbliżającą się wizytą w ojczyźnie mojego ojca, nie mogła pozbyć się dręczącego pytania: „Czemu, u licha, zabieramy swoją córkę do kraju ogarniętego wojną?”.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy 1 sierpnia 1984 roku moja rodzina wyjechała z domu, nie miałam powodu podejrzewać, że ta podróż będzie czymś innym niż dwutygodniowymi wakacjami u krewnych ojca w Iranie. Gdybym dysponowała mądrością, która przychodzi z wiekiem, być może tak jak moja matka miałabym przeczucie, że ojciec wprowadza w życie znacznie bardziej złowieszczy plan.

Gdy rodzice byli zajęci ostatnimi przygotowaniem do wyjazdu, Pan Bunny i ja tańczyliśmy wokół salonu, połączeni elastycznymi paskami, które mocowały jego ręce i stopy do moich. On był przystojnym wypchanym królikiem, jasnozielonym w białe kropki, przewyższającym mnie wzrostem o wysokość długich uszu. Nosił czerwoną filcową muchę, która wyglądała jak dwa odwrócone na bok trójkąty, połączone wierzchołkami. Wszystkie wysiłki mamy zmierzające do tego, żeby mucha trzymała się na miejscu, dały tylko tyle, że była sztywna od kleju.

W naszym domu zapanowała lepka atmosfera napięcia. Słyszałam szepty sprzeczki napływające z holu, a przy drzwiach piętrzyły się walizki. Tato wpadł do pokoju i chwycił swój Koran ze stolika stojącego obok fotela z uszakami, obitego niebieską tkaniną we wzór paisley.

Paisley, jak wyjaśnili mi rodzice, jest perskim wzorem. Nasz dom wyraźnie odzwierciedlał dziedzictwo mojego ojca. Obok podstawki na jego Koran stała ciemnozielona lampka zrobiona z wielbłądziej skóry pomalowanej w zawile żółte i białe wzory geometryczne. Nasi przyjaciele przywieźli nam ją w prezencie z Pakistanu. Na nóżce lampki, u góry pod kloszem, znajdował się ozdobny mosiężny przełącznik w kształcie klucza. Gdy się go przekręciło, żarówka budziła się do życia. Uwielbiałam patrzeć, jak światło prześwieca przez klosz, rzucając intrygujące cienie na ścianę, kiedy włączałam i wyłączałam przełącznik.

Pod moimi stopami pluszowy perski dywan zmieniał barwy, gdy Pan Bunny i ja wirowaliśmy wokół pokoju. Tato powiedział, że dzięki temu można poznać, że jest autentyczny. Z jednej strony kolory sprawiały wrażenie głębokich i nasyconych. Z drugiej wyglądały na lżejsze, jaskrawsze.

Przyjechałam z rodzicami do Teheranu, stolicy Iranu, 3 sierpnia, na miesiąc i jeden dzień przed swoimi piątymi urodzinami. Pierwszą rzeczą, którą pamiętam z ojczyzny ojca, to odór panujący w łazience w Międzynarodowym Teherańskim Porcie Lotniczym. Jak większość wspomnień z naszego pobytu w Iranie jest to krótki, chaotyczny przebłysk. Gdy podeszłam z mamą do wejścia do toalety, uderzyła nas przytłaczająca fala smrodu. Zaprotestowałam. Nie chciałam wejść do środka. Mimo to weszłyśmy. Potwornie cuchnęło. Tak bardzo potrzebowałam skorzystać z toalety, że cierpiałam z tego powodu, ale nie zdołałam się przemóc.

Niektóre z moich wspomnień z tamtego okresu przypominają fotografie,

które niemal mogę zobaczyć. Na inne składają się fakty, szczegóły albo emocje, rzeczy, o których wiem, ale niezupełnie umiem je dojrzeć oczami wyobraźni. Moje wspomnienie z łazienki na lotnisku zalicza się do tej drugiej kategorii. Nie pamiętam dokładnie, jak wyglądała, za to dobrze pamiętam, że nie było w niej muszli klozetowych. W taki właśnie sposób zapoznałam się z tradycyjną irańską łazienką. Tam gdzie w zachodniej toalecie znajdowałyby się muszla i rolka papieru, w Iranie była dziura w podłodze i wąż na ścianie. Efekt był obrzydliwy.

Na lotnisku zgromadziło się wielu członków rodziny, żeby się z nami przywitać. Otoczyli nas niczym rój pszczoł, tłocząc się dokoła z uściskami i radosnymi okrzykami. Pewnie było tam tylko kilkudziesięciu krewnych, ale narobili takiego zamieszania, że równie dobrze mogły być ich setki. Kobiety nosiły czarne czadory, długie płachty materiału, którymi owijały ciało, odsłaniając jedynie część twarzy. Czador, aby pozostał na swoim miejscu, był często przytrzymywany od środka, toteż nawet ich dłonie były niewidoczne.

Rodzice mojego ojca zmarli, kiedy był dzieckiem. Wychowywała go starsza siostra, którą znałam jako Amme Bozorg. Zawieziono nas z lotniska do jej domu. Za żelazną bramą, otoczony bezładnym kłębowiskiem ludzi, stał mężczyzna z owcą. Mama objęła mnie mocno. Zatrzymaliśmy się, żeby popatrzeć, jak ten człowiek podrzyna zwierzęciu gardło i pozwala, żeby krew spłynęła na chodnik. Ukryłam twarz na ramieniu mamy, gdy ona i mój tato przekroczyli strumień krwi i weszli do domu. W kulturze mojego ojca oznaczało to niezwykle wielki zaszczyt, lecz dla mnie okazało się traumatycznym doznaniem. Dla małej dziewczynki, która nie potrafiła znieść przemocy w filmie Disneya, zarżnięcie owcy w prawdziwym życiu było przerażające.

Amme Bozorg była głową rodziny, traktowano ją zatem z najwyższym szacunkiem. Bałam się jej. Miała włosy w strąkach, sięgające do ramion i ufarbowane henną, oraz długi haczykowaty nos. Nosiła ciemnozielone nylonowe pończochy i sukienkę w tym samym kolorze. Dla mnie z łatwością mogła być dublerką Złej Czarownicy z Zachodu. Ona i jej mąż Baba Hadži mieszkali w zamożnym niegdyś domu, który stał dosłownie tuż obok chińskiej ambasady. Pełno w nim było marmurów, ozdobnych żyrandoli i niezliczonych warstw perskich dywanów, a mimo to był skromny, zimny i brakowało mu wykwintnej atmosfery, której można by się spodziewać po tak wyrafinowanych materiałach.

Iran, oprócz tego, że był śmierzdzący i przerażający, wydał mi się bardzo hałaśliwy. Ponieważ byłam wyjątkowo spokojnym dzieckiem, zgiełk mnie niepokoił. Może dlatego, że nie rozumiałam języka, a może wynikało to z samego natężenia gwaru rozmów.

Nie jestem pewna, ile osób faktycznie mieszkało w domu Amme Bozorg, ale wydawało się, że ludzie są wszędzie – dorośli siedzieli na podłodze w salonie, pijąc herbatę z maleńkich szklaneczek, a dzieci biegały tam i z powrotem bez żadnego

nadzoru. Tato próbował mnie nakłonić, żebym bawiła się ze swoimi kuzynami, ale ja byłam przytłoczona ich hałaśliwym zachowaniem i jeszcze bardziej kurczowo trzymałam się mamy.

Wydawało się, że dorośli nie zwracają najmniejszej uwagi na dzieciarnię, która szalała po domu i na otoczonym murem podwórku na tyłach. Z bezpiecznego miejsca u boku mamy przyglądałam się, jak biegają po ogrodzie za domem wśród krzewów róż i wokół basenu wbudowanego w ziemię. Woda w nim była zielona i stojąca. Kiedy jakieś dziecko zabłąkało się do kuchni, najbliższej stojąca kobieta odrywała niewielki kawałek cienkiego chleba lawasz, który został z poprzedniego posiłku, nadziewała go fetą i gałązką mięty, a następnie wręczała mu tę miniaturową zrolowaną przekąskę. Towarzyszyło temu poklepanie po głowie lub pocałunek w policzek.

Dom Amme Bozorg w zasadzie był pozbawiony mebli. Siadaliśmy na podłodze wyścielonej ręcznie tkanymi perskimi dywanami. Gdy nadchodziła pora posiłku, właśnie tam jedliśmy obiad w tradycyjnym perskim stylu. Obrus służył za stół, a członkowie rodziny jedli po kolei – najpierw mężczyźni, potem kobiety, a na koniec dzieci. Pomimo tej społecznej normy ja jadłam razem z mamą.

Śniadanie podawano zazwyczaj na podłodze, tak jak pozostałe posiłki, ale zdarzało się, że szliśmy do jadalni. Nawet przy stole dorośli siadali na krzesłach po turecku, ze skrzyżowanymi nogami. Na śniadanie na ogół jedliśmy nan panir sabzi, kanapkę zrobioną z irańskiego chleba, na który kładziono warstwami fetę, plasterki pomidorów i świeżą zieleninę, taką jak bazylia czy mięta. Czasami jedliśmy nan panir gerdu – chleb z dużą ilością masła, fetą i orzechami włoskimi. Od czasu do czasu podawano chleb z masłem i dżemem z pigwy, wiśni lub płatków róży.

Świeżych owoców i jarzyn było w bród. Jedliśmy małe ogórki w taki sposób, w jaki ludzie w Ameryce jedzą jabłka. Chleb kupowano w piekarni na każdy posiłek, a ryż podawano dwa razy dziennie, każdego dnia.

Pamiętam jak przez mgłę tamte posiłki w otoczeniu rodziny. Wizyta upłynęła szybko i zanurzanie się w ojczyźnie ojca dobiegło końca – przynajmniej tak myślałyśmy z mamą. Pan Bunny i ja podskakiwaliśmy wokół sypialni, podekscytowani, że jedziemy do domu. Mama robiła, co mogła, żeby schodzić nam z drogi, gdy pakowała walizki, i obie paplałyśmy bez końca o tych, z którymi chętnie zobaczymy się po powrocie.

W pewnym momencie do pokoju wszedł tato. Milczał. Mama mówiła, ale jego uwagę przykuł jakiś niewidzialny przedmiot na podłodze. Wyjął coś o problemie z paszportami. Wydawało mi się, że zrozumiałam słowa „skonfiskowane” i „rząd”. W końcu zrezygnował z kłamstw i zacisnął ręce na ramionach mamy. Zdobywając się na odwagę, oznajmił:

– Betty, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie jedziemy do domu. – Jego głos i uścisk nasilały się z każdym słowem. – Zostaniecie w Iranie do śmierci! – Stał

wyprostowany, z cofniętymi ramionami i uniesioną wysoko głową. – Teraz jesteście w moim kraju. Podporządkujecie się moim regułom.

– O czym ty mówisz? Moody, nie możesz nam tego zrobić! Proszę, nie rób tego – błagała. – Obiecałeś, że wrócimy do domu po dwóch tygodniach. Przysięgałeś na Koran. Nie możesz tego zrobić!

Jego cios trafił ją z taką siłą, że natychmiast zamilkła, osłupiała. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby tato uderzył mamę, i to mnie przerażyło. Byłam w szoku, zdezorientowana – a nawet gorzej, kompletnie oszołomiona. Co to wszystko znaczyło? Kim był ten człowiek? Gwałtowna złość sprawiła, że zmienił się nie do poznania. Co się z nim stało? W kogo zmienił się mój kochający *baba dżan* – mój kochany tatuś?

Od tamtej chwili nawet jego kroki straciły znajomy rytm. Gdy przybliżały się korytarzem, brzmiały tak, jakby celowo napelniały się gniewem. Od ich wstrętnego tupania przewracało mi się w żołądku.

Właśnie tamtego dnia mój tatuś zamienił się w potwora.

ROZDZIAŁ 4

Dzień po dniu tuliłam się do mamy, płacząc: „Mamusi, chcę do domu. Proszę, zabierz mnie do domu”. Dzień po dniu mama robiła, co mogła, żeby dodać mi otuchy. „Nie martw się, Mahtob. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Znajdę sposób, żeby zabrać cię do domu”. I dzień po dniu mój tato przysięgał, wśród krzyków i wirujących pięści, że nigdy nie wyjedziemy z Iranu.

Niczym niesprowokowany, zaczynał wygłaszać gwałtowne tyrady pod adresem mamy: „Jeśli kiedykolwiek dotkniesz telefonu, zabiję cię... Jeśli kiedykolwiek wyjdiesz przez te drzwi, zabiję cię... Zabiję cię i rozsypię na twoich zwłokach popiół ze spalonej amerykańskiej flagi... Nigdy nie uda ci się uciec, a gdyby nawet, spędzę resztę życia, szukając cię. A kiedy cię znajdę, zabiję cię i zabiorę Mahtob z powrotem do Iranu”.

Moje życie zmieniło się w rozmazane pasmo awantur i napadów płaczu. Potem mama się rozchorowała. Chociaż przez pierwsze dwa tygodnie jedzenie jej nie szkodziło, gdy się dowiedziała, jaki los nas czeka, niemal natychmiast dostała ataku dyzenterii. Pan Bunny i ja siedzieliśmy bezradnie przy jej łóżku, patrząc, jak coraz bardziej opada z sił.

To były koszmarne czasy. Na przemian tracąc i odzyskując przytomność, mama błagała mnie, żebym broniła jej przed swoim ojcem, wykształconym w Ameryce lekarzem, który teraz twierdził, że wrócił do Iranu, aby ratować swój naród. Budziła się nagle i patrzyła, czy nadal jestem na posterunku.

– Mahtob – szeptała, częściowo dlatego, że była tak bardzo osłabiona, a częściowo dlatego, żeby nikt nie słyszał jej instrukcji – za nic nie pozwól swojemu tacie zrobić mi zastrzyku. Proszę, niezależnie od tego, co powie, nie pozwól mu zrobić mi zastrzyku. Mógłby dać mi lekarstwo, które mi zaszkodzi.

– Obronię cię, mamusi – obiecywałam. – Nie pozwolę mu cię skrzywdzić.

Wypowiedzenie tych słów odbierało jej wszystkie siły. Potem wyczerpana ponownie zapadała w niespokojny sen.

Te pełne gorczy dni zamieniły się w tygodnie, a ja, tak jak inne dzieci z rodziny, byłam zdana na siebie i musiałam radzić sobie sama. Bez mamy u boku, która pomagała mi ignorować żądania taty, nie miałam innego wyboru, jak tylko współdziałać z pozostałymi dziećmi.

Moi rodzice żyli wcześniej w innych związkach małżeńskich. Ojciec poza mną nie miał dzieci, mama natomiast miała dwóch synów. Joe i John, moi bracia, byli ode mnie starsi o trzynaście i o dziewięć lat. Pamiętam, że kiedy miałam mniej więcej trzy lata, John wpuścił mnie ukradkiem do sutereny, żebym obejrzała z nim filmy rysunkowe. Miał wtedy jakieś dwanaście lat.

W Ameryce nie wolno mi było oglądać telewizji, chyba że w towarzystwie ojca, i wtedy to on wybierał program. Pozwalano mi oglądać program z kobietą

prowadzącą zajęcia jogi. Lubiłam ją, bo mówiła cicho i miała długie kasztanowe włosy, takie jak moje, tylko dużo dłuższe. Miałam nadzieję, że moje też kiedyś takie będą. Oprócz pani od jogi oglądaliśmy głównie wydania specjalnie National Geographic poświęcone zwierzętom. Siadałam u taty na kolanach, na jego ulubionym fotelu z podnóżkiem, a on uczył mnie nazw zwierząt w języku farsy. Denerwowało go, że ilekroć widziałam jakieś małe zwierzątko samo, pochlipywałam, pytając:

– Gdzie jest jego mamusia?

– Dlaczego nigdy nie zapytasz: „Gdzie jest jego tatuś?” – strofował mnie.

Tamtego dnia, kiedy John wpuścił mnie po kryjomu do sutereny, nie oglądaliśmy jogi ani National Geographic. On rozsiadł się na sofie, a ja pochyliłam się nad grzbietem ceramicznej zebry, która była prawie taka duża jak ja, i oglądaliśmy *Smerfy*. Byliśmy tak pochłonięci filmem, że nie usłyszeliśmy, kiedy tato wrócił do domu. Pierwszym znakiem, że zostaliśmy przyłapani, był jego głos grzmiący ze szczytu schodów: „Co wy sobie wyobrażacie? Natychmiast wyłączcie ten telewizor!”. Próbowałam się gdzieś schować, ale zanim zdążyłam uciec, złapał mnie i dał mi klapsa. Powinnam była wiedzieć, że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Od tej pory mógł być pewien, że dwa razy się zastanowię, zanim kiedykolwiek okażę mu ponownie taki brak szacunku.

Telewizja jest potężnym narzędziem indoktrynacji kulturowej. Pewnie właśnie dlatego była dla mnie niedostępna w Stanach. Tato nie chciał, żebym znalazła się pod wpływem moralnie zepsutego jego zdaniem społeczeństwa. Jednak w Iranie to była zupełnie inna historia. Ponieważ pragnął, żebym w pełni wchłaniała tamtejszą kulturę, zmuszał mnie do oglądania telewizji. Tymczasem tam nawet filmy rysunkowe przybierały ponury, groźny ton.

Mam bardzo niewiele wspomnień dotyczących programów telewizyjnych, które oglądałam w Iranie, ale pamiętam fragmenty kreskówki o małym trutniu. Truteń był niezwykle życzliwy, mimo że w jego bezlitosnym świecie było mnóstwo zła. Wszędzie czyhały niebezpieczeństwa, dlatego często musiał walczyć nie tylko o własne życie, lecz także o życie tych, którzy okrutnie go traktowali. Wciąż ścigały go czarne charaktery – inne owady, takie jak osy i modliszki – ale pogodny truteń nic sobie nie robił z ich ataków. Jasnym punktem filmu była królowa pszczół, która, choć niedostępna, była łagodna i kochająca.

Potwierdziło się to, kiedy po latach znalazłam tę kreskówkę w internecie. Truteń wyglądał tak, jak go zapamiętałam z dzieciństwa, siedział na czerwonym kwiatku, z oczami skierowanymi ku górze, zatopiony w marzeniach. W tle pojawiała się scena, do której tęsknił. W oddali unosiła się, jako obraz z jego marzeń, matka trutnia, królowa pszczół. Ścisnęła jego ręce w swoich i uśmiechała się do niego z góry z czułością.

Mały truteń miał na imię Hutch. Zgubił się, kiedy niegodziwe osy

zaatakowały ul i dokonały masakry jego mieszkańców, zabijając pszczoły walczące w obronie swojej królowej. Osy splądrowały i ograbiły ul. Nie zadowolily się zjedzeniem zmagazynowanego miodu, ale łakomie pożarły nawet jajeczka pszczoł. Tylko jedno spadło na ziemię i schowało się pod liściem. Wewnątrz tego jajeczka był Hutch. W ten sposób przeżył inwazję. Jego matka i niewielka grupka tych, którzy się uratowali, zalali się łzami, sądząc, że wszystkie jajeczka zostały pożarte przez podłych napastników.

Nic dziwnego, że zapamiętałam Hutcha. To zaskakujące, że tato pozwolił mi oglądać film o trutniu, który przez całe życie niestrudzenie szukał swojej matki.

Gdy mama leżała w sypialni, z coraz większym trudem czepiając się życia, ja kładłam się na brzuchu na podłodze salonu, z głową w dłoniach, nogami zgiętymi w kolanach i stopami huśtającymi się w powietrzu, oglądając Hutcha. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby odnalazł drogę powrotną do swojej mamy, jakby jakimś cudem jego powodzenie mogło się przełożyć na moje życie.

Pan Bunny i ja robiliśmy co w naszej mocy, żeby przez cały czas być u boku mamy, ale kiedy tato zmuszał mnie do opuszczenia posterunku, salon służył mi za zadowalającą rezerwową pozycję obronną. Gdy tkwiłam w tym punkcie obserwacyjnym, nikt nie mógł wejść do naszej sypialni ani z niej wyjść bez mojej wiedzy. Zanim się wycofywałam, zostawiałam przy mamie Pana Bunny'ego, żeby nie była sama. A jeśli tato choćby spojrzał w jej stronę, natychmiast zrywałam się na nogi i pędziłam jej na pomoc.

Kilka dni przed swoimi piątymi urodzinami podczas zabawy spadłam ze stołka i jego odwrócona noga wbiła mi się w prawą rękę tuż pod łokciem. Krew tryskała z rany, a ja zanosila się płaczem. Rodzice czym prędzej zawieźli mnie do szpitala, gdzie mój utytułowany ojciec poczuł się obrażony, bo powiedziano mu, że będziemy musieli poczekać na swoją kolej. Siedzieliśmy na krzesłach ustawionych bezładnie wzdłuż ściany korytarza. Ojciec pomstował, przeklinając degenerację panującą w jego ojczyźnie, a mama, która zebrała wszystkie siły, żeby przyjechać z nami, robiła, co mogła, aby chronić mnie przed jego gniewem.

Kiedy w końcu wpuszczono nas do pokoju zabiegowego, posadzono mnie na stole, a lekarz zbadał ranę. Była dość głęboka i wymagała założenia szwów. Tę diagnozę tato postawił już w kilka sekund po moim upadku. Gdy mój ojciec, anestezjolog, dowiedział się, że ograniczone szpitalne zapasy środków znieczulających są racjonowane i mogą być wykorzystywane jedynie dla ofiar wojny, zaczął wrzeszczeć. Ale nawet największa złość nie mogła rozmnożyć skromnych zasobów lekarstw. Nie pamiętam, jak lekarz zszywał mi rękę bez środków znieczulających, z jakiegoś dziwnego powodu pamiętam za to, że w pokoju zabiegowym był kot.

Co zrozumiałe, na swoich piątych urodzinach byłam trochę nie w sosie. Rwała mnie zabandażowana ręka i serce mi się krajało. Cała wielopokoleniowa

rodzina zebrała się u Amme Bozorg na przyjęciu. Był też tort urodzinowy w kształcie gitary, lecz jakimś cudem spadł na podłogę do góry nogami. Jednak dziwnym zbiegiem okoliczności dokładnie w tamtym momencie przyszedł mój ulubiony stryjek. Spóźnił się, lecz nie przyszedł z pustymi rękami.

Wujek Madżid uwielbiał bawić się z dziećmi. Był wysoki i chudy, miał rude włosy i wąsy w tym samym kolorze, a w oczach błysk żartownisia. Uklęknął przede mną z uśmiechem i wyciągnął przed siebie pudełko z cukierni z dużym otworem w wieczku. Otworzyłam szeroko oczy. W pudełku znajdował się tort – ale nie było taki tort. Była to dokładna kopia tego, który zaledwie kilka chwil wcześniej został zeskrobany z podłogi i wyrzucony do śmieci.

Tygodnie zamieniały się w miesiące, a zdrowie mamy wciąż się pogarszało. Pan Bunny i ja czuwaliśmy przy niej tak długo, jak się dało. Mama zabrała w podróż butelkę szamponu White Rain. Szampon się skończył, ale w plastikowej butelce utrzymywał się jego zapach. Często nalewałam do niej wody i chłonełam ten aromat. Czasami ścisnęłam pustą butelkę przy twarzy, delektując się zapachem znanym z domu.

Siadywałam na podłodze oparta o łóżko mamy. Spała, a ja marzyłam o domu. Okropnie tęskniłam za resztą rodziny i korzystałam z każdej okazji, żeby błagać mamę, aby mnie z powrotem do nich zabrała.

Wiedziałam, że lepiej nie rozmawiać o takich sprawach z ojcem. Za każdym razem, gdy słyszałam, jak jego złowieszcze kroki zbliżają się do drzwi, mój żołądek bulgotał z przerażenia, a w uszach dudniło mi bicie serca.

Co będzie, jeśli tym razem nie zdołam go powstrzymać przed zrobieniem mamie zastrzyku? Co będzie, jeśli dzisiaj jest ten dzień, kiedy zabije moją mamusię?

ROZDZIAŁ 5

Kto by pomyślał, że coś pozornie tak nieistotnego jak papierek po gumie do zucia zmieni nasz los? Po ponad dwóch miesiącach powolnego posuwania się w stronę grobu mama znalazła zmięty papierek po gumie. Rozprostowała go i próbując napisać na nim swoje imię, przeżyła szok, bo przekonała się, że jest na to zbyt słaba. Uświadomiła sobie, że jeśli coś się nie zmieni, umrze, pozostawiając mnie w tym domu. Wychowam się, sądząc, że typowa dla mojego ojca brutalność jest możliwą do zaakceptowania częścią życia.

Nie mogła – nie miała zamiaru – do tego dopuścić.

Gdy mama leżała słaba i wycieńczona, wymyśliła pewien plan. Zamierzała zagłaskać wszystkich na śmierć, żeby przekonać mojego ojca i jego rodzinę, że zaakceptowała życie zgodne z jego zasadami. Gdy zaczęła realizować ten plan, jej nastrój się poprawił i stopniowo także stan jej zdrowia. Odzyskała apetyt, siły i odrobinę zaufania mojego ojca.

Wiedząc, że nie ma żadnych szans na ucieczkę, dopóki nie wydobędzie się spod mikroskopu w domu Amme Bozorg, gdzie inwigilacja była nieunikniona, mama zaproponowała, żebyśmy się przeprowadzili do bratanek taty Mammala i jego żony Nasserin. Mama zawsze była bardzo pracowita i mogła odciążyć Nasserin przy gotowaniu, sprzątaniu i opiece nad ich małym synkiem Amirem. Ojciec wyraził na to zgodę. Jednak nawet z dala od krewnych mieszkających w domu Amme Bozorg – którzy chętnie zastosowali się do życzenia mojego ojca i pełnili funkcję naszych strażników – nie mogliśmy uniknąć jego wybuchów gniewu.

Jego napady złości były tak częste i tak gwałtowne, że wkrótce po tym, jak się przenieśliśmy, Mammal i Nasserin wyprowadzili się, woleli bowiem, żeby mój ojciec wściekał się pod ich nieobecność. Hierarchiczny charakter perskiego społeczeństwa sprawiał, że interwencja z ich strony byłaby niestosowna. Ojciec przewyższał ich rangą na jakimś niewidzialnym rodzinnym słupie totemicznym.

Nasz blok był ogromnym betonowym pudłem z ostrymi kątami i ponurymi korytarzami. Mieszkaliśmy na piętrze w skromnym mieszkaniu z dwiema sypialniami. Podobnie jak w domu Amme Bozorg, salon był pozbawiony mebli, a stół w jadalni rzadko wykorzystywano się podczas posiłków. Mama spędzała całe dni w kuchni wyodrębnionej z jadalni, a ja dzieliłam z rodzicami sypialnię w drugiej części mieszkania. Na parterze mieszkał bratanek taty Reza z żoną Essej i dziećmi. Ich podwórko było oplecione winną latoroślą ciężką od kwaśnych zielonych winogron. Lubiłam, gdy usta wykrzywiały mi się po zjedzeniu niedojrzałych gron zerwanych prosto z pnączy, ale nie było to warte znalezienia się w pobliżu okrutnej córki Rezy i Essej.

Chociaż Iran był już w stanie wojny z Irakiem, na początku naszego pobytu

potyczki miały miejsce tylko w rejonach przygranicznych. To wszystko zmieniło się w ciągu jednej nocy. Szybko zasnąłam, leżąc między rodzicami, a tymczasem noc przeszył dźwięk syreny ostrzegającej przed nalotem. Wśród czerwonopomarańczowych błysków eksplodowały bomby. Pokój się zatrzęsł. Bardziej od irackiego ataku przeraziła mnie reakcja rodziców. Ich oczy były oszalałe ze strachu. Padało pytanie za pytaniem: „Co się dzieje?”, „Co robimy?”, „Dokąd idziemy?”.

Odpowiedzi nie było.

– Myślałam, że w Teheranie jesteście bezpieczni! – zawołała mama.

– To wina twojego kraju – warknął ojciec, ze złością wymierzając w nią palec. – Kto dostarcza bomb Saddamowi Husajnowi? Za tą wojną stoją Amerykanie.

Od tamtej pory życie naprawdę stało się trudne. Bombowce nadlatywały prawie codziennie, więc było ono podporządkowane syrenom. Niezależnie od tego, co akurat robiliśmy, gdy rozlegał się alarm, szukaliśmy schronienia. Większość bombardowań zdarzała się w nocy, wymuszając zaciemnienie całego miasta, bo to utrudniało pilotom trafienie w cel. Moja rodzina w milczeniu szła na palcach zaciemnionym korytarzem, a potem powoli schodziła po schodach na parter. Siadaliśmy tam na zimnej posadzce w głównym holu, ramię w ramię z sąsiadami, czekając, żeby się przekonać, czy zostaniemy trafieni.

Bardzo podobnie jak dzieci liczą sekundy między błyskawicą a grzmiotem, żeby ocenić odległość od burzy, my też liczyliśmy. Nie jestem pewna, co właściwie liczyliśmy. Może zaczynaliśmy od błysku, a przerywaliśmy, słysząc eksplozję. Liczenie zaczynało się chyba wtedy, gdy bomba była zrzucona, a kończyło się wraz z detonacją. W każdym razie liczyliśmy. Czasami ledwie słyszalne liczenie powoli narastało w ciemności. Bliskie uderzenia dawały nam nadzieję, że następnym wybuch nastąpi z dala od nas.

Te chwile oczekiwania były nie do zniesienia i wywoływały niepokój. Syreny zaczynały swe ostrzegawcze wycie na długo, zanim dało się usłyszeć samoloty. Im dłużej czekaliśmy, tym bardziej byłam przerażona. A ilekroć byłam przerażona, musiałam iść do łazienki.

– Muszę do toalety – szepnęłam do mamy.

– Nie możesz wytrzymać?

– Nie. – Przecząco pokręciłam głową. – Muszę iść natychmiast.

– Moody – powiedziała po cichu mama do mojego taty – Mahtob musi iść do łazienki.

Jej słowa wywołały u niego napad wściekłości. Upierał się, że nie muszę skorzystać z łazienki. Próbowałam się powstrzymać, ale dodatkowy strach wywołany jego gniewem sprawiał, że moja potrzeba była jeszcze pilniejsza.

– Mamo – płakałam. – Muszę iść do toalety. Nie mogę czekać.

– Moody – błagała mama. – Proszę, pozwól mi ją zabrać.

Bardzo niechętnie wręczył jej swoją latarkę w kształcie długopisu, w rodzaju tych, których lekarze używają przy badaniu pacjentów. Mama w milczeniu wzięła mnie na ręce i zniosła na górę do naszego mieszkania. Mieliśmy tam nowoczesną łazienkę, w której pachniało mydłem. W ciemności skorzystałam z niej tak szybko, jak mogłam, pamiętając, żeby powstrzymać odruch spuszczenia wody, kiedy skończyłam. Nie mogliśmy ryzykować, robiąc aż tyle hałasu. Potem popędziłyśmy z powrotem na swoje miejsca pod ścianą, obok sąsiadów i mojego wściekającego się ojca.

W pewnym momencie zaczęliśmy sypiać na prowizorycznym pościeli pod stołem w jadalni. Rodzice przykryli stół kilkoma warstwami koców, które zwisały po jego bokach, bo chcieli w ten sposób utworzyć barierę zabezpieczającą przed odłamkami szkła. Bali się, że mogłyby nas one pokaleczyć w nocy, gdyby w pobliżu nastąpiła niespodziewana eksplozja. Właśnie siedząc w tym bunkrze pod stołem, byłam świadkiem jednego z wielu przerażających ataków wściekłości ojca.

Tamtego popołudnia, bez ostrzeżenia, tato odwrócił się i chwycił mamę za włosy. Zaciągnął ją pod ścianę oddzielającą salon od sypialni, której już nie używaliśmy, bo nie była wystarczająco bezpieczna. Członkowie rodziny ojca przyszli do nas tamtego dnia w odwiedziny, ale nie zrobili nic, żeby go powstrzymać.

Mama upadła na podłogę, błagając tatę, żeby przestał. Wrzeszcząc na nią, chwycił w obie ręce pasma jej włosów i brutalnie uderzył jej głową o ścianę. Nie przestając błagać go o litość, mama uczepliła się rękami jego pięści i starała się wyswobodzić włosy z jego palców, ale on nadal tłukł jej głową o ścianę, raz za razem. Przyklęknęłam pod rogiem stołu, wyciągając rękę w stronę mamy. Z twarzą zalaną łzami błagałam krewnych, żeby jej pomogli.

Stali rozproszeni w salonie i patrzyli, ale bestialstwo mojego ojca nie robiło na nich żadnego wrażenia. Nic nie powiedzieli. Nic nie zrobili. Po prostu tam stali.

– Przestań, tatusiu! Przestań! – pisałam, ale on nadal okładał mamę.

Kopał ją, jednocześnie tłukąc jej głową o ścianę.

Szlochając, z trudem stanęłam na nogi i natarłam na niego ze wszystkich sił.

– Przestań, tatusiu! Robisz jej krzywdę!

Odepchnął mnie na bok. Ponownie go zaatakowałam, próbując wepchnąć się między niego a zakrwawioną mamę. Uderzył mnie. Nie przejęłam się tym. Chciałam tylko, żeby przestał się nad nią znęcać.

Jedna z kobiet obecnych w pokoju podeszła i odciągnęła mnie od niego. Kołysała mnie w ramionach na podłodze, aż mój ojciec opadł z sił i po raz ostatni trzasnął głową mamy o ścianę, a potem wyciągnął pięści z jej włosów. Mama leżała na dywanie częściowo oparta o ścianę, szlochając i z trudem łapiąc oddech. Wyrwałam się tamtej kobiecie i podbiegłam do niej. Objęła mnie i płakałyśmy

razem.

Właśnie wtedy dowiedziałam się, co to jest śliwa na głowie.

Pewnego popołudnia byłam na naszym balkonie, pluskając się w baseniku dla maluchów, kiedy syreny ogłosiły alarm. Mama natychmiast przybiegła z ręcznikiem.

– Jeszcze tylko parę minut – zaprotestowałam. – Wciąż jest mnóstwo czasu, zanim przylecą samoloty.

Rzeczywiście mogło tak być, ale mimo wszystko porwała mnie z baseniku. Potem wraz z rodzicami zajęłam nasze zwykłe miejsce w korytarzu, obok sąsiadów. Na tyle przyzwyczaiałam się do tej rutyny związanej z bombardowaniami, że do pewnego stopnia zobojętniałam na grożące nam w każdej chwili niebezpieczeństwo.

Gdy samoloty odlatywały, już samo wyjście na zewnątrz wystarczyło, żeby gwałtownie przywrócić wszystkich do rzeczywistości. Po jednym wyjątkowo bliskim nocnym nalocie wyszliśmy z domu, aby obejrzeć zniszczenia. Ludzie lamentowali i krzyczeli, biegając na wszystkie strony. Z zawałonych budynków buchały płomienie. Samochody leżały przewrócone kołami do góry. Wdychaliśmy kłęby gęstego pyłu zabarwionego zapachem prochu i gryzącą wonią płonących przewodów elektrycznych. Wyobrażam sobie, że piekło bardzo przypomina ów straszny widok, jaki ujrzeliśmy tamtej nocy.

W pewnym momencie zobaczyłam, że dorośli wskazują z odrazą na gałęzie jednego z drzew. Mama niosła mnie na rękach. Gdy skupiła na nim wzrok i zorientowała się, co widzi, ona też wydała stłumiony okrzyk i szybko odwróciła mnie w inną stronę, przyciskając moją twarz do swojego ramienia. Dopiero później na tyle połączyłam strzępy rozmów, które szeptem prowadzili między sobą zaniepokojeni dorośli, że pojęłam, iż z tego drzewa zwisały rozczłonkowane ludzkie ciała.

Inną rzeczą, którą nie od razu zrozumiałam jako dziecko, było to, że charakterystyczny odór wyczuwalny w następstwie bombardowań nie brał się jedynie z płomieni, gruzów i prochu. Ze wszystkimi tymi składnikami mieszała się woń płonącego ludzkiego ciała. Życie w strefie wojny było okrutne, żałosne, przerażające, napawające obrzydzeniem i straszliwie nieludzkie – zupełnie tak, jak coraz brutalniejsze wybuchy gniewu mojego ojca.

Nawet w Stanach ojcu się wydawało, że ludzie na niego czyhają i że władze go obserwują. W miarę jak upływały miesiące naszej niewoli, jego paranoja się nasilała. Obserwował każdy nasz ruch, przyglądając się nam z coraz większą podejrzliwością.

Naszym schronieniem stała się łazienka – miejsce, w którym szeptałyśmy modlitwy po angielsku, błagając Boga, żeby nas uwolnił z rąk ojca i przywrócił bezpiecznie na łono rodziny w Michigan, za którą strasznie tęskniłyśmy. Nawet

jednak w łazience nie byliśmy wolne od inwigilacji ojca. Miała dwa wejścia – jedno z salonu, drugie z sypialni. To drugie miało szybę, przy której często stawał w milczeniu i obserwował nas, żeby się upewnić, że nic nie knujemy.

Tato nie pozwalał nam się kontaktować z rodziną w Ameryce. Na początku naszej niewoli zadzwonił do niej, mówiąc, że irańskie władze nie zgodzą się, żebyśmy wyjechały z kraju. Było to kłamstwo, ale skąd oni mogli o tym wiedzieć? Później zmuszał mamę do wysyłania listów i zdjęć, które sugerowały, że szczęśliwie żyjemy w Iranie. Nasi najbliżsi przysyłali nam listy i paczki żywnościowe, ale podejrzewam, że ojciec przekazywał nam tylko niewielką część tego wszystkiego.

Ze względu na okoliczności przedmioty, które kiedy indziej mogłyby się wydawać nieistotne, stawały się cennymi pamiątkami. Moja dawna opiekunka Patty przysłała mi swój identyfikator z uczelni ze zdjęciem. Był dla mnie czymś wyjątkowym, bo wcześniej ona trzymała tę niewielką laminowaną kartę w swoich dłoniach, tak jak ja teraz w swoich. Ktoś inny przysłał tubkę kleistej, różowej, balonowej gumy do żucia, przypominającą tubkę pasty do zębów. Instynktownie zaczęłam ją sobie wydzielać. Ściskając zamkniętą tubkę w rękach, przesuwalam ze świstem lepką substancję tam i z powrotem. Czułam wtedy, jak przelewa się między palcami wewnątrz plastikowego pojemnika. Kiedy już nie potrafiłam dłużej się opierać, ostrożnie odkręcałam zakrętkę, żeby powąchać różową maź, która przypominała mi o domu.

Pewnego popołudnia szłam z rodzicami do sklepu, trzymając w ręku swoją cenną tubkę gumy balonowej. To była zamożna dzielnica. Chodniki były szerokie, a wzdłuż ulicy stały okazałe domy, mogące się poszczycić starannie przystrzyżonymi trawnikami, zadbanymi ogrodami i kwitnącymi drzewami. Moi rodzice szli obok siebie przede mną, rozmawiając o niczym – była to jedna z tych chwil pomiędzy napadami wściekłości, kiedy nadal mogłam dostrzec przeblysłk dawnego zachowania mojego taty, takiego jakim był, nim zamienił się w potwora. Wlokłam się krok za nimi i bezmyślnie sięgnęłam do kieszeni, żeby ścisnąć swoją gumę balonową. Ale tubka zniknęła!

Ogarnięta paniką, przystanęłam i rozejrzałam się dokoła. Nigdzie nie było śladu mojego cennego prezentu z domu. Musiał mi wypaść z kieszeni. Do oczu napłynęły mi piekące łzy i ze wszystkich sił walczyłam, żeby powstrzymać się od płaczu. Odległość między mną a rodzicami rosła. Chciałam pobiec z powrotem tą samą drogą, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Ostatni raz popatrzyłam przeciągle za siebie, a potem przyśpieszyłam kroku i znów znalazłam się tuż za nimi.

Byłam coraz bardziej przerażona. Jeśli tato odkryje, że zgubiłam tubkę, na pewno straci panowanie nad sobą. Zawsze miałam w pamięci jego powtarzające się wojownicze tyrady. W najlepszym razie skrzyczy mnie. Jednak było bardziej

prawdopodobne, że zaczniesz krzyknąć na mamę, a sprawy gwałtownie przybiorą znacznie gorszy obrót niż słowny napad złości. Zastanawiałam się, czy nie przekazać mamie szeptem tej tragicznej wiadomości, kiedy tato nie będzie patrzył, ale nie chciałam jej obarczać własnym smutkiem. I tak była już bardzo smutna. Wobec tego szłam dalej ze spuszczoną głową, powłócząc nogami, bliska płaczu. Nie mogłam się doczekać chwili powrotu do domu i nienawidziłam taty.

Gdy wracaliśmy ze sklepu, bacznie się rozglądałam za zgubionym drobiazgiem, mając nadzieję, że czeka na odnalezienie gdzieś po drodze. Przecznicą za przecznicą lustrowałam chodnik, trawę i krzewy. Z każdym krokiem robiło mi się ciężiej na sercu. Już miałam się poddać, gdy na pasie trawy między chodnikiem a ulicą kątem oka dostrzegłam coś przy pniu starego drzewa. Zostałam z tyłu i podbiegłam tam, żeby się lepiej przyjrzeć. Ku mojej wielkiej radości była to tubka gumy balonowej – mój skarb łączący mnie z domem.

ROZDZIAŁ 6

Gdy miałam pięć lat, moje życie było pełne strachu – strachu przed ojcem i jego gwałtownym usposobieniem, strachu, że zostanę rozdzielona z mamą, strachu przed bombami, które na pewno spadną, i strachu, że już nigdy nie zobaczę swoich bliskich. Mijały kolejne miesiące. Mama i ja wciąż byłyśmy uwięzione. Rozpaczliwie czepiałyśmy się krótkich chwil radości, które niesło życie – jak wtedy gdy przyszła paczka od Annie z listem, szmacianą lalką Raggedy Ann i czerwoną sukienką, czy ta od cioci Carolyn z opakowaniem czerwonej galaretki i kasetą Crystal Gayle, albo gdy podziwialiśmy mój ulubiony nocny widok miasta, który roztaczał się z wijącej się wysoko górskiej drogi. Niestety, ukojenie, jakie dawały te chwile, było ulotne i krótkotrwałe.

Potęgując strach, który już i tak zatruwał mi życie, pewnego dnia późnym popołudniem tato zakomunikował nam przerażającą wiadomość: następnego dnia rano idę do szkoły.

Z płaczem przytuliłam się do mamy. Nie chciałam iść do szkoły. Nie chciałam rozstawać się z mamą. Co będzie, jeśli dojdzie do bombardowania i nie będziemy mogły się odnaleźć? Co będzie, jeśli tato zabije ją pod moją nieobecność?

Mama zaprotestowała w moim imieniu.

– Nie możemy jej posłać do szkoły, Moody. Porozmawiajmy o tym. Nie jest gotowa. Nie widzisz, że jest przerażona?

Był całkowicie zdecydowany. Miałam zacząć naukę i nie było o czym mówić.

Życie w Iranie w połowie lat osiemdziesiątych było ponure. Gdzieś musiały istnieć jakieś kolory, ale kiedy myślę o tamtym okresie, widzę tylko szarzyznę. Ulice, betonowe wieżowce, a nawet niebo – wszystko to wryło mi się w pamięć w posępnych, zanieczyszczonych odcieniach ponurości. Poza domem ludzie nosili ubrania w zdecydowanych odcieniach czerni, granatu, brązu albo szarości. Rynsztoki były cuchnące, a wzdłuż ich brzegów walały się śmieci przesiąknięte moczem. Powietrze, stale ciężkie od kurzu w wyniku wybuchów bomb, tworzyło smog spowijający miasto. Nawet cysterny na wodę, którymi upstrzone były chodniki, wykonano z niemalowanej, sponiewieranej blachy. Nigdy nie piłyśmy z małych metalowych czerpaków zawieszonych na łańcuchu, wspólnych dla wszystkich przechodniów. Mama nosiła z sobą plastikowy kubek turystyczny, który po złożeniu mieścił się w pokrowcu.

Moja nowa szkoła nie była odporna na tę wszechobecną ponurość. Wyglądała bardziej na koszary niż na placówkę edukacyjną, mającą rozwijać kreatywność i krzewić wiedzę. Zostaliśmy odarci z tożsamości, a także pozbawieni prawa do swobodnego wypowiedzania się, a nawet myślenia. W klasach

obowiązywała segregacja płci, a każdy uczeń nosił mundurek zaaprobowany przez władze. W wypadku dziewcząt były to *manto*, bezkształtny płaszcz do kolan, i *maghna'e*, obszerne, pofałdowane nakrycie głowy, na tyle długie, że zasłaniało nam ramiona. Pod *manto* nosiłyśmy spodnie uszyte z takiej samej nijakiej tkaniny jak reszta stroju. Kolor mundurków w naszej szkole, jak należało się spodziewać, był szary.

Irański rząd prowadził zmasowaną kampanię mającą na celu indoktrynację swoich obywateli. Do pewnego stopnia robi to każdy kraj, ale praktykowany w Iranie sposób prania mózgow był wyjątkowo skuteczny. Kiedy myślę o tamtym pokoleniu małych Irańczyków, którzy maszerowali obok mnie na szarych podwórkach naszych szarych szkół, przypominają mi się słowa Ronalda Reagana: „Informacje są dla współczesnych czasów jak tlen. Sączą się przez mury zwieńczone drutem kolczastym. Unoszą się ponad granicznymi zasiekami pod napięciem”. Czy wystarczająco dużo informacji dotarło do moich koleżanek z klasy, zanim było za późno – zanim rząd wysterylizował ich umysły i ukradł im dusze?

Pamiętam, że wysiadałam z autobusu i patrzyłam na szkolną bramę, rozpaczliwie pragnąc być gdzie indziej. Woń dieslowskiego paliwa mieszała się z zapachem gorącej smoły, którą rozprowadzano na ulicy. Umundurowany strażnik stojący przy bramie pilnował, żeby każdy, kto wchodził na teren placówki, potraktował amerykańską flagę z należytą pogardą. Aby przejść, musiałam albo podeptać, albo opluć jej wizerunek wymalowany na ziemi. Już sam widok mojej flagi na ziemi był wystarczającą zniewagą, ale konieczność fizycznego zbrukania własnego dziedzictwa doprowadzała mnie do szału, choć to za mało powiedziane. Na zewnątrz może i byłam drobna i potulna, ale w środku kipiałam nienawiścią.

Gdy już okazaliśmy pogardę amerykańskiej fladze, ustawiano nas w szeregach, po wojskowemu, i zmuszano do maszerowania równym krokiem w rytm znanego sloganu, który skandowaliśmy.

– *Marg bar Amrika.*

– Głośniej!

– *Marg bar Amrika!*

– Głośniej!

– *Marg bar Amrika!* – wrzeszczałam te słowa tak głośno, że aż piekło mnie gardło.

Moje wrzaski mieszały się z chórem krzyków innych uczniów, odbijały echem od otaczających nas ponurych murów i tchnęły w nas zaciekłość władz.

Marg bar Amrika – śmierć Ameryce. Bolały mnie te słowa. Każdego pełnego udręki dnia wykrzykiwałam przekleństwa pod adresem kraju, który kochałam.

W końcu doszłam do kresu wytrzymałości i pewnego dnia oznajmiłam to

mamie, która przygotowywała mi przekąskę po szkole.

– Jutro będę krzyczała: „Śmierć Chomeiniemu!” – oświadczyłam bezczelnie.

– Nie, nie będziesz – rzekła stanowczo. – Mnie możesz powiedzieć, co ci się podoba, kiedy nikt inny nie słyszy, ale ani się waż mówić takie rzeczy w obecności innych. To byłoby bardzo niebezpieczne. Rozumiesz? Jeśli nauczyciele usłyszeliby, że to powiedziałaś, władze zabrałyby cię gdzieś daleko albo wzięłyby twojego tatę i mnie. Obiecuj mi, że będziesz mówiła dokładnie to, co ci każą.

Wzięłam sobie do serca jej ostrzeżenie, wiedząc, że ma rację. Przemoc była do tego stopnia nieodłączną częścią życia pod rządami Chomeiniego, że nawet najmniejsze dzieci nic przed nią nie chroniło. Chomeini wykorzystywał dzieci jako swoje wtyczki. Jak lepiej można zinfiltrować cudzy dom? Były oczami i uszami władz. Posługiwano się nimi do zbierania informacji. Nauczyciele pytali: „Co czyta twoja mama? Czego twój tato słucha w radiu? Czy twoi rodzice piją alkohol? Czy w twoim domu gra muzyka? Czy twoja mama zakrywa się w domu?”. Każda niewłaściwa odpowiedź była dla władz podstawą do działania.

Ludzie stale znikali. Władze lubiły wykorzystywać takich nieposłusznych zdrajców, żeby dawać przykład i siać strach w sercach obywateli. Czasami ci rzekomi przestępcy byli torturowani miesiącami albo latami, zanim ich zwolniono, żeby opowiedzieli, co ich spotkało w więzieniu. Inni przemawiali własną krwią. Publiczne egzekucje były na porządku dziennym.

Zapamiętałam pewną scenę, którą widziałam z tylnego siedzenia samochodu podczas przejazdu przez miasto. Mijaliśmy koszary albo więzienie – nie jestem pewna, co to było. Przez siatkę zwieńczoną drutem kolczastym zobaczyłam w oddali grupę mężczyzn stojących jeden obok drugiego. Mieli opaski na oczach i ręce związane na plecach. Żołnierze, którzy stali naprzeciwko nich, otworzyli ogień, a tamci jeden po drugim upadli na ziemię.

Czasami zastanawiam się, czy to się wydarzyło naprawdę. Może widziałam tę scenę w telewizji, a może mi się przyśniła. To straszne, do czego ciało i umysł mogą przywyknąć. Odgłos strzałów był dla nas równie swojski jak dźwięk klaksonów w mieście albo śpiew ptaków na wsi czy szum fal rozbijających się o brzeg. Przemoc otaczała nas ze wszystkich stron, niezależnie od tego, czy byliśmy zamknięci w czterech ścianach swojego domu, czy odważyliśmy się wyjść na ulice Teheranu.

Nawet w wieku pięciu lat rozumiałam, co się może stać z moją rodziną, jeśli będę się zachowywała wyzywająco i mówiła, co myślę. Dlatego w swojej głowie słowo „Amrika” zastąpiłam słowem „Chomeini”. Ustami chroniłam rodzinę, lecz w sercu pozostałam lojalna wobec kraju wolnych ludzi. Tymczasem narastała we mnie nienawiść.

W szkole staliśmy przy ławkach w dwu- lub trzyosobowych grupkach. Nauczycielki, surowe kobiety w czarnych czadorach, przechadzały się przed nami,

wymachując drewnianymi prętami. Zadawały pytania i udzielały odpowiedzi śpiewnym tonem. Uczniowie odpowiadali, powtarzając chórem odpowiedzi, których im dostarczono, z taką samą modulacją głosu, w takim samym tempie, z naciskiem na te same sylaby. Mówiono nam, co mamy myśleć, i nie tolerowano niczego innego.

Godzinami odrabiałam pracę domową. Kazano mi zapisywać całe strony pojedynczą, powtarzającą się literą. Każda musiała mieć dokładnie taki kształt, jak to zademonstrowała nauczycielka. Nawet mój tato uważał, że tak intensywne kopiowanie jest przesadą. Co wieczór drobiazgowo sprawdzał mi zadania i moja praca nie była skończona, zanim on nie wyraził aprobaty.

Był perfekcjonistą w najbardziej przykrym sensie tego słowa, zwłaszcza gdy chodziło o jego język ojczysty. Kiedy mama próbowała rozmawiać z kimś po persku, wściekał się i wrzeszczał, żeby się zamknęła. Mówiła z obcym akcentem, a on nie zamierzał tolerować takiej mierności.

– Jeśli nie umiesz powiedzieć tego poprawnie, w ogóle nic nie mów! – ciskał się.

Ja miałam nad nią tę przewagę, że zanurzałam się w farsy w okresie, gdy mój mózg rozwijał umiejętności językowe, toteż przeciągłe, gardłowe dźwięki z łatwością wypływały z moich ust. W ciągu kilku tygodni mówiłam biegle po persku na poziomie adekwatnym do swojego wieku. Czytanie i pisanie przyszło wraz z praktyką, a moje nauczycielki starały się, żeby mi jej nie brakowało.

Szkoła była dla mnie prawdziwą udręką. Wśród uczennic byłam wyrzutkiem, i nic dziwnego, skoro byłam zbyt nieśmiała, żeby się odzywać, i często płakałam żałośnie – tak bardzo, że mama musiała chodzić ze mną do szkoły. W dodatku widziały we mnie Amerykankę. Jednak jeśli chodzi o trudności z nawiązywaniem kontaktów, to to, że byłam Amerykanką, należało do moich najmniejszych problemów.

Któregoś dnia mamie udało się zdobyć trochę orzeszków ziemnych. Żywność, woda i prąd były racjonowane z powodu wojny, więc w naszym świecie nie istniały takie luksusy jak orzeszki ziemne. Jakimś cudem trochę ich znalazła i trzymała się przez całe popołudnie, żeby przerobić swoje ekscytujące znalezisko na coś, co przypominałoby znane nam z domu masło orzechowe, za którym tak tęskniłyśmy. Produkt końcowy nie był dokładnie taki sam, ale okazał się wystarczająco bliski oryginału. Byłyśmy zachwycone.

Szczególnie się cieszyłam, kiedy mama pakowała mi do szkoły jedną z moich ulubionych przekąsek. Ślinka mi ciekła, gdy myślałam o selerze naciowym nadziewanym masłem orzechowym, który czekał w torebce śniadaniowej. Jednak gdy nadeszła pora posiłku, poczułam się zakłopotana, jedząc coś tak nieznanego w obecności innych dzieci. Przyglądałam im się nerwowo, nadgryzając kawałek swojego cudownego przysmaku. Widziałam, że dziewczynki gapią się na mnie

i sprawiają wrażenie zmieszanych. Niektóre chichotały i pokazywały mnie sobie palcami. Inne wydawały się naprawdę zaciekawione.

Wtedy mama mnie zachęciła.

– Mahtob, dlaczego nie podzielisz się z koleżankami?

Posłusznie podałam kawałek na spróbowanie najbliższej z obserwujących mnie dziewczynek. Wzięła i skosztowała. Inne uczennice czekały na jej reakcję. Gdy się uśmiechnęła, inne zdobyły się na odwagę i też chciały spróbować tej dziwnej kulinarnej mieszanki. Rozdałam wszystko, do ostatniego kawałka, i w zamian po raz pierwszy ogrzały mnie ich uśmiechy wyrażające akceptację.

Gdy nie byłam w szkole, ojciec nadal zmuszał mnie do zabawy z kuzynami. Wolałam siedzieć spokojnie z dorosłymi, ale on stanowczo nalegał. W towarzystwie innych dzieci trzymałam się zwykle na uboczu, raczej przyglądając się w milczeniu, niż uczestnicząc w ich zabawach. Najczęściej udawały, że są dorosłymi. Udawani mężczyźni wyszczekiwalili polecenia swoim udawanym żonom. Udawane żony zrywały się na rozkaz swoich udawanych mężów.

Ogrodzony murem dziedziniec za domem Amme Bozorg był naszym domem na niby, a sterty zrolowanych perskich dywanów służyły do oddzielenia jednego wymyślanego pokoju od następnego. Dziewczynki przywdziewały czadory, tak jak ich starsze siostry i ciotki, które podziwiałały. Piszczwały z zachwytu, gdy figlarnie pozwalały ześliznąć się tkaninie z głowy, a potem z ramion i niepewnie opaść na posadzkę. Uwolnione od ciężaru nakazanego przez władze ubioru, skakały po swoim „domu”, chichocząc z emocji wywołanych własną buntowniczością. Wtedy jeden z chłopców bębnił w ścianę, jakby ktoś pukał do drzwi. Dziewczynki wydawały stłumione okrzyki i otwierały szeroko oczy z udawanego przestachu, a rękami instynktownie zakrywały odsłonięte włosy i biegly po czadory, które tak radośnie zrzuciły.

Gdy nudziła nam się zabawa w dom, koczowaliśmy na podłodze w salonie i kolorowaliśmy obrazki, oglądając kreskówki. Dzieci, równie skwapliwie jak dorośli, strofowały mnie, kiedy wybierałam własne kolory. Rządowe pranie mózgu było tak wszechogarniające, że nawet dzieciom narzucało, jakich barw wolno im używać, gdy kolorują obrazki we własnym domu. W naszych kolorowankach sąsiadujące z sobą strony były identyczne, z wyjątkiem tego, że jedna była kolorowa, a druga czarno-biała. Jeśli kwiatek na pomalowanym obrazku był czerwony, na sąsiedniej stronie również musiał zostać pokolorowany na czerwono. Nie liczyło się, że moim ulubionym kolorem był fiolet, a ulubionym kolorem mojej babci żółty. Wspierany kampanią terroru reżim Chomeiniego nie cofał się przed niczym, żeby wychować pokolenie uległych, bezmyślnych naśladowców.

Wszędzie dokoła mnie dorośli rozmawiali o ciężarówkach, które podjeżdżały pod bramy szkół i wywoziły dzieci na wojnę. Młodzi chłopcy gromadzili się, żeby

słuchać, jak umundurowani mężczyźni stojący na platformach furgonetek krzyczeli przez megafon, wygłaszając poruszające przemowy na temat męczeństwa. Wmawiano dzieciom, że rodzice będą z nich dumni, jeśli zdecydują się poświęcić życie dla Allacha, i że śmierć w tej świętej wojnie gwarantuje, że ich dusze zostaną natychmiast przyjęte do raju. Żeby uwiarygodnić ten przekaz, mężczyźni dawali każdemu chłopcu, który zgłosił się na ochotnika, plastikowy klucz – klucz do raju – do zawieszenia na szyi. Krążyły pogłoski, że ci młodzi chłopcy, traktowani jak jednorazowy element wyposażenia wojskowego, byli wysyłani pieszo przed żołnierzami i wozami bojowymi na pola minowe. Irańskie władze świadomie mordowały własne dzieci.

ROZDZIAŁ 7

Jak to jest, że pracowita kobieta często trafia na leniwego mężczyznę? Niezależnie od tego, dlaczego tak się dzieje, dziękuję Bogu za taką sytuację w swojej rodzinie. Wzdrygam się na myśl, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby było odwrotnie.

W Iranie zakupy robiło się codziennie, a sklepy były wyspecjalizowane. Gdy potrzebowaliśmy chleba, musieliśmy stać w kolejce do piekarni. Jeśli potrzebowaliśmy sera, trzeba było iść do innego sklepu i znów stać w kolejce. To samo dotyczyło warzyw i owoców, mięsa, przypraw i tak dalej. Mój tato, bojąc się, że mama będzie próbowała uciec ze mną, spuszczał nas z oka tylko wtedy, gdy znalazł się odpowiedni strażnik, który mógł go zastąpić. Gdy nadchodziła pora codziennych zakupów, szedł z nami, żeby nas bacznie obserwować.

Mama wiedziała, że w końcu nadejdzie taki dzień, kiedy znudzi mu się to prozaiczne zadanie, które, jak uważał, było niegodne jego pozycji społecznej. Modliła się o ten dzień, mając nadzieję, że tato pozwoli jej chodzić samej na zakupy. Być może wtedy mogłaby wreszcie znaleźć drogę wyjścia z naszego więzienia.

Mama miała rację. Dobrze знаła mojego ojca. Był arogancki, zarozumiały, a przede wszystkim leniwy. Nie znośił tracić swego cennego czasu na chodzenie po artykuły pierwszej potrzeby. Był raczej typem klienta wybierającego towary luksusowe. Lubił drogie samochody, oryginalne dzieła sztuki, piękną biżuterię, ubrania od znanych projektantów. Cokolwiek kupował, musiało to być największe i najlepsze, a kupował zawsze bez umiaru. Jeśli chciał kupić koszulkę Lacoste, nie brał tylko jednej – brał jedną w każdym kolorze. Degradacja do roli zwykłego chłopca na posyłki, czyli czekanie na swoją kolej w niezliczonych ogonkach, w których tłoczyli się zwykli ludzie, żeby kupić mydło albo ser czy pomidory, była dla niego nie do zniesienia.

Wiedziony dumą i lenistwem, w końcu wyraził zgodę i zaczął popuszczać cugli. Jednak robił to stopniowo – bardzo małymi krokami. Zaczął od wysyłania mamy do sklepów z listą zakupów, ale bez pieniędzy. Miała za zadanie wrócić z dokładną ceną każdego artykułu. Kiedy chodziła, zapisując ceny, mierzył jej czas, chcąc się upewnić, że po drodze nie ma ani chwili na żadne przystanki bez pozwolenia. Gdy mama wracała, dawał jej dokładnie wyliczoną kwotę i ponownie włączał stoper. Znów musiała chodzić po sklepach, tym razem kupując artykuły, po które została wysłana.

Zyskała odrobinę wolności, jednak było absolutnie wykluczone, żeby wyszła z domu bez nadzoru i ze mną. Tato również dobrze znał moją mamę, tak jak ona jego. Wiedział, że nawet gdyby zdołała znaleźć sposób, aby uciec, nigdy nie odeszłaby beze mnie. Mógł ją zostawić na ulicach Teheranu i mieć pewność, że

dopóki trzyma mnie w charakterze zakładniczki, mama zrobi dokładnie to, co jej się każe.

Trafnie ocenił jej przywiązanie. Nie docenił natomiast zaradności i determinacji mamy, których nauczyła się od swojego ojca. Kiedy dorastała w środkowym Michigan, mój dziadek, typ drwała o miękkim sercu, miał zwyczaj zabierać ją na spacer po lesie. Gdy już znaleźli się w sercu leśnej głuszy, odwracał się do niej i mówił: „Okej, pokaż mi drogę powrotną. Jak się stąd wydostaniemy?”. Mama mówi, że szedł za nią jedną błędną ścieżką za drugą, aż odzyskała orientację i odgadła, jak zaprowadzić ich do domu.

To szkolenie w realnym świecie doprowadziło do perfekcji jej poczucie kierunku i nauczyło ją wytrwałości. Wędrując wśród drzew, dziadek wpoił swojej małej córeczce własną filozofię życiową: „Dla chcącego nie ma nic trudnego. Nigdy się nie poddawaj. Jeśli czegoś wystarczająco mocno pragniesz, nie przestawaj się starać. Zawsze znajdzie się jakiś sposób”.

Nie wierzę w zbieg okoliczności. Wierzę w cuda. I tak się złożyło, że pewien obcy człowiek, w dodatku Irańczyk, postawił sobie za cel pomóc mamie i mnie w ucieczce. Podczas jednej z pierwszych samotnych wypraw na zakupy mama prosiła wszystkich wkoło niczym żebraczka o specjalną monetę potrzebną do skorzystania z automatu telefonicznego. Wyciągając rękę, błagała przechodniów:

– *Dozari? Dozari?*

Wstąpiła do jakiegoś sklepu i ponownie zapytała:

– *Dozari?*

Sklepiarz, rozpoznając jej akcent, zawołał z entuzjazmem:

– Jest pani Amerykanką! Proszę wejść i skorzystać z mojego telefonu.

Mama z obawą przyjęła jego wspaniałomyślną ofertę.

Ponieważ irańscy rebelianci postarali się, żeby w Teheranie nie było amerykańskiej ambasady, zadzwoniła do ambasady Szwajcarii, w której mieściła się sekcja reprezentująca interesy Stanów Zjednoczonych, w nadziei że jej pracownicy znajdą sposób, żeby nas uwolnić. Chociaż znali naszą sytuację, nie mogli nam zaoferować żadnej pomocy. Kiedy mama odłożyła słuchawkę, sklepiarz, który przysłuchiwał się rozmowie, powiedział:

– Ma pani kłopoty. Chcę pani pomóc.

Nie chciał, żeby myślała, że wszyscy Irańczycy są tacy jak mój tato i jego rodzina. Dodał, że zna odpowiednich ludzi i sprawdzi, co się da zrobić. Nie mogłyśmy wówczas o tym wiedzieć, ale to przypadkowe spotkanie miało się okazać decydującym krokiem w drodze do naszej wolności.

Nasz sklepiarz naprawdę był darem niebios. Chociaż żył w środowisku, w którym wydawało się, że wszyscy dla kogoś szpiegują i nikomu nie można ufać, dotrzymał słowa. Tak często, jak się dało, mama wstępowała do niego na rozmowę. Czasami mijało kilka tygodni między jej wizytami w sklepie, ponieważ paranoja

mojego ojca na przemian nasilała się i słabła, ale za każdym razem życzliwy sklepikarz dawał mamie nadzieję. Stworzył rozległą siatkę, żeby nam pomóc. Rozmawiał potajemnie z różnymi ludźmi, ci zaś rozmawiali z kolejnymi, i nie ustawał w wysiłkach, żeby uwolnić nas spod władzy mojego ojca.

Z czasem tato uwierzył, że mama się załamała i akceptuje życie w Iranie pod jego rządami. Dopiero wtedy pozwolił mi wychodzić z nią z domu. Mama do maksimum wykorzystywała każdą okazję, żeby skontaktować się ze swoją podziemną siatką aniołów. Pędziłyśmy, by zobaczyć się ze sklepikarzem i poznać najnowsze wieści. Potem gnałyśmy na spotkanie z innymi, których mama poznała za jego pośrednictwem. Później mknęłyśmy do ambasady, żeby wymienić się informacjami i błagać, aby podjęto interwencję w naszej sprawie.

Szwajcarska ambasada, ze swoimi uzbrojonymi po zęby strażnikami i ciężką metalową kratą, która nieodwołalnie zamykała się za nami ze szczękiem, była ogromnie przytłaczającym miejscem. Niezależnie od tego, ile razy przechodziłyśmy z mamą przez tamtą bramę i jak bardzo byłam przygotowana na ten przeraźliwy dźwięk, zawsze przyprawiał mnie o dreszcz strachu.

Gdy już znalazłyśmy się w tym majestatycznym gmachu, uzbrojony strażnik zabierał nas do niewielkiego pomieszczenia, w którym byłyśmy rewidowane, zanim w końcu poprowadzono nas przez labirynt biur. Naszą sprawę przydzielono kobiecie o imieniu Helen. Była miła, pełna współczucia i rozpaczliwie chciała nam pomóc. Jednocześnie miała związane ręce. W Ameryce byłyśmy uważane za osoby z podwójnym obywatelstwem, lecz Iran uznawał jedynie to irańskie. Nie podlegałyśmy szwajcarskiej jurysdykcji i uważano nas za legalną własność mojego ojca. Gdyby coś mu się przytrafiło, stałybyśmy się własnością jego rodziny.

W ambasadzie pracował mężczyzna, który w szufladzie biurka miał mnóstwo tabliczek czekolady Toblerone. Przechodząc obok, zawsze rzucałam okiem w jego kierunku w nadziei, że zobaczę go na swoim miejscu. Gdyby tak było, z pewnością zaprosiłby mnie, żebym usiadła obok niego i zjadła z nim tabliczkę czekolady, podczas gdy mama rozmawiała z Helen. Ostrożnie odłamywałam po jednym kawałku tego alpejskiego przysmaku na raz, chłonąc każdy jego szczegół – aromat, połyskujące krawędzie, literę wytłoczoną na boku w alfabecie z mojej ojczyzny. Dopiero wtedy wsunęłambym kęs do ust.

Delektowałambym się każdą chwilą tego przeżycia, jednocześnie przestrzegając samą siebie, żeby nigdy nikomu oprócz mamy nie powiedzieć o tej potajemnej radości. Gdyby tato się o tym dowiedział, już nigdy nie pozwoliłby mi jej zobaczyć. Jego ciągłe groźby, że ją zabije, nie osłabły. Mama robiła wszystko, co w jej mocy, żeby znaleźć sposób na zabranie mnie do domu, a ja musiałam robić wszystko, co w mojej mocy, żeby chronić nas przed tatą. Wobec tego wraz z każdym wspaniałym kremowym kęsem Toblerone branym do ust przypominałam sobie, że to się nigdy nie wydarzyło.

Nasze wyprawy były najeżone niebezpieczeństwami. Pasdarrowie, czyli policja obyczajowa, krążyli po ulicach uzbrojeni w karabiny maszynowe, tropiąc zwłaszcza wykroczenia dotyczące ubioru. Ich zadanie polegało na dopilnowaniu, żeby kobiety ubierały się w sposób, który chroniłby je przed pożądanymi spojrzeniami mężczyzn. Były zobowiązane zakrywać całe ciało z wyjątkiem twarzy i dłoni. Włosy musiały być niewidoczne. Lakier do paznokci był zakazany i absolutnie nie tolerowano żadnego makijażu... oczywiście, żeby chronić kobietę.

Mama miała kilka scysji z pasdarami. Pewnego dnia, kiedy właśnie wyszłyśmy ze sklepu i czekałyśmy, żeby przejść przez ulicę, kobieta w czarnym czadorze, uzbrojona w karabin automatyczny, zeskoczyła z paki furgonetki. Serce podeszło mi do gardła, gdy się na nas rzuciła. Mama mocniej ścisnęła mnie za rękę. Kobieta krzyczała na nią, bo skarpetki zsunęły się poniżej skraju jej *manto*, odsłaniając kawałek skóry na goleni. W odpowiedzi mama, przejawiając nietypowy dla siebie i lekkomyślny tupet, również zaczęła na nią wrzeszczeć, pomstując na nic niewarte gumki w skarpetkach dostępnych w Iranie. Gdyby mogła znaleźć porządne skarpety, chętnie by je nosiła. Strażniczka w zdumiewającym przypiływie życzliwości przyznała jej rację i pozwoliła nam odejść.

Tamtego dnia niewątpliwie uratowała nas łaska Boża. Ten maleńki skrawek odsłoniętego ciała mógł być wystarczającym powodem aresztowania albo egzekucji mamy, a wszystko wskazywało na to, że spieranie się z pasdarami powinno być mieć poważne konsekwencje.

Nauczycielki z mojej szkoły, gdy tylko dowiedziały się o naszym losie, również okazywały nam niespodziewaną życzliwość, ryzykując nawet narażenie na szwank własnego bezpieczeństwa. Co prawda, nie pozwalały nam wyjść, gdy już znalazłyśmy się w szkole, ale zgadzały się, żebyśmy spóźniały się na lekcje, dając nam więcej sposobności do skupienia się na naszych ściśle tajnych poszukiwaniach.

Pewnego ranka w drodze do szkoły poszłyśmy z mamą skontaktować się ze sklepikarzem. Ponieważ mijały miesiące, a plany ucieczki jeden za drugim kończyły się fiaskiem, nasze prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Przecięłyśmy jakiś zaułek i niespodziewanie natknęłyśmy się na stado ptaków wydziobujących coś z ziemi przy drodze. Bardzo mnie ucieszył ich widok, bo przypomniały mi o ptakach, które tak uwielbiałam w rodzinnych stronach. Podziwiałymy je przez chwilę, zanim popędziłyśmy spotkać się ze sklepikarzem, a potem udać się do szkoły.

Tamtego dnia wieczorem tato poszedł z nami do sklepu kupić chleb na kolację. Piekarze pracowali nad odsłoniętym paleniskiem. Nosili na nogach sandały, a na głowach spłaszczony na czubku kapelusze. Kucając na podłodze, wyrabiali ciasto na kopcach mąki i podawali jeden drugiemu bochen na różnych

etapach produkcji. Ostatni mężczyzna z tej linii montażowej umieszczał płaski placek na drewnianej łopacie z długim trzonkiem i dźgał ciasto palcami, pokrywając jego powierzchnię dziurkami. Następnie wsuwał bochen do paleniska, gdzie piekł się na warstwie drobnych kamyczków. Inny mężczyzna doglądał chleba i posługując się długim prętem, przewracał go, gdy brzegi przypalały się z powodu wysokiej temperatury. Kiedy chleb nabierał złocistego koloru, był wyciągany z pieca jednym zręcznym ruchem pręta i zabierał z sobą odrobinę niesfornych kamyczków, które zapiekły się w spodzie ogromnego bochna. To był sangak, mój ulubiony perski chleb. Jego bochny były podłużne i prawie tak duże jak ja.

Mama oderwała dla nas duże kawałki parującego chleba, żebyśmy je jedli po drodze do domu. Starannie wydłubała gorące kamyczki z mojej porcji, zanim mi ją wręczyła. Po tym poczęstunku rodzice wzięli mnie za ręce i huścili między sobą, kiedy szliśmy. „Raz, dwa, trzy”, liczyliśmy chórem, a potem: „Hura!”. Ich ręce unosiły mnie z ziemi, a moje stopy szybowwały w powietrzu przede mną.

– Zróbcie to jeszcze raz – błagałam.

– Raz, dwa, trzy... Hura!

– Jeszcze raz – zachichotałam.

Nadal szliśmy, trzymając się za ręce, gdy skręciliśmy w uliczkę, która miała nas zaprowadzić z powrotem do naszego mieszkania. Wtedy pojawiły się przed nami ptaki, te same, które podziwialiśmy z mamą tamtego ranka. Byłam tak podekscytowana, że zapomniałam wspomnieć, że je widziałam.

– Spójrzcie – powiedziałam z radością. – Ptaki nadal tu są!

– Jakie ptaki? – zapytał podejrzliwie tato.

– Tamte ptaki. Widziałyśmy je dzisiaj rano w drodze do szkoły. Nadal tu są. To musi być ich dom.

Mama ścisnęła mnie za rękę. Spojrzałam na nią zaskoczona, a tymczasem tato kontynuował przesłuchanie.

– Mijałyście te ptaki dziś rano w drodze do szkoły?

– Tak – oznajmiłam wesoło. – Czy nie są śliczne?

Mama znów ścisnęła mnie za rękę, tym razem mocniej.

– Au! – krzyknęłam, odwracając gwałtownie głowę w jej stronę, nie rozumiejąc jej sygnału. – Czemu ścisnęłaś mnie za rękę?

– Co robiłyście na tej ulicy dziś rano? – przerwał mi tato. – Dokąd szłyście? Nie szłyście do szkoły. Nie przechodźcie tędy w drodze do szkoły. – Mówił to swoim gniewnym głosem. Jego kroki były jego gniewnymi krokami.

Zorientowałam się, że popełniłam błąd, lecz było już za późno. Wpatrywałam się z niepokojem w swoje stopy, podczas gdy mama próbowała się wtrącić. Teraz już nie pamiętam, czy powiedziała mi, że pomyliły mi się sytuacje, czy że zabłądziłyśmy. Pamiętam natomiast, że był wściekły i że ja byłam jeszcze bardziej wściekła na siebie za popełnienie tak fatalnej gafy. Tak bardzo się

wysilałam, żeby pamiętać, co mogę, a czego nie mogę mówić. Mama dobrze mnie wyszkoliła i wiedziałam, że jeśli chcę wrócić do domu, nigdy nie wolno mi popełnić tego rodzaju błędu.

Nie było dnia, w którym nie błagałabym mamy, żeby zabrała mnie do domu, i w którym nie obiecywałaby, że to zrobi. Bez przerwy modliłyśmy się, żeby Bóg otworzył nam jakieś drzwi, i ufałyśmy, że w taki czy inny sposób tego dokona. Teraz byłam pewna, że zaprzepaściłam wszelkie szanse na ucieczkę. Jeszcze gorszy od obaw, że nie będę mogła wrócić do domu, był strach, że teraz tato zabije mamę, dlatego że ja zapomniałam zapomnieć i powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić.

Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! – w duchu kipiałam z wściekłości. Nie cierpiałam swojego taty za to, co nam robił.

Nie byłam jedyną osobą zarażoną nienawiścią. W domu w Michigan moi bracia, dziadkowie, ciotki i wujkowie oraz przyjaciele rodziny prowadzili pełne gorczy i niepokoju czuwanie. Wiadomości, które od nich dostawaliśmy, były przygnębiające. Mój dziadek przegrywał długą walkę z rakiem okrężnicy, a my byliśmy uwięzione w Iranie. Tymczasem jego dni dobiegały końca.

Nasi bliscy zadzwonili do taty, zaklinając go, aby odesłał nas do kraju, żebyśmy mogły zobaczyć się z dziadkiem, zanim będzie za późno.

Stojąc obok mojego ojca w salonie, mama błagała go w skrajnej desperacji:

– Pojedźmy jako rodzina zobaczyć się z nim, a potem Mahtob i ja wrócimy z tobą do Iranu. Tylko pozwól nam zobaczyć go po raz ostatni, zanim umrze.

Obserwowałam ich w milczeniu z podłogi.

– Masz rację. Powinnaś być teraz ze swoją rodziną. Potrzebują cię. Pojedziesz zobaczyć się z nim – oznajmił.

– Co? – zapytała mama, wstrzymując oddech. – Naprawdę możemy pojechać? Możemy go odwiedzić? Dziękuję, Moody!

Przerwał obcesowo jej podziękowania.

– Powiedziałem, że ty możesz jechać. Mahtob zostanie tutaj ze mną.

– Co? – wyszeptała nieśmiało mama, wpatrując się w ziemię w oczekiwaniu na jego pięść. – Moody, nie mogę pojechać bez Mahtob. Nie zostawię jej.

Tak zaczął się okres dezorientacji. Tato rzucił się na oślep w wir przygotowań do wyjazdu mamy. Jednocześnie mama przez cały czas obiecywała, że mnie nie zostawi. Ja jednak wiedziałam, że przygotowania są w toku. Jak mogła mówić, że nie wyjeżdża?

Tato powiedział, że mama jedzie do domu, bo chce się zobaczyć z moimi dziadkami i braćmi. Wiedziałam, że to prawda. Wiedziałam, że ona chce się z nimi zobaczyć tak bardzo jak ja. Wiedziałam również, że słowa taty są prawem. Jeśli powiedział, że mama wyjeżdża do Ameryki, nie miała wyboru. Im bardziej zaklinała się, że mnie nie porzuci i że znajdzie wyjście z tego kłopotliwego

położenia, tym bardziej odsuwałam się od niej. Byłam na nią zła, że mnie zostawia, a jeszcze bardziej za to, że miała czelność okłamywać mnie w tej sprawie.

Nawet po tym jak tato oznajmił, że wysyła mamę do Ameryki, nie przestał grozić jej śmiercią. Raz krzychał, że ją zabije, a kiedy indziej oświadczał, że zamknie ją w piwnicy i już nigdy nie zobaczy ani mnie, ani światła dnia.

Tymczasem nasza rodzina przeprowadziła się do własnego mieszkania. Miałam swój pokój wypełniony zabawkami. Na szóste urodziny rodzice podarowali mi baletnicę, która z gracją siedziała na huśtawce zwieszającej się z sufitu mojej sypialni na linkach ozdobionych różowymi kokardami. Nocami nadal zdarzały się bombardowania, więc nienawidziłam taty za to, że zmusił mnie do spania w moim własnym pokoju. Czułam się znacznie bezpieczniej wciśnięta między rodziców. Mogłabym wtedy bronić mamę przed tatą, gdyby stracił panowanie nad sobą, a mama mogłaby mnie bronić przed bombami.

Pamiętam, że w nocy leżałam w łóżku, szlochając, bo czułam się zdradzona przez mamę. Przez osiemnaście miesięcy codziennie obiecywała mi, że zabierze mnie do domu i że nigdy nie wyjedzie z Iranu beze mnie. Nawet gdy trwały ostatnie przygotowania do jej wyjazdu, nadal mi to mówiła, lecz ja byłam pewna, że kłamie.

ROZDZIAŁ 8

Zaledwie kilka dni przed planowanym wyjazdem mamy do Stanów pod nasz dom przyjechało pogotowie, żeby zabrać tatę do szpitala, w którym był zatrudniony jako anestezjolog. Z powodu wojny sprzedaż samochodów była reglamentowana. Nie mieliśmy własnego auta, więc ilekroć były potrzebne usługi taty, zawożono go do szpitala karetką.

W poprzednich dniach był coraz agresywniejszy i coraz podejrzliwiej odnosił się do każdego posunięcia mamy. I miał rację, że był podejrzliwy. Akurat tamtego dnia rano pokrzyżował nasz najnowszy plan ucieczki.

Za pośrednictwem sklepikarza mama poznała pewnego mężczyznę, który na poważnie zaangażował się w pomoc dla nas. W ciągu ostatnich miesięcy w dobrej wierze zorganizował kilka prób ucieczki, które jednak się nie powiodły. Tamtego dnia rano ktoś miał nas zabrać z ulicy, gdy mama będzie mnie odprowadzała na przystanek autobusowy. Jednak zamiast niej odprowadził mnie tato, po jednym z typowych dla siebie napadów złości. Teraz odmówił pojechania karetką, mimo że kobieta, która przyszła do nas w odwiedziny, powiedziała, że może z nami zostać do jego powrotu. Za nic nie chciał spuścić nas z oka.

Kierowca karetki był jednak uparty i tato niechętnie ustąpił pod wpływem jego nalegań. Ta wymiana zdań musiała być krępująca dla naszego niczego niepodważającego gościa. Kobieta, którą mój ojciec niespodziewanie obsadził w niepożądaną rolę strażniczki więziennej, miała córkę mniej więcej w moim wieku. Bawiłyśmy się na podłodze, podczas gdy nasze mamy siedziały na sofie, prowadząc pogawędkę.

Wkrótce po odjeździe taty mama przeprosiła na chwilę i poszła na górę. Wydawało się, że nie ma jej całą wieczność.

Moi rodzice zgadzali się co do jednego – że ważne jest, aby być dobrym gospodarzem. Coraz bardziej się niepokoiłam, gdy mijały kolejne minuty, a mama nie wracała, żeby usiąść z naszymi gośćmi. Zerkałam ukradkiem na schody w nadziei, że zobaczę, jak mama się na nich pojawia. W końcu ja też przeprosiłam i pobiegłam sprawdzić, co się stało.

Mama była w swojej sypialni i gorączkowo wrzucała różne przedmioty do ogromnej torebki. Wspięłam się na rower treningowy stojący w nogach łóżka i obserwowałam ją, pedałując. Byłam zdezorientowana. Mieliśmy w domu gości. Dlaczego się nimi nie zajmowała? Mama zignorowała moje obawy i przegoniła mnie na dół, żebym zapowiedziała, że ona zaraz przyjdzie.

Kiedy wreszcie po dłuższej chwili zobaczyłam, że mama na palcach schodzi po schodach, poczułam wielką ulgę. Zaraz jednak zauważyłam, że niesie torbę, przy której pakowaniu właśnie ją zastałam. Tato nie był jedyną osobą, której podejrzliwość narastała.

Przez cały czas naszej niewoli mama i ja stanowiłyśmy zespół. Mogłyśmy na siebie liczyć i bezgranicznie sobie ufałyśmy. Rozmawiałyśmy o swoich marzeniach dotyczących odzyskania wolności i o tym, jak daleko mama jest w stanie się posunąć, żeby znaleźć jakiś sposób i zabrać mnie do domu. Poznałam ludzi, którzy próbowali nam pomóc. Często towarzyszyłam mamie, kiedy szła się z nimi zobaczyć. Nie miałyśmy przed sobą żadnych tajemnic. Ale teraz, ni stąd, ni zowąd, zrozumiałam, że coś przede mną ukrywa, i nie spodobało mi się to. Może tato miał rację. Może nie mogłam już jej ufać. Może naprawdę mnie porzucała, żeby wrócić do Ameryki.

– Zaproszono nas na kolację dziś wieczorem – oznajmiła energicznie mama naszym gościom. – Muszę pojechać po kwiaty.

Może i toczyła się wojna, ale jeśli ktoś został zaproszony na kolację, było nie do pomyślenia, żeby się pojawił bez bukietu kwiatów.

– To żaden problem. Podwiozę was – zaproponowała uprzejmie kobieta.

– Dziękuję – odpowiedziała mama. – Mahtob, *bija indža*. Chodź tu – poleciła, podając mi *manto* i *maghna'e*.

Unikała mojego wzroku. Pośpiesznie włożyła własne *manto* i przykryła głowę *rusari*, dużą chustą, którą zawiązała pod brodą. Wzięła mnie za rękę i podeszła do drzwi.

Nasza strażniczka była łagodną kobietą i niczego nie podejrzewała. Dla niej wyjście po kwiaty było przyjętym zwyczajem. Nie miała powodu, żeby to kwestionować. Bez słowa skargi ona i jej córka dołączyły do nas przy drzwiach.

Kiedy zatrzymała się przy krawężniku dokładnie przed kwaciarnią, mama dała mi znak, żebym wysiadła z samochodu.

– Dziękuję – powiedziała do kobiety. – Wrócimy do domu pieszo.

– Nie – zaprotestowała tamta. – Zaczekam na was.

– Nie ma potrzeby – odparła mama uprzejmie. – Przejdziemy się.

– Nie, naprawdę, nie mam nic przeciwko temu.

– Ależ nie, proszę jechać. Poradzimy sobie.

Rozmawiały w ten sposób jeszcze przez chwilę, aż w końcu mama nachyliła się, objęła ją i powiedziała:

– Dziękuję pani za wszystko.

Czasami się zastanawiam, czy w tamtym momencie ta kobieta mogła zrozumieć. Jeśli tak, nie dała tego po sobie poznać. Mama wysiadła z samochodu i wzięła mnie za rękę. Poszłyśmy w stronę kwaciarni, a nasza łagodna strażniczka odjechała.

Na rogu stał automat telefoniczny i gdy tylko droga była wolna, mama odwróciła się i popędziła w stronę budki. Kiedy się odwracała, z torebki wypadła jej srebrzysta, jedwabna, ręcznie szyta spódnica. Przechodzący obok staruszek przystanął, podniósł ją i podał mi. Pobiegłam za mamą bardziej zdezorientowana

niż kiedykolwiek. Miałyśmy kupić kwiaty, więc dlaczego zabrała z sobą spódnicę?

Szukała w kieszeni *dozari*, kiedy podałam jej spódnicę. Wzięła ją ode mnie bez słowa wyjaśnienia i z powrotem upchnęła w torbie. Wykręciła znajomy numer i czekała niecierpliwie, aż mężczyzna, który nam pomagał, odbierze telefon. W jej głosie brzmiała niezwykła desperacja, gdy wyszeptała do słuchawki:

– Mam Mahtob. Jestem poza domem i nie zamierzam wracać.

Nastąpiła pauza, kiedy mama słuchała jego odpowiedzi. Rzuciła dokoła nerwowe spojrzenia, wypatrując najmniejszych oznak niebezpieczeństwa.

Nie było żadnego gotowego planu. Mężczyzna, który nam pomagał, chciał, żebyśmy wróciły do swojego mieszkania i czekały, aż spróbuje coś zorganizować. Mama się sprzeciwiła. Nie było czasu na czekanie. Mogłyśmy nie mieć następnej szansy. Codziennie tato coraz gwałtowniej się odgrażał, że dni mamy są policzone. W tym momencie było nieistotne, czy zamknie ją w piwnicy, żeby tam umarła, zabije ją od razu czy zmusi do wejścia na pokład samolotu lecącego do Stanów Zjednoczonych. Nie ulegało wątpliwości, że liczy się czas.

Mężczyzna dobrze znał naszą sytuację i rozumiał niecierpliwosć w głosie mamy. Nie miał żadnego powodu, żeby nam pomagać, poza tym, że jego serce wypełniało współczucie. Nie miał wobec nas żadnych zobowiązań, z wyjątkiem tego, że byliśmy bratnimi istotami ludzkimi cierpiącymi z powodu okrutnej niesprawiedliwości. Mimo początkowego wahania podał mamie jakiś adres i powiedział, że będzie tam na nas czekał.

Mama odłożyła słuchawkę na widełki i przyklękła, żeby ze mną porozmawiać. Popatrzyła mi prosto w oczy i natychmiast wiedziałam, że byłam głupia, wątpiąc w jej intencje. Wcale mnie nie opuszczała. Starła się usilniej niż kiedykolwiek znaleźć sposób, żebyśmy obie uciekły.

– Mahtob, być może mamy okazję wrócić do domu. Chcesz wrócić do domu?

Przytaknęłam z entuzjazmem.

– Ale jeśli wyjedziemy teraz, nie wiem, kiedy ani czy kiedykolwiek zobaczysz jeszcze swojego tatusia.

Gdy dotarło do mnie znaczenie jej słów, moje oczy wypełniły się łzami. Próbowałam je powstrzymać, lecz się przelały i spłynęły po policzkach. Wtuliłam głowę w ramiona, usilnie starając się zapanować nad szlochem, który rodził się gdzieś w środku.

– Zrozumiem, jeśli zechcesz wrócić do tatusia – oznajmiła mama z pełną miłości szczerością. – To jest okej, jeśli tego właśnie chcesz. Ale jeśli teraz wrócimy, nie wiem, czy będziemy miały następną szansę powrotu do Ameryki.

Moja broda zadrzała, a ciałem wstrząsnął szloch, który uwolnił się mimo rozpaczliwych wysiłków, żeby go powstrzymać.

– Zrobimy, co tylko zechcesz – łagodnie zapewniła mnie mama.

– Chcę mojego króliczka – zdołałam w końcu wykrztusić. – Chcę mojego króliczka.

Nie przejmowałam się tatą. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam się od niego uwolnić. Ale poza mamą króliczek był moim najbliższym towarzyszem. Po prostu nie mogłam go zostawić.

Po oczach mamy widziałam, że rozumie, jak wiele mój króliczek dla mnie znaczy. Zamyśliła się głęboko, a potem powiedziała:

– Jeżeli wrócimy po niego, nie będziemy mogły ponownie wyjść z domu. Jeśli chcesz tu zostać, to tak właśnie zrobimy. Ale jeśli mamy pojechać do Ameryki, musimy zostawić twojego króliczka. Kiedy wrócimy do domu, kupię ci nowego. – Pozwoliła, żeby dotarło do mnie, jaką mam alternatywę, zanim zapytała o moją decyzję. – Co chcesz zrobić?

Wybór należał do mnie i tylko do mnie.

Podjęcie tej decyzji okazało się twardym orzechem do zgryzienia. Chciałam swojego króliczka i chciałam wrócić do domu, do braci i do dziadków, cioć, wujków i przyjaciół. Jeszcze bardziej niż tego wszystkiego chciałam się znaleźć daleko od taty i jego pogróżek, jego pięści i przerażającego odgłosu jego gniewnych kroków. Chciałam wrócić do domu, gdzie mogłabym położyć się wieczorem spać, wiedząc, że pod osłoną ciemności nie spadną żadne bomby. Chciałam pójść do szkoły, w której nie musiałabym już nigdy maszerować, deptać swojej flagi ani wrzeszczeć: „*Marg bar Amrika!*”.

Chciałam wrócić do domu.

Pytanie mamy zawisło między nami w powietrzu.

– Co chcesz zrobić?

Byłam zbyt poruszona, żeby odpowiedzieć słowami.

– Chcesz zostać tutaj?

Pokręciłam głową w milczeniu.

– Chcesz wrócić do domu?

Łzy popłynęły mi po twarzy, gdy przytaknęłam stanowczo.

ROZDZIAŁ 9

Mama i ja stoimy obok budki telefonicznej.

Pstryk.

Siedzimy na tylnym siedzeniu taksówki. Kierowca stoi na zewnątrz, wymachując oskarżycielsko palcem w kierunku innego mężczyzny.

Pstryk.

Zanim wyjechaliśmy do Iranu, byłam zauroczona swoim stereoskopem View-Master. Każde pociągnięcie dźwigni z przyjemnym pstryknięciem ustawiało ostrość urządzenia na nową fotkę. Pstryknięcie za pstryknięciem, krążek wypełniony slajdami obracał się, ożywiając moje ulubione bajki. Ta czerwona plastikowa zabawka, którą bawiło się niemal każde dziecko w Ameryce, jest dobrą analogią do tych wspomnień, których nie potrafię z sobą powiązać. Mam w głowie mnóstwo tego rodzaju serii chaotycznych fotek. Obrazy są wytarte i odległe, tak jakby należały do jakiegoś innego dziecka, które jest do mnie uderzająco podobne. Niektóre sceny są niezwykle wyraźne, inne zaś ulotne niczym migotanie jakiejś przyćmionej gwiazdy, którą widzę kątem oka, a kiedy odwracam głowę, przekonuję się, że już zniknęła. Pewne szczegóły naszej ucieczki pamiętam bardzo wyraźnie, lecz większość na szczęście została wymazana z mojej świadomości. Są przeżycia, o których wiem, że je wycierpiałam, ale dziś nie umiem ich do końca zwizualizować...

Gdy przejeżdżaliśmy przez miasto, żeby spotkać się z człowiekiem, który nam pomagał, nasza taksówka zderzyła się z innym samochodem. W prawdziwie irańskim stylu obaj kierowcy wyskoczyli ze swoich pojazdów i zaczęli się kłócić. To oznaczało kłopoty. Ryczały klaksony, tworzył się korek. W każdej chwili mogli się pojawić przedstawiciele władz. Tato pewnie już wszczął alarm. Nie mogłyśmy ryzykować, że zostaniemy zauważone przez policję.

Po cichu wymknęłyśmy się z samochodu i wmieszałyśmy się w tłum ludzi idących w pośpiechu w swoją stronę w ciemnościach spowijających stolicę. Była chłodna noc w środku zimy, a my nie byłyśmy odpowiednio ubrane, żeby stawić czoło żywiołom.

Nagle z miejskich głośników ryknął jakiś komunikat. Mamy znajomość farsi ograniczała się do zasłyszanych słów, które zapamiętała. Z pełnymi dobrych chęci sąsiadkami porozumiewała się na migi. Ja biegle znałam perski, ale na poziomie pierwszej klasy. Komunikat był niepokojący, lecz żadna z nas nie miała pewności, czego dotyczył. Chodziło albo o kobietę, która ucieka z dzieckiem, albo o wannę. Sądząc z powagi głosu, było mało prawdopodobne, żeby dotyczył wanny.

Pstryk.

Widzę siebie, jak klęczę tyłem na sofie w ciemnym mieszkaniu. I jeszcze pod oknem sylwetki dwóch osób pograżonych w rozmowie.

Obecność mężczyzny, który nam pomagał, uspokoiła mnie. On i mama rozmawiali po cichu, lecz z niecierpliwością. Mieszkanie znajdowało się na jednym z górnych pięter jakiegoś bloku, a w dole świat nadal się kręcił, nieświadomy naszych lęków.

Sofa wyznaczała granicę między pokojami. Klęczałam na miękkich poduszkach i bawiłam się delikatnymi szklanymi figurkami ustawionymi na brzegu niskiego stolika. Po latach nadal się waham, czy ujawnić szczegółowy opis tamtego mieszkania, z obawy że mogłabym niechcący narazić na niebezpieczeństwo bezinteresownego człowieka, który przyszedł nam z pomocą. Opisanie figurek nie powinno mu zaszkodzić, a jednak nie podejmę tego ryzyka. Pozwoliły mi się odprężyć, podobnie jak przyciszone odgłosy burzy mózgow dochodzące z sąsiedniego pokoju.

W ciągu ostatnich miesięcy byłam milczącym świadkiem wielu takich rozmów. Napęłniały mnie nadzieją. Mężczyzna, który nam pomagał, zaklinał się, że wydostanie nas z Iranu, a ja słuchając go, ufałam, że spełni tę obietnicę.

Inni proponowali, że wywiozą z kraju mamę, ale przemycenie dziecka było zbyt niebezpieczne. Gdyby ich złapano, zostaliby straceni. Mimo niebezpieczeństw ten człowiek chciał, żebym dorosła, była szczęśliwa i bezpieczna. Dla niego ryzykowanie własnego życia, żeby moje mogło stać się lepsze, było misją, nie decyzją.

Pstryk.

Spoglądam z obawą przez lewe ramię i patrzę, jak przez ledwie uchylone drzwi wślizguje się jakaś kobieta. Światło w korytarzu sprawia, że jest ona tylko czarnym cieniem.

Drzwi szybko zostały za nią zamknięte i zaryglowane. Atmosfera była napięta i tajemnicza. Wszyscy byliśmy świadomi niebezpieczeństwa, na które nas narażała wspólna misja. Powitanie kobiety zabrzmiało jak urywany szept.

Pstryk.

Kobieta siedzi bokiem obok mnie, a jej ciężka od bransolet ręka spoczywa na oparciu sofy. Razem bawimy się ozdobami stojącymi na stoliku.

Znajdowałam pocieszenie w podzwanianiu jej bransolet. Miałam nadzieję, że pewnego dnia będę miała rękę pokrytą pięknymi podzwaniającymi złotymi kółkami, tak jak inne kobiety z mojej perskiej rodziny. Na razie nosiłam dwa.

Kobieta przemawiała do mnie czule, przesuując palcami po moich gęstych lokach i zapewniając mnie, że wszystko będzie dobrze i że wkrótce mama i ja będziemy bezpieczne w domu, z naszą rodziną w Ameryce.

Pstryk.

Wszystko tonie w ciemnościach, oprócz tego, co znajduje się w obrębie pudełkowatej ramy okna oświetlonego z zewnątrz światłami miasta. Mężczyzna siedzi pochylony do przodu. Trzyma ręce przed sobą i błaga mamę, żeby

zachowała spokój. Mama z aparatem telefonicznym z tarczą w jednej ręce i toporną słuchawką przyciśniętą drugą ręką do ucha przechadza się nerwowo. Długi skręcony kabel opada na podłogę i znika pod parapetem.

– Nie, to ty mnie posłuchaj! – warknęła.

Te słowa obudziły mnie gwałtownie. Już po chwili wychylałam się nad oparciem sofy, żeby zobaczyć, co jest nie w porządku. Zdezorientowana i wystraszona, zastanawiałam się, kto jest po drugiej stronie linii. Po tonie głosu mamy poznałam, że niebezpieczeństwo narasta.

– Mam prawnika – ostrzegła, a jej głos był stanowczy, nieustępliwy.

Miała prawnika? Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałam? Doug i Karen, nasi przyjaciele z Michigan, byli jedynymi prawnikami, jakich znałam. Czy byli tutaj? Czy przyjechali, żeby nam pomóc?

– Nie, Moody. Nie przywiozę Mahtob z powrotem, zanim nie uregulujemy naszych spraw.

Co? Rozmawiała z moim tatą? Jak mogła? I jak mogła powiedzieć, że zabierze mnie z powrotem?

– Mój prawnik i ja spotkamy się z tobą w sobotę.

Jak to możliwe? Przecież plany były już gotowe. W piątek wyjeżdżałyśmy do domu, przeprawiając się przez góry do Turcji, mimo że szczyty pokrywał śnieg.

Było powszechnie wiadomo, że jeśli z Teheranu widać śnieg na szczytach gór Zagros, przejście jest zamknięte na czas zimy. Ale my i tak zamierzałyśmy przejść przez góry.

Pstryk.

Mężczyzna, który nam pomaga, ponagła mamę i mnie, żebyśmy wyszły z mieszkania i poszły do samochodu, który czeka z otwartymi tylnymi drzwiami.

Był piątek. Mężczyzna, który nam pomagał, żegnał się z nami. Wiedziałałam, że jest smutny, widząc, że odjeżdżamy. Po raz ostatni pośpiesznie powtórzył przeznaczone dla nas instrukcje. Wydawało się, że czuje wielką presję, żeby bezzwłocznie przekazać nam wszystko, co powinnyśmy wiedzieć. Nie było czasu na wzruszające pożegnanie. Objął nas obie, gdy wsiadałyśmy do samochodu.

– Jak zdołam się panu kiedykolwiek odwdzińczyć? – zapytała mama.

– Jedyłą zapłatą, jakiej chcę, jest wiadomość, że na twarzy Mahtob gości uśmiech.

Po tych słowach zatrzasnął drzwi i czym prędzej odjechaliśmy. Choć rozpaczliwie pragnęłam, żeby odbył tę podróż z nami, nie ośmieliłabym się tego powiedzieć.

Pstryk.

Ruchliwy plac – a może rondo – w Tabrizie. Wszędzie samochody, istny chaos. Mama i ja siedzimy na tylnym siedzeniu.

Nasz kierowca zatrzymał się z piskiem opon, wyskoczył z samochodu

i zaczął się wyklócać z funkcjonariuszem policji. Jednocześnie inny mężczyzna otworzył tylne drzwi i chwycił mamę za ramię. Unosząc palec wskazujący do ust, nakazał nam zachować milczenie i błyskawicznie zabrał nas z samochodu.

– *Zud basz*. Pośpieszcie się.

Wsadził nas do ciężarówki i natychmiast odjechaliśmy.

Wielokrotnie zmienialiśmy pojazdy. Czasami wpychano nas pomiędzy wiele innych osób, żeby wyglądało, że jesteśmy jedną dużą, szczęśliwą rodziną. Mama trzymała mnie blisko siebie, kryjąc się na oczach wszystkich w swoim czarnym powłóczystym czadorze.

Pstryk.

Mama i ja siedzimy w kucki na zboczu góry. Wokół nas szaleje zamieć śnieżna. Wszystko jest białe. Nad nami przebiega droga, ale w zasięgu wzroku nie ma żadnych samochodów.

Postrzępione, pokryte pyłem wierzchołki gór Zagros były naszym schronieniem. Śnieg, który oznaczał koniec podróży w tym sezonie, teraz ukrywał nas przed wzrokiem innych. Dygocząc, tuliłyśmy się do siebie, żeby zachować ciepło, i czekałyśmy.

Jechałyśmy z tyłu furgonetki Czerwonego Krzyża, kiedy w powietrzu świsnęła kula, omal nas nie trafiając. Nasi przewodnicy zatrzymali się i kazali nam wysiąść. Ponieważ nie mówili ani po persku, ani po angielsku, na migi polecili nam ukryć się i czekać. Wydawało się, że od tamtej pory minęły całe godziny. Mama i ja byłyśmy zdenerwowane. Czy wrócą?

Czekałyśmy.

Tak jak dziadek nauczył mamę odnajdywać drogę do domu z głębi lasu, tak ona uczyła mnie, co mam robić, gdybym się kiedyś zgubiła. Opowiadając mi bajkę o Jasiu i Małgosi, którzy znaczyli drogę, rozsypując okruszki, mama uświadomiła mi, że powinnam siedzieć i czekać w jednym miejscu. A ona po mnie przyjdzie. Zapytała wtedy, jak dwoje ludzi mogłoby się kiedykolwiek odnaleźć, gdyby obydwójce wciąż się poruszali. Albo gdyby oboje siedzieli nieruchomo, każde w swoim miejscu. Dlatego gdybym kiedykolwiek się zgubiła, powinnam tam zostać i czekać, aż mama mnie znajdzie. Znalazłaby mnie, choćby nie wiem co. Nigdy nie przestałaby szukać.

– Mahtob, jak myślisz, co powinnśmy zrobić? – spytała mama. Nasze odsłonięte twarze siekł teraz śnieg z deszczem bądź śnieg. – Nie wiem, czy oni wrócą. Powinnśmy tu zostać czy raczej ruszyć?

– Powinnśmy zaczekać. W przeciwnym razie nie będą wiedzieli, gdzie nas szukać.

Tak więc czekałyśmy.

I czekałyśmy.

Z rosnącą rozpaczą nasłuchiwałyśmy, czy z daleka nie dobiega warkot

samochodu, który oznaczałby dla nas ratunek. A kiedy rzeczywiście usłyszałyśmy, że jakiś nadjeżdża, byłyśmy rozdarte między odruchem, żeby zerwać się na nogi i machać rękami, błagając o pomoc, a instynktem, który nakazywał nam nadal się chować, chronić przed odkryciem i odesłaniem do mojego ojca.

Pstryk.

Mama i ja jesteśmy same w rozpadającej się stajni. Siedzimy na klepisku.

Kurczęta wbiegają i wybiegają, wydziobując coś z ziemi w charakterystyczny dla siebie gorączkowy sposób. Na zewnątrz beczą owce. Przyzwyczaiałam się do widoku owiec w Iranie. Dość często można było zobaczyć pasterza z kijem w ręku, gnającego stado po ruchliwych ulicach miast.

Mama dostała ubranie, w które miała się przebrać. Byłyśmy teraz wysoko w górach, na terytorium kurdyjskim, i musiałyśmy się wtopić w otoczenie.

Po raz pierwszy od kilku dni dostałyśmy coś do jedzenia – garstkę niełuskanego słonecznika. Ślinka mi ciekła, gdy patrzyłam na tę mile widzianą ucztę. Mama nalegała, żebym pierwsza zjadła ziarenko. Ja jednak wiedziałam, że jest wspaniałomyślna aż do przesady, to znaczy, że daje nawet wtedy, gdy to przerasta jej możliwości. Odmówiłam pewna, że jeśli zjem pierwsze ziarenko, zmusi mnie do zjedzenia wszystkich i nie zostawi nic dla siebie. Zamiast tego podzieliłam małe czarne nasiona brzegiem dłoni na dwie porcje. Połową miałyśmy się podzielić od razu, a drugą połowę zachować na później. Dopiero gdy wyłuskałam ziarenko i włożyłam mamie do ust, zjadłam jedno sama. Najbardziej się bałam tego, że zostanę z nią rozdzielona, czy to przez ojca, czy przez policję, czy przez śmierć. Była wychudzona i słaba, poszarzałe włosy zlepily się w strąki, a jej wymizerowana twarz bardzo mnie martwiła.

Usłyszałam jakieś zamieszanie na zewnątrz stajni. Nasi przewodnicy byli zajęci przygotowaniami – do czego, nie wiedziałam. Czułam niewyjaśnione przywiązanie do niekwestionowanego przywódcy naszych przemytników. Rzadko się do nas odzywał, a gdy to robił, wypowiadał słowa w języku, którego ani mama, ani ja nie rozumiałyśmy. Mimo to w jego zachowaniu było coś, co dodawało otuchy. Przez góry przeprowadzali nas ludzie tworzący rozległą siatkę. Za każdym razem, gdy mama i ja byłyśmy przekazywane kolejnym, rozglądałam się niespokojnie dokoła, w nadziei że dojrzę przywódcę. Nie zawsze był z nami, ale miałam dziwne przeczucie, że zawsze jest w pobliżu, nadzorując tę operację, choć czasami na odległość.

Pstryk.

Ciemność.

Na zewnątrz śliski lód chrzęścił nam pod stopami. Jakiś mężczyzna podniósł mamę i posadził na oklep na grzbiecie małego konia. Czekałam nerwowo, aż mnie jej podadzą. Ku mojemu przerażeniu przekazano mnie obcemu człowiekowi siedzącemu na innym koniu. W milczeniu wiałam się, wyciągając do niej rękę.

Chciałam jechać z mamą.

Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

Pstryk.

Gdy jadę nieufnie wzdłuż wąskiej, oblodzonej krawędzi góry, nie wiem, czy to ta sama noc, ten sam koń ani czy jestem z tym samym nieznanym. Wiem natomiast, że mama i ja nadal jesteśmy rozdzielone i wcale mi się to nie podoba.

* * *

Mając wrażenie, że znacznie wyprzedziłam mamę, martwiłam się, że nie odnajdziemy się we wszechogarniającej ciemności. Nie widziałam stromego spadku po lewej stronie, ale wyczuwałam jego zdradziecką pustkę.

Nasza grupka poruszała się powoli i z wielką ostrożnością. Nagle rozległ się strzał i kula odbiła się od skalnej półki w pobliżu nas. Ruszyliśmy galopem. Koń był jeszcze w ruchu, gdy jeździec zeskoczył z niego i wziął mnie na ręce. Pobiegł do płytkiej groty wyłobionej w zboczu urwiska. Inni poszli w jego ślady. Przeszukiwałam wzrokiem cienie, rozglądając się za mamą. Czy została postrzelona? Nadstawiałam uszu w nadziei, że ją usłyszę, ale docierały do mnie jedynie słabe szepty w języku, którego nie rozumiałam.

A potem zapadła cisza.

Pstryk.

Stoję na ośnieżonym szczycie wraz z grupą wyczerpanych mężczyzn, którzy z obawą wpatrują się w ciemność poniżej nas.

Zostałam bezpiecznie przerzucona przez góry. Mamy nigdzie nie było widać. Czekaliśmy, nasłuchując. Nikt się nie zbliżał. Wśród moich wybawców narastało poczucie przygnębienia. Serce mi się krajało, a oni z niepokojem patrzyli na zegarki i wyteżali wzrok w ciemnościach. Wyraz ich twarzy był tak ponury, jak to, co czułam.

Nie pamiętam, czy jeden z przewodników mamy pobiegł naprzód po pomoc, czy jeden z moich cofnął się, żeby ich poszukać. Sprawy nie szły zgodnie z planem. Nie rozumiałam, co się dzieje, lecz mimo to wiedziałam, że mama jest w niebezpieczeństwie.

Później się dowiedziałam, że organizm mamy odmówił posłuszeństwa. Ostatni szczyt okazał się dla niej zbyt wielkim wysiłkiem. Górę wzięło wyczerpanie.

Siła ludzkiej woli ma granice. Nie ma jednak granic dla siły łaski Bożej. Wykazując się bezinteresownością, przemytnicy narkotyków, którym zapłacono z góry za przetransportowanie nas przez Zagros do Turcji, podnieśli zubożone ciało mamy i przynieśli ją do mnie.

Pstryk.

Przywódca stoi przed nami. Pociera ręce o siebie, jakby wycierał je do

czysta.

– *Tamum*. Skończone – westchnął. Potem wskazał na ziemię. – Turcja.

Moja chwilowa euforia zniknęła, gdy tylko sobie uświadomiłam, że się nie uśmiecha.

To był koniec jego podróży z nami. Wynajęto go, żeby nas przeprowadził przez granicę. Wykonał swoje zadanie. Teraz byliśmy zdane na siebie, ale niebezpieczeństwa związane z naszą podróżą bynajmniej się nie skończyły.

Gdy usiłował znaleźć słowa w języku, którym nie mówił, łzy napłynęły mu do oczu. Chciał, żeby mama wiedziała, że jest dla niego jak siostra. Po raz drugi w ciągu tygodnia rozpaczliwie chciałam błagać jednego z naszych oswobodzicieli, żeby kontynuował z nami podróż. Raz jeszcze ugryzłam się w język.

* * *

To są obrazy, które zachowały się w moich soczewkach. Czas i odległość zredukowały je do obojętnych fotek, przypadkowych migawek z życia, które tylko odrobinę sprawia wrażenie, jakby kiedyś było moje. Widzę te obrazy, wiem, że są prawdziwe, że to faktycznie przydarzyło się mnie. A mimo to wywołują we mnie jakieś surrealistyczne poczucie dystansu. Wracam do nich myślami z pełnym lęku zdumieniem i wiem, że zdjęcia na krążku View-Mastera naprawdę należą do mnie.

ROZDZIAŁ 10

Paszport! – zażądał kasjer.

Byłyśmy na dworcu autobusowym w mieście Wan, po tureckiej stronie irańskiej granicy.

Mama wydawała się skonsternowana. Wyciągnęła ręce przed siebie i przekrzywiła głowę, udając, że nie wie, o co chodzi. Potrzebowałyśmy dwóch biletów do Ankary i nie zamierzała odejść bez nich.

– Paszport! – upierał się kasjer.

Mama udawała głupią.

Wcześniej uprzedziła mnie, żebym nie służyła jej za tłumaczkę. Znajac mój talent do języków, wiedziała, że szybko wchłonę słowa wypowiedane wokół, a ponieważ byłam przesadnie uczynna, będę chciała pomóc.

– Paszport! – ryknął kasjer z widoczną frustracją, jakby krzykiem mógł sprawić, że mama zrozumie, o co mu chodzi.

Mama nie zareagowała. Pociągnęłam ją za rękaw, dając jej znać, że rozumiem i chętnie jej to wyjaśnię. Wzięła mnie za rękę i ścisnęła ją łagodnie. Tym razem wiedziałam, co oznacza ten znak, i trzymałam buzię na kłódkę. W końcu doprowadzony do rozpaczy mężczyzna wręczył jej dwa bilety na autobus i machnął ręką, żebyśmy przeszły.

Byłyśmy już osiemset kilometrów od Teheranu, lecz od naszego snu o wolności nadal dzieliło nas ponad tysiąc kilometrów. Autobus jechał krętą drogą bez barier na krawędzi zdradliwych przepaści. Szosa pokryta lodem i śniegiem chwilami okazywała się niemal nieprzejezdna. Ponieważ przez tak wiele dni obchodziliśmy się bez jedzenia, straciłyśmy apetyt. Chociaż usiłowaliśmy czuwać i mieć się na baczności, miękkie siedzenia, kołysanie autobusu i szum silnika w połączeniu ze skrajnym wyczerpaniem psychicznym i fizycznym uśpiły nas obie.

Nagle ocknęłam się z głębokiego snu. Otworzyłam oczy i gorączkowo rozglądałam się dokoła, żeby ustalić, gdzie jestem. Przez nasze chaotyczne podróże byłam zdezorientowana. Gdy moje zmysły odzyskały ostrość, zdałam sobie sprawę, że jestem w autobusie – w jego tylnej części, *dast-e czap*, czyli po lewej stronie. Mama spała obok mnie.

Jakiś mężczyzna posuwał się przejściem między fotelami z wysłużoną butelką przypominającą shaker. Zatrzymywał się przy każdym rzędzie, żeby spryskać dłonie pasażerów odrobiną płynu. Cytrynowy zapach połaskotał mi nozdrza. Zerkając szybko na mamę i znów na mężczyznę, zastanawiałam się, czy w związku z tym powinnam ją zbudzić. Byłyśmy oblepione brudem. Na głowie miałam kołtun. Wyglądałyśmy jak bezdomni uchodźcy wojenni, od których roilo się na ulicach Teheranu.

Wyprostowałam się na siedzeniu, czekając na swoją kolej. Gdy spojrzałam

przez okno *dast-e rast* – po prawej stronie, spostrzegłam inny autobus zaparkowany na poboczu. Jego pasażerowie stali na zimnie, trzymając w ręku dokumenty podrózne, które sprawdzali uzbrojeni po zęby żołnierze. Wielokrotnie byłam świadkiem takich scen, odkąd dostałyśmy się do Turcji.

Zadrżałam, wiedząc, że nie mamy koniecznych dokumentów. Nasze prawdziwe paszporty zabrał tato. Te, które miałyśmy przy sobie, choć autentyczne, były nieważne. Zostały wystawione poprzedniej jesieni przez amerykańską ambasadę w Bernie i dotarły do nas za pośrednictwem szwajcarskiej ambasady w Teheranie. Bez właściwych pieczętek były tylko bezwartościowymi książeczkami zaopatrzonymi w nasze zdjęcia i miały nimi pozostać do czasu, aż dostaniemy się do amerykańskiej ambasady w Ankarze. Gdyby żołnierze teraz je zobaczyli, zostałybyśmy odesłane do Iranu – do więzienia lub do mojego taty. Tak czy inaczej, już nigdy nie zobaczyłabym swojej mamusi.

Orzeźwiająca woń cytryn nasilała się, w miarę jak zbliżał się mężczyzna z buteleczką. Odwróciłam się do mamy. Nadal spała. Wyglądała tak spokojnie. Czułam się rozdarta. Może powinnam pozwolić jej spać.

Kiedy dotarł do mnie, odwróciłam wzrok i wyciągnęłam ręce przed siebie. Hojnie potraktował je mgiełką. Twarz rozjaśnił mi szeroki uśmiech sięgający oczu. Bardzo nieśmiało wyszeptałam słowa podziękowania i uniosłam dłonie do twarzy, robiąc głęboki wdech i chłonąc słoneczny, ożywczy aromat cytryny. Ku mojej wielkiej radości mama zbudziła się w samą porę, żeby się do mnie przyłączyć.

Mężczyzna z buteleczką nie mógł wiedzieć, jak bardzo jego skromny uczynek związany z obsługą pasażerów uradował tamtego dnia nasze serca. W naszej sytuacji oznaczał dogadanie, które trudno opisać słowami. Godzinami rozkoszowałyśmy się cudownym zapachem cytryny na skórze.

Znów się zdrzemnęłam, a gdy się zbudziłam, uświadomiłam sobie, że autobus się zatrzymał. Rozglądając się, żeby sprawdzić, co się stało, zauważyłam, że kierowca sięga do klamki i otwiera drzwi. Mój wzrok instynktownie podążył za uchylającymi się drzwiami, a tam, ku mojemu wielkiemu przerażeniu, stał żołnierz.

Wzdrygnęłam się i przywarłam do mamy. Nigdy nie pozwolę, żeby mi ją zabrali. Patrzyłyśmy, jak kierowca wysiada z autobusu i naradza się z żołnierzem. Obaj mężczyźni pomagali sobie w rozmowie rękami. Coś pokazywali, mówili i znów pokazywali. Mama i ja wstrzymałyśmy oddech, czekając, co z tego wyniknie, i obawiając się najgorszego. W końcu żołnierz się cofnął, a nasz kierowca z powrotem wsiadł do pojazdu. Bez żadnych wyjaśnień opadł na siedzenie i autobus ożył z warkotem, zabierając nas w dalszą drogę. Dzięki łasce Bożej znów zostałyśmy oszczędzone.

Było ciemno, kiedy dotarłyśmy do Ankary. W Turcji obowiązywał wtedy stan wojenny i wprowadzono ścisłą godzinę policyjną. Popędziłyśmy w stronę rzędu oczekujących taksówek. Kiedy kierowca zapytał, dokąd chcemy jechać,

mama powiedziała z wyraźnym amerykańskim akcentem:

– Ho-tel Hyatt, She-ra-ton, Hil-ton.

Rozumiejąc prośbę mamy i być może zdając sobie sprawę z naszej rozpacz, kierowca wybrał drogę koło ambasady amerykańskiej. Gdy się do niej zbliżyliśmy, wskazał na nią palcem, żeby zwrócić naszą uwagę. W górze, na szczycie budynku ukazał nam się najwspanialszy widok – powiewająca dumnie nasza flaga! Serce zabiło mi mocniej z radości. Jesteśmy w domu, pomyślałam. Musimy już być w Ameryce! Odwróciłam się, żeby popatrzeć na nią przez tylne okno taksówki, gdy mijaliśmy ambasadę, i choć byłam zupełnie wyczerpana, nie posiadałam się z radości.

Kierowca wysadził nas pod jakimś hotelem naprzeciwko ambasady. Tam mimo wielkich obaw mama musiała zostawić w recepcji nasze nieważne paszporty. Naprawdę zakrawało na cud, że dopiero teraz, po raz pierwszy od dworca autobusowego w Wan, poproszono nas o dowody tożsamości. W zamian za paszporty dostałyśmy klucz do pokoju, w którym przez kilka bezcennych godzin mogłyśmy odpocząć we względnej ciszy, chronione przez dodającą otuchy solidność zaryglowanych drzwi. Trzymając się za ręce, weszłyśmy do pokoju, oszołomione perspektywą tego, że w końcu uda nam się wykąpać i umyć zęby. Już od wieków nie czułyśmy się tak wolne.

Szum wody odbijał się echem w łazience, gdy mama napełniała dla mnie wannę ciepłą wodą. Byłyśmy zachwycone, że znalazłyśmy się naprzeciwko ambasady. Następnego dnia rano wystarczy po prostu przejść przez ulicę, żeby się do niej dostać. Urzędnicy nadadzą ważność naszym paszportom i wsadzą nas do samolotu lecącego do Ameryki. Ułożony naprędce plan się udał.

Jednak nasze złudzenia rozwiały się już po kilku minutach od wejścia do pokoju, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Zostałyśmy zdemaskowane i recepcjonista kazał nam natychmiast opuścić hotel. Mama błagała go, żeby pozwolił nam zostać do rana. Ambasada ostempluje nasze paszporty i wszystko będzie w porządku. Jednak za nic nie dał się przekonać. Byłyśmy nielegalnymi imigrantkami, a on nie zamierzał ryzykować, udzielając nam schronienia choćby na jedną noc.

W holu pozwolił mamie skorzystać z telefonu, żeby zadzwoniła do ambasady. Odebrał nocny strażnik. Mama pokrótce wyjaśniła mu naszą sytuację. Chciał wiedzieć, jak wjechałyśmy do kraju, skoro mamy nieostemplowane paszporty, i wyśmiał ją, gdy powiedziała mu, że przekroczyłyśmy granicę konno, bo wydawało się to nieprawdopodobnym wyczynem. Rozłączył się, nie udzielając nam schronienia.

Przygnębiona mama ubłagała recepcjonistę, żeby pozwolił jej jeszcze raz skorzystać z telefonu. Nie zawiadomiła rodziny w Michigan o próbie ucieczki, bo nie chciała jej martwić. Wiedziała, że mój dziadek jest na granicy życia i śmierci,

i nie chciała, żeby spędził ostatnie godziny na rozmyślaniu o tym, że może leżymy martwe gdzieś w górach.

Kiedy babcia podniosła słuchawkę, mama z ulgą dowiedziała się, że dziadek nadal żyje. Bez tchu poprosiła babcię, żeby zadzwoniła do amerykańskiego Departamentu Stanu. Stałam obok mamy i słuchałam, jak w pośpiechu przekazuje jej wiadomości. Mówiła bardzo rzeczowym tonem. Departament Stanu koniecznie musi się dowiedzieć, że wydostałyśmy się z Iranu i jesteśmy w Ankarze, dosłownie naprzeciwko ambasady. Teraz nie udzielono nam schronienia, ale zamierzałyśmy zjawić się tam z samego rana i mamy nadzieję na cieplejsze przyjęcie.

Rozmowa skończyła się zbyt szybko, a mama ponownie poprosiła recepcjonistę:

– Czy nie możemy po prostu posiedzieć w holu do rana? To tylko kilka godzin.

Jednak odmówił.

– Co mamy z sobą zrobić? Nie możemy wyjść na ulicę. Jest po godzinie policyjnej. Zostaniemy aresztowane.

Inny powód naszego strachu – mama oczywiście nie zamierzała tego wyjawiać recepcjoniście – był taki, że mój tato podąża naszym śladem. Był inteligentny i pomysłowy. Jego rodzina miała kontakty. Byłyśmy pewne, że depcze nam po piętach, a to było miejsce, w którym mógłby nas szukać.

Recepcjonista znalazł rozwiązanie: mogłyśmy jeździć w kółko taksówką przez całą noc albo znaleźć inny hotel. Wezwał taksówkę i wyprawił nas w drogę.

Mama robiła, co mogła, żeby dodać mi otuchy, ale to była dotkliwa porażka. Już tak niewiele brakowało, żebyśmy znalazły się w bezpiecznym miejscu, a tymczasem zostałyśmy ponownie wystawione na niebezpieczeństwa czające się w ciemności. Taksówka zawiozła nas do innego hotelu, w którym mama wyjaśniła, na czym polega nasze kłopotliwe położenie. Tym razem spotkałyśmy się z większą życzliwością. Recepcjonista uzalił się nad nami i pozwolił mamie zameldować się pod innym nazwiskiem.

Następnego dnia rano urzędnikom ambasady ogromnie ulżyło na nasz widok. Przez całą noc amerykańska ambasada w Ankarze była bombardowana telefonami z Departamentu Stanu w Waszyngtonie oraz ze szwajcarskich ambasad w Bernie i Teheranie. Wszystkie te instytucje od prawie osiemnastu miesięcy monitorowały naszą sytuację. Zadowoleni, że nie mają naszej krwi na rękach, czym prędzej wzięli się do roboty.

W porze lunchu zabrano nas do oficjalnej jadalni z imponująco długim stołem i ugoszczono hamburgerami oraz świeżymi malinami. Jednak nasze żołądki, pozbawione przez pięć dni żywności, nie były w stanie przyjąć tak wspaniałego poczęstunku. Mimo najlepszych chęci i podekscytowania na widok amerykańskiego jedzenia po prostu nie mogłyśmy tego zjeść.

Mama i ja spędziłyśmy tamten dzień na czekaniu. W pewnym momencie zaprowadzono nas do słabo oświetlonego, cichego pokoju, gdzie zostałyśmy przedstawione pewnej bardzo poważnej kobiecie siedzącej za ogromnym biurkiem. Bez cienia uśmiechu wręczyła mi kolorowanek, książeczkę z łamigłówkami dla dzieci i metalowe pudełko pełne kredek. Popatrzyła mi prosto w oczy, po czym poinstruowała mnie:

– Nie możesz ich zatrzymać. Wolno ci z nich korzystać, tylko kiedy jesteś tutaj. Zanim wyjdiesz, musisz mi je oddać.

Usiadłam obok mamy i zaczęłam rysować ołówkiem na odwrocie papeterii z hotelu, w którym spędziłyśmy ostatnią noc. Papier firmowy miał wytłoczone owalne granatowe logo przedstawiające orła siedzącego na szczycie wydłużonych liter HD – hotel Dedeman.

Przerwałam i przyjrzałam się swojemu dziełu. Prawie cała kartka była pokryta zachodzącymi na siebie rzędami szczytów, ostrymi zygzakami nagryzmołonymi z taką siłą, że głęboko wryły się w papier. W dolnym rogu, oddalonym od gór, znajdowało się jezioro w kształcie rękawiczki – był to niewątpliwie kształt mojego rodzinnego Michigan. Na środku jeziora kołysała się łódź z pasiastą flagą. Na północno-wschodnim brzegu, w pobliżu miejsca na rękawiczce, gdzie mieszkaliśmy przed wyjazdem do Iranu, stał dom. Podobnie jak niezliczone domy, które widziałam w Teheranie i podczas naszej wędrówki przez góry do Turcji, był podziurawiony kulami. Z komina unosiły się kłęby dymu, a na dachu sterczała duża antena. Z domu wystawał również ogromny maszt, na którym powiewała kolejna pasiasta flaga, większa niż cały budynek.

Szeptem przerwałam milczenie towarzyszące naszemu oczekiwaniu:

– Mamusiu, jak się pisze Ameryka?

Nasze głosy odbijały się słabym echem w korytarzu wyłożonym drewnem i marmurem, gdy mama cierpliwie dyktowała mi litery, po każdej robiąc przerwę, żebym mogła je starannie zapisać nad swoją flagą: A M E R I C A.

Nad tą sceną, pomimo złowieszczych szczytów i dziur po kulach, dorysowałam słońce przypominające o piosence, którą mama i ja często śpiewałyśmy w niewoli: „Jutro wyrzy słońce”...

Być może jutro nie zawsze było o jeden dzień dalej. Pomimo wszelkich przeciwności wydawało się, że mama i ja wygrzewamy się w promieniach jutrzejszego słońca, czekając, aż urzędnicy ambasady sfinalizują nasze plany podróży.

Nagle zrobiło się zamieszanie, ponieważ chciano nas czym prędzej wsadzić do samolotu, który miał nas przybliżyć o kolejny krok do domu. W podnieceniu nie byłam w stanie zwrócić mamie uwagi na konieczność oddania kredek i kolorowanki. Wciąż trzymałam je w rękach, gdy ponaglone wypadłyśmy przez drzwi. Od prawie trzech dekad ciąży mi świadomość, że ich nie oddałam surowej

kobiecie za biurkiem.

Resztę podróży pamiętam jak przez mgłę. Z Ankary poleciałyśmy do Monachium, a potem do Szwajcarii, a może na odwrót.

Mama nadal przy każdej okazji dzwoniła do moich dziadków z najnowszymi wiadomościami. Któregoś razu podała mi słuchawkę.

– Babciu, wracamy do domu – powiedziałam wesoło. – Niedługo będziemy.

– Świetnie, wobec tego muszę zacząć piec placki dla mojej małej Tobby.

Jakie chcesz?

To była oszałamiająca myśl. Babcia piekła przepyszne placki. Z borówkami, kremem bananowym, bezami cytrynowymi, malinami, czereśniami, rabarbarem – uwielbiałam je wszystkie. Zamówiłam po jednym z każdego rodzaju i chyba poprosiłam także o porcję jej cukrowych ciasteczek ze śmietaną oraz tych z melasą i rodzynkami.

Poleciałyśmy do Nowego Jorku, gdzie wylądowałyśmy z opóźnieniem i nie zdążyłyśmy na przesiadkę. Spędziłyśmy noc na lotnisku bez jedzenia i bez pieniędzy, nie licząc ćwierćdolarówki, która wypadła z automatu telefonicznego, oraz bez możliwości skontaktowania się z rodziną, która czekała nerwowo, aż wysiadziemy z samolotu na lotnisku w Detroit. Jednak wtedy wszystko to wydawało się bez znaczenia. Byłyśmy znów w Ameryce, choć nadal nie czułyśmy się bezpieczne. Prześladowała nas wizja mojego taty wysiadającego z samolotu i rozglądającego się za nami.

Nie pamiętam lądowania w Detroit. Moje pierwsze wspomnienia z ponownego spotkania z rodziną dotyczą jazdy na tylnym siedzeniu samochodu cici i wujka. Obok mnie stał wózek dla lalek ze szmacianą lalką Cabbage Patch, którą mi przywieźli. Była łyśa, jeśli nie liczyć małej kępki żółtej przędzy na czubku głowy. Z jej gładkiej plastikowej buzi rozchodziła się cudowna woń pudru dla niemowląt. Była ubrana w białą koszulkę nocną z jasnoniebieskimi pączkami róż, podobną do sukieneczki, którą jako noworodek miałam na sobie w domu po przyjeździe ze szpitala, tylko że moja była ozdobiona blad różowymi pączkami róż i białą koronką. Zanim wyjechaliśmy do Iranu, włożyłam tę sukieneczkę swojej ulubionej lalce Gerber Baby, którą czule nazywałam imieniem swojej kuzynki Jenny J. Czy nadal ma ją na sobie, zastanawiałam się, gdy jechaliśmy do domu dziadków mieszkających w środkowej części stanu.

Nie jestem pewna, jaka to była pora dnia, ale nie ulega wątpliwości, że świeciło słońce.

Drzwi się otworzyły. Przedemną ciągnęły się znajome schody. Przez osiemnaście miesięcy tęskniłam za chodzeniem po nich. Był piątek, 7 lutego 1986 roku. Miałam sześć lat i ważyłam dokładnie szesnaście kilogramów – tyle samo, ile wtedy, kiedy po raz ostatni postawiłam stopę na tym podeście w wieku czterech lat. Sporą część tej wagi musiałam zawdzięczać masie splątanych, kręconych,

kasztanowych włosów, które sięgały mi do pasa. Mama stała tuż za mną. Obie byłyśmy potwornie wyczerpane, ale na widok tych rozchwianych starych schodów moje zaspane oczy otworzyły się szeroko. Czekałam niecierpliwie. Wiedziałam, co się za chwilę wydarzy. To była tradycja. Z pewnością będzie pamiętał.

Weszłam na kilka pierwszych stopni i przystanęłam. Nic. Jeszcze kilka stopni. Cisza. Ostrożnie wspierałam się na palcach na szczycie schodów i...

– Hu!

Podskoczyłam, chichocząc. Pamiętał!

Jego głos był niewiele mocniejszy od ochryplego szeptu. Wychudzone ciało wyłoniło się z trudem z drzwi łazienki po lewej stronie. Miał na sobie szpitalny szlafrok i był podłączony do kroplówki. Był tak słaby, że mój brat John musiał go podtrzymywać pod jedno ramię, a mój kuzyn pod drugie. Ale figlarny błysk wciąż skrzył się w jego oczach. Stał tam i czekał na mnie – mój dziadek.

Wreszcie byliśmy w domu!

Babcia czekała w kuchni, którą wypełniał apetyczny aromat moich ulubionych placków. Zrealizowała zamówienie. Byłam w siódmym niebie.

Mama miała pięcioro rodzeństwa i większa część jej dużej rodziny pojawiła się, żeby uczcić nasz powrót. Wyjątkiem był mój starszy brat Joe. Wróciliśmy do domu akurat dwa dni przed jego dwudziestymi urodzinami. Mieszkał samotnie, co było powszechne w wiejskich okolicach Michigan w połowie lat osiemdziesiątych. Joe nie miał w domu telefonu. Chociaż mieszkał i pracował w odległości kilku kilometrów od moich dziadków, nikt nie zawiadomił go o naszej ucieczce, więc nie było go z innymi, gdy przyjechałyśmy. Poza tym był to radosny czas obejmowania się, śmiechów i jedzenia.

Tamtego wieczoru ułożono mnie do snu w ciepłym łóżku dziadków i otulono kilkoma warstwami koców podciągniętych pod samą brodę. Mama usiadła obok i biorąc mnie za rękę, zaczęła odmawiać nasze modlitwy na dobranoc.

– Dobry Boże – powiedziała, po raz pierwszy od półtora roku nie musząc się kryć z tym, że się modlimy. – Dziękujemy ci za sprowadzenie nas z powrotem do domu, do naszej rodziny w Ameryce. Dziękujemy ci za to, że chroniłś nas podczas ucieczki. Proszę, strzeż nas nadal. Niech nic nas nie rozdzieli. W imię Jezusa modlimy się o to. Amen. – Nachyliła się znużona i delikatnie pocałowała mnie w czoło. – *Szab be chejr*, dobranoc – westchnęła.

Moje ciało natychmiast zeszywniało ze złości. Każdy milimetr mojej osoby wypełnił się zacieklą, lodowatą nienawiścią.

– Mamusiu – prychnęłam, patrząc jej wyzywająco w oczy. – Przecież ci mówiłam. Nigdy więcej nie chcę słyszeć języka Chomeiniego!

Właśnie języka Chomeiniego nauczyłam się nienawidzić najpierw. Nienawidziłam taty za to, że krzywdził mamę. Nienawidziłam jego rodziny, bo na to pozwalała. Nienawidziłam szkoły w Iranie za to, że zmuszała mnie do

przeklinania mojego kraju. Nienawidziłam Chomeiniego za zabijanie ludzi, którzy nie uwierzyli w jego kłamstwa. Nienawidziłam pasdarów, którzy krążyli po ulicach Teheranu z karabinami maszynowymi, tropiąc występki dotyczące ubioru. Nienawidziłam irackich bomb.

Nienawidziłam.

ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia moja ciocia Carolyn, niezależna konsultantka firmy kosmetycznej Mary Kay, przyjechała ponownie, tym razem ze swoją kanciastą różową walizeczką do makijażu w ręku. Otworzyła salon piękności przy stole w jadalni i wprowadziła w czyn misję Mary Kay polegającą na „wzbogacaniu życia kobiet”. Gdy skończyła, dostałam z powrotem swoją mamę – tryskającą energią, piękną kobietę, która zniknęła wtedy, gdy tato zamienił nas w zakładniczki. Mój brat John dał się namówić na poddanie się zabiegowi oczyszczenia cery razem z mamą. Wydawało mu się, że to całkiem niezły pomysł, dopóki ktoś nie wyciągnął aparatu fotograficznego. Próbował się schować, ale mama złapała go, kiedy okrążał stół kuchenny. Gdy pstryknięto zdjęcie, chichotał, usiłując się uwolnić z uścisku mamy. Mama trzymała jego ręce unieruchomione za plecami. Głowę odrzuciła do tyłu, śmiejąc się radośnie. Dobrze było być w domu.

Później tamtego wieczoru mama zabrała Johna i mnie na spotkanie przy kolacji z naszymi przyjaciółmi Dougiem i Karen. Wtedy o tym nie wiedziałam, ale już przygotowywano projekt mojego podwójnego życia. Usłyszawszy szczegóły naszej gehenny, Karen powiedziała mamie, że powinna napisać książkę. W Iranie mama zuchwale mówiła ludziom, że uciekniemy i że pewnego dnia o tym przeczytają. Czytelnicy musieli się dowiedzieć, że w naszym świecie istnieją tego rodzaju niebezpieczeństwa. Jednak najpierw musiałyśmy ułożyć sobie życie od nowa. Karen zapytała, czy może się podzielić naszą historią ze swoim bratem, który pracował w branży wydawniczej. Mama wyraziła zgodę. Lawina ruszyła.

W niedzielę mama i babcia spędziły cały dzień na przygotowaniach do świętowania urodzin Joego. Gdy były zajęte gotowaniem, pogorszył się stan dziadka. Na przekór wszystkiemu udało mu się oszukać śmierć w oczekiwaniu na nasz powrót – był to wyczyn, który zdaniem jego lekarzy zakrawał na cud. Kiedy mama i ja przyjechałyśmy do domu, wyglądał jak szkielet obleczony skórą. Ważył zaledwie trzydzieści sześć kilogramów, nie stracił natomiast ani grama ze swojej wesołej szorstkości. Był przykuty do szpitalnego łóżka w salonie, gdzie spędzał czas, przyglądając się ptakom przylatującym do karmnika i marząc o polowaniu i łowieniu ryb. Zawsze miał beztroskie, wesołe usposobienie, lecz teraz błagał nas, żebyśmy go nie rozśmieszali, bo wszystko go bolało, gdy się śmiał. Jego lekarz wciąż przychodził z wizytą domową, ale i tak nie obeszło się bez wezwania karetki. Zanim posiłek na urodziny Joego był gotowy, dziadek musiał zostać odwieziony na sygnale do szpitala.

Tamten tydzień przynosił jedno niewiarygodne zdarzenie za drugim. Mama dostała nieprawdopodobny telefon z Nowego Jorku od agenta z William Morris Agency. Bardzo mu zależało, żeby napisała książkę. Tymczasem ona była wyczerpana, bo całą noc czuwała przy dziadku. Do tego dochodziła trauma

wywołana naszą ucieczką, stres, bo nie wiedziała, jak na nowo ułożyć sobie życie, i obawa przed zemstą mojego ojca. Powiedziała agentowi, że kiedyś z pewnością napisze książkę, ale nie teraz.

Następnego dnia zadzwonił ponownie, tym razem z gotowymi odpowiedziami na wszystkie obiekcje mamy. Mógł załatwić zaliczkę na poczet praw autorskich. To oznaczało, że pisanie mogło być dla mamy stałą pracą. Zaliczka pozwoliłaby jej wynająć mieszkanie i pracować w domu. Dzięki temu spędzałyby cały czas ze mną, zapewniając mi bezpieczeństwo. Jak mogłaby odmówić?

Zanim minęła połowa tygodnia, media dowiedziały się o naszej historii. Któręś popołudnia wujek Jim odwiózł babcię do domu ze szpitala, żeby trochę odpoczęła. Babcia, podobnie jak większa część rodziny, bez przerwy czuwała przy dziadku. Emocjonalne i fizyczne napięcie wszystkim dawało się we znaki.

Zadzwonił telefon i babcia odebrała, spodziewając się, że pielęgniarka wzywa ją z powrotem do szpitala albo jakiś zaniepokojony krewny dzwoni, żeby spytać o zdrowie dziadka. Tymczasem była to Barbara Walters, która chciała rozmawiać z mamą. Babcia podała jej numer do szpitala. Łatwo sobie wyobrazić, jakie poruszenie w Carson City w stanie Michigan, miejscowości mającej około tysiąca mieszkańców, wywołał telefon od najsłynniejszej amerykańskiej dziennikarki, będącej współgospodynią popularnego programu informacyjnego 20/20. Pani Walters powiedziała mamie, że bardzo chciałyby przeprowadzić z nami wywiad. Już wtedy stało się oczywiste, że zwyczajny powrót do naszego dawnego trybu życia nie wchodzi w grę.

Od małego intrygowały mnie drobne szczegóły tego świata. Mocząc się w wannie wypełnionej zabawkami, zamiast na nich skupiałam się zwykle na wodzie kapiącej z kranu – na kropli, która pęczniała i rozciągała się, przybierając kształt łyzy, zanim spadła na powierzchnię wody i odbiła się od niej, zabierając stamtąd z sobą nieco płynu, ale zaraz ponownie spadała i rozpuszczała się, tworząc zmarszczki. Podobny urok miały sprężynujące ograniczniki do drzwi – rozmazana plama wywołana drganiem sprężyny, szybszymi, niż mogło uchwycić moje oko, charakterystyczne brzęczenie rozlegające się jednocześnie z ruchem, ta magiczna chwila, kiedy rozmyty obraz spirali ustępował ostremu, gdy przestawała wibrować. To były tylko niektóre z moich najwcześniejszych fascynacji.

Uznać, że byłam spostrzegawcza, to za mało powiedziane. Rzeczy, które innym umykały, dla mnie były rażąco oczywiste. Nie wiem, czy traktować to jak błogosławieństwo czy przekleństwo, ale takie spokojne zwracanie na wszystko uwagi szybko stało się koniecznym środkiem ostrożności. Każdy dźwięk, ruch, niewypowiedziane słowo coś mówiły, i nawet jako bardzo małe dziecko wyczuwałam, że dostrzeganie wszystkiego, co się wokół mnie dzieje, ma decydujące znaczenie.

W tamtych dniach bezpośrednio po naszej ucieczce ilekroć dzwonił telefon, widziałam panikę w oczach moich ciotek i wujków, dziadków i mamy. Nikt nie musiał mi wyjaśniać przyczyny tego strachu. Ja też go czułam. Pukanie do drzwi albo wjeżdżający na podjazd samochód, oczekiwany czy nie, dawały ten sam chwilowo paraliżujący efekt.

Można by się spodziewać, że nasze ponowne połączenie z rodziną będzie oznaczało koniec zmagania i początek nowej, przepełnionej spokojem egzystencji. Tak się jednak nie stało. Chociaż mama i ja byliśmy w domu, nie oznaczało to zamknięcia poprzedniego rozdziału naszego życia. Przysięga taty, że nas znajdzie – żeby zabić mamę, a mnie zabrać z powrotem do Iranu – wisiała nad nami i nad naszymi bliskimi.

Po powrocie do Ameryki mama szybko się dowiedziała, że wtedy gdy my byliśmy w Iranie, tato wysłał swojego siostrzeńca Mammala do Stanów, żeby upłynnił nasz majątek. Przetransferował wszystkie pieniądze moich rodziców na konta w szwajcarskim banku. Mama i ja byliśmy bez grosza, jednak moi dziadkowie bez wahania zaprosili nas do swojego domu.

Parada z okazji dnia Świętego Patryka trwała w najlepsze, gdy mama, John i ja spotkaliśmy się z Barbarą Walters w nowojorskim hotelu Mayflower. Czułam się bardzo dorosła, bo nosiłam perłowe kolczyki mamy. Siedziałam obok niej na sofie, otoczona reflektorami, kamerami, statywami, charakteryzatorami, realizatorami i technikami dźwięku. Pośród tego chaosu, całkowicie spokojna, siedziała Barbara Walters. Elegancka i opanowana, była wzorem wytworności. Pochylała się do przodu, gdy łagodnym głosem zadawała pytania, tworząc w ten sposób atmosferę intymności. Ja jak zwykle nic nie mówiłam, tylko obserwowałam. Ze wszystkich sił starała się wciągnąć mnie do rozmowy, ale mimo że poczułam do niej natychmiastową sympatię, byłam zbyt nieśmiała, żeby odezwać się choćby słowem. Uszanowała moje milczenie, a jej pełen aprobaty uśmiech upewnił mnie, że nie ma nic wstydliwego w trzymaniu języka za zębami.

Dopiero pytanie o szkołę wywołało u mnie reakcję. Mama posunęła się aż do tego, że opowiedziała o naszym porannym skandowaniu: „*Marg bar Amrika!*”. Nie mogąc tego dłużej znieść, wyciągnęłam rękę i delikatnie zasłoniłam jej usta. Nie zawsze potrzebne są słowa, żeby zakomunikować, jak ciężko nam na sercu. Pani Walters przyznała, że poruszyła temat, który wciąż jest zbyt bolesny, i zręcznie przeszła do dalszych pytań.

Gdy wywiad dobiegł końca, zafundowała nam wieczór w mieście. Zjedliśmy kolację w Benihana, japońskiej restauracji, gdzie potrawy przygotowuje się wprost na stoliku. Chociaż teatr nie był mi obcy, tamtego wieczoru po raz pierwszy miałam okazję być na Broadwayu i z pierwszego rzędu obejrzeć musical *Koty*. Wszystko w tym spektaklu było rewelacyjne – muzyka, taniec, kostiumy. Potem wybraliśmy się na przejażdżkę powozem po Central Parku. Czułam się jak

księżniczka, słuchając hipnotycznego stukotu końskich kopyt.

Na szesnaste urodziny Johna program *20/20* wysłał zespół realizatorski, żeby zarejestrować dodatkowy materiał o naszej rodzinie. Joe nie chciał mieć nic wspólnego z nagrywaniem wywiadu, a mama nie nalegała. Inni członkowie rodziny byli tylko trochę mniej niechętnie nastawieni do tej sprawy, z wyjątkiem dziadka. Był jak zwykle rzeczowy. Jako przedstawiciel najwspanialszego pokolenia* okazał się zarówno stoikiem, jak i prawdziwym optymistą, zapewniając, że nigdy nie wątpił, iż mama znajdzie jakiś sposób, żeby uciec. Babcia była bardzo wzruszona i mówienie przychodziło jej z trudem. John chyba najtrafniej wyraził ból całej rodziny, kiedy szczerze opisał udrękę wynikającą z tego, że każdej nocy kładli się spać, nie wiedząc, czy mama i ja jeszcze żyjemy. To właśnie nasi bliscy najboleśniej odczuli skutki postępowania mojego taty. Ja przynajmniej miałam przy sobie mamę, która o mnie walczyła. Moi bracia cierpieli z powodu tej okrutnej krzywdy w samotności.

Tamten wywiad był jedyną sytuacją, kiedy my, jako wielopokoleniowa rodzina, mówiliśmy o naszych przeżyciach, ale nawet wtedy nie rozmawialiśmy o nich z sobą, tylko z Barbarą Walters i realizatorami jej programu. Mama wychowała się w środowisku, w którym unikano omawiania bolesnych spraw i nie zajmowano się problemami. Jednak zaczynając ode mnie, przerwała ten cykl cierpienia w milczeniu.

Moim życiowym przeznaczeniem były skrajności. Choć wirowałam w morzu chaosu i wstrząsów, mimo wszystko pod wieloma względami miałam sielankowe dzieciństwo. W domu dziadków otaczała mnie liczna rodzina, która świata poza mną nie widziała. Mieszkaliśmy przy wiejskiej szosie pośrodku rękawiczki, jaką jest Michigan. Rozległy ogród przed domem był gęsto zapełniony drzewami, które dziadek zasadził wiele lat wcześniej. Moi kuzyni i ja zasypywaliśmy babcię bukietami polnych kwiatów – z kwitnącej na jasnioletowo koniczyny, ciemnożółtych mleczy, aksamitnych pałek wodnych i śnieżnobiałej trybuli leśnej.

Wiezorami dorośli grali w jukera lub w pinochle przy stole w jadalni, a moi kuzyni i ja próbowaliśmy swoich sił w szalonych ósemkach albo w go fish przy stole dla dzieci. Gdy znudziła nam się gra w karty, robiliśmy nalot na stolik do kawy w salonie, żeby kolorować książeczki. Czasami wujek Jim, rodzinny żartowniś o duszy dziecka, zabierał dzieciarnię na zewnątrz, żeby zagrać z nami w palanta.

Moja kuzynka Jenny, o dwa tygodnie starsza ode mnie imienniczka mojej ulubionej lalki, lubiła zostawać na noc u dziadków. Spałyśmy razem w swoich bliźniaczych nocnych koszulkach z wizerunkami bohaterów *Tęczowej Krainy*. Dorośli, szczęśliwi, że mają mnie w domu, zwykle mnie rozpieszczali, ale Jenny, jak to dziecko, nie przejmowała się koniecznością zachowania taktu.

Pewnego popołudnia próbowałam jej powiedzieć, że coś miało gorzki smak.

Chociaż wyrzekłam się języka Chomeiniego, niektóre angielskie słowa nadal wylatywały mi z pamięci. Rozpaczliwie próbując się porozumieć, uciekłam się do mieszania języków.

– To było *talch*.

Jenny spojrzała na mnie z ukosa, co wyraźnie znaczyło, że nie zrozumiała, o co mi chodzi.

Powtórzyłam więc:

– *Talch*.

– Że jak? – Przekrzywiła głowę i zmarszczyła nos.

– *Talch*. To było *talch* – powtarzałam sfrustrowana, że mnie nie rozumie.

– Gdzieś ty się uczyła mówić? – zapytała i uciekła, chichocząc, rozbawiona absurdalnością mojej frustracji.

Szukałam pociechy i czułam się najbardziej swojsko, widząc znajome przedmioty. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zauważyłam w domu dziadków po naszym powrocie, był fioletowy flakon, który pomalowałam z Patty. Babcia trzymała go na półce zarezerwowanej na specjalne skarby, które były zbyt cenne, aby ryzykować, że zostaną uszkodzone przez małe ciekawskie paluszki. Zobaczyła, że na niego patrzę, i zapytała, czy chcę go z powrotem. Zastanawiałam się przez chwilę, a potem odpowiedziałam wesoło:

– Nie, zatrzymaj go, ale czy będę mogła go dostać, jak umrzesz?

Nie miałam jeszcze siedmiu lat, lecz żyłam na tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że babcia myśli, iż jest umierająca. Należała do tych osób, które po prostu sprawiają wrażenie, jakby były jedną nogą w grobie. W rzeczywistości to dziadek stał nad grobem. Sporo z naszych pierwszych dni wolności spędziłyśmy przy jego łóżku w Carson City Hospital. W tym szpitalu, w którym dziadek walczył teraz o życie, urodzili się obaj moi bracia i poznali się moi rodzice.

Czasami kiedy dziadek spał, szliśmy do pobliskiej taniej restauracji na lunch. Joe lubił mi fundować piosenki ze stojącej w lokalu staroświeckiej szafy grającej. Podsuwał krzesło, żebym mogła na nie wejść i patrzeć, jak wrzuca monety i wciska guziki, wybierając piosenki. Moją ulubioną, *Happy, Happy Birthday Baby*, śpiewał Ronnie Milsap. Zgodnie ze standardami starszego brata nie była to fajna piosenka, ale zawsze puszczał ją dla mnie bez narzekania, po prostu dlatego że ją lubił.

Z pozoru wydawaliśmy się normalną rodziną, ale niewiele trzeba było, żeby objawiła się nasza zbiorowa udreka. Wszyscy byli ciągle w stanie najwyższej gotowości. Mężczyźni z mojej rodziny, czując spoczywające na nich brzemię odpowiedzialności, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo, gromadzili się, szepcząc z wściekłością między sobą, co zrobią „temu nędznemu sukinsynowi”, jeśli kiedykolwiek nas odnajdzie. Dzieciom surowo zakazano dotykania naładowanej strzelby, która stała za drzwiami w sypialni dziadków. Ktoś zawsze nade mną

czuwał, a w tych rzadkich sytuacjach, kiedy zdawano sobie sprawę, że nikt nie trzyma warty, wybuchała panika.

Pewnego takiego popołudnia dorośli przebywający w domu uświadomili sobie nagle, że nikt nie wie, gdzie jestem, i rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania. Znalaziono mnie skuloną w jakimś kącie, w pozycji płodowej. Usłyszałam samolot i schowałam się. Tego nauczyło mnie życie w strefie wojny. Skąd miałam wiedzieć, że w Ameryce samoloty nie zrzucają bomb?

Innym razem jechałam samochodem z ciocią Carolyn, gdy za nami rozległy się syreny. Uczepiłam się jej kurczowo, drżąc i piszcząc z przerażenia. Moje doświadczenia z władzami wiązały się z karabinami maszynowymi i groźbą śmierci. Byłam pewna, że zabiją nas na miejscu, odeślą mnie do taty albo wsadzą do więzienia ciocię Carolyn. Jednak ku mojemu zdziwieniu, kiedy policjant podszedł do samochodu, odezwał się łagodnym głosem i pozwolił nam odjechać, życząc miłego dnia. Musiałam się nauczyć od nowa bardzo wielu rzeczy związanych z życiem w Ameryce.

W sierpniu tamtego roku walka dziadka z rakiem dobiegła końca. Umarł spokojnie, wiedząc, że mama i ja znów jesteśmy w domu, tam gdzie nasze miejsce. Choć jego śmierć mnie zasmuciła i byłam na tyle duża, żeby natychmiast za nim zatęsknić, to jednak na tyle mała, aby cieszyć się z całego serca, że poszedł do nieba, gdzie już nie cierpi. Nie rozumiałam łez, które towarzyszyły żalowi mamy.

Pewnego wieczoru, podczas wizyty w domu pogrzebowym, po tym, jak widziałam mamę płaczącą całymi dniami, w końcu musiałam zapytać:

– Mamusiu, dziadek jest z Jezusem. Dlaczego płaczesz?

– Wiem – odpowiedziała słabym głosem. – Jest mi po prostu smutno, że już go z nami nie będzie. Nie ma nic złego w tym, że się płacze, gdy jest się smutnym.

Ja jednak nie płakałam.

Dziadkowi wyprawiono wojskowy pogrzeb. Na cmentarzu zgromadziliśmy się wokół przykrytej flagą trumny. Wzdrygnęłam się na widok umundurowanych żołnierzy, którzy przyszli, żeby oddać honory. Dwaj wojskowi starannie złożyli flagę dziadka, a ich ruchy były sprężyste i precyzyjne. Następnie jeden z nich odwrócił się energicznie, stuknął obcasami i zdecydowanym krokiem pomaszerował w stronę babci. Przyklękając pokornie, podał jej starannie złożony niebieski trójkąt usiany białymi gwiazdami. Jego łagodność wprowadziła mnie w konsternację. W Iranie widziałam niezliczonych żołnierzy, lecz żaden nie zachowywał się w ten sposób.

W chwili śmierci dziadka praca nad rękopisem *Tylko razem z córką* była już znacznie zaawansowana. Mama wykorzystywała część pieniędzy z zaliczki, żeby wynająć niewielki dom na peryferiach miasteczka, które później zaczęłam uważać za swoje miasto rodzinne. Zepsute ogrodzenie po jednej stronie domu służyło mi za plac zabaw. Siatka na tyle oderwała się od ramy, że miałam wystarczająco dużo

miejsca na kręcenie się wokół słupka albo zwisanie głową w dół, a wtedy moje długie niesforne włosy wlokły się po ziemi. Chcąc nieco ożywić nasze skromne mieszkanie, z dumą napełniłam piękną, pochodzącą z Japonii niebieską wazę mamy chwastami, które rosły na zaniedbanych rabatkach.

Jeśli chodzi o te miesiące, które mama poświęciła na pisanie, najbardziej utkwily mi w pamięci ogromne ilości pizzy, które wówczas zjadaliśmy. Nie wiem, jak mamie udawało się robić wszystko to, co robiła – urządzić nowy dom, opiekować się mną i moimi braćmi, spędzać każdą możliwą sekundę z dziadkiem i z resztą naszej rodziny, a jednocześnie pakować się na oślep w pisanie książki. W tej sytuacji coś musiało zostać pominięte i tym czymś było gotowanie. Po raz pierwszy w życiu żywiliśmy się śmieciowym jedzeniem.

William Hoffer, współautor książki mamy, mieszkał z żoną Marilyn i dziećmi pod Waszyngtonem. Spędzał dużo czasu z nami w Michigan, ale czasami mama jeździła ze mną do niego, żeby z nim pracować. Bill miał rozczochrane włosy oraz bujną brodę ekscentrycznego geniusza i jak dla mnie wyglądał na pisarza. Był wesoły, palił fajkę i lubił wygłupiać się z dziećmi. Jednocześnie był wnikliwym myślicielem, człowiekiem spragnionym dokładniejszego zrozumienia otaczającego go świata. Ta pogoń za wiedzą sprawiła, że świetnie znał się na najróżniejszych rzeczach. Chyba właśnie przyglądanie się Billowi i Marilyn, gdy z zapalem omawiali z mamą różne ważne kwestie filozoficzne, dało początek mojemu zamiłowaniu do głębokich rozmów intelektualnych. Wiedząc, jak bardzo tęsknię za Panem Bunnym i jak bardzo kocham książki, podarowali mi pięknie ilustrowany egzemplarz *Aksamitnego Królika* wraz z pluszowym królikiem do kompletu. Nie zastąpił króliczka, którego zostawiłam w Iranie, ale był to miły gest mający na celu uznanie wagi mojej straty i ukojenie żalu.

Kiedy mama i ja jechałyśmy pracować z Billem i Marilyn, zwykle zatrzymywałyśmy się u nich, ale raz zanocowałyśmy w hotelu i stanęłyśmy w obliczu strachu, który był wszechobecny w naszym życiu. Mama i Bill pracowali do późnej nocy, więc do hotelowego pokoju wróciłyśmy wyczerpane. Mama, na pół śpiąca, wsunęła klucz do zamka i nacisnęła klamkę. Nagle naprężył się łańcuch, nie pozwalając drzwiom otworzyć się do końca.

Mama chwyciła mnie i popędziła do hotelowego holu, gdzie zdyszany głos recepcjonistki wyjaśniła, że ktoś jest w naszym pokoju. Pognał z nami z powrotem, przekręcił klucz i nacisnął klamkę. Tym razem drzwi się otworzyły. Łańcuch został zdjęty, a ktoś, kto był w środku, zniknął. Szybki przegląd naszych rzeczy ujawnił, że niczego nam nie zabrano, z wyjątkiem naszego już i tak mizernego poczucia bezpieczeństwa.

Kiedy uciekłyśmy z Iranu, mama pomyślała, że zmienimy nazwisko i ukryjemy się. Jednak dowiedziawszy się, że zgodnie z prawem nie mogą zmienić nazwiska bez zgody obojga rodziców, i wiedząc, że ukrycie się oznaczałoby

całkowite zerwanie wszystkich więzi z naszymi przyjaciółmi i rodziną, uznała, że nie jest to dobre wyjście. Mój ojciec wiązał nas wystarczająco długo, więc nie zamierzałyśmy poświęcić reszty życia, stosując się do jego reguł. Pisanie książki okazało się idealnym rozwiązaniem, bo dało nam dodatkowy czas sam na sam z sobą, którego potrzebowałyśmy, żeby dostosować się do naszej nowej sytuacji. Zamiast się ukryć, przyjęłyśmy krańcowo odmienną postawę. Mama opowiadała naszą historię każdemu, kto chciał słuchać, w nadziei że powszechna uwaga posłuży nam za dodatkowy środek bezpieczeństwa.

Mama, ilekroć mogła na chwilę oderwać się od pisania, starannie przetrząsała nasze rzeczy z czasów sprzed wyjazdu do Iranu. Kiedy moi rodzice i ja nie wróciliśmy z „wakacji”, wszystko zostało spakowane i oddane na przechowanie. Teraz stało przed nią ogromne zadanie przeszukania reliktyw naszego dawnego życia i zdecydowania, które przedmioty należą do terażniejszości.

Patrzenie, jak stopy naszych dawnych rzeczy wędrują na śmietnik, było dla mnie bolesne. Im dłużej mama je sortowała, tym więcej wyrzucała. Gdy tylko z powrotem skupiała się na pisaniu, ukradkiem szperałam w śmieciach, odkładając bezwartościowe skarby, z którymi nie byłam jeszcze gotowa się rozstać. Jednym z nich był olbrzymi bladoniebieski długopis, który należał do taty. Nie wiem, dlaczego czułam się zmuszona go zatrzymać. Byłam zła na ojca. Bałam się go. Nienawidziłam go. A jednak pociągały mnie rzeczy, które reprezentowały to, kim był dawniej, gdy był jeszcze moim *baba dżan*, ukochanym tatusiem. Zachowałam również jego torbę lekarską i dwa z jego kitli. Jednego używałam później jako fartucha do malowania, a drugi latami wisiał w głębi mojej szafy.

No i była też moja nadmuchiwana piłka z Troskliwymi Misiami. Biorąc ją do rąk, podniosłam ją do nosa i głęboko zaczerpnęłam powietrza.

– Mamusiu, pachnie jak Stacey!

Ten zapach przeniósł mnie z powrotem do letnich dni, które spędzałyśmy, biegając pod zraszczem i bawiąc się na huśtawce, zaledwie kilka dni przed tym, zanim niewinność mojego dzieciństwa legła w gruzach.

* *Greatest Generation* – pokolenie Amerykanów dorastających w czasach wielkiego kryzysu i walczących w drugiej wojnie światowej. Terminu tego po raz pierwszy użył dziennikarz Tom Brokaw w książce pod takim właśnie tytułem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ROZDZIAŁ 12

Lato miało się ku końcowi, a wraz z nim kończyła się również możliwość pozostawania pod troskliwą opieką mamy. Musiałam pójść do szkoły i mama postanowiła zapisać mnie do prywatnej placówki, w której, jak miała nadzieję, nauczyciele będą mogli mieć na mnie oko, a wszelkie podejrzone działania ze strony taty z pewnością uruchomią dzwonek alarmowy. Zapisała mnie do Salem, pobliskiej szkoły luterńskiej. Dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa pozostałych uczniów miałam używać innego nazwiska. W sierpniu 1986 roku dramat zakładników z amerykańskiej ambasady w Teheranie nie poszedł jeszcze w zapomnienie, a uwagę świata wkrótce miała przykuć afera Iran-contras. W Stanach Zjednoczonych niewiele wiedziano o Iranie – mówiło się jedynie o aktach przemocy oraz nienawiści do Ameryki i amerykańskich ideałów – nic więc dziwnego, że władze szkoły były ostrożne.

Nasza sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej z uwagi na to, że system prawny nie nadążał za naszym globalizującym się społeczeństwem. Gdy mama zasięgnęła informacji na temat procedury rozwodowej, powiedziano jej, że będzie musiała formalnie powiadomić mojego ojca, żeby sam mógł się bronić w sądzie. Gdyby tato się dowiedział, gdzie jesteśmy, byłoby mu łatwiej spełnić swoje pogroźki. Zadałyśmy sobie sporo trudu, żeby się przed nim ukryć, więc jej rozwód musiał zaczekać.

Chociaż nie mogłam oficjalnie zmienić nazwiska, nic nie stało na przeszkodzie, żebym po prostu używała innego. Wieczorem przed moim pierwszym dniem w szkole mama posadziła mnie obok siebie i nauczyła nowego nazwiska, wyjaśniając mi, że to prawdziwe będzie odtąd naszą tajemnicą. Miałam się nazywać Amanda Smith, w skrócie Mandy, tak samo jak jej pierwsza lalka.

Łatwo przywykłam do nowego nazwiska, niełatwo natomiast przyszło mi nawiązanie kontaktów z rówieśnikami. Byłam cicha i niezdarna, co czyniło mnie łatwym celem docinków dla dzieci z sąsiedztwa. Dokuczały mi, bo byłam inna, bo się nie odzywałam, bo słabo jeździłam na rowerze, a zwłaszcza dlatego, że miałam problem z usiedzeniem na swoim miejscu. Ponieważ byłam przyzwyczajona do stania przy szkolnej ławce podczas wszystkich lekcji, dlatego teraz trudno mi było siedzieć podczas zajęć. Czasami, pochłonięta jakimś zadaniem, zapominałam, że powinnam przez cały czas siedzieć, i dopiero wtedy uświadamiałam sobie, że wstałam, gdy docierały do mnie chichoty innych dzieci. Z zakłopotaniem opadałam na krzesło i zamykałam się w sobie.

Jednak wkrótce sytuacja się poprawiła. Dziewczynka o imieniu Jamie była jedną z pierwszych koleżanek z klasy, które wyciągnęły do mnie rękę. Ofiarowała mi swój gruby ołówek z Troskliwymi Misiem i uśmiech, dając w ten sposób innym do zrozumienia, że teraz oficjalnie należę do rodziny.

Moje siódme urodziny wypadły po miesiącu, niemal co do dnia, od śmierci dziadka. Z tej okazji Joe dał mi swój magnetofon stereofoniczny i kasetę Ronniego

Milsapa, żebym mogła słuchać *Happy, Happy Birthday Baby*, znanej również jako „moja piosenka”, kiedykolwiek zechcę. Nawet teraz, po naszej ucieczce, tak samo jak w Iranie najbardziej ceniłam przedmioty, które w jakiś namacalny sposób łączyły mnie z bliskimi.

Tamtej jesieni przeprowadziliśmy się do domu w sąsiedniej miejscowości. To była moja dziesiąta przeprowadzka, ale nie miałam nic przeciwko temu. Nasz nowy dom stał naprzeciwko pola golfowego, a w ogrodzie było mnóstwo pięknych starych drzew, gotowych zrzucić stosy liści, żebym mogła w nie wskoczyć. Zarówno Joe, jak i John mieszkali z nami i żyło nam się całkiem dobrze. Szkoła Salem stała się moim azylem, źródłem ładu i stabilizacji. Ustalony rytm szkolnego życia zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa, którego rozpaczliwie potrzebowałam.

Gdy zadzwonił dzwonek o ósmej, wszyscy siedzieliśmy w milczeniu z rękami ułożonymi na stolikach. Pani Hatzung stała z przodu klasy w chabrowej sukience przepasanej grubym paskiem dobranym pod kolor. Na nogach miała żółto-brązowe buty na niziutkich obcasach. Była czuła i życzliwa jak babcia.

Punktualny jak zawsze, do klasy wszedł dyrektor szkoły. Był w dobrej formie jak na mężczyznę w średnim wieku, a włosy i kozia bródka pasowały do jego szarego garnituru. Przystanął przy drzwiach i przywitał się z panią Hatzung. Odwracając się do nas, dodał:

– Dzień dobry, pierwszoklasiści.

– Dzień dobry, panie Schultz – odpowiedzieliśmy chórem, tak jak wcześniej przećwiczyliśmy.

Pani Hatzung uśmiechnęła się promiennie na znak aprobaty, a dyrektor wyszedł, żeby złożyć poranną wizytę drugoklasistom w sąsiedniej sali.

– W porządku, dzieci. Podejdźcie do mnie. Pomodlimy się razem przed rozpoczęciem lekcji. Dzisiaj będziemy rozmawiać o Józefie – oznajmiła pani Hatzung.

Zdjęła kalendarz religijny ze słoneczno-żółtej ściany i przewróciła kartkę.

Każdy poranek przynosił nowy obrazek z kalendarza i towarzyszącą mu lekcję biblijną. Był tam Dawid, młody pasterz, który uzbrojony jedynie w procę i wiarę w Boga pokonał Goliata, groźnego filistyńskiego olbrzyma. Był również Daniel, którego wrzucono do jaskini lwów za to, że modlił się do swojego Boga, co było zakazane przez władze, zupełnie jak w Iranie. Bóg zesłał anioła, żeby zamknął paszcze lwów, dzięki czemu Daniel nie został pożarty. Co więcej, król zobaczył ten cud i uwierzył.

Mimo że pani Hatzung była dorosła, usiadła na czerwonym plastikowym krzeselku z metalowymi nogami dostosowanym rozmiarem do wzrostu pierwszoklasistów. Utworzyliśmy ciasne półkole wokół niej, siedząc na takich samych krzeselkach. To była moja ulubiona część dnia w szkole. Bojąc się, że

każda lekcja może być ostatnia, bo tato porwie mnie z powrotem do Iranu, gdzie Biblia była zakazana, pragnęłam zachować każde ziarno słowa Bożego.

Okazało się, że Józef i ja mamy z sobą wiele wspólnego. On także został zabrany daleko od swojej rodziny, chociaż ja miałam lepiej niż on. Ze mną była mama, podczas gdy Józef, sprzedany w niewolę przez braci, był całkiem sam. Zastanawiałam się, czy patrzył na księżyc w taki sam sposób jak ja, kiedy tato zabrał mnie od mamy. Czy wiedział, że niezależnie od tego, gdzie jesteś, możesz patrzeć na księżyc, wiedząc, że twoja rodzina patrzy na ten sam księżyc i myśli o tobie?

Bóg chronił Józefa, tak samo jak wcześniej Daniela i Dawida – tak jak chronił mamę i mnie. Wiele lat później, kiedy jego rodzina przymierała głodem z powodu klęski nieurodzaju, Józef wybaczył braciom, że byli zazdrośni o jego kolorowy płaszcz i miłość, jaką darzył go ich ojciec. Ulitował się nad nimi i dał im jedzenie.

Właśnie pod tym względem różniłam się od Józefa. Nigdy nie mogłabym wybaczyć tacie tego, co nam zrobił. Nie chciałam go więcej widzieć. Nigdy.

– Bardzo grzecznie dzisiaj słuchaliście. Teraz możecie wrócić do swoich ławek, ale proszę, żebyście jeszcze nie siadali. – Słowa pani Hatzung przerwały moje myśli, sprowadzając mnie z powrotem do naszej wesołej żółtej klasy.

Codziennie po modlitwie patrzyliśmy podekscytowani, jak pani Hatzung bierze długą linijkę z półki pod tablicą i idzie przez klasę. Wciśnięte na ścianie pomiędzy nasze najnowsze dzieła artystyczne a ogromny plakat przedstawiający pudełko kredek w tęczy kolorach biegły dwa rzędy liczb. Mieliśmy za zadanie skupić się na nich podczas naszego następnego ćwiczenia.

Gdy pani Hatzung zbliżała się do ściany, przyglądałam się rysunkom. Były tak wyjątkowe i różnorodne, jak dzieci w naszej klasie. Tutaj, inaczej niż w Iranie, wolno nam było kolorować obrazki na takie barwy, na jakie chcieliśmy.

Pani Hatzung wskazała linijką na naszą aktualną liczbę dnia. Pierwszego dnia szkoły, jeszcze w sierpniu, zaczęła od jedynek. Każdego dnia zwiększaliśmy liczbę o jeden. Nauczycielka lubiła nas pytać, czy uważamy, że do lata dojdziemy do dwustu. Miałam przeczucie, że zna odpowiedź, lecz nie chce powiedzieć. Uśmiechała się tylko szeroko i mówiła: „Będziecie musieli poczekać, żeby się przekonać”.

– Czas na liczenie – powiedziała tamtego dnia. – Liczymy najpierw po dwa.

Wskazywała na liczby, a my je odczytywaliśmy.

– Dwa, cztery, sześć – recytowaliśmy.

– Bardzo dobrze, dzieci. Teraz po pięć.

Dzwonek piętnaście po trzeciej oznaczał koniec lekcji i wypuszczano nas wtedy do domu. Pani Hatzung stawała przy drzwiach i obejmowała każdego ucznia, żegnając się z nami. Nasi nauczyciele na zmianę dyżurowali na zewnątrz,

czekając razem z dziećmi na przyjazd rodziców. Tamtego dnia była kolej na pannę Neujahr, która miała mnie uczyć w następnym roku szkolnym. Starsze dzieci mówiły, że czasami gra na gitarze, gdy jej klasa śpiewa hymny, a nie na pianinie jak inni nauczyciele. Jak dotąd moim ulubionym hymnem była pieśń *Dziękujemy Bogu wraz*, której nauczyliśmy się na Święto Dziękczynienia.

Zaśpiewałam w myślach:

Dziękujemy Bogu wraz

I sercem, i ustami,

Bo wielkość Jego spraw

Objawia się nad nami.

On już w ramionach matek

W opiece swej nas miał...

(To był mój ulubiony wers, ten o ramionach naszych matek).

I niezliczonych łask

Dowodów tyle dał.

Ustawialiśmy się w szeregu wzdłuż ceglanej ściany szkoły, spoglądając poza boisko, przez ogrodzenie, i patrząc, jak samochody naszych rodziców pojawiają się na ulicy. Inne dzieci ruszały biegiem, gdy tylko dojrzały swój samochód, ale nie ja. Żaden z uczniów nic nie wiedział o moim tacie, lecz wszyscy nauczyciele byli świadomi zagrożenia, jakie stanowił, więc zawsze zachowywali czujność.

Nadal śpiewałam w myślach hymn, którego druga zwrotka kończy się zapewnieniem, że gdy jesteśmy skonsternowani, Bóg

...świętej łaski swej

Nie skąpi nigdy nam,

I od przygody złej

Wybawi tu i tam*.

Pani Hatzung wyjaśniła nam, że skonsternowany to tyle co zdezorientowany, i że gdy uznamy, że nie jesteśmy pewni, co robić w życiu, możemy zwrócić się do Boga w modlitwie. Powiedziała, że On słyszy nasze modlitwy i sprawi, że wszystko obróci się na dobre. To nie oznacza, że zawsze dostaniemy to, czego chcemy. Bóg jest mądrzejszy od nas, więc możemy zaufać, że to, co nam daje, jest zawsze w naszym najlepszym interesie, nawet jeśli nie od razu zdajemy sobie z tego sprawę. Rozmyślałam o tym, przyglądając się uważnie samochodom, które zatrzymywały się na skraju szkolnego dziedzińca.

Wróciłam myślami do Józefa. Bracia chcieli go skrzywdzić, lecz Bóg wykorzystał Józefa do uratowania jego rodziny i wielu innych. Pani Hatzung powiedziała, że dzisiaj Bóg ujawnia się w naszym życiu w ten sam sposób. Czasami sytuacja wygląda naprawdę źle, lecz Bóg potrafi wykorzystać nawet złe rzeczy dla naszego dobra w późniejszym okresie.

Zastanawiałam się nad słowami pani Hatzung, gdy podjechała mama.

W milczeniu pociągnęłam pannę Neujahr za rękaw i pokazałam jej nasz samochód.

– Okej, ruszaj, Mandy – powiedziała, gdy się upewniła, że mama faktycznie siedzi za kierownicą. – Miłego wieczoru.

Wtedy, ale dopiero wtedy, wolno mi było opuścić swój posterunek pod ścianą. Panna Neujahr patrzyła za mną, aż znalazłam się bezpiecznie w samochodzie.

Mama nie miała na twarzy typowego dla siebie uśmiechu.

– Mam smutną wiadomość, Mahtob – powiedziała cicho. – Dzisiaj doszło w Iranie do katastrofy lotniczej, w której zginęło wielu Irańczyków.

Wyraźnie była wstrząśnięta.

Patrzyłam przez okno i nie odezwałam się.

– Słyszałaś, co powiedziałam? – spytała spokojnie mama. – Dzisiaj zginęło wielu Irańczyków.

Nadal patrząc bez wyrazu przed siebie, skrzyżowałam ręce na piersi.

– To dobrze – syknęłam. – Mam nadzieję, że mój tato jest jednym z nich.

Rzadko się zdarza, że możemy spojrzeć wstecz i stwierdzić, w którym dokładnie momencie nasze życie potoczyło się innym torem. Na ogół tego rodzaju zmiany następują stopniowo i są trudno zauważalne. Mimo to wszyscy przeżywamy takie przełomowe chwile, które wyróżniają się tym, że zmieniają nasze życie. Tamta rozmowa z mamą w samochodzie 3 listopada 1986 roku okazała się jednym z ewidentnych rozdroży w moim życiu.

Dla mamy był to przerażający zimny prysznic, kiedy spostrzegła, że przeobraziłam się w kogoś zimnego i zawziętego. Nie takiego życia dla mnie chciała. Nie po to starała się nas uwolnić, żebym miała marnować swoje życie, pogrążając się w złości i niechęci. Dopóki w moim sercu panowała nienawiść, dopóty mój ojciec mnie więził, choć go tu nie było. Mama nie zamierzała stać bezczynnie i pozwolić, żeby do tego doszło. Jeszcze tego samego dnia przystąpiła do działania.

Dla niej pisanie *Tylko razem z córką* okazało się głęboko oczyszczającym doświadczeniem. Była zmuszona przedstawić czytelnikowi wszystkie cechy mojego ojca – nie tylko te złe, które znalazły się na pierwszym miejscu w naszych umysłach, lecz także dobre, które przede wszystkim dawniej ją w nim pociągały. Mama zorientowała się, że jeśli w ogóle mam jakąś szansę być wolna, muszę zostać zmuszona, tak jak wcześniej ona, do przypomnienia sobie ujmujących zalet tatusia, którego kiedyś kochałam.

Tamtego wieczoru wyciągnęła albumy ze zdjęciami pękające w szwach od obrazów, które mój ojciec utrzymał dla potomności. Na odwrocie wielu z tych fotografii beczelnie paradował czerwony lis. Przeglądałyśmy zdjęcia z urodzin, ferii, wakacji, przyjęć, a nawet codziennych spokojnych chwil. Przedstawiały mnie w dniu, w którym się urodziłam, podczas mojego pierwszego Halloween

(przebraną za aniołka i śpiącą na ramieniu mamy), raczkującą, stojącą, stawiającą pierwsze kroki, jedzącą swoją pierwszą truskawkę, pozującą obok *haft sin* podczas każdego Nouruzu.

Każde zdjęcie pozwalało zajrzeć w moją przeszłość, ale nie tylko w moją. Każde było również, w pewnym sensie, odbiciem fotografa. Tato uwielbiał mnie z całego serca, tak bardzo, że czuł się zmuszony do uwieczniania każdej możliwej chwili mojego życia. Nie było we mnie niczego, co nie przepelniało go radością, do tego stopnia, że chciał zachować wspomnienia w jakiejś namacalnej postaci.

Odwracając każdą stronę albumu, mama raczyła mnie przykładami miłości mojego ojca. „Pamiętasz, jak uwielbiałaś pracować w ogrodzie z tatusiem?” – pytała, przeskakując do zdjęcia przedstawiającego mnie jako szkraba siedzącego w kucki obok niego w ogrodzie. „Pamiętasz, jak bardzo bawiło was pływanie?” – i pokazywała palcem na mnie skaczącą bojaźliwie z krawędzi basenu w otwarte ramiona taty.

Kiedy Patty wychodziła za męża, byłam na jej ślubie dziewczynką do sypania kwiatów. Mama zakręciła mi loczki i miałam na sobie robioną ręcznie białą koronkową sukienkę z krynoliną oraz delikatnymi atłasowymi dodatkami. Zdjęcie zrobione tamtego dnia przedstawiało tatę, który wyglądał bardzo przystojnie w świeżo wyprasowanym szarym garniturze i okularach w masywnych oprawkach, klęczącego obok mnie w przejściu między ławkami w kościele. Obejmował mnie ramieniem i oboje uśmiechaliśmy się do obiektywu.

Strona po stronie mama zmuszała mnie do konfrontacji z naszą przeszłością. Zdjęcie po zdjęciu opowiadała mi historie z naszego wspólnego życia rodzinnego przed Iranem. Ja jednak z każdą taką historią jeszcze bardziej zawzięcie upierałam się, żeby trwać w nienawiści. Nie zamierzałam pozwolić sobie na kochanie go.

Największą odrazę czułam do zdjęć, które go przedstawiały, bo gdy patrzyło się na jego wizerunek, nie dało się zaprzeczyć, że tato był częścią mnie. Podobieństwo było bezsprzeczne. Niezależnie od tego, jak gwałtownie z tym walczyłam, mój ojciec i ja byliśmy z sobą nierozzerwalnie związani. Nie mogłam czuć do niego nienawiści, nie czując jej jednocześnie do jakiejś części samej siebie. Ale próbowałam.

Moja pogarda nie ograniczała się do niego. Chciałam zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby uciec jak najdalej od wszelkich wspomnień. Gardziłam absolutnie wszystkim, co wiązało się z nim albo z naszym pobytem w Iranie.

Mama nie ustawała w wysiłkach. Codziennie przypominała mi o szczęśliwych chwilach, które spędziłam z tatą, i o moim perskim dziedzictwie. Czytała mi te same książki, które on mi czytał. Śpiewała mi jego piosenki i recytowała jego rymowanki. Gotowała perskie potrawy. Był to powolny proces, ale mamie nie brakowało wytrwałości.

Z czasem, mimo moich usilnych starań, zaczęły powracać znośniejsze

wspomnienia związane z ojcem. W latach poprzedzających nasz wyjazd do Iranu byłam córeczką tatusia. Kiedy czytał przy swoim biurku, ja prawie na pewno siedziałam u jego stóp, często w otoczeniu starych czasopism medycznych i z nożyczkami dla dzieci w ręku. Moim ulubionym organem było serce. Podczas gdy on analizował najnowsze postępy w medycynie, ja starannie wycinałam ilustracje przedstawiające ludzkie serce. Od czasu do czasu pochylał się do przodu, żeby sprawdzić, jak mi idzie. „Bardzo dobrze, *azzizam*” – chwalił mnie, a potem opowiadał, jak funkcjonuje ten organ. Przekazywanie mi naukowej wiedzy pasjonowało go niemal tak bardzo, jak sama wiedza.

Jeśli był w kuchni, ja stałam przy nim, spragniona informacji o odżywczych właściwościach każdego składnika. „*Narengi* – mawiał, pokazując mi pomarańczę, którą zamierzał obrać. – Pomarańcze są bardzo pożywne, Mahtob *dżan*. Mają bardzo dużo witaminy C”. Uwielbiałam, gdy trzymał skórkę na wysokości mojej twarzy i wyginał ją do tyłu, spryskując mnie cudowną mgiełką cytrusowej esencji.

Tato święcie wierzył również w zalety jogurtu, który sami regularnie robiliśmy. Uwielbiałam ruh, elastyczną białą warstewkę, która powstawała na mleku, gdy się je podgrzewało. Wysoko na jego liście czynników uzdrawiających znajdowała się również ślina. Ilekroć ugryzłam się w wargę, oparzyłam sobie palec albo skaleczyłam się kartką papieru, ratunkiem była ślina. „Po prostu possij to – pouczał mnie. – Twoja ślina dostarczy ci wszystkiego, czego potrzeba do oczyszczenia i zagojenia. Hipokrates miał rację, kiedy powiedział, że ciało zostało tak pomyślane, żeby leczyło się samo”.

* W hymnie Martina Rinkarta (1586–1649) w tłumaczeniu Pawła Sikory zmieniono jeden wers – w tradycyjnym tłumaczeniu jest: „On nas od pierwszych lat”, tu zaś: „On już w ramionach matek”.

ROZDZIAŁ 13

Wciąż zmagalam się ze swoim miękącym z wolna sercem, podczas gdy mama, zachęcona potęgą makijażu, który odmienił ją w kilka godzin po naszym powrocie do domu, została konsultantką Mary Kay. Kiedy dowiedziała się o tym armeńska gałąź naszej rodziny, bardzo chciała okazać jej wsparcie. Vergine zgromadziła w swoim domu panie na zajęcia z pielęgnacji skóry. Ponieważ mimo wrodzonej nieśmiałości zawsze byłam chętna do pomocy, zostałam asystentką mamy. Gdy nadszedł czas na rumieńce, poprosiłam ją, żeby mi nałożyła trochę różu na policzki. Potem był tusz do kresiek. Mama zastosowała go dokładnie tak, jak pokazano na rysunku – w zewnętrznych kącikach oczu nad górnymi rzęsami i pod dolnymi.

- Gotowe. I jak? – zapytała, podając mi lusterko.
- Zerknęłam tylko raz i powiedziałam, że nie zrobiła tego dobrze.
- Ależ tak – zaprotestowała. – Jest dokładnie tak jak na rysunku.
- Nie tak, jak chciałam – jęknęłam. – Chcę, żeby było po irańsku.
- Nie wiem, jak to jest po irańsku, Mahtob.
- A właśnie że wiesz – upierałam się, bliska nietypowej dla mnie hysterii.
- Vergine, wiedząc, o co mi chodzi, wtrąciła się do rozmowy.
- Chodź tu, Mahtob. Pokażę ci, kochanie.

Wciąż się dając, obeszłam stół i stanęłam przed nią. Vergine usunęła tusz spod moich rzęs. Czarną jak węgiel kredką do oczu obrysowała mi powiekę, podążając za krzywizną jednym płynnym pociągnięciem. Następnie kazała mi patrzeć w górę i zaczynając od zewnątrz, posuwała się wzdłuż krawędzi nad dolnymi rzęsami aż do kanalika łzowego. Potem zrobiła to samo z drugim okiem i odwróciła mnie w stronę lustra.

Przyglądając się swemu odbiciu, zobaczyłam parę ciemnobrązowych oczu w kształcie migdałów, świadczących o moim irańskim pochodzeniu. Było dokładnie tak, jak chciałam.

Dlaczego właściwie chciałam wyglądać jak Iranka, skoro tak zdecydowanie odcinałam się od wszelkich podobnych skojarzeń? Nie wiem. Nie potrafię nawet powiedzieć, dlaczego wiązałam jakiś typ makijażu ze swoimi perskimi korzeniami. Gdy byłyśmy w Iranie, malowanie się było surowo zabronione. Jednak zanim pojechalśmy do Iranu, oglądałam albumy taty pełne zdjęć jego rodziny z czasów szacha. Kobiety nosiły jaskrawe, bardzo krótkie sukienki bez rękawów. Miały ufarbowane włosy upięte wysoko na czubku głowy – fryzury tak modne na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, powieki zaś umalowane intensywnie zielonym cieniem, a oczy obrysowane czarną kredką, użytą dokładnie w taki sposób, jak to zrobiła Vergine.

A zatem lekcje mamy chyba zaczynały przynosić owoce. Być może ja sama,

na własny sposób, usiłowałam dotrzeć do swoich perskich korzeni. Chociaż nadal bojkotowałam wszelkie jej zabiegi zmierzające w tym kierunku, od czasu do czasu można mnie było przyłapać na tym, że potajemnie celebrowałam coś, co było wzbogacającym wkładem taty w moje życie.

Tamtej zimy pani Hatzung zapytała dzieci z naszej klasy:

– Kto z was jest ochrzczony?

Ręce entuzjastycznie wystrzeliły w górę. Z zażenowaniem rzuciłam okiem dokoła, zastanawiając się, czy mam się przyłączyć do kolegów wymachujących rękami wysoko nad głową. Zauważyłam tylko dwóch uczniów, którzy nie podnieśli ręki i wyglądali na równie zakłopotanych jak ja. Przynajmniej nie byłam sama i to dodawało mi otuchy. Nie wiedziałam, czy jestem ochrzczona. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co to jest chrzest.

Tamtego popołudnia, jeszcze zanim wsiadłam do samochodu, zapytałam mamę:

– Mamusiu, czy ja jestem ochrzczona?

– Słucham?

– Czy zostałam ochrzczona? – Byłam zbyt przejęta, żeby czekać na odpowiedź. – Pani Hatzung mówi, że to jest naprawdę ważne. Bóg daje nam chrzest w prezencie i kiedy zostajemy ochrzczeni, zmywa nasze grzechy oraz umacnia wiarę, żebyśmy mogli pójść do nieba. Jezus został ochrzczony przez Jana Chrzciciela. I były przy tym wszystkie trzy osoby Trójcy Świętej. Bóg Ojciec przemówił z nieba i powiedział, że Jezus jest jego synem i że „go sobie upodobał”*. Duch Święty był tam jako gołębica, która usiadła na Jezusie, gdy wychodził z wody. No i był tam Jezus jako Jezus. Chociaż w Trójcy Świętej są trzy osoby, to Bóg jest tylko jeden. To cud, coś, czego nasze proste ludzkie umysły nie potrafią do końca zrozumieć, ale wierzymy w to, bo tak napisano w Biblii, a wszystko, co jest w Biblii, to prawda.

Nie potrafiłam powstrzymać swojego zapału. Ta nowo odkryta wiedza była tak wstrząsająca, że słowa po prostu wylewały się ze mnie. Nie mogłam się doczekać, aż opowiem mamie absolutnie wszystko, czego się właśnie nauczyłam.

– Pani Hatzung poprosiła, żebyśmy podnieśli ręce do góry, jeśli zostaliśmy ochrzczeni – mówiłam dalej bez tchu. – Ja nie podniosłam, bo nie wiedziałam. No więc zostałam ochrzczona czy nie?

Mama wciąż jeszcze wyjaśniała mi, że nie, gdy przerwałam jej i oznajmiłam rzeczowo:

– Chcę zostać ochrzczona.

– Okej, jeśli chcesz, możesz zostać ochrzczona.

– Kiedy?

– Nie wiem. Porozmawiam z pastorem i zobaczymy, co on powie.

– Dobrze. Pani Hatzung mówi, że przez chrzest Bóg sieje ziarno wiary

w naszych sercach i że tak jak ziarna potrzebują słońca i wody, żeby się rozwijać, Bóg rozwija naszą wiarę, gdy słuchamy jego Słowa z Biblii. Właśnie dlatego, nawet gdy zostanę ochrzczona, ważne, żebym studiowała Biblię i chodziła do kościoła... – W tym radosnym uniesieniu po prostu nie mogłam przestać poruszać ustami.

Następnego dnia rano w szkole, chcąc koniecznie podzielić się z kimś tą wspaniałą wiadomością, oznajmiłam podnieconym głosem:

– Proszę pani, nie jestem ochrzczona, ale mama mówi, że mogę przyjąć chrzest. Porozmawia z pastorem.

– Ach, to naprawdę wspaniała wiadomość, Mandy. – Pani Hatzung objęła mnie. – Bardzo się cieszę ze względu na ciebie, kochanie.

Po południu podbiegłam do samochodu podekscytowana na myśl, że usłyszę, kiedy nastąpi ten wielki dzień. Otwierając drzwi, zapytałam:

– Rozmawiałś z pastorem?

– Nie, Mahtob, jeszcze nie. Miałam pracowity dzień. Ale nie martw się, porozmawiam.

Mama pracowała wtedy na pełnych obrotach. Miała szczere chęci, żeby zaplanować mój chrzest, lecz była po prostu zbyt zabiegana. Dni zmieniły się w tygodnie. Nadeszło Boże Narodzenie, a kiedy minęło, ja nadal nie byłam ochrzczona. Gdy 2 stycznia mama i Bill skończyli rękopis, miałam już dość czekania na załatwienie tej sprawy.

– Mamusiu, jeśli nie porozmawiasz z pastorem, ja to zrobię – zagroziłam.

Mama, wiedząc, że zazwyczaj dotrzymuję słowa, porozmawiała z pastorem. Wybrał na chrzest pewien styczniowy czwartek. Żeby uczcić tę okazję, cała moja klasa przyłączyła się do mnie i wyruszyliśmy przez miasto do naszego kościoła. Dzieci zajęły miejsca w drewnianych, wyściełanych ławkach z przodu świątyni, okutane w grube zimowe płaszcze, i dyndały nogami, bo nie sięgały posadzki.

Ja stałam obok mamy na skraju prezbiterium, ubrana w białą sukienkę z falbankami i szydełkowe podkolanówki pod kolor. Mama zaczesła mi włosy do tyłu i związała kokardą, ale moje loki, niesforne jak zawsze, sterczały na wszystkie strony. Na szyi miałam zawieszony złoty krzyżyk, prezent od mamy z okazji mojego wielkiego dnia.

Czułam się dziwnie, stojąc na terytorium pastora. To był dom Boży. Dzieci na ogół nie wchodziły do tej części kościoła. Wtedy chyba po raz pierwszy postawiłam stopę dalej, niż sięgały ławki stojące rzędami w nawie głównej, i to jeszcze bardziej spotęgowało nabożną cześć, którą czułam tamtego popołudnia.

Pastor Schaller, w czarnej sutannie z białą stulą, rozpoczął uroczystość od modlitwy, a później rozmawiał z moimi kolegami o znaczeniu chrztu, dzięki któremu miałam się stać dzieckiem Bożym. Zwrócił się też do mamy, mówiąc o jej rodzicielskiej odpowiedzialności i o tym, żeby uczyła mnie słowa Bożego. Potem

skupił uwagę na mnie.

– Przyjmij znak krzyża na głowie i na sercu, abyś się stała odkupionym dzieckiem Chrystusa.

Używając kciuka i dwóch palców, co symbolizowało Trójcę Świętą, zrobił w powietrzu znak krzyża nad moją głową i nad sercem. Gdy nadszedł czas pochylenia się nad chrzcielnicą, by można mi było polać głowę wodą, w ławkach rozległ się cichy śmiech, bo grupki wiernych, jedna po drugiej, uświadamiały sobie, że jestem za niska, aby do niej dosięgnąć.

Uśmiechając się, pastor Schaller pochylił się z czułością nade mną i podniósł mnie. Trzymając mnie jedną ręką, drugą złożył w łódeczkę i zanurzył w chrzcielnicy. Odrobina wody kapnęła z jego dłoni, gdy zbliżył ją do mojego czoła.

– Amando Smith, chrzczę cię w imię Ojca. – Polał mi głowę wodą i ponownie zanurzył dłoń w misie. – I Syna – mówił dalej, lejąc mi na czoło nieco wody i sięgając po nią po raz trzeci. – I Ducha Świętego. – Potem otarł mi krople z oczu nakrochmaloną lnianą chusteczką z wyszytą białą gołębicą, taką jak ta, która usiadła na Jezusie po jego chrzcie. – Bóg Wszechmogący, Ojciec i Syn, i Duch Święty, przebaczył ci wszystkie twoje grzechy. Przez chrzest narodziłaś się na nowo i stałaś się ukochanym dzieckiem swojego Ojca w niebie. Niech Bóg umocni cię, abyś żyła w łasce chrztu przez wszystkie dni swego życia. Pokój niech będzie z tobą.

W ten sposób zostałam ochrzczone i byłam z tego powodu pełna entuzjazmu. Nabożeństwo skończyło się modlitwą i obowiązkowymi zdjęciami przed kościołem. Wyglądałam na nich żałośnie, tak jak zwykle przez większą część dzieciństwa, chociaż rozpierała mnie radość. Fotka za fotką, wszyscy uśmiechali się promiennie, ja natomiast marszczyłam brwi. Wyjątkiem było zdjęcie przedstawiające tylko moją ukochaną nauczycielkę i mnie. W jej obecności bezpiecznie było myśleć, mówić, a nawet czuć. Kiedy stała za mną, na usta przebił się nawet słabiutki cień uśmiechu.

Tak się złożyło, że ten przypadkowo wybrany czwartek wypadł 29 stycznia 1987 roku. Gdy pastor Schaller wybierał datę, nie wiedział, że chrzest odbędzie się dokładnie rok od chwili, kiedy mama i ja wyszłyśmy z naszego domu w Iranie. 29 stycznia był naszym dniem wolności. W pewnym sensie wydaje się stosowne, że dzień, w którym obchodzę rocznicę uwolnienia się od ucisku swojego taty, jest także dniem uwolnienia się od ucisku grzechu, śmierci i potęgi szatana.

Gdyby nie to pierwsze, z pewnością nie mogłabym świętować tego drugiego. „Bóg jest taki doooobry”.

Kiedy zaczęłam chodzić do drugiej klasy, znów się przeprowadziliśmy, tym razem do uroczego, białego, dwukondygnacyjnego domu w moim „mieście rodzinnym”, zbudowanego przed wojną secesyjną. Mama i ja dzieliłyśmy sypialnię

na piętrze. Mama już dawno zrezygnowała ze zmuszania mnie do spania w moim pokoju. Sen był dla niej taką samą udręką jak dla mnie. Walczyliśmy z tym samym demonem, tyle że w jej śnie nie podszywał się on pod lisa.

Zazwyczaj zmuszałam się, żeby zasnąć jak najszybciej, w nadziei, że prześpię jej krzyki. Znałam fazy snu mamy: najpierw pojawiało się pochrapywanie, a gdy ustawało, zaczynały się krzyki.

„Moody, nie – prosiła. – Nie zabieraj mi jej. Mahtob, uciekaj!” Kopała, drapała i błagała. Niestrudzenie mocowała się ze swoim demonem, a gdy jej ciało zaczynało się uspokajać, demon jeszcze raz przypuszczał atak. „Trzymaj się od niej z daleka – warczała, a jej głos był lodowaty i pełen determinacji, która bierze się tylko z rozpaczliwej walki matki w obronie swojego dziecka. – Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże!”

Łagodnie szturchałam ją w ramię, szepcząc: „To tylko sen, mamusiu. Jesteśmy bezpieczne”. Ale mój cienki głosik był zwykle zbyt cichy, żeby się do niej przebić. W końcu jej gorączkowe krzyki ustępowały miejsca przejmującemu zawodzeniu. W głowie mi huczało, a żołądek podchodził do gardła. Odwracałam się na drugi bok, plecami do niej, chowałam głowę pod poduszkę i przyciskałam ją z całych sił, daremnie usiłując stłumić przerażenie, które nadal czyhało w każdym zakamarku naszego życia.

Gdy już dłużej nie mogłam tego znieść, szturchałam ją na tyle mocno, że zaczynała się wiercić. Nie chciałam jej zbudzić, ale musiałam to powstrzymać. Czasami czułam, że siada na łóżku i spogląda ponad moim ramieniem, żeby sprawdzić, czy śpię. „Mahtob, śpisz?” – pytała. Uspokajałam oddech i zerkałam przez na wpół przymknięte powieki, udając, że śpię, dokładnie tak jak mnie nauczyła w Iranie. Właśnie w ten sposób obserwowałyśmy tatę, żeby się przekonać, co robi, bo szukałyśmy jakiejś wskazówki, czegoś, co mogłoby nas ochronić albo pomóc nam w ucieczce.

Nienawidziłam taty za to, że nam to robi. „Nienawidzę cię. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię!” – krzyczałam co noc w swojej głowie, jakby mógł mnie usłyszeć, jakby nawet najdalsze zakamarki mojego umysłu znajdowały się pod jego kontrolą.

Wydawało się, że każdy dzień przynosi więcej strachu przed odwetem ojca. Bez rozwodu mama nie mogła uzyskać prawa do stałej opieki nade mną, co oznaczało, że nawet gdyby tato został przyłapany na lotnisku na próbie wywiezienia mnie z kraju, nikt nie mógłby go powstrzymać.

Na wszelki wypadek mama zaczęła nosić pistolet i zleciła zainstalowanie alarmu w naszym domu. Kiedy był włączony, niewidzialne promienie laserowe poszukiwały ruchu i gdyby jakiś wykryły, natychmiast uruchomiłyby syreny, żeby zawiadomić policję. Mieliśmy tajny kod, który można było wystukać na klawiaturze, żeby wysłać wezwanie o pomoc, nie ostrzegając potencjalnego intruza. Oprócz tego dostałam przycisk alarmowy, który miałam nosić jako

naszyjnik, gdy opuszczałam bezpieczne miejsce za naszymi zamkniętymi na klucz drzwiami.

Pewnego wieczoru zadzwonił dzwonek do drzwi. Bardzo się ucieszyłam na widok rodziny, która chodziła też do naszego kościoła. Ich nastoletnia córka kilka razy opiekowała się mną pod nieobecność mamy. Oprócz pastorów, nauczycieli, naszej rodziny i bliskich przyjaciół, którzy nas znali, zanim wyjechaliśmy do Iranu, nikt jeszcze nie wiedział o naszej gehennie ani o tym, że mama napisała książkę. Wszystko to zmieniło się w dniu, w którym mama wystąpiła w programie *Good Morning America*. Książka *Tylko razem z córką* ukazała się wczesną jesienią 1987 roku i mama rozpoczęła *tournée* związane z jej promocją.

Rodzina, która bez zapowiedzi zjawiła się tamtego wieczoru w naszym domu, była wzburzona. Jej członkowie czuli się zdradzeni z powodu naszej dyskrecji i byli wściekli, że trzymano tę sprawę przed nimi w tajemnicy. Ich córka i ja zostałyśmy odesłane do mojego pokoju, ale przez zamknięte drzwi słyszałyśmy stłumione krzyki jej rozgniewanych rodziców. To był definitywny koniec naszej przyjaźni. Potrafiłam zrozumieć, dlaczego jej rodzice uważali, że stanowią zagrożenie, i było mi smutno, że narażam innych na niebezpieczeństwo.

Towarzyszyłam mamie podczas promocyjnego *tournée* tak często, jak tylko się dało, ale szybko okazało się, że podróżowanie i nadążanie z nauką jest ponad moje siły. Dlatego coraz częściej się rozstawałyśmy. Od początku zostawała ze mną babcia. Nauczyła mnie szydełkować. Wieczorami robiłyśmy narzuty. Prucie ściągów i zwijanie wełny w kłębek podobało mi się prawie tak samo jak wydłużanie swojej robótki, toteż efektem większości moich prób były ogromne kłębki. Kiedy nie szydełkowałyśmy, grałyśmy w karty albo oglądałyśmy w telewizji ulubionych piosenkarzy country babci. Moje życie toczyło się normalnie – a w każdym razie była to moja wersja normalności.

Któregoś dnia późnym wieczorem, po powrocie z podróży, mama ostrożnie usiadła na brzegu naszego łóżka i zbudziła mnie pocałunkiem w czoło.

– Mamusiu, jesteś w domu! – powiedziałam zaspana, przytulając się do niej.

– Mam coś dla ciebie. – Uśmiechnęła się promiennie i wyjęła małą torebkę z szarego aksamitu.

Ziewając i mrugając w smudze jasnego światła sączącego się z holu, wzięłam od niej woreczek. Mieścił mi się na dłoni. Ostrożnie pociągnęłam za tasiemkę ściągającą jego otwór. Rozluźniła się, ukazując błysk czegoś lśniącego. Sięgnęłam do środka i wyjęłam piękną złotą bransoletkę. Mama nie mogła mi dać wspanialszego prezentu.

Od małego nosiłam złote bransoletki. Byłam oczarowana kolekcją delikatnych, podzwaniających kóelek ze złota, które ozdabiały ręce naszych przyjaciółek – kobiet z Indii, Pakistanu, Armenii, a nawet moich krewniaczek w Iranie. Nie mogłam się doczekać, kiedy dorosnę i będę nosiła mnóstwo

bransoletek tak jak one. Chociaż wyrzekłam się ojca i dziedzictwa, które mi dał, kurczowo trzymałam się swoich bransoletek. Z czasem z nich wyrosłam, ale nadal się nie zgadzałam, żeby mi je zdjęto. Jednak kiedy pojawiło się ryzyko, że będą utrudniały krążenie krwi, mama zabrała mnie do jubilera i poprosiła, żeby je rozciął.

Najpierw mój króliczek, a potem bransoletki. Mama współczuła mi z powodu żalu, który towarzyszył konieczności rozstania się z częścią mojej tożsamości, zanim byłam na to gotowa. Dostrzegła również okazję, żeby wzbudzić u mnie podziw dla pewnego aspektu mojej perskiej kultury.

– Spójrz na to. – Mama wskazała na niemal niezauważalny przycisk z boku bransoletki. – Naciśnij go i zobacz, co się stanie.

Nacisnęłam i ku mojemu zdziwieniu bransoletka się rozszerzyła. Mama, chcąc mieć pewność, że uniknie w przyszłości przykrych niespodzianek, zdobyła dla mnie bransoletkę, którą mogłam nosić, nie martwiąc się, że z niej wyrosnę. Dzięki zwykłemu wciśnięciu przycisku mogłam łatwo zdjąć swoje nowe kółko, wtedy gdy będę na to gotowa.

* Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Warszawskiej, najpopularniejszego w Polsce protestanckiego przekładu Pisma Świętego.

ROZDZIAŁ 14

Nadal rozmyślając o kobiecie, którą poznałam w samolocie do Atlanty, kartkuję swój do połowy wypełniony album ze zdjęciami. Była zaskoczona, gdy się dowiedziała, że nie czytałam *Tylko razem z córką* ani drugiej książki mamy *Z miłości do dziecka*. To chyba typowa reakcja. Ludzie, którzy znają naszą historię, zakładają, że czytałam te książki. Ale po co miałabym je czytać? Ja je przeżyłam.

Przypuszczam, że gdyby nie Anja, być może w którymś momencie, pewnie w okresie dorastania, wzięłabym pod uwagę przeczytanie ich. Ale Bóg jest dobry i stawia na naszej drodze właściwych ludzi we właściwych momentach. Gdy byłam dzieckiem, zesłał mi Anję Kleinlein.

Anja, redaktorka niemieckich wydań książek mamy, szybko stała się dla mnie jak ktoś z rodziny. Żyła pełnią życia i dobrze poznała jego skrajności – ogromną radość i odrażające zło. Jednak jakoś udało jej się zachować pogodę ducha i wygrzewać się w promieniach słońca, zamiast pogрузić w bólu z powodu tragedii, którą przeżyła. Niczym kochająca babcia tuliła mnie do siebie i uczyła sekretów przetrwania.

Dzięki mądrości zahartowanej w życiowych pożarach Anja wiedziała, jak ważne będzie dla mnie zachowanie nieskazonych wspomnień. Dlatego gdy miałam zaledwie osiem czy dziewięć lat, kierując się radami Anji, podjęłam świadomą decyzję, że nie przeczytam książek mamy.

Ramię w ramię wspinałyśmy się z mamą po tych samych górach w Iranie, dosłownie i w przenośni, ale nasze doświadczenia były zupełnie odmienne, i trudno się temu dziwić. Przecież patrzyłyśmy przez zupełnie inne soczewki. Nie mam wątpliwości, że wspomnienia w mojej głowie należą do mnie. Są obrazami mojej przeszłości uchwyconymi przez obiektyw młodego wieku i rozumiane przede wszystkim z perspektywy dziecka.

Czując chłód, kładę album obok pudła i szukam swojego ulubionego swetra. Sweter jest kremowy, rozpinany, z podłużnymi drewnianymi guzikami i za duży na mnie. Należał do taty, zanim wyjechaliśmy do Iranu. Sięga mi do kolan, a rękawy są podwinięte i okropnie grube, ale nie ma lepszego swetra do leniuchowania w domu. Zauważywszy go w szafie, rozsuwam morze ubrań, a wieszaki skrzypią o metalową rurę. Kątem oka dostrzegam, że z cienia wyłania się coś połyskującego i szarego.

To zabawne, jak coś może być niewidzialne, choć jest całkowicie na widoku. Nie wiem, kiedy ostatnio widziałam spódnicę, która wypadła mamie z torby tamtego wieczoru przed kwaciarnią w Iranie. Dlaczego przez te wszystkie lata wisiała nienoszona w głębi mojej szafy? Przesuwam palcami po jej szwach, delikatnych i precyzyjnych. Została uszyta ręcznie dla mamy w Iranie. Ja też taką miałam. Zastanawiam się, co tato zrobił z moją, gdy już zdał sobie sprawę, że nie

wrócę, żeby ją nosić. Jak długo wisiała w mojej szafie w jego domu?

Gdy patrzę na tę spódnicę, przypomina mi się ów kluczowy moment, kiedy mama i ja wspólnie podjęłyśmy decyzję, żeby uciec. Studiując psychologię rozwojową, dowiedziałam się, że dzieci na ogół uniezależniają się od rodziców w okresie dojrzewania. Właśnie wtedy rozwija się u nich poczucie własnego ja – ich tożsamości, indywidualności, samodzielności. Dlatego nastolatki buntują się i sprawdzają, jak daleko mogą się posunąć. Dlatego zwykle trzymają się z przyjaciółmi, a odsuwają od rodziców.

Jednak los sprawił, że od samego początku etapy mojego rozwoju następowały we własnym tempie. Z powodu huraganu urodziłam się o miesiąc za wcześnie. Mimo to, jak twierdzi mama, nauczyłam się siedzieć, przewracać na bok, chodzić, a nawet mówić wcześniej niż inne dzieci. Rodzice poświęcili sporo czasu i włożyli wiele wysiłku w moje wychowanie. Mieli wobec mnie – zwłaszcza tato – duże oczekiwania, a ja już w młodym wieku nauczyłam się mieć jeszcze większe oczekiwania względem siebie. Do dziś uważam, że jedną z najgorszych rzeczy, jaką możemy zrobić innym, to mieć wobec nich małe oczekiwania.

Chociaż miałam dopiero sześć lat, mama doceniła moją zdolność zrozumienia powagi sytuacji i konsekwencji decyzji o ucieczce. Choć rozpaczliwie pragnęła uciec, nigdy nie wyjechałaby beze mnie. A jednak mimo swojej desperacji miała dla mnie jako osoby wystarczająco dużo szacunku, żeby pozwolić mi zdecydować, czy mamy zostać, czy odejść. Na szali znalazła się nie tylko ścieżka jej życia, lecz także mojego. Nie podjęłaby tak brzemienną w skutki decyzji w mojej sprawie bez konsultacji ze mną nawet wtedy, gdy nie było czasu na rozmowę, nawet wtedy, gdy zwłoka mogła dosłownie oznaczać dla niej życie lub śmierć.

Gdybym powiedziała, że chcę wrócić do taty, wróciłybyśmy. Jeśli kiedykolwiek była jakaś chwila, która okazała się znamieną dla naszych relacji, to właśnie tamta. Nie musiałam czekać do wieku dojrzewania, żeby walczyć o niezależność. Mama dała mi ją dobrowolnie i wspaniałomyślnie dziesięć lat przed czasem.

Czując się wygodnie w starym swetrze taty, wracam do otwartego pudła na werandzie. Opadając na podłogę obok niego, zerkam do góry na swój *haft sin*. Wszystko, co znajduje się na tym stole, ma znaczenie symboliczne. *Sib* i *sir* – jabłka i czosnek – przekazują pragnienie piękna i zdrowia. *Serke* – ocet – symbolizuje mądrość. *Samanu*, reprezentowane na moim stole przez chałwę, przysmak robiony z masy z ziaren sezamu, miodu i pistacji, oznacza przyjemne rzeczy, które ma do zaoferowania życie. I tak dalej. Każda z tych rzeczy spoczywa na spodeczku ze złotą obwódką wykonanym z przezroczystego szkła, będącym częścią perskiego serwisu do herbaty, który należał do moich rodziców.

Na stole *haft sin* życie i odrodzenie są reprezentowane przez zielone rośliny

– *sabzi*. W domu mojego dzieciństwa *haft sin* nie był kompletny bez całej masy wiosennych kwiatów: wesołych żółtych żonkili, pachnących hiacyntów i jaskrawych tulipanów z ich kruchymi, pokrytymi pyłkiem pręcikami. Jako dziecko lubiłam zbierać na palec ten jasny pył i przeciągać nim po powiekach, tworząc swój własny cień do oczu. Teraz fioletowy hiacynt stojący na stole wypełnia pokój słodką wonią. Dla mnie to jest zapach Nouruzu.

Innym podstawowym artykułem są źdźbła pszenicy. Zawsze na wiosnę mama wyjmowała ze spiżarni pojemnik z łuskanymi ziarnami pszenicy. Przez resztę roku zjadaliśmy je w zupach i innych potrawach, ale na Nouruz służyły do siania. Wsypywała garść ziaren do płytkiej miski, zalewała je letnią wodą i zostawiała na noc, żeby nasiąkły. Następnego dnia napełnialiśmy tacki ziemią, sypaliśmy na wierzch namoczone ziarna, podsypywaliśmy jeszcze trochę ziemi i czekaliśmy, aż wzejdą.

Nouruz jest czasem rozpoczynania od nowa, zostawiania za sobą wszystkich negatywnych uczuć z minionego roku i ruszania naprzód z czystym kontem. Jeśli wyrządziło się komuś krzywdę, Nouruz jest odpowiednim momentem, żeby zmienić się na lepsze. Jeśli zostało się przez kogoś skrzywdzonym, Nouruz jest odpowiednim momentem, żeby przebaczyć.

Pierwsze kielki pszenicy zaczynają się pojawiać mniej więcej na trzeci dzień. Rosną tak szybko, że niemal możesz usiąść i patrzeć, jak to się dzieje. Najpierw ziarno kielkuje i zaczynają się tworzyć maleńkie korzonki. Lubię używać przezroczystych pojemników, żeby oglądać korzenie, które wydłużają się i splatają z sobą, aby podtrzymać świeże zielone źdźbła. Na półmisku głębokim zaledwie na dwa i pół centymetra mogą one osiągnąć wysokość od dwudziestu do dwudziestu pięciu centymetrów, a nawet więcej. To zjawisko dowodzi znaczenia silnych korzeni. Niektóre źdźbła kielkują tak energicznie, że unoszą na sobie do góry grudkę ziemi, którą podtrzymują całymi dniami. Jeśli się dokładnie przyjrzeć, można nawet dostrzec pojedynczą połyskującą kropelkę wody uczeploną źdźbła.

Gdy pszenica rośnie, przenosisz na jej kielki wszelkie negatywne uczucia, które żywisz od zeszłego roku. Tradycja nakazuje, by po upływie dwóch tygodni wyrzucić źdźbła do rzeki, a wraz z nimi urazy z ostatniego roku. Ja właściwie nigdy nie wrzuciłam swojej pszenicy do rzeki, ale zawsze dochodzi do pewnej emocjonalnej próby sił, gdy trzeba wyrzucić zdrowe, dobrze rozwijające się rośliny, o które się troszczyłam.

Symbolika jest jasna. Trzymamy się rzeczy, które kultywujemy – tym bardziej należy mądrze wybierać obiekt naszych skłonności. Uraza, którą żywimy, jeśli się od niej nie uwolnimy, może na zawsze zatruć nam życie i relacje z innymi ludźmi.

Przez całe moje życie mama i ja z entuzjazmem dzieliłyśmy się zwyczajami związanymi z Nouruzem ze swoimi przyjaciółmi. Byłam nawet znana z tego, że

przenosiłam te praktyki do miejsca pracy. Któregoś roku zaopatrzyłam nasz pokój socjalny we wszystkie niezbędne artykuły i dołączyłam ulotkę wyjaśniającą, na czym polega ta idea. Moich kolegów zachwycił ten pomysł, który nazwałam „sianiem ziaren pokoju”. Fajnie było przechodzić korytarzami i widzieć naczynia z wiosenną zielenią rosnącą na biurkach i parapetach.

Podobnie jak ja, niektórzy nie byli gotowi na pozbycie się swoich roślin po upływie dwóch tygodni. Gdy nadszedł czas na zabawę pod tytułem „wyrzuć je do rzeki”, moja skrzynka pocztowa została zasypana e-mailami z pytaniem, czy można je zatrzymać. Poza tym tego dnia padało, więc nie byłoby przyjemnie wychodzić na deszcz. Pewna koleżanka, nie chcąc zmarnować wyhodowanego życia, zabrała swoje źdźbła pszenicy do domu i nakarmiła nimi żółwia. Byli i tacy, którzy z radością zerwali te więzy, chętnie pozbywając się psychologicznego ciężaru. Przebaczenie bywa trudną rzeczą.

Choć tak bardzo usiłowałam wytrwać w gniewie i nadal nienawidzić taty, przyjemne wspomnienia w końcu znalazły drogę i wdarły się do mojego serca. Nikt nie jest całkowicie dobry ani całkowicie zły. Fakt, że mój ojciec na zawsze zostanie częścią mnie, był niezaprzeczalny. Pogodzenie się z sobą samą w znacznej mierze polegało na ponownym odkrywaniu w nim dobra i uznawaniu, że jest ono moim dziedzictwem.

Akt przebaczenia nie przypominał pstrykania wyłącznikiem – wybaczone... niewybaczone... wybaczone... niewybaczone... wybaczone. Był to stopniowy proces, kiedy powoli mięknie serce, w czym pomagały mi rady mamy i nauczycieli takich jak pani Hatzung. Nie jestem pewna, dokładnie jak ani kiedy przebaczyłam tacie, ale dobrze wiem dlaczego. Od mojego pierwszego dnia w Salem i dosłownie każdego następnego, który spędziłam w tej szkole, uczono mnie o niewiarygodnie zbawczej mocy miłości. Jej tajemnice odsłaniano przede mną nie tylko na lekcjach, których udzielali mi moi nauczyciele, mówiąc o miłości Boga do wszystkich ludzi, lecz także poprzez bezgraniczną miłość, której sami dawali przykład.

Jednocześnie uczono mnie także o destrukcyjnym, zabójczym wpływie nienawiści na nasze życie i, co ważniejsze, na nasze dusze. „Każdy, kto nienawidzi brata swego – mówi Biblia – jest zabójcą” (Pierwszy List św. Jana 3, 15). Jasne i proste. Nienawiść jest grzechem – takim, który, jak wszystkie grzechy, oddala nas od Boga i jego przebaczenia. Nienawiść jest rakiem, a widziałam, jak rak niszczy ciało mojego dziadka i ostatecznie odbiera mu życie. Miałam wielkie szczęście, że w moim życiu znaleźli się dorośli, którzy uznali, że jeśli nie dowiem się o niebezpieczeństwach związanych z grzechem, w którym trwam, zniszczy mnie on i skaże na wieczne potępienie w piekle.

Moi nauczyciele pozwolili mi na to, żebym wybaczyła swojemu ojcu. Mama pozwoliła mi, żebym go kochała. To był jeden z najwspanialszych prezentów, jakie od niej dostałam. Podczas gdy reszta naszej rodziny raczej się nie kryła

z nienawiścią do mojego ojca, mamie udało się znaleźć miłosierny kompromis między zachowaniem realizmu a wyrażaniem się pochlebnie o tacie. Nie tylko przy mnie mówiła o nim życzliwie. Robiła to przy wszystkich. Ten jej bezinteresowny uczynek miał trwały wpływ na moje życie – i nie tylko moje. Gdyby nie jej bezgraniczne poświęcenie, żeby pomóc mi wyzdrowieć, być może łatwiej by jej było ociągać się w ciemnościach. Ale nie mogła mnie wydostać z mojej czarnej dziury nienawiści, nie odnajdując najpierw własnej drogi wyjścia.

Odwracając się do stojącego obok pudła, sięgam do środka niczym archeolog bliski odkopania reliktu przeszłości, ale znajduję jedynie wyswiechtany notes na spirali. Otwieram żółtą okładkę i odkrywam znajome pismo swojego dawnego ja. Jest tam mnóstwo stron zapisanych niechlujnym dziecięcym pismem. Na wolnej przestrzeni ponad linijkami pierwszej strony nagryzmołono ołówkiem: „Pamiętnik Amandy Smith”. Niektóre z ogromnych liter skręcają w górę, a niektóre w dół. Te trzy słowa zajmują niemal całą szerokość kartki.

Pierwszy wpis nosi datę 2 września 1988 roku, dwa dni przed moimi dziewiątymi urodzinami. „Czytałam, że jak weźmiesz swój palec i zmieżysz rękę, to jesteś właśnie taki wysoki”. Niestety, moja ortografia poprawiła się tylko nieznacznie, odkąd skończyłam trzecią klasę. 28 września napisałam: „Czytałam o Woodsy Owl*. Muwi, żeby nie śmiecić. Muwi, że jak idziesz na wycieczkę, nie zostaf śladu czegoś, tylko narysuj na kamieniu”. Odnotowałam tę ciekawostkę w zakamarkach pamięci na wypadek, gdybym została kiedyś porwana i musiała zostawić mamie wskazówki, żeby mnie znalazła.

12 października napisałam o Statui Wolności: „Reprezentuje pokój na świecie”. To temat bliski mojemu sercu. Najbardziej wymowny jest wpis z 30 listopada: „Dzisiaj czytałam o księżniczce She-Ra. Dowiedziałam się, że ras została porwana. She-Ra ma dwie tożsamości. Jedna to She-Ra, a druga Adora”. To wszystko, co o tym napisałam, przedstawiając rzeczowe podsumowanie naszych podobieństw. She-Ra była w tamtym okresie moją ulubioną bohaterką filmów rysunkowych. Wcieliłam się nawet w tę superbohaterkę na Halloween. Wygląda na to, że zdążyłam się już wtedy pogodzić ze swoją podwójną osobowością. Wyjazdy z mamą niewątpliwie odegrały w tym zasadniczą rolę, bo pozwalały mi uwolnić moją pierwotną tożsamość.

Ponieważ książka *Tylko razem z córką* święciła triumfy, wyjazdy mamy stały się coraz częstsze. Uzgodniła z moimi nauczycielami, że będę mogła jej towarzyszyć w niektórych podróżach. W piątej i siódmej klasie wyprawy w środku roku szkolnego zawiodły mnie do Australii, a w trzeciej pojechałam do Utah.

Pani Tackebury, moja nauczycielka w trzeciej klasie, uwielbiała muzykę i ruch, więc regularnie łączyła jedno z drugim na naszych lekcjach. Gdy chciała nam sprawić przyjemność, akompaniowała podczas śpiewu na ukulele albo na tamburynie, a na specjalne okazje wyjmowała drążki do skakania. Pasjonowała ją

również łaska Boża. Nie było dnia, w którym nie przypominałyby nam o niej. „Łaska jest niezasłużoną miłością Boga do nas, grzeszników – mawiała, pełna podziwu, że choć jesteśmy grzeszni, Bóg tak bardzo nas kocha, że zesłał swojego Syna, aby nas zbawił. – Nie robimy nic, żeby na to zasłużyć, a jednak Bóg daje nam to bez zastrzeżeń. To właśnie jest łaska”.

Inną jej pasją była nauka pisania i czytania, dlatego nie byłam zaskoczona, że gdy wyjeżdżałam z mamą do Utah, dostałam od pani Tackebury specjalne zadanie dokumentowania każdego dnia. Niemal ćwierć wieku, które minęło od tamtej pory, zatarło wspomnienia z tej podróży, z wyjątkiem wieczorów, które spędzałam, siedząc w pokoju hotelowym i starannie opisując wydarzenia minionego dnia. Jedyną rzeczą, jaką pamiętam z tego, co notowałam, to pragnienie, żeby moja mama nie była przez cały czas tak bardzo zmęczona. Dlaczego nie mogła mieć tyle ikry ile pani Tackebury?

Gdy wróciłam do szkoły, oddałam pani Tackebury stos kartek dokumentujących każdy dzień, a ona zaskoczyła mnie, oprawiając je w tekturowe okładki oklejone tapetą i wręczając mi moją pierwszą w życiu własnoręcznie napisaną książkę.

* Postać sowy w stroju leśnika, stworzona przez Służbę Leśną Stanów Zjednoczonych z myślą o propagowaniu wśród dzieci szacunku dla środowiska naturalnego.

ROZDZIAŁ 15

Chociaż moje wyjazdy w ciągu roku szkolnego były ograniczone, to jednak letnie wakacje zawsze spędzałam u boku mamy, podróżując po świecie, żeby promować jej książkę, która szybko stała się światowym bestsellerem i została nawet nominowana do Nagrody Pulitzera. Uwielbiałam odwiedzać nowe miejsca, spotykać fascynujących ludzi i poznawać ich kulturę oraz ich upodobania kulinarne.

W Londynie, gdy miałam mniej więcej dziewięć lat, po raz pierwszy zobaczyłam czarnego łabędzia, spotkałam nastolatka z obrozą na szyi i z irokezem w postaci żółtawozielonych kolców oraz poczułam frajdę, jaką daje tworzenie wzorów z wosku w Opactwie Westminsterskim. Dla mnie był to zwyczajny dzień. Moje życie było eklektyczne do granic możliwości, a ja chłoniłam wszystko z zachwytem.

W każdym nowym mieście mama i ja przechodziłyśmy przez całą gamę doświadczeń z mediami. W Skandynawii z powodu oszczędności czasu zorganizowano serię spotkań promocyjnych z prasą. Siadałyśmy w hotelowym pokoju, przez który przewijały się tabuny dziennikarzy, a każdy z nich zadawał takie same pytania, jak ci, którzy byli przed nim.

Ponieważ chciałyśmy, żebym miała swobodę w odpowiadaniu na wybrane pytania, czasami mama i ja udzielałyśmy wywiadów oddzielnie, w sąsiednich pokojach. Większość reporterów była bardzo uprzejma. Zadawali mi głupie pytania, żeby rozluźnić atmosferę i pozwolić mi poczuć się swobodnie. Nadal byłam nieśmiała, ale nie miałam nic przeciwko udzielaniu wywiadów, zwłaszcza dla mediów drukowanych, bo wtedy istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że czytelnik dostrzeże moje skrępowanie.

Pewnego razu w Kopenhadze miałam do czynienia z dziennikarzem, przy którym natychmiast poczułam się nieswojo. Traktował mnie jak pięciolatkę, chociaż miałam dziewięć lat, i próbował sprawić, żebym przestała się mieć na baczności. Zaczął od standardowych pytań, ale wkrótce stało się jasne, że ma pewien plan – skłonić mnie do wyjawienia prawdziwej tożsamości człowieka, który pomógł nam w ucieczce.

Mama nauczyła mnie sztuki taktownego nieodpowiadania na niektóre pytania. Zamiast ujawnić nazwisko naszego wybawcy, wyjaśniłam reporterowi, dlaczego ważna jest ochrona jego tożsamości. Jednak on ponownie zapytał, kto nam pomógł, więc opowiedziałam szczegółowo o metodach, które przez lata stosowałyśmy, żeby go chronić. Reporter nie dał się zniechęcić, pewny, że w końcu zdradzę mu wystarczająco dużo, by mógł poskładać elementy układanki. Za każdym razem, kiedy pytał, uchylałam się od odpowiedzi.

Ulżyło mi, gdy przerwano nam w związku z lunchem. Kiedy tylko

zobaczyłam mamę, powiedziałam jej na osobności, że mam dość wywiadów na ten dzień.

– Okej, możesz skończyć na dziś. Nie musisz udzielać wywiadów, jeśli nie chcesz. Czy coś się stało?

– On chce, żebym mu wyjawiała, kto nam pomógł uciec. Powiedziałam, że tego nie zrobię, ale wciąż mnie o to pyta. – Wściekałam się. – Nie będę z nim więcej rozmawiać.

Mama natychmiast poinformowała organizatorów, że tego dnia nie udzielię już wywiadu i że spędzę popołudnie z nią.

Każdego wieczoru po zakończeniu wywiadów przedstawiciele wydawnictwa zabierali nas na kolację. Były to ekstrawaganckie posiłki złożone z niekończącej się liczby dań. Nawet jako dziecko cieszyłam się, gdy miałam okazję skosztowania nowych potraw. Jednak podczas naszej skandynawskiej podróży moja tolerancja została wystawiona na ciężką próbę.

Skandynawowie są dumni z obfitości świeżych owoców morza w swojej kuchni, więc każde danie główne, które nam podawano, wydawało mi się surowe. W rzeczywistości większość ryb była wędzona, ale w taki sposób, że dla małej dziewczynki z amerykańskiego Środkowego Zachodu wyglądały i smakowały jak nieugotowane. Tylko raz nie podano nam ryby – dostaliśmy tatar, który okazał się zadziwiająco smaczny.

Naszego ostatniego wieczoru w Szwecji rzeczniczka prasowa pochwaliła mnie, mówiąc, że świetnie się spisywałam na skandynawskim *tournee*, i dodała:

– Dzisiejszy wieczór należy do ciebie. Pójdziemy, dokąd tylko zechcesz. Co chciałabyś zjeść?

W innych okolicznościach podziękowałabym i powiedziała, że chętnie pójde tam, gdzie mnie zaprosi, ale ponieważ miałam powyżej uszu wędzonego mięsa, zanim zdołałam się powstrzymać, słowa same mi się wymknęły.

– Wszystko jedno, byle było gotowane – powiedziałam, wzdychając głęboko.

Moja prostoduszna odpowiedź została powitana wybuchem gromkiego śmiechu.

– No to świetnie – powiedziała rzeczniczka, gdy już odzyskała mowę. – Pójdziemy na szwedzkie racuchy z syropem z brusznic. To też jest miejscowy specjał i obiecuję ci, że będzie gotowany.

W Londynie najbardziej uroczy wydał mi się tradycyjny podwieczorek. Był poza tym delikatny i wykwintny – maleńkie kanapeczki z ogórkiem, misternie udekorowane porcje ciasta, miniaturowe tarty owocowe, babeczki z gęstą śmietaną i dżemem. To było wspaniałe przeżycie. Mama i ja siedziałyśmy w hotelowym holu, otoczone ogromnymi aranżacjami kwiatowymi, sącząc herbatę, podczas gdy gra harfistki wypełniała pomieszczenie wytwornymi dźwiękami muzyki

klasycznej.

W Paryżu zapoznałam się z naleśnikami, bagietkami zapiekаныmi z serem brie i szynką oraz stekami podawanymi z cienkimi, złotymi frytkami i niezwykle delikatną musztardą. Jednak niczego, co jadłam we Francji ani gdziekolwiek indziej na świecie, nie dało się porównać do śniadania w Hôtel Balzac – croissanty, jeszcze ciepłe po wyjęciu z pieca, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, kawa dla mamy, gorąca czekolada dla mnie. Najbardziej smakowały mi croissanty z biegnącym przez środek paskiem pożywnej ciemnej czekolady – pain au chocolat.

Wspaniałym odkryciem okazało się również to, że gorąca czekolada nie wszędzie na świecie jest taka sama. We Francji nie była zbyt słodka. Była pożywna i gorzka jak nadzienie pain au chocolat, więc ją dosładzałam. W Hiszpanii była nieco słodsza, ale także gęsta, niemal jak gotowany pudding, zanim się zetnie.

Właśnie w Hiszpanii pokochałam gazpacho, chociaż moje pierwsze doświadczenie z jedzeniem tej potrawy nie było całkiem przyjemne. Tamtego wieczoru na kolacji było sporo osób – ludzie z wydawnictwa, jak sądzę, i chyba jacyś przedstawiciele mediów. Jak to było w zwyczaju podczas tego rodzaju posiłków, mama i ja nie siedziałyśmy obok siebie. Kolacja zaczęła się od postawienia przed każdym z gości miseczki ze schłodzoną zupą pomidorową. Patrzyłam na innych przy stole, spodziewając się sygnału, że można zacząć jeść. Nikt nie sięgnął po łyżkę, więc czekałam. Zanim się zorientowałam, stanął przy mnie kelner, proponując mi posiekane ogórki do zupy. Ponieważ lubiłam ogórki i chciałam dostosować się do panujących zwyczajów, skinęłam głową. Gdy włożył do mojej miseczki łyżkę ogórków, podziękowałam mu, a on przeszedł do kolejnego gościa. Następnie zaproponowano mi łyżkę cebulek, po których pojawiły się pomidory, papryka i nie pamiętam już co jeszcze. Sądząc, że tak wypada, uprzejmie przyjmowałam każdą propozycję.

Jeden z gości siedzący naprzeciwko mnie patrzył ze zdumieniem, jak w mojej miseczce piętczą się dodatki. Pochylił się w stronę mężczyzny, który zajmował miejsce obok niego, i zachichotał, wskazując ruchem głowy w moim kierunku i szepcząc coś po cichu. Natychmiast zrozumiałam, że nie jest przyjęte branie wszystkich dodatków. Byłam okropnie zażenowana. Miałam ochotę się rozpłakać. Chciałam wtopić się w krzesło i zamienić w kałużę pod stołem. Czulałam się gruba, skrępowana i niezdarna. Nie mogłam podnieść wzroku, bo bałam się napotkać ich spojrzenia.

Z perspektywy czasu jestem pewna, że wcale mi się nie przyglądali, ale wtedy miałam wrażenie, że oczy wszystkich w restauracji świdrują mnie z dezaprobatą. W bliskowschodniej kulturze, zgodnie z którą mnie wychowano i w której jedzenie jest oferowane w nadmiarze jako symbol hojnej gościnności, postąpiłabym niegrzecznie, gdybym odmówiła poczęstunku. Zostałoby to odebrane

jako zniewaga naszych gospodarzy. Uświadomiwszy sobie dotkliwie swoją gafę, straciłam apetyt, co teraz wydaje mi się najbardziej godne ubolewania. Zupa była wyśmienita. Dlaczego musiałam pozwolić, żeby upokorzenie odebrało mi radość z jej jedzenia?

Podczas tych podróży nasz napięty program rzadko pozwalał na zwiedzanie, ale mnie to nie przeszkadzało. W innych krajach najciekawszi wydawali mi się ich mieszkańcy i miejscowe jedzenie. Z naszych wyjazdów najmilej wspominam godziny spędzone na wspólnych posiłkach z nieznanymi, którzy serdecznie nas zapraszali do swojego życia na dzień czy dwa albo na zawsze.

Czy to za granicą, czy w kraju, ludzie zadawali sobie dużo trudu, żeby okazać nam wielką życzliwość. Dostawałyśmy tysiące listów od osób, które przeczytały książkę, oferowały nam wsparcie i dodawały otuchy. Dzieci przysyłały mi swoje obrazki i proponowały, żebym została ich korespondencyjną przyjaciółką. Wiele osób mówiło, że nazwie swoją córkę Mahtob. Listy, które najbardziej mnie wzruszały, pochodziły od innych dzieci takich ja, żyjących w ciągłym strachu, że zostaną porwane przez jedno z rodziców. Każdy z tych listów przypominał o zasadniczym znaczeniu zwiększania świadomości na temat rodzicielskich uprowadzeń dzieci za granicę. Dlatego nadal udzielałyśmy wywiadów.

Podczas gdy mama była niezmiernie wymowna, dążąc do podnoszenia poziomu tej świadomości, moja nieśmiałość sprawiała, że praktycznie milczałam, ku frustracji medialnych legend, takich jak Larry King, Maria Shriver i Barbara Walters.

Kiedy mamę przygotowywano do drugiego wywiadu z Barbarą Walters – tym razem do programu *Good Morning America* – przyglądałam się temu z pewnej odległości. Pani Walters przywitała mamę na planie, gdzie panowała gorączkowa krzątanina. Charakteryzator podbiegł, żeby je przypudrować, a facet od dźwięku przypiął mamie mikrofon. Mimo tego zamieszania obie panie gawędziły poufale, jakby były same w całym pomieszczeniu.

– A jak się ma Mahtob? – zapytała pani Walters.

– Bardzo dobrze – odparła mama, wskazując na mnie. – Jest tam.

– O mój Boże. – Barbara Walters rozpromieniła się, machając do mnie, żebym się zbliżyła. – Przyprowdźcie ją tutaj.

Za kilka sekund miały się znaleźć na antenie, więc ekipę ogarnęło zdenerwowanie. Nie było dla mnie krzesła. Nie zostałam uczesana ani umalowana. Nie przypięto mi mikrofonu. Przygotowane pytania mnie nie obejmowały.

Nasza gospodyni w ogóle nie chciała słyszeć o tym, że nie będę uczestniczyć w programie. Przytuliła mnie i dała mi znak, żebym usiadła przy niej. Obejmując mnie ramieniem, przegoniła wszystkich, gdy odliczano sekundy do wejścia na antenę.

Odcinek zaczął się od pokazania Barbary Walters uśmiechającej się

serdecznie do kamery.

– Witam ponownie. Jestem tu ze swoją przyjaciółką Mahtob. Znamy się od dawna...

Całkowicie panowała nad wywiadem. Ponieważ nie otrząsnęłam się jeszcze ze strachu, że narobiłam takich kłopotów pracownikom, zdaje się, że nie powiedziałam ani słowa do kamery. Być może jestem jedyną osobą, z którą Barbara Walters dwukrotnie przeprowadziła wywiad i która nie odpowiedziała na ani jedno jej pytanie.

ROZDZIAŁ 16

Nie żałuję, że mama ujawniła naszą historię. Sukces książki stworzył wiele niepowtarzalnych okazji w naszym życiu, a jednocześnie niespodziewanie zapewnił nam dużo większe bezpieczeństwo. Dokądkolwiek jechałyśmy, ludzie rozpoznawali nasze nazwiska i wyrażali swoje poparcie, co oznaczało, że nawet nieznajomi odgrywali pewną rolę w chronieniu mnie. Kilkakrotnie celnicy przyznali, że wiedzą, kim jesteśmy. Pewna celniczka powiedziała nam nawet, żebyśmy się nie martwiły, bo rozpoznałaby mojego tatę równie łatwo, jak rozpoznała nas.

Szczerota mamy sprawiła, że nie tylko my znalazłyśmy się w centrum uwagi, lecz także wyszły na światło dzienne ogólniejsze kwestie, którymi nikt się dotąd nie zajmował. Zanim wyjechałyśmy do Iranu, mama, bojąc się podświadomie, że mój tato zrobi to, co zrobił, zasięgnęła porady prawnej u przyjaciół, którzy byli adwokatami. Powiedzieli jej prawdę – że żaden sędzia jej nie uwierzy i że jeśli porzuci mojego ojca, żaden sędzia nie nakaże, żeby jego spotkania ze mną odbywały się pod nadzorem. Choć rodzicielskie uprowadzenia dzieci za granicę były już wtedy plagą społeczną, nikt o tym nie mówił, a nasz system prawny nie miał odpowiednich narzędzi, żeby sobie z tym poradzić.

Sytuacja nie zmieniła się po naszej ucieczce. Gdy mama uznała, że nie może bezpiecznie wystąpić do sądu o rozwód w ramach istniejących przepisów, zaczęła mówić o tej sprawie, wykorzystując każdą okazję, żeby informować o niej wszystkich, którzy chcieli słuchać. Coraz częściej różni ludzie zwracali się do niej o pomoc, szybko więc się przekonała, że ta forma krzywdzenia bliskich jest znacznie powszechniejsza, niż to sobie wyobrażała. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety porywali swoje dzieci, wywożąc je z rozmaitych krajów na całym świecie, a jednak zanim nie doświadczyłyśmy tego na własnej skórze, nigdy nie słyszała o takim incydencie. Jak to możliwe, że świat przymykał na to oczy i pozwalał, żeby te rodziny cierpiały w milczeniu?

Początkowo nieformalnie mama zaczęła współpracować z niektórymi z rodziców, którzy zgłaszali się do niej, błagając o radę. Wkrótce była zaangażowana w setki spraw, a te setki szybko urosły do ponad tysiąca. Czując, że jej obowiązkiem jest podjęcie konkretnych działań, została współzałożycielką organizacji pod nazwą One World: For Children i zatrudniła pracowników, którzy pomagali jej w tej misji.

Mama nigdy nie udzielała się politycznie, ale teraz znalazła się na pierwszej linii bitwy o ochronę dzieci na całym świecie. Stawianie czoła rodzicielskim porwanom stało się treścią jej życia, a przy okazji także mojego. Działalność ta dodawała wiary we własne siły. Podróżowałam z mamą do Waszyngtonu na spotkania z członkami Kongresu oraz urzędnikami z Departamentu Stanu

i Departamentu Sprawiedliwości. W Michigan mama była na ty z personelem biura naszego członka stanowej Izby Reprezentantów.

Wydawało się, że mamy nie odstrasza żadna przeszkoda w dążeniu do zapewnienia mi świata, w którym mogłabym żyć bez strachu. Skoro przepisy prawa stanowego i federalnego nie zapewniały mi ochrony, zamierzała skłonić władze do ich zmiany. Zeznawała przed sądem w sprawie innych dzieci, którym tak jak mnie groziło porwanie przez jedno z rodziców, i wyjaśniała sędziom, że ta groźba jest realna. Gdy rodzice dzwonili z płaczem w środku nocy, ponieważ stracili już nadzieję, wysłuchiwała ich rozpaczliwych skarg, bo wiedziała, że łatwo mogłaby się znaleźć w ich położeniu.

W Wigilię, kiedy miałam trzynaście lat, dostałyśmy telefon z miejscowego posterunku policji. Szczęsioosobowa rodzina znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie i potrzebowała dachu nad głową. Czy możemy jej pomóc? Mama bez wahania zaprosiła ją do domu. Były to trzy siostry, z których jedna miała troje małych dzieci. Uciekły z rodzinnego domu w Ameryce, ponieważ ich ojciec zamierzał sprzedać najmłodszą siostrę, która miała zaledwie szesnaście lat, jako żonę pewnemu mężczyźnie w średnim wieku mieszkającemu w Palestynie, ich ojczystym kraju.

Ponieważ była to rodzina muzułmańska, nigdy wcześniej nie miała okazji przeżyć Bożego Narodzenia. Dzieci patrzyły z zachwytem na ubraną choinkę i na leżące pod nią paczuski.

– Czy Święty Mikołaj przyjdzie także do nas? – pytały.

– Byłyście grzeczne w tym roku? – zapytała mama.

Rozbłyły im oczy, bo ośmieliły się mieć nadzieję. Podskakując, wykrzykiwały:

– Tak, byłyśmy grzeczne! Byłyśmy bardzo grzeczne!

– Wobec tego – powiedziała mama z uśmiechem – musicie być na liście Świętego Mikołaja.

Tamtego wieczoru, zgodnie z naszą tradycją, mama i ja poszłyśmy na wigilijne nabożeństwo ze świecami. To było jedno z moich ulubionych nabożeństw w roku. Pod koniec zawsze śpiewaliśmy *Cichą noc* po niemiecku, a pastor zapalał świece akolitów od świecy Chrystusa na wieńcu adwentowym. Następnie akolici szli przejściem między ławkami, przekazując ogień kolejnym osobom, aż cały kościół zapłonął blaskiem migoczących świec. Światła w kościele przygasaly i wspólnie śpiewaliśmy o niebiańskim pokoju.

Palestyńska rodzina przyłączyła się do nas tamtego wieczoru i wtedy po raz pierwszy usłyszała o Zbawicielu, który narodził się dla niej i dla wszystkich ludzi w betlejemskiej stajence. Prawdę mówiąc, tamtego roku najwspanialszy prezent dostałam właśnie na tym nabożeństwie od najmłodszego członka tej rodziny. Podczas kazania, gdy pastor wyjaśniał, że to Dzieciątko, którego narodziny

świętujemy, dorośnie, żeby umrzeć za nas, dziewczynka była zrozpaczona. Wcześniej stała spokojnie przy balustradzie chóru, słuchając uważnie każdego słowa pastora. Na wieść o śmierci Jezusa odwróciła się do nas w popłochu.

– Jezus umarł! – wykrzyknęła.

Może i była mała, ale zrozumiała prawdziwe znaczenie Bożego Narodzenia.

Nabożeństwo zakończyło się o północy, już w dniu Bożego Narodzenia. Wyszliśmy z kościoła wśród radosnych, głośniejszych bożonarodzeniowych życzeń. Mama zabrała nas wszystkich do domu i nieomalże wepchnęła do środka, a sama popędziła do jedyne go całodobowego sklepu w mieście. Gorączkowo napełniała wózek prezentami dla naszych gości, a potem do rana je pakowała. W naszym domu każdy należał do rodziny i każdy miał prezenty do rozpakowania w bożonarodzeniowy poranek. Kiedy Joe i John przyjechali ze swoimi rodzinami, nie byli speszeni, widząc sześć dodatkowych nakryć na stole.

Czasami czułam się sfrustrowana takimi przypadkami zakłócania naszego życia rodzinnego. Przez lata rodzinne wyjazdy wakacyjne obejmowały moich braci, ich rodziny i mnie. Ale nie mamę. Zawsze miała dobre chęci, żeby z nami pojechać, lecz w ostatniej chwili pojawiał się przełom w jakiejś sprawie albo jakiś nagły wypadek wymagał jej uwagi. Jeśli mimo wszystko pojechała, cały czas spędzała przy telefonie lub na przeglądaniu akt.

Chciałam, żeby dostała prawdziwą pracę, taką, w której mogłaby odbić kartę, wychodząc, i zapomnieć o wszystkim, taką, która pozwalałaby na ciągłe spędzanie czasu z rodziną. Jednak byłam w rozterce, bo rozumiałam, jak ważna jest jej obecna praca, i każde odzyskane dziecko stanowiło dla mnie wielką pociechę. Przez lata mama pomogła uratować siedemdziesięcioro ośmiorgo dzieci. Każda zakończona sukcesem historia przypominała, że jest nadzieja.

W tym samym tygodniu, w którym zmarł dziadek, w sierpniu 1986 roku, mama podpisała kontrakt filmowy. Książka nie była wtedy jeszcze napisana, a mama jeszcze nie odkryła w sobie powołania obrończyni. Jednak Bóg, posłużwszy się Hollywoodem, już podsuwał jej sposób na zainteresowanie światowej opinii publicznej kwestią rodzicielskiego uprowadzania dzieci za granicę. Mama pomagała przy pisaniu scenariusza i pracowała jako konsultantka przy tym projekcie.

Kręcenie zdjęć zaczęło się w Izraelu w lutym 1990 roku, a my przyjechaliśmy tam w marcu. Nie byłam przygotowana na szok, jakim okazał się widok uzbrojonych strażników rozmieszczonych na lotnisku w Tel Awiwie. Od czasu naszego pobytu w Iranie nie znalazłam się twarzą w twarz z żołnierzem uzbrojonym w karabin maszynowy.

Było słonecznie i ciepło, znacznie przyjemniej niż w Michigan. Wiosna była w pełnym rozkwicie, gdy jechaliśmy z lotniska na plan filmowy. Opuszczono szyby i powietrze wypełniła woń kwitnących pomarańczy. Powiedziano nam, że

przedstawiające ajatollaha Chomeiniego malowidło wielkości drapacza chmur, odsłonięte w związku ze zdjęciami, wywołało zbiorową panikę. Przyjechała policja, żeby przeprowadzić dochodzenie, i trzeba było zwołać konferencję prasową, aby uspokoić obawy społeczeństwa. Byłam wdzięczna, że uprzedzono mnie zawczasu, ale i tak malowidło przedstawiało niepokojący widok.

Właśnie w cieniu Chomeiniego mama i ja poznałyśmy aktorów i całą ekipę filmową. Najbardziej ekscytujące dla mnie było poznanie Sheili, młodej aktorki, która grała mnie. Sally Field, którą mama wybrała do roli Betty, czyli siebie, między ujęciami zajmowała się wyszywaniem skomplikowanych wzorów. Alfred Molina, grający mojego tatę, był niezwykle towarzyski i bezpośredni. Często przysiadł się do nas, żeby porozmawiać.

Byłam na planie tamtego dnia, gdy filmowano scenę, w której moi rodzice kłócą się w szkole. Scenariusz wymagał, żeby Alfred uderzył Sheilę, jednocześnie wrzeszcząc na nią i na Sally. Potem miał wywlec Sally za włosy przez podwórce na zewnątrz. Odegrali tę scenę, tak jak im polecono. Gdy Alfred się zorientował, że stoję obok realizatorów i patrzę, podszedł i przeprosił mnie.

– W rzeczywistości nie robię im krzywdy. To wszystko jest po prostu grą. Ja tylko udaję, że biję Sheilę, i chociaż wygląda, jakbym ciągnął Sally za włosy, wcale tego nie robię. Daję ci słowo.

Gdy filmowano tę scenę po raz drugi, Alfred zwijał się z bólu, bo Sally, młóćąc powietrze ramionami i nogami, niechcący kopnęła go w krocze.

– Widzisz – powiedział później do mnie. – Nie umiałbym jej skrzywdzić, nawet gdybym próbował. To ona bije mnie.

Lee, charakteryzator Sally, był moją ulubioną osobą na planie. Postawił sobie za cel wyciągnąć mnie z mojej skorupy, a jego metody były niezupełnie konwencjonalne. Pewnego popołudnia, podczas chwili spokoju, Lee zaproponował, że podbije mi oko – oczywiście za pomocą charakteryzacji. Wobec tego mama i ja poszłyśmy do jego przyczepy, gdzie dał pokaz swoich artystycznych umiejętności. Wysłałam nie tylko z podbitym okiem, lecz także z postrzępioną blizną na dokładkę. Podbite oko od Lee było prawdziwym zaszczytem.

Realizatorzy zaprosili mnie, żebym zagrała w filmie jako statystka, więc po raz pierwszy od pobytu w Iranie przywdziałam *manto* oraz *maghna'e* i zostałam irańską uczennicą. Usiadłam w szkolnej ławce i powtarzałam zdania w farsi razem z innymi rzekomymi irańskimi uczennicami. Kuliłam się w schronie przeciwlotniczym wśród tłumu uczniów, wysiadłam za Sally i Sheilą (filmowymi Betty i Mahtob) z autobusu i biegłam przez szkolne korytarze w panice, która nastąpiła po wybuchu. Jednak najczęściej czekałam, bo na tym polega życie na planie filmowym.

Wieczorem dołączyłyśmy do aktorów w małej salce z projektorem, żeby obejrzeć materiał sfilmowany tamtego dnia. Wtedy tego nie wiedziałam, ale

z wyjątkiem jednej małej migawki to był jedyny raz, kiedy miałam zobaczyć siebie na dużym ekranie. Może i byłam prawdziwą córką, ale sceny z moim udziałem i tak wylądowały na podłodze montażowni.

Nasz pobyt w Izraelu nie upłynął w całości na pracy. Zwiedziłyśmy Jerycho i widziałyśmy Jordan. Pojechaliśmy do Ogrójca i na Górę Oliwną, gdzie otoczyła nas chmara małych dzieci handlujących gałązkami oliwek. Zwiedziłyśmy jedno z tych miejsc, gdzie podobno pochowano Jezusa, i obejrzałyśmy Ścianę Płaczu w Jerozolimie. Udało nam się nawet odwiedzić Betlejem, chociaż uprzedzano nas, że to zbyt niebezpieczne, i spędziłyśmy jeden dzień unosząc się na wodzie w Morzu Martwym.

Okna naszego hotelu wychodziły na Morze Śródziemne. Pewnego popołudnia wybrałam się z mamą na spacer po białym piasku i wtedy przydarzyło mi się coś dziwnego. Po upływie kilku minut piekło mnie całe ciało. Czułam, jakby w każdy centymetr skóry wbijały się rozpalone igły – było to przeszywające swędzenie, na które nie pomagało drapanie, w dodatku połączone z gwałtownym, rozdzierającym bólem. Nie byłyśmy długo na zewnątrz, ale do wieczora zrobiłam się czerwona jak homar. Większą część skóry miałam w bąblach i cierpiałam katusze. Wydawało się niemożliwe, że w tak krótkim czasie tak mocno się poparzyłam. Zawsze byłam wrażliwa na słońce, ale to było coś innego.

Zanim wyjechaliśmy z Izraela, fotosistka pracująca przy realizacji filmu zaprosiła nas do domu swoich rodziców na seder. Mama i ja, zawsze skore do poznawania innych kultur od wewnątrz, przyjęłyśmy zaproszenie bez wahania. Nasi gospodarze podzielili się z nami wielowiekową tradycją Paschy. Towarzyszyło temu częstowanie potrawami z gorzkich ziół i czytanie starożytnych tekstów. Było to odpowiednie zakończenie naszego pobytu w tym kraju.

Pech chciał, że film wszedł na ekrany w styczniu 1991 roku, akurat wtedy, gdy konflikt na Bliskim Wschodzie osiągnął punkt krytyczny. Ściągnął na siebie krytykę ludzi, którzy uznali wybór terminu i tematyki za deklarację polityczną. Osobom zaangażowanym w produkcję filmu grozono śmiercią. Nagle już nie tylko mój tato stanowił zagrożenie. Znalazłyśmy się na celowniku irańskich władz i muzułmańskich ekstremistów na całym świecie.

Chociaż byli hałaśliwi, zażartych krytyków było niewielu. Odzew był prawie zawsze pogrzipiający i pozytywny. Podczas jednej z premier publiczność reagowała tak żywo, że trzeba było zabrać z kina Alfreda Molinę dla jego własnego bezpieczeństwa. Moim zdaniem to, że publiczność miała trudności z odróżnieniem jego jako osoby od potwora, jakiego grał na ekranie, było dowodem aktorskiego talentu Alfreda.

Bulwersowało mnie, że niektórzy ludzie widzieli w naszej historii deklarację antyirańską lub antymuzułmańską. To po prostu nieprawda. Ta historia jest niczym więcej jak opowieścią o fragmencie losów mojej rodziny. Jeśli ktoś przynosi ujmę

Iranowi czy islamowi, to tym kimś jest mój tato, ponieważ zrobił to, co zrobił, a nie mama czy ja, dlatego że o tym mówimy. Mimo to nieuczciwie jest oceniać Irańczyków czy muzułmanów na podstawie zachowania mojego taty.

Chociaż termin premiery filmu był pod wieloma względami niefortunny, w gruncie rzeczy okazał się szczęściem w nieszczęściu. Z powodu atmosfery politycznej rząd Stanów Zjednoczonych był w większym stopniu gotowy na wysłuchanie naszych argumentów. Projekcja dla kongresmenów, która odbyła się w Waszyngtonie, pomogła zwrócić uwagę naszych ustawodawców na kwestię rodzicielskiego uprowadzania dzieci za granicę.

Chcąc jeszcze bardziej przyczynić się do podniesienia poziomu świadomości, mama zaczęła pracować nad swoją drugą książką *Z miłości do dziecka*. Ona i współautor książki Arnold Dunchock – znany mi jako Arnie – w dużej mierze poszukiwali materiałów w Paryżu, dlatego któregoś roku mieszkałam tam przez część lata. Moim ulubionym miejscem był Montmartre, dzielnica artystów zbudowana na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na miasto. Zbierali się tam malarze, tworząc swoje dzieła pod gołym niebem, żeby wszyscy mogli je oglądać. Fascynowali mnie – to ich skupienie, waga, jaką przywiązywali do szczegółów, sposób, w jaki cofali się o krok, żeby przyjrzeć się swojej pracy, a potem kładli na płótnie kolejną warstwę gęstej farby. Niektórzy malowali akwarelami, inni szkicowali węglem.

Dla mnie przyglądanie się artystom przy pracy było znacznie bardziej ekscytujące niż widok skończonych arcydzieł wiszących na ścianie muzeum. Czułam się tak, jakbym była świadkiem historii rozgrywającej się na moich oczach. Być może pewnego dnia będę kuśtykać po salach jakiegoś muzeum, opowiadając wnukom o swoich młodych latach, kiedy sączyłam coca-colę nalewaną z małej szklanej butelki i widziałam, jak rodzą się te dzieła.

Jednak w miarę jak mijały tygodnie w Paryżu, moja energia słabła. W niektóre dni byłam zbyt zmęczona, żeby dokądkolwiek iść. Mama uważała, że robię się leniwa, bo zawsze chciałam długo rano spać i prosiłam, aby mi pozwolono całymi dniami siedzieć beczynn timer. Ona wyruszyła z misją, która miała zmienić świat, a ja zadowalałam się drzemaniem na kanapie z nieotwartą książką na kolanach. Nie mogłyśmy wtedy wiedzieć, że pod powierzchnią czai się znacznie bardziej złowrogi problem.

ROZDZIAŁ 17

Lubiłam podróżować po świecie, ale nigdy nie miałam wątpliwości, że moje prawdziwe życie toczy się w domu, z rodziną i przyjaciółmi. Ponownie się przeprowadziłyśmy, tym razem do domu stojącego naprzeciwko sennego parku ze starymi drzewami i wijącą się rzeką. Woda przyciągała kaczki szukające pożywienia, ale ja rzadko przechodziłam na drugą stronę ulicy, żeby je karmić.

Mama była zdeterminowana, by znaleźć sposób na zapewnienie mi przeżyć typowych dla okresu młodości, za którymi tęskniłam, a jednocześnie bronić mnie przed nieustannym zagrożeniem, jakim była groźba powrotu mojego ojca. Zdecydowana stworzyć dla mnie swego rodzaju oazę, ogrodziła trawnik na tyłach domu, żebym mogła się bawić na dworze, i przebudowała dom w taki sposób, że praktycznie całą tylną część budynku stanowiły okna, dzięki czemu łatwo jej było nade mną czuwać. Ponieważ uwielbiałam pływać, zainstalowała basen. No i niezależnie od tego, czy mama była w domu, czy nie, drzwi zawsze były otwarte dla moich przyjaciół.

Mama podróżowała zbyt często, żeby babcia za każdym razem mogła ze mną zostawać, dlatego zatrudniła kogoś do pomocy. W ciągu dnia Lori pracowała w kancelarii prawnej, a wieczorami opiekowała się mną. Była skora do śmiechu i nie lubiła żadnej z typowych, oficjalnych nazw związanych z jej rolą, więc zamiast „opiekunka do dzieci” czy „niania” mówiła o sobie „pani, która zostaje z Mahtob, kiedy jej mama wyjeżdża z miasta”. W rzeczywistości była raczej kimś w rodzaju starszej siostry. Była figlarna, nieskrępowana i miała na mnie dokładnie tego rodzaju wpływ, jakiego potrzebowałam, żeby móc się uwolnić od nieśmiałości i kompleksów.

Rodzina Lori traktowała mnie jak kogoś bliskiego, nawet jej chłopak Bob, który szybko stał się jedną z moich ulubionych osób. Był dziwakiem w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa. Pił mleko czekoladowe, a na pilota do telewizora mówił tivilot. Entuzjastycznie witał się ze wszystkimi, mówiąc cześć trzy razy – „cześć, cześć, cześć” – zamiast tylko raz. Czasami bez żadnego powodu, chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę, przykładał złożone ręce do ust i gwizdał pieśń gołębic. Poza tym ilekroć gdzieś wyjeżdżał, nawet na jeden dzień, przysyłał mi pocztówkę.

Minęły lata bez żadnych wiadomości od mojego taty ani o nim. Gdy byłam starsza, nieco się uspokoiliśmy, chociaż strach nie zniknął. Nadal zachowywałyśmy szczególną ostrożność w okolicy pewnych specjalnych dni. Tato był sentymentalny, dlatego uważałyśmy za bardziej prawdopodobne, że zjawi się w moje urodziny, na Boże Narodzenie albo inne święto.

Wyjątkowy niepokój wywoływał Halloween. Jaki może być lepszy moment, żeby wejść do cudzego domu, niż dzień, w którym zwyczajowo otwiera się drzwi

nieznajomym w przebraniu? Jednak mama dawała z siebie wszystko, żeby zapewnić mi normalne przeżycia związane z tym świętem. Pozwalała mi się przebierać oraz chodzić z innymi dziećmi po domach i prosić o słodycze. A ponieważ nie chciałam, żeby nasz dom był jedynym w okolicy, w którym nie rozdawano cukierków, robiłyśmy to przez parę lat, chociaż mamie rozsądek podpowiadał co innego. Któregoś roku, gdy rozdawałyśmy cukierki, trzymając pistolet schowany w misce ze słodyczami, byłyśmy zmuszone przyznać, że są doświadczenia, które wcale nie muszą być moim udziałem.

Nadal było mnóstwo innych sposobów, żeby cieszyć się typowym dzieciństwem mimo nietypowych okoliczności, w jakich się znalazłam. Grałam w koszykówkę i w siatkówkę. Byłam cheerleaderką. Brałam lekcje gry na fortepianie. Kiedy mama była w domu, nigdy nie opuszczała mojego meczu ani recitalu, a kiedy była w drodze, Bob i Lori zajmowali jej miejsce przy liniach bocznych. Byli niezwykle towarzyscy, więc piątkowe wieczory spędzaliśmy w domu w otoczeniu przyjaciół. Graliśmy w karty albo w gry planszowe lub po prostu siedzieliśmy beczynnie, śmiejąc się do późnej nocy. Nie traktowali mnie jak dziecka i byłam im za to wdzięczna.

Od kilku lat bolała mnie czasami głowa, ale gdy miałam lat dwanaście czy trzynaście, bóle zaczęły mnie dręczyć regularniej i nasiliły się, zamieniając się w prawdziwe migreny. Wiele z tamtych piątkowych wieczorów spędziłam, leżąc po ciemku na sofie, słuchając z przyjemnością odległych głosów Boba i Lori. Raz po raz zapadałam w sen i budziłam się, pragnąc, żeby ustąpiły mdłości i pulsowanie w skroniach.

Gdy mama wracała do domu, często towarzyszyły jej ekipy filmowe kręcące materiał o nas lub o sprawach związanych z uprowadzeniem dzieci, tymi, nad których rozwiązaniem akurat pracowała. Na ogół dziennikarze przyjeżdżający z bardzo daleka wykorzystywali jakąś miejscową firmę realizatorską, zamiast przywozić z sobą całą ekipę. W ten sposób mama i ja poznałyśmy Boba Bishopa z Future Media Corporation. Bob był mistrzem we wprowadzaniu ludzi w swobodny nastrój, pomagał im się otworzyć i rozmawiać bez skrępowania, dlatego należał do niewielu osób, które potrafiły mnie skłonić do mówienia do kamery, kiedy byłam mała. Choć nie pozbyłam się nieśmiałości, przy nim czułam się swobodniej niż przy innych ludziach.

Pewnego razu zapytał mnie, co czuję w związku z tatą. Było to pytanie, na które przez lata wielokrotnie odpowiadałam, choć z trudem znajdowałam sposób, żeby przekazać swoje uczucia. Wiedziałam z doświadczenia, że dziennikarze często przychodzą na wywiady z własną historią już ułożoną w myślach. Zgodnie z ich wersją byłam rozgoryczona i wściekła, a moim życiem kierowała nienawiść do taty. Bob znał mnie wystarczająco dobrze, żeby dążyć do uzyskania głębszego wyjaśnienia, a ja znałam go wystarczająco dobrze, by mu takiego udzielić.

– Nie nienawidzę go – powiedziałam rzeczowo. – Wybaczyłam mu to, co nam zrobił w Iranie, ale już nie myślę o nim jako o swoim tacie.

– Czy czujesz się czasami tak, jakby czegoś cię pozbawiono, ponieważ nie masz taty, który jest obecny w twoim życiu?

– To jego strata, nie moja. „Jeśli nadużywasz jakiegoś przywileju, tracisz go” – odparłam, cytując sentencję swojego nauczyciela z szóstej klasy pana Voeltza. – Posiadanie rodziny jest przywilejem, nie prawem. Mój ojciec tego przywileju nadużył, w dosłownym znaczeniu tego słowa, więc go stracił. Całkiem po prostu.

– Czy chciałabyś go jeszcze kiedyś zobaczyć?

– Nie. Nie żywię do niego urazy, ale to nie znaczy, że muszę się narażać na dalsze nękanie z jego strony.

– Czy uważasz, że twój ojciec cię kocha, że tęskni za tobą? Czy myślisz, że cierpi z tego powodu, iż nie jesteś częścią jego życia?

– Tak, ale może za to winić tylko siebie.

– Jak się w związku z tym czujesz?

– Nie jest mi go żal. Miał swoją szansę i zmarnował ją. Teraz wszyscy musimy żyć z konsekwencjami decyzji, które podjął. Ja przeszłam od tamtego czasu długą drogę i mam nadzieję, że on również, i że zostawi mnie w spokoju. Mam nadzieję, że jego życie jest na tyle pełne, iż nie ma czasu myśleć o tym, że za mną tęskni, albo o tym, żeby tu przyjechać i zabrać mnie z powrotem.

Moi nauczyciele pomogli mi dawać sobie radę, choć czasami robili to w sposób niezamierzony. Nie ma szans, żeby pan Voeltz mógł przewidzieć, że jego często powtarzane ostrzeżenie: „Jeśli nadużywasz jakiegoś przywileju, tracisz go”, pomoże mi zrozumieć swoją skomplikowaną sytuację rodzinną. Używał tego zdania w odniesieniu do przerwy albo do możliwości zajęcia się przez kilka minut po południu grami planszowymi. Był skłonny pozwolić nam na popołudniową partię szachów albo warcabów, ale najpierw musieliśmy zasłużyć na ten przywilej. Później uznałam, że lekcja, której udzielił mi pan Voeltz, ma zastosowanie do czegoś więcej niż przerwa i gry planszowe. Możliwe, że to właśnie pytania Boba pomogły mi ułożyć sobie w głowie elementy łamigłówki.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy przyszła do nas Maria Shriver, żeby przeprowadzić z nami wywiad do *Dateline*, Bob częściowo zajmował się filmowaniem. Wcześniej zainteresował się pracą *One World: For Children* i uważnie śledził postępy spraw związanych z uprowadzeniami za granicę. Moi przyjaciele byli oszołomieni tym, że przychodzi do nas żona Arnolda Schwarzeneggera, która w dodatku jest siostrzenicą Johna Kennedy’ego. Mama doceniła nadarzącą się okazję, żeby propagować sprawę porwanych dzieci, a ja byłam zadowolona, że mój przyjaciel Bob będzie to filmował.

W wywiadzie uczestniczyli również inni rodzice, których życie zostało naznaczone przez uprowadzenie dzieci. Kiedy skończyliśmy po niezwykle długim

dniu filmowania, mama zaprosiła Marian, jedną z matek, żeby została u nas na noc. Od wielu miesięcy aktywnie zajmowała się jej sprawą.

Kilka lat wcześniej, kiedy Marian wyjechała w podróż służbową, jej mąż porwał dwoje ich dzieci z domu w Michigan i zabrał je do Iraku, swojej ojczyzny. Kilka tygodni później w Iraku wybuchła wojna. Władze obu krajów, które początkowo starały się znaleźć dyplomatyczne rozwiązanie tej sprawy, były zmuszone zająć się bardziej palącymi kwestiami związanymi z konfliktem zbrojnym. Ośmioletniego Adama i czteroletnią Adorę pozostawiono własnemu losowi, z niewielką nadzieją na ratunek.

Miesiące zmieniły się w lata, a matka i dzieci żyły na emocjonalnej huśtawce. Za każdym razem, gdy wydawało się, że pojawił się promyk nadziei, wszystko znów kończyło się fiaskiem. Marian złożyła nawet podanie o wizę, żeby pojechać do Iraku, gotowa zaryzykować, że będzie przetrzymywana przez męża jako zakładniczka, zostanie uwięziona albo nawet zabita, żeby tylko zobaczyć syna i córkę. Była zupełnie zdruzgotana, gdy jej wniosek został odrzucony.

Tamtego wieczoru po wywiadzie przeprowadzonym przez Marię Shriver, gdy Marian była w naszym domu, zatelefonowano z Departamentu Stanu z wiadomością, że jej mąż zabrał ich syna do Ammanu, stolicy Jordanii, i tam wystąpił o wizę amerykańską. Departament Stanu, po konsultacji z mamą i z Marian, zgodził się wydać mu wizę pod warunkiem, że wróci z dziećmi.

Natychmiast wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z uratowaniem Adama i Adory, zeszło na drugi plan. Na męża Marian urządzono zasadzkę na lotnisku we Flint w stanie Michigan, gdzie przedstawiciel biura szeryfa wręczył mu decyzję sądu przyznającą Marian prawo opieki nad dziećmi. Niestety, jej mąż przyjechał tylko z Adamem, bez Adory. Ekipa filmowa *Dateline* była na miejscu, żeby nakręcić to rozdzierające serce spotkanie. Adam szlochał z radości, obejmując dziadków, ciotki, wujków, kuzynów i mamę, ale nieobecność Adory sprawiła, że ta szczęśliwa chwila była zaprawiona kroplą goryczy.

Wcześniej Marian poprosiła sąd o wydanie nakazu aresztowania, żeby można było zatrzymać jej męża za porwanie dzieci. Jednak sędzia miał związane ręce. Nie istniał żaden paragraf, na podstawie którego można było wydać taki nakaz. W systemie sprawiedliwości nadal była ogromna luka, a biedna Adora ciągle przebywała w Iraku.

Te sprawy miały dla nas wymiar osobisty. Dzieci, które wykradziono z ich domów, były dla nas rzeczywiste. Widziałyśmy ich zdjęcia, znałyśmy ich imiona, słuchałyśmy ich historii, płakałyśmy z ich porzuconymi rodzicami. Rozumiałam, dlaczego mama nie umie odpoczywać, wiedząc, że wciąż tak wielu młodych ludzi czeka na ratunek. Adora stała się dla nas bolesnym symbolem wszystkich dzieci na świecie cierpiących z powodu tego bezsensownego, niedostrzeganego przestępstwa, a dla mamy było to bodźcem do kontynuowania misji.

To była ciężka praca, która dawała ogromne możliwości pomagania innym. Mama poświęciła życie sprawie znacznie poważniejszej niż spokojna egzystencja, o której marzyłam. Nie oznaczało to, że nie zgadzałam się z nią w pełni co do doniosłości tej kwestii. Przeciwnie, ale oprócz tego potrzebowałam jeszcze podpory – stabilnego środowiska domowego. W tamtych dniach niewiele było rzeczy groźniejszych dla mnie niż niebezpieczeństwo utraty domu, który był moim azylem, symbolem stabilności, bezpieczeństwa, rodziny, wygody i wszystkiego, co swojskie.

To jedna z niewielu dziedzin, w których mama i ja miałyśmy trudności z dojściem do porozumienia. Istota problemu tkwiła w tym, że pojęcie domu dla każdej z nas oznaczało coś innego.

Dla mamy powrót do Stanów Zjednoczonych z Iranu oznaczał powrót do wolności. Od lat często powtarza, że mogłaby mieszkać w Iranie, gdyby nie była więźniem. Dlatego gdy tylko odzyskałyśmy wolność, nie miało dla niej większego znaczenia, gdzie mieszkamy. Wolno nam było jechać, dokąd chcemy, robić, co chcemy, spędzać czas, z kim chcemy. Miejsce zamieszkania było nieistotne, toteż ciągle przeprowadzki, w miarę jak pojawiały się nowe możliwości, miały głęboki sens – dla niej.

– Mahtob, jeśli przeniesiemy biuro One World: For Children w okolice Waszyngtonu i będziemy współpracować z National Center for Missing and Exploited Children*, to pomyśl, ilu rodzinom można by pomóc i ile porwanych dzieci uratować.

– Nie, tutaj jest nasza rodzina. Staraliśmy się za wszelką cenę uciec, żebyśmy mogły do niej wrócić. Tutaj są moi przyjaciele. Tutaj jest moja szkoła. Nigdzie nie jadę.

Moja umiejętność wyrażania zastrzeżeń rosła wraz z wiekiem i dzięki Bogu, mama przepuściła wiele okazji do przeprowadzki, żebym mogła pozostać w swoim domu i co ważniejsze, w swojej szkole.

We wrześniu 1992 roku, na krótko przed moimi trzynastymi urodzinami, nocowały u mnie przyjaciółki – Cathie, Angie i Jamie. Po lekcjach cała nasza „przerażająca czwórka”, jak nas przezwał pan Milbrath, nasz nauczyciel z czwartej klasy, popędziła do mnie do domu, żeby się wystroić na nasz pierwszy licealny mecz futbolowy. W mojej sypialni panowała gorączkowa atmosfera, bo cztery dziewczyny miały niebawem po raz pierwszy poczuć smak licealnych doświadczeń, które na nie czekały. Podkręcałyśmy sobie grzywki w oparach wywołującego kaszel lakieru do włosów i malowałyśmy się, używając różu, cieni do powiek i błyszczyku do ust. Podłoga mojego pokoju była zasłana stosami ubrań, które zostały odrzucone podczas prób znalezienia odpowiedniego stroju na tę okazję.

Kilka minut przed rozpoczęciem meczu odkleiłyśmy się od lustra

i popędziłyśmy włożyć buty oraz zapakować do torebek wszystko, co niezbędne – pieniądze na bilety, błyszczak i gumę balonową. Akurat wtedy mama, która była w Alpenie i miała wrócić dopiero późnym wieczorem, rozgorączkowana wpadła do domu. Poinformowała mnie, że znalazła idealny dom, więc zaraz wyjeżdżamy. Miałam natychmiast spakować torbę, bo zabierała mnie, żebym go zobaczyła.

Nie wiem, czy nie była świadoma moich planów na wieczór, czy po prostu nie rozumiała, jak były dla mnie ważne, ale jej nagłe obwieszczenie nie spotkało się z dobrym przyjęciem.

Dawniej byłabym zachwycona możliwością ponownego przeprowadzenia się do Alpeny. Teraz, gdy miałam trzynaście lat, była to ostatnia rzecz, jaką chciałam zrobić. Alpena leżała w odległości czterech godzin jazdy samochodem – zbyt dużej, żeby miała mnie dzielić od przyjaciółek. Odejście z Salem po ukończeniu ósmej klasy było nieuniknione, ale nie było mowy, żebym miała jednocześnie stracić swoją szkołę, swoje przyjaciółki, swój kościół, swój dom i swoje miasto.

– Ty możesz zrobić, co zechcesz, ale ja za nic nie wyprowadzę się do Alpeny – odpyskowałam jej. – A teraz akurat idę na mecz. Nie możesz tak po prostu wpadać tutaj i jak gdyby nigdy nic zmieniać moje życie bez żadnego ostrzeżenia.

– Świetnie, idź na mecz – odparowała. – A potem wróć do domu i spakuj torbę. Pojedziemy rano.

– Nie wyprowadzę się do Alpeny.

– Nie wyprowadzimy się, zanim nie skończysz szkoły. Potem nic nas tu nie będzie trzymało.

– To jest mój dom. Ja się nie wyprowadzam! – krzyknęłam. – Ty i tak ciągle wyjeżdżasz. Jaką różnicę ci robi, gdzie mieszkamy? Nigdy cię nie ma. Tylko ja tu jestem.

– Później o tym porozmawiamy.

Nie pamiętam meczu. Jedyne, co pamiętam, to ogromny smutek i frustrację, jakie poczułam z powodu niesprawiedliwości tej sytuacji.

Następnego dnia rano, podczas długiej jazdy samochodem do Alpeny, siedziałam w milczeniu z ramionami skrzyżowanymi na piersi na znak protestu. Dom w rzeczywistości okazał się jeszcze piękniejszy niż w opisie mamy. Zbudowany nad brzegiem jeziora Huron, był majestatyczną rezydencją. Jednak mimo jego wspaniałości pozostałam niewzruszona w swej determinacji, aby trzymać się dotychczasowego domu. Nie doceniając mojego uporu, mama kupiła tamten dom, chociaż stanowczo zapewniałam, że nigdy w nim nie zamieszkać.

Spór trwał w najlepsze. Doprowadzona do skrajnej frustracji, po pewnej wyjątkowo irytującej kłótni wpadłam jak burza do swojej sypialni i kopnęłam drzwi, żeby je zamknąć. Nie trafiłam i zahaczyłam o ich krawędź palcami u nogi. Rozległ się głośny trzask, ale nie obeszło mnie to. W szale ponownie kopnęłam drzwi, tym razem zatrzaskując je z hukiem. Pokuśtykałam do wieży stereo

i włączyłam muzykę na cały regulator, chcąc zagłuszyć prośby mamy, żebym otworzyła zamknięte na klucz drzwi i porozmawiała z nią. Stopa pulsowała i bolała mnie głowa.

Palce spuchły, poczerniały i zsiniały, ale ja w swojej dumie nie zamierzałam okazywać najmniejszej słabości. Nie kulałam. Nie skarżyłam się. Ani razu nie wspomniałam o swoim obrażeniu. Każdy bolesny krok służył tylko temu, żeby podsycać moją upartą wolę uniknięcia następnej przeprowadzki. Dopiero kilka lat później, kiedy zrobiłam sobie prześwietlenie z jakiegoś innego powodu, odkryłyśmy, że nie tylko serce pękło mi tamtego wieczoru.

* Krajowy Ośrodek Pomocy Dzieciom Zaginionym i Wykorzystywanym.

ROZDZIAŁ 18

Mama ciągle pracowała – mimo okazji, które przepuściła ze względu na mnie – i zostało to dostrzeżone w wielu krajach. W Holandii przyznano jej nagrodę czytelników, w Niemczech zaś ogłoszono ją Kobieta Roku. Alma College, prywatna uczelnia z jej rodzinnego miasta, nadała jej tytuł doktora honoris causa. Poza tym obie otrzymałyśmy America's Freedom Award*, a w 1992 roku dowiedziałyśmy się, że prezydent Francji wręczy mamie prestiżowy Medal Paryża.

Mama odbywała wtedy *tournée* po Europie, poprosiła więc Boba Bishopa, naszego przyjaciela kamerzystę i nieoficjalnego kronikarza One World: For Children, żeby mi towarzyszył w podróży do Paryża, gdzie miałam się z nią spotkać w związku z tą ceremonią. Mieli tam być francuscy wydawcy mamy, a jej agent literacki Michael Carlisle leciał do Francji z Nowego Jorku. Jednak, co najważniejsze, miała tam być również niemiecka redaktorka książek mamy Anja Kleinlein.

Wyczekiwanie na wizytę w pałacu i spotkanie z prezydentem było miłe, ale zbladło w porównaniu z radością z ponownego zobaczenia się z Anją. Uwielbiałam ją. Była szalona, tryskała energią i miała dar zmieniania życia w wesołą imprezę. Ilekroć siadaliśmy do stołu, po odmówieniu modlitwy Anja dawała wszystkim znak, żeby wzięli za ręce osoby siedzące obok i wykrzyknęli chórem: „*Guten Appetit*, smacznego!”. Nasze ręce unosiły się i opadały w rytm skandowanych sylab. Na koniec zawsze wybuchaliśmy śmiechem.

Z Anją jadło się niespiesznie i bardzo wesoło. Kiedy kończyła posiłek, malowała usta swoją ulubioną koralową szminką od Christiana Diora i z wielkim wdziękiem zaciągała się papierosem. Zawsze powtarzała, że to stare hollywoodzkie filmy nauczyły ją palić z taką elegancją. Chociaż mama i ja mówiłyśmy o niej w żartach *Schnapsdrossel* – amatorka sznapsa, to kiedy wspominam Anję, przychodzi mi na myśl szampan. To właśnie z nią piłam po raz pierwszy w życiu szampana w majestatycznym holu monachijskiego hotelu Vier Jahreszeiten.

W tamtym okresie nadal byłam niezwykle nieśmiała i często wyglądałam żałośnie. Garbiłam się i unikałam kontaktu wzrokowego. Wydukane nawet najkrótszego zdania było dla mnie męczarnią. Zupełnie inaczej niż Anja, czułam się wyraźnie niezręcznie i niewygodnie we własnej skórze, dlatego studiowałam każdy jej ruch, pragnąc naśladować jej wytworność.

Z beztroskiego sposobu bycia Anji nikt by się nie domyślił, że przeżyła potworności drugiej wojny światowej w Niemczech. Jak ktoś, kto widział tamto piekło na ziemi, mógł podchodzić do życia z taką radosną pasją? „Musimy być twarde”, lubiła powtarzać, i rzeczywiście taka była.

Anja czekała razem z mamą na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, gdy Bob i ja pojawiliśmy się po odprawie celnej. Na mój widok ciężko westchnęły.

Spodziewałam się uśmiechów i uścisków, a tymczasem zobaczyłam zszokowane i zatroskane miny.

Mama uważnie przyjrzała się mojej twarzy, odwracając mi głowę z boku na bok.

– Co się stało? – wyszeptała, widząc, że mam czerwoną, pokrytą bąblami skórę.

– To nic takiego – upierałam się. – Po prostu niewielkie oparzenie słoneczne.

Obie kobiety wpatrywały się we mnie z przerażeniem. Ich macierzyński instynkt podpowiadał im coś innego. Mama umówiła mnie na wizytę u dermatologa zaraz po moim powrocie do Michigan kilka dni później, ale ona sama nadal była w podróży, więc do lekarza zabrała mnie Lori. Zaniepokojenie doktora Wegmana było ewidentne, odkąd otworzył drzwi.

Siedział na stołku ubrany w biały kitel, z okularami tkwiącymi na czubku głowy. Sprawiał wrażenie gapowatego, ale w pozytywnym sensie – był niezwykle inteligentny, jednak przystępny. Od razu się do niego przekonałam. Badając wysypkę, która tworzyła kaskadę nad nosem i spływała po policzkach, wypytywał mnie o najróżniejsze symptomy.

– Bóle głowy?

– Tak.

– Bóle stawów?

– Tak?

– Stan podgorączkowy?

– Tak.

– Wrażliwość na słońce?

– Tak.

– Zaburzenia apetytu, wypadanie włosów, zmęczenie, rozdawanie się paznokci?

– Tak, tak, tak i jeszcze raz tak.

Byłam zdezorientowana. Przyszłam do niego w związku z wysypką. Co to wszystko miało do rzeczy?

– Hm – powiedział, studiując swoje notatki. – Powiedz mi coś o historii chorób w swojej rodzinie.

– Będzie pan potrzebował więcej kartek – zażartowałam. – Mój dziadek zmarł na raka okrężnicy – zaczęłam wyliczać, recytując nazwę jednej choroby za drugą.

Kiedy zrobiłam przerwę, zachęcił mnie cierpliwie.

– Co jeszcze?

– Mama ma wrzody, wujek choruje na serce. Ciotka jest cukrzykiem. Wydaje mi się, że ktoś ma jaskrę.

– Bardzo dobrze się zastanów. Musi być coś jeszcze.

– Myślę, że wszyscy cierpią na artretyzm. Och, i moja babcia ma toczenia.

Ledwie wypowiedziałam słowo „toczeń”, lekarz wykrzyknął:

– To jest to! Wiedziałem.

Podejrzewał, że taka będzie diagnoza, gdy tylko na mnie spojrział.

– Musimy zrobić parę badań – powiedział mi. – Będziesz potrzebowała reumatologa. Najlepsza w tej specjalności jest Carol Beals. Świetnie się tobą zaopiekuje, tylko że trudno jest umówić się do niej na wizytę. Ostatnio słyszałem, że ma sześciomiesięczną listę oczekujących, a my nie możemy sobie pozwolić, żeby tak długo to trwało. Ale nie martw się. Przyjaźnię się z nią i jestem pewien, że będzie zachwycona, mogąc przedyskutować ze mną twój przypadek. Tymczasem...

Doktor Wegman okazał się gadułą. Było coś wspaniałego w tym, że wdał się w tak długą rozmowę z trzynastolatką.

Nagle wiele rzeczy nabrało sensu. Niemal poczułam ulgę, słysząc, że rozmaite dolegliwości, które prześladowały mnie latami, mają jedną podstawową przyczynę. Wręcz pocieszało mnie, że za moje zmęczenie odpowiada toczeń, a nie typowe dla nastolatków lenistwo. W swojej naiwności zakładałam, że każdy człowiek wcześniej czy później musi zachorować na jakąś poważną chorobę. Ja przynajmniej wiedziałam, co mi jest, i nie musiałam już dłużej się nad tym zastanawiać.

Reakcja mamy nie mogłaby się już bardziej różnić od mojej. Była świadkiem cierpienia babci w związku z tym zaburzeniem autoimmunologicznym. Moi rodzice przyjaźnili się z małżeństwem, którego córeczka zmarła z tego powodu, dlatego mama była wystarczająco doświadczona, żeby wiedzieć, że toczeń jest w stanie odebrać mi dużo więcej niż jakość życia. Jej myśli krążyły wokół najgorszego z możliwych scenariuszy.

Toczeń jest trudny do zdiagnozowania. Występuje w trzech odmianach i nie ma dwóch osób, które miałyby dokładnie takie same objawy. Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, wiele symptomów wskazuje na inne choroby autoimmunologiczne. Dużo rzeczy trzeba wykluczyć i często mogą minąć całe lata, zanim uzyska się pewność, co się dzieje w organizmie chorego. Ja miałam niezwykle szczęście, że trafiłam do gabinetu doktora Wegmana i usłyszałam diagnozę już podczas pierwszej wizyty. Szczęście tym większe, że jego znajoma doktor Beals, robiąc mu przysługę, przyjęła mnie po niecałych dwóch tygodniach.

W gabinecie doktor Beals, gdy czekałam na pierwsze spotkanie z nią, usiadłam na skraju kozetki, ubrana w znoszoną koszulę szpitalną, i próbowałam wyglądać na opanowaną. Zdradzały mnie jednak niespokojne palce i rozkołysane stopy. Mama, która przyleciała do domu, gdy tylko usłyszała wstępną diagnozę, siedziała na jednym ze stojących w pomieszczeniu zielononiebieskich foteli uszaków. Drugi zajmowała Lori.

W chwili gdy doktor Beals weszła do gabinetu, moje obawy się rozwiały.

Była bystrą, niezwykle serdeczną kobietą, a jednocześnie całkowicie panowała nad sytuacją. Kiedy tamtego dnia wyszłam od niej, czułam się pełna energii i optymizmu – miałyśmy plan.

Postanowiłyśmy najpierw wykonać badania laboratoryjne, żeby się zorientować, z czym walczymy, a potem wspólnie przyjrzeć się wynikom i zdecydować, jaki rodzaj leczenia będzie odpowiedni. Z pewnością musiałabym zażywać leki, przynajmniej przez jakiś czas. Wiedziałam również, że konieczne będą pewne zmiany trybu życia, a przede wszystkim pozytywne nastawienie. Doktor Beals zapewniła mnie, że okażemy stanowczość, atakując chorobę, i wspólnie znajdziemy sposób, żeby życie z toczniem było znośne. Krótko mówiąc, miałyśmy stawić czoło tej diagnozie w taki sam sposób, w jaki mama i ja przez lata stawiałyśmy czoło zagrożeniom związanym z naszym bezpieczeństwem. Toczeń był czymś, co będę musiała nauczyć się brać na co dzień pod uwagę, ale co nie przeszkodzi mi żyć własnym życiem.

Wyniki badań laboratoryjnych były szokujące. Wszystko wskazywało na to, że powinnam była czuć się znacznie gorzej, niż faktycznie się czułam. Doktor Beals wywnioskowała z tego, że wykryłyśmy chorobę akurat w chwili, gdy szykowała się do spustoszenia mojego organizmu. Nasze metody musiały być wobec tego dużo bardziej agresywne, niż się wcześniej spodziewała.

Z postępów choroby jasno wynikało, że już od dłuższego czasu kipiała ona pod powierzchnią. Patrząc wstecz, byłyśmy w stanie doszukać się niewyjaśnionych objawów pochodzących co najmniej sprzed pięciu lat. Zaburzenia, które dawniej ignorowałyśmy, uważając je za błahe, nagle nabierały zupełnie nowego znaczenia.

W ciągu kilku tygodni mój organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa. Wyjazd do kliniki Mayo ujawnił, że mam najpoważniejszą postać choroby, toczeń rumieniowaty układowy, odmianę, która atakuje zarówno skórę, jak i organy wewnętrzne. Żadna część mojego ciała nie była poza jego zasięgiem.

Mówi się, że choroba odzwierciedla sytuację chorego. Jeśli to prawda, nie powinno dziwić, że nawet w obrębie swojego organizmu byłam – zupełnie dosłownie – stale zagrożona atakiem ze strony własnego ciała i krwi. Mój tato nadal nie dawał znaku życia, lecz zagrożenie, jakie stanowił, wciąż było obecne. To samo dotyczyło mojego tocznia. Rodzina, która przez całe lata, zachowując niezwykłą czujność, strzegła mnie przed atakiem ojca, teraz obserwowała mnie uważnie, wypatrując najmniejszej oznaki ataku od wewnątrz.

Anja wyjątkowo źle przyjęła wiadomość o mojej chorobie. Traktowała mnie jak wnuczkę i uważała, że do tej pory nacierpiałam się bardziej niż wystarczająco. Usłyszawszy o pogarszającym się stanie mojego zdrowia, odwiedziła doktora Franke, niemieckiego lekarza, który zabiegał o publikację swojej książki. Chorował na stwardnienie rozsiane i był przykuty do łóżka, gdy wynalazł metodę leczenia, która przywróciła go do życia.

– Co pan wie o toczeniu? – zapytała go Anja.

– No cóż – odparł. – Toczeń i stwardnienie rozsiane należą do tej samej rodziny chorób.

Choć nigdy tego nie przetestowano, miał pewność, że jego terapia może być skuteczna w przypadku obydwu. Właściwie był przekonany, że dalsze eksperymenty doprowadziłyby do odkrycia metody leczenia wszystkich chorób autoimmunologicznych.

Słyszając, że to ja jestem pacjentką, był gotów mnie leczyć. *Tylko razem z córką* była w Niemczech bestsellerem, a doktor Franke uważał, że jeśli udałoby się mu mnie wyleczyć i napisać o tym, nie miałby problemu z opublikowaniem własnej książki.

Anja skwapliwie podzieliła się z nami swoim odkryciem, a my, to znaczy mama, doktor Beals i ja, miesiącami zastanawialiśmy się, czy spróbować tej metody, czy nie. Była eksperymentalna. Nigdy nie zastosowano jej u nikogo chorego na toczeń. Nie została zbadana doświadczalnie, a jej długofalowe skutki były nieznane. Być może nie zadziałałaby. Być może tylko przyspieszyłaby moją śmierć.

Doktor Franke zapewnił nas, że deoksyspergualina (DSG) jest substancją całkowicie naturalną i nie będzie miała żadnych negatywnych skutków ubocznych. Był przekonany, że gdybyśmy znaleźli odpowiednie połączenie dawki i częstotliwości dozowania, mogłaby mnie ona wyleczyć. Nie byliśmy jednak gotowe na podjęcie takiego ryzyka. Najpierw chcieliśmy wypróbować bardziej konwencjonalne metody leczenia.

Starłam się nadal prowadzić normalne życie mimo dodatkowych wyzwań, jakimi było radzenie sobie z szybko postępującą chorobą autoimmunologiczną. Jednak mama zaczęła mnie traktować jak pacjentkę, w dodatku bardzo chorą. Przestała robić mi wyrzuty, że jestem leniwa, za to suszyła mi głowę, żebym na okrągło odpoczywała. Niepokoilo ją również to, że nigdy nie mówię, iż jestem chora. Jeśli już, mówiłam: „Mam toczenia”. Według niej znaczyło to, że wypieram się choroby, więc korzystała z każdej sposobności, żeby mi o niej przypominać. Ja widziałam to inaczej. Starłam się przedstawiać sytuację w korzystnym świetle. Nakłaniałam mamę, żebyśmy nie odstępowały od swoich rutynowych zajęć, co w jej wypadku oznaczało kontynuowanie podróży służbowych, a w moim szkołę, sport i przyjaciół.

Bracia byli zdruzgotani wiadomością, że podupadam na zdrowiu. Przesadnie się o mnie martwili. Śledzili moje wizyty lekarskie i byli na bieżąco z polepszającymi się lub pogarszającymi wynikami badań laboratoryjnych. No i starali się spędzać ze mną więcej czasu.

Pewnego dnia Joe przyjechał, żeby zabrać mnie na noc do swojego domu. Jechaliśmy z opuszczonymi szybami przez pola uprawne. Z głośników dochodził

łoskot heavy metalu, a my mijaliśmy pędem zagony kukurydzy i farmy mleczne. Nagle Joe z piskiem opon zatrzymał samochód, otworzył drzwi po swojej stronie i wyskoczył na zewnątrz.

– Co robisz? – spytałam zaskoczona.

– Prowadzisz przez resztę drogi – oznajmił, kierując się w stronę miejsca dla pasażera.

– Fantastycznie! – wykrzyknęłam, zrywając się ze swojego siedzenia i przeskakując na stronę kierowcy.

Musiałam przesunąć fotel do przodu, żeby dosięgnąć do pedałów. Ściskając kierownicę obydwiema rękami, ruszyłam. Okej, pomyślałam, oby tak dalej. Zbyt gorliwie przycisnęłam pedał gazu i samochodem szarpnęło do przodu. Próbując to skompensować, mocno nadepnęłam na hamulec, więc wóz zatrzymał się gwałtownie.

Śmiejąc się histerycznie i prawdopodobnie żałując swojej decyzji, Joe wyjaśnił mi poszczególne etapy, zanim spróbowałam ponownie. Za drugim razem poszło mi znacznie lepiej. Nabrałam większej pewności siebie i moja stopa coraz mocniej wciskała pedał gazu, gdy posuwałam się prostą drogą. Kiedy dojechaliśmy do rogu, za którym mieszkał Joe, przekręciłam kierownicę. Nie wiedziałam jednak, że na ogół dobrze jest zwolnić, zanim weźmie się ostry zakręt.

– Hamulec, wciśnij hamulec! – wrzasnął Joe, próbując chwycić kierownicę.

– Nadal skręcaj! Zwolnij! Co ty wyprawiasz? Chcesz nas zabić?

Opony zapiszczały, usiłując trzymać się nawierzchni, gdy śmignęliśmy za róg. Wciąż jechałam zakosami, próbując wyprostować wóz, aż w końcu zatrzymaliśmy się gwałtownie na podjeździe przed domem brata. Oboje poczuliśmy ulgę, że wyszliśmy cało z tej przygody.

John postawił sobie za cel stale mnie rozśmieszać. Spośród jego komediowych popisów chyba najbardziej lubiłam ten z żonglowaniem jajkami. Gdy tylko kierował się w stronę lodówki, uśmiechając się głupawo półgębkiem, jak to miał w zwyczaju w takich razach, wiedziałam, co się święci, i mama też.

– John, ani mi się waż – ostrzegła go.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nic go nie powstrzyma. Lubił irytować mamę tak bardzo, jak mnie przyprawiać o niekontrolowane napady chichotu. Siadałam na kuchennym blacie i oczami zamglonymi od łez ze śmiechu patrzyłam, jak żongluje dwoma jajkami jedną ręką, a drugą wyciąga przed siebie, żeby odpierać ataki mamy usiłującej chronić swoją świeżo wytartą podłogę.

– Mamo, daj mu spokój – błagałam. – Przez ciebie upuści jajka.

Wiedząc, że sprawa jest z góry przegrana, mama odsuwała się na bok z krzywym uśmiechem. W głębi duszy lubiła wygłupy Johna tak samo jak ja. Nie obawiając się już ingerencji mamy, dodawał więcej jajek i żonglował obydwiema rękami, robiąc głupie miny i jednocześnie opowiadając dowcipy. Rzadko zdarzało

mu się upuścić jajko, a jeśli już to zrobił, chętnie je sprzątaaliśmy, śmiejąc się przez cały czas z miny mamy, gdy John ponownie sięgał do drzwi lodówki.

W listopadzie 1993 roku mama chciała, żebym pojechała z nią w podróż służbową do Japonii.

– Japonia nie ucieknie – powiedziałam jej. – A ja będę miała teraz ostatnią okazję zagrać w turnieju koszykówki ze swoją drużyną. Pan Roecker mówi, że mamy spore szanse wygrać, więc ani mi się śni to przegapić.

Odkąd mama ogłosiła, że przeprowadzamy się do Alpey, zadreślałam się, próbując znaleźć jakiś sposób, żeby się od tego wykręcić. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ale turniej koszykówki miał mi podsunąć rozwiązanie.

Szkoła Salem należała do WELS (Wisconsin Evangelical Lutheran Synod**), a wszystkie drużyny koszykówki ze szkół podstawowych z całego stanu działających pod patronatem WELS przyjechały do Michigan Lutheran Seminary*** (MLS) w Saginaw, żeby rywalizować o tytuł mistrzowski. MLS nie było seminarium w powszechnie znanym, współczesnym sensie. Była to szkoła średnia należąca do naszego synodu – szkoła z internatem, prowadząca zajęcia na poziomie przeduniwersyteckim i mająca na celu przygotowanie młodzieży do przyszłej pracy duszpasterskiej.

Pan Roecker, nasz trener, był moim nauczycielem w szóstej klasie. Miał dar odkrywania u uczniów chęci do nauki. To dzięki niemu grałam w koszykówkę. Nie byłam wysportowana, ale uwielbiałam być w drużynie pana Roeckera.

Zdobyliśmy mistrzostwo i podobnie jak w wielu innych chwilach w moim życiu, mama świętowała ze mną tę okazję, ale z daleka. Niezależnie od tego, w jakim miejscu na świecie się znajdowała, była doskonale zorientowana, co się u mnie działo. Bez względu na zwariowany harmonogram i różnice czasu potrafiła znaleźć sposób, żeby codziennie do mnie dzwonić, a pomiędzy telefonami udawało jej się nawet wysłać mi krótkie liściki, żebym wiedziała, że się o mnie troszczy. Z Japonii przysłała mi pocztówkę ze zdjęciem przedstawiającym dwie młode kobiety ubrane w tradycyjnym japońskim stylu, pijące herbatę w ogrodzie, pod czerwonym parasolem.

12.11.93

Kochana Mahtob,
widziałam wiele małych dziewczynek ubranych w kimona + umalowanych na jakieś wyjątkowe święto. Wyglądały naprawdę ślicznie.

GRATULACJE z okazji zdobycia mistrzostwa.

Tęsknię za Tobą, kocham Cię, do zobaczenia wkrótce.

Całuję

Mama

Tydzień później w szkole pan Roecker pochwalił mnie za to, że dobrze się spisałam podczas turnieju.

– Czy myślałaś o tym, żeby pójść do MLS? Wydaje mi się, że miałabyś szansę zasilić ich drużynę koszykówki.

– Naprawdę tak pan uważa?

– Jasne. Przecież chcesz zostać nauczycielką, zgadza się?

– Zawsze bardzo chciałam, od pierwszej klasy.

– Wobec tego z pewnością powinnaś wziąć pod uwagę MLS. Naprawdę uważam, że to byłoby odpowiednie rozwiązanie dla ciebie.

– Nie ma mowy, żeby mama pozwoliła mi wyjechać. Powie, że jestem przecież chora albo że to dla mnie zbyt niebezpieczne liczyć tylko na siebie, jeśli pojawiłby się mój tato.

– Cóż, pomyśl o tym. Jeśli chcesz, porozmawiam z twoją mamą. Może znajdziemy jakiś sposób, żeby to mogło dojść do skutku.

Rzeczywiście myślałam o tym. Była to jedyna rzecz, o jakiej rozmyślałam całymi dniami, a im dłużej to robiłam, tym bardziej byłam przekonana, że pan Roecker przedstawił mi idealne rozwiązanie.

Wydawało się, że przeprowadzka jest nieunikniona. Mama nadal się upierała, żebyśmy zamieszkały w Alpejach, gdy skończę ósmą klasę. Jeśli musiałam się przeprowadzić, dlaczego nie miałabym tego zrobić na własnych warunkach? Gdybym poszła do MLS, mieszkałabym w internacie, a mama mogłaby zamieszkać, gdziekolwiek zechce. Właśnie to jej powiedziałam, kiedy zadzwoniła z Japonii.

– Wybieram się do MLS.

– Co? – zapytała z niedowierzaniem. – Przecież ty wcale nie chcesz iść do MLS.

– Właśnie, że chcę.

– Ale musiałybyś mieszkać w internacie. A ty nie chcesz mieszkać w internacie.

– Właśnie, że chcę.

– Musiałabyś dzielić pokój z kimś, kogo nawet nie znasz, i korzystać ze wspólnej łazienki z dziewczętami z całego piętra.

– Już się zdecydowałam. Pan Roecker mówi, że powinnam się ubiegać o miejsce w drużynie koszykówki. Uważa, że mogłabym przejść selekcję.

Mama była na tyle mądra, żeby nie powiedzieć od razu „nie”. Powiedziała, że porozmawiamy o tym, gdy wróci do domu.

Zanim wróciła, przygotowałam jak najsolidniejsze argumenty i postarałam się o wsparcie nie tylko pana Roeckera, lecz także pastora i dyrektora szkoły. Mama, wprawdzie niechętnie, ale się zgodziła, żebym chodziła do MLS, pod warunkiem jednak że będę wystarczająco zdrowa. Postanowiłam wyzdrowieć do

tego czasu.

* Amerykańska Nagroda Wolności.

** Kościół Ewangelicko-Luterański Synodu Wisconsin.

*** Luterańskie Seminarium w Michigan.

ROZDZIAŁ 19

Robiłam, co w mojej mocy, żeby nadal prowadzić normalne życie, ale pomimo wszystkich naszych wysiłków przed Bożym Narodzeniem toceń zaatakował mi nerki. Walczyłam z nim od nieco ponad roku i wypróbowałam praktycznie każdą dostępną metodę leczenia, lecz nadal szybko traciłam grunt pod nogami. Na skutek zażywania bardzo dużych dawek sterydów wyglądałam jak ogromny czerwony pomidor. Miałam rozdęty i obolały żołądek. Bolały mnie stawy. Wypadały mi włosy. Cierpiałam z powodu nieznosnych migren.

Na skórze czułam na przemian nieustające swędzenie i potworne pieczenie oraz szczypanie. W chwili gdy promienie słońca dotykały mojego ciała, miałam wrażenie, że kłują mnie setki gorących szpilek. Nawet pięć minut poza domem wystarczało, żeby każdy odsłonięty fragment skóry pokrył się pęcherzami. Potem zaczynał się łuszczyć grubymi, kruchymi warstwami i ropieć. Spędzałam godzinę i więcej pod prysznicem, pozwalając, żeby chłodna woda ukołła podrażnienie skóry. Jednak w końcu musiałam wyjść spod prysznica i rozdzierający ból powracał wraz z pierwszym dotknięciem ręcznika. Jediną prawdziwą ulgę przynosił sen. Wobec tego spałam.

Gdy rozpoczęło się drugie półrocze ósmej klasy, byłam zbyt chora, żeby uczęszczać na wszystkie lekcje, bo czasem spałam przez całą dobę. Mama budziła mnie co cztery godziny, żebym połknęła kolejne tabletki i wypila kilka łyków mleka. Połączenie ciepłego mleka z niesmakiem w ustach przyprawiało mnie o mdłości. Wolałabym wodę, ale mama upierała się, że muszę się dobrze odżywiać. Brałam wtedy dwadzieścia sześć tabletek dziennie. Znałam je wszystkie – ich nazwy, dawkowanie, częstotliwość zażywania i przeznaczenie. Znałam też ich liczne skutki uboczne, wiedziałam, które leki łykam, żeby im przeciwdziałać, i które wymagają specjalnych restrykcji żywieniowych.

Chociaż chodzenie do szkoły wymagało ode mnie więcej wysiłku, niż mój organizm mógł znieść, nauczyciele dbali, żebym nie miała zaległości w zaliczeniach i na lekcjach katechizmu. Czasami byłam w stanie uczęszczać na zajęcia przez cały tydzień, ale przeważnie miałam dużo nieobecności. Im bardziej się wysilałam, tym więcej czasu zabierało mi dojście potem do siebie, ale dzięki staraniom nauczycieli zdołałam ukończyć Salem i – co ważniejsze – przystąpić do konfirmacji ze swoją klasą.

W naszym Kościele konfirmacja jest publiczną uroczystością poprzedzoną serią bardzo szczegółowych nauk z zakresu podstaw wiary chrześcijańskiej. Jest to moment, w którym osoby ochrzczone jako niemowlęta lub dzieci „konfirmują”, czyli potwierdzają znajomość zasad wiary, i deklarują, że postanowiły żyć jako wyznawcy Chrystusa. Wspomniane nauki były starannie prowadzone przez pastorów naszego Kościoła.

Czcigodny, niezwykle prawy pastor Mueller jest jednym z najmądrzejszych i najłagodniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznałam. Świat byłby znacznie lepszym miejscem, gdyby każde dziecko miało przywilej dorastania, słuchając rad i nauk takiego człowieka. Jestem na wieki wdzięczna Bogu, że ze wszystkich miejsc, do których mógł nas zaprowadzić, uznał za stosowne powierzyć mamę i mnie opiece pastora Muellera. Pastor dobrze znał każdego ucznia i po długim namyśle połączonym z modlitwą wybierał dla każdego z nas jakiś ustęp konfirmacyjny z Biblii.

Osiem lat wcześniej pastor Mueller udzielał nauk biblijnych mamie i kiedy nadszedł czas konfirmacji potwierdzającej, że zostaje ona przyjęta do naszego Kościoła, dał jej następujący wers: „Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam?” (List św. Pawła do Rzymian 8, 31). Za każdym razem, kiedy ten fragment był czytany w kościele lub wspominany w kazaniu czy przywoływany w rozmowie, mama szturchała mnie z uśmiechem, przypominając mi, że to był jej ustęp konfirmacyjny.

Dla mnie wybrał fragment z Listu do Efezjan (2, 8–9): „Albowiem łaską zbawieni jesteście przez wiarę, i to nie z was: Boży to dar. Nie z uczynków, aby się kto nie chlubił”.

Ten ustęp z tak wielu powodów pasował do mojego życia. Bóg ocalił mnie przed ojcem. Ocalił mnie w czasie wojny między Iranem a Irakiem. Podczas naszej ucieczki to Bóg bezpiecznie doprowadził nas do domu. Poprzez chrzest wybawił mnie od grzechów i niezależnie od tego, czy miałam wyzdrowieć, czy toceń miał mnie przyprawić o śmierć, byłam zbawiona na wieki dzięki łasce Bożej.

Po nabożeństwie konfirmacyjnym usiadłam w podziemiach kościoła i płakałam jak bóbr. Odkąd wróciłam z Iranu, szkoła Salem była w moim życiu źródłem niezachwianej konsekwencji. Nauczyciele prowadzili mnie przez te koszmarne czasy, ucząc jednocześnie, jak kochać i przebaczać. Zerwanie więzów ze szkołą i kolegami sprawiło, że czułam się zagubiona i zdezorientowana.

To był bardzo przykry okres w moim życiu, jednak jak zawsze rodzina skupiła się wokół mnie, dając z siebie wszystko, żeby dodać mi otuchy. Podczas gdy John nadal mnie rozśmieszał, Joe i jego rodzina starali się częściej przyjeżdżać w odwiedziny.

Peggy, żona Joego, miała z pierwszego małżeństwa syna o imieniu TJ, a razem mieli syna Brandona. Odkąd się urodził, łączył mnie z nim głęboki związek. Kiedy przebywał w domu babci Betty, wciąż było słyhać „Mah-Bob” to, „Mah-Bob” tamto.

Brandonowi trudno było zrozumieć, dlaczego zaczęłam zasypiać podczas jego odwiedzin. Zwlekałam się z łóżka i przenosiłam się na sofę, ale nawet tam brakowało mi sił, żeby trzymać oczy otwarte. Brandon podchodził do mnie na palcach i delikatnie kładł mi maleńką rączkę na twarzy.

– Mah-Bob nie śpi – szeptał. – Mah-Bob nie śpi.

Chciałam się poderwać i bawić z nim, lecz moje ciało było po prostu zbyt ociężałe ze zmęczenia. Nie mogłam nawet otworzyć oczu ani zdobyć się na słaby uśmiech.

– Mah-Bob – nalegał, klepiąc mnie po policzku. – Nie śpi.

Słyszałam jego głos, ale brzmiał on tak, jakby dobiegał z odległości wielu kilometrów. Serce mi się krajało.

Tak długo błagał, żebym się zbudziła, aż mama przychodziła, by go zabrać, mówiąc:

– Cii, Mahtob jest zmęczona. Musimy pozwolić jej teraz spać.

Lecz nawet gdy wyprowadzano go z pokoju, prosił:

– Mah-Bob nie śpi!

Przegrywałam walkę z toczniem. Mama próbowała chronić mnie przed tą prawdą, lecz ja to czułam. Najpierw zawiódł mój organizm, a potem moja wola życia. Pogodziłam się z myślą, że umieram. Szczerze mówiąc, byłam zbyt wyczerpana, żeby się tym przejmować.

W końcu doktor Beals oznajmiła, że nie mamy już nic do stracenia. Po prostu byłam w coraz gorszym stanie. Wydawało się, że nic nie opóźnia postępów choroby. Jeśli miałyśmy wypróbować eksperymentalną metodę leczenia za pomocą DSG opracowaną przez doktora Franke, był to odpowiedni moment. Mama natychmiast załatwiła formalności związane z naszym lotem do Niemiec.

Wyprawa do Monachium była wyczerpująca. Kiedy mama i ja spotkałyśmy się z doktorem Franke, moje ciało ledwie miało dość siły, żeby utrzymać ciężar głowy. Byłyśmy w wytwornym holu hotelu Vier Jahreszeiten, otoczone ciemnym drewnem, marmurem i witrażami. Zbyt słaba, żeby dosunąć ciężkie krzesło do stołu, przycupnęłam na skraju siedzenia i pochyliłam się do przodu, aby ze znużeniem oprzeć głowę na chłodnym drewnianym blacie. Wiedziałam, że zachowuję się niegrzecznie, ale byłam tak wyczerpana, że po prostu nic nie mogłam na to poradzić.

Doktor Franke był inny, niż się spodziewałam. Wyglądał jak czarny charakter z filmów Disneya. Miał długie guzowate palce, które zaciskały się wokół rączki sękatej drewnianej laski. Zapadnięte oczy zagłębiały się mocno w czaszce, tworząc ciemne obwódki na kredowobiałej skórze. Tylko jeden róg jego pomiętej koszuli z bawełny oxford zdołał pozostać wetknięty w spodnie. W dodatku doktor był strasznie rozczochrany. Prawdziwy typ szalonego uczonego.

W jego ruchach dało się wyczuć pewną nerwowość. Toczył nieustającą walkę z włosami w nieładzie, które wciąż wpadały mu do oczu. Jeśli akurat mozolnie nie odgarniał ich dłonią na bok, groteskowo wyłamywał sobie nadgarstki. Pół obrotu w dół i w prawo, potem szybki ruch do góry i... trach. Cały trzeszczał, więc zastanawiałam się, czy to aby nie jest uboczny efekt kuracji. Wcześniej obiecał mi, że nie będzie żadnych negatywnych skutków ubocznych, ale wyglądało

na to, że nie zdaje sobie sprawy ze swojego trzeszczenia. Czy to samo mogło przydarzyć się i mnie?

Doktor Franke przyprowadził z sobą swojego partnera zawodowego doktora Regensbergera, który miał na sobie dzinsy, wysokie buty i czarną skórzaną kurtkę. Dowiedziałyśmy się, że jest entuzjastą motocykli i ma obsesję na punkcie Drogi 66*.

Anja przyszła z nami, żeby udzielić nam moralnego wsparcia, ale jej umiejętności translatorskie okazały się niepotrzebne, bo wszyscy przy stole świetnie mówili po angielsku.

Doktor Franke, zaskoczony zaawansowanym stadium choroby i pełen obaw, że poczyniła już zbyt wielkie spustoszenie w moim organizmie, nie chciał mnie leczyć. Uproszony przez mamę i Anję, skapitulował, ale jednocześnie przedstawił trzeźwą ocenę sytuacji. Powiedział nam, żebyśmy nie miały wielkiej nadziei – najlepiej w ogóle żadnej.

Następnego dnia rano mama, Anja i ja zgłosiłyśmy się do niewielkiej sterylnej kliniki doktora Franke. Czułam się jak Złotowłosa na miejscu przeznaczonym dla Taty Niedźwiedzia, na wpeł leżąc na ogromnym szpitalnym fotelu z winylową tapicerką. New Kids on the Block śpiewali mi wprost do uszu: „*step by step, oh, baby...*”, dzięki mojemu nowemu walkmanowi, a na kolanach trzymałam nieotwartą najnowszą książeczkę z serii *Klub Baby-Sitters*. Prawą rękę miałam wyciągniętą na podłokietniku, a igła od kroplówki zniknęła w najgrubszej żyłce na zgięciu łokcia. Nawet moja najlepsza żyłka żałośnie skurczyła się w wyniku choroby. Pielęgniarka była zmuszona użyć tak zwanego motylka, maleńkiej igły, którą zdążyłam już dobrze poznać.

Dzień był ciepły i ze zdumieniem patrzyłyśmy z mamą, jak maluchy z pobliskiego przedszkola rozbierają się i tak jak je Pan Bóg stworzył, pluskają się w brodziku dla dzieci. Jakaś kobieta przyciskała kciuk do wylotu węża ogrodowego, rozpylając w ten sposób wodę i tworząc tęczę, przez którą przebiegały dzieciaki. W amerykańskim przedszkolu nigdy by nie pozwolono na coś takiego. Mama z troską zwróciła uwagę Anji na tę scenę.

– Co w tym złego? – zapytała Anja. – Spójrz na nie. Świetnie się bawią.

Dzieci dostarczały nam również mile widzianej rozrywki, pozwalając zająć myśli czymś innym, gdy nerwowo czekałyśmy na reakcję mojego organizmu na lek. Znając figlarny charakter Anji, dziwię się, że nie pobiegła się do nich przyłączyć.

Po upływie mniej więcej czterdziestu pięciu minut od początku zabiegu wokół mnie zaczęli się tłoczyć pracownicy kliniki. Pielęgniarka, recepcjonistka i dwaj lekarze przypatrywali się dokładnie mojej twarzy, a potem stali zbici w grupkę i coś do siebie szeptali po niemiecku. Nie umiałam ocenić, czy był to tylko zły znak, czy może fatalny. W milczeniu przeprowadziłam przegląd własnego

ciała i nie poczułam niczego niezwykłego. Przypomniał mi się o książce na kolanach, ucieszyłam się, że mam się czym zająć, więc otworzyłam ją i zaczęłam czytać. Trudno mi się było skoncentrować, bo wciąż przychodził ktoś z personelu kliniki, żeby zapytać, jak się czuję. Za każdym razem uważnie przyglądali się mojej twarzy i za każdym razem wydawało się, że z coraz większym trudem powstrzymują kąćki ust przed zdradzeniem zaskoczenia.

W końcu mama zdobyła się na odwagę i powiedziała to, co myśleli wszyscy.

– Spójrzcie na jej skórę! – wykrzyknęła z niedowierzaniem. – Wysypka znika.

Kiedy lody zostały przełamane, cały zespół zaczął okazywać radość.

Gdy półtorej godziny po podłączeniu do kroplówki ostatnia kropla leku wsączyła się do mojej żyły, poczułam się jak nowo narodzona, żywa po raz pierwszy od miesiąca. Chciałam pójść na spacer, ale doktor Franke czym prędzej nas przestrzegł.

– Powinnyście wrócić do hotelu – powiedział mamie. – Ona będzie zmęczona, więc proszę jej pozwolić odpocząć.

Ja nie byłam jednak zmęczona. Tryskałam energią i nie zamierzałam zmarnować tego pięknego dnia.

– Pójdźmy chociaż na krótki spacer – poprosiłam mamę. – Jeśli to będzie zbyt męczące, powiem ci.

Mama niechętnie ustąpiła. Anja wskazywała drogę. Minęliśmy Hofbräuhaus i znalazłyśmy się na placu wypełnionym kawiarnianymi stolikami i turystami. Zobaczyłyśmy Glockenspiel oraz ogromną księgarnię, w której sprzedawano książki po angielsku. Co kilka kroków pytały:

– Nie jesteś zmęczona? Nie chciałabyś usiąść i odpocząć?

– Nie! – wołałam z uśmiechem – Idźmy dalej.

Wkrótce się zmęczyły i zostawały w tyle.

Czułam się tak, jakbym widziała świat po raz pierwszy. Byłam oczarowana uroczymi wąskimi uliczkami, przy których stały kamienice zbudowane w różnych stylach architektonicznych, przyklejone jedna do drugiej. Nie miały ogródków, a mimo to wszędzie były kwiaty. Po raz pierwszy zauważyłam bloki wiszące nad niektórymi oknami na górnych kondygnacjach.

– Anju, do czego one służą? – zapytałam, wskazując na nie ręką.

– To stare budynki. Schody są zbyt strome i wąskie, żeby wnosić i znosić po nich meble, więc używa się bloków do wciągania dużych przedmiotów przez okno.

Skreśliłyśmy za róg i Anja stanęła jak wryta. Jej oczy nabrały markotnego wyrazu.

– To jest ważne miejsce – powiedziała, wskazując na niemal pusty plac. – Właśnie tutaj Hitler wypowiedział wojnę Żydom.

Zadrzała, wypowiadając nazwisko Hitlera. Był to jedyny raz, kiedy

wspomniała przy mnie o Hitlerze albo o wojnie.

W sumie miałam cztery dni kroplówek, potem trzy dni przerwy, a następnie jeszcze cztery. Mój zdumiewający powrót do zdrowia trwał nadal. Przy każdym zabiegu obawialiśmy się, że mogę mieć nawrót choroby, ale to był nieprzerwany marsz w górę. Po upływie dwóch tygodni przestałam zażywać swoje leki z wyjątkiem sterydów, które też zaczęłam odstawiać.

Miałyśmy nadzieję na najlepsze, ale gdy po powrocie do Michigan pojechałyśmy zobaczyć się z doktor Beals, byłyśmy przygotowane na najgorsze. Czy to możliwe, że był to jedynie fenomenalny efekt placebo? Czy tak bardzo chciałyśmy, aby kuracja okazała się rozwiązaniem problemu, że jakimś sposobem moje ciało oszukało samo siebie i uwierzyło, że rzeczywiście tak jest? Czy miałam się obudzić następnego dnia, ponownie nie będąc w stanie zwlec się z łóżka?

Doktor Beals była prawdziwym naukowcem, którego nadzieje studził rozsądek, dlatego przeprowadziła kompleksowe badania laboratoryjne. Patrzyłyśmy i czekałyśmy, a nasze modlitwy zostały wysłuchane: mój toczeń był pod kontrolą. Nie przeszedł w stadium remisji, ale w ciągu zaledwie dwóch krótkich tygodni zostałam sprowadzona z powrotem znowu z krawędzi śmierci.

* Route 66, nazywana często Mother Road (Drogą Matką) – najsłynniejsza szosa Stanów Zjednoczonych, łącząca Chicago z Los Angeles.

ROZDZIAŁ 20

Do sierpnia 1994 roku cudem wyzdrowiałam na tyle, że nie tylko mogłam uczęszczać do szkoły, lecz także pójść do szkoły z internatem. Byłam przerażoną czternastolatką, gdy wprowadziłam się do akademika w Michigan Lutheran Seminary. Ta przeprowadzka wynikała z mojej decyzji, ale niezupełnie byłam z tego zadowolona.

Mama zawiozła mnie do mojego nowego domu w niedzielne popołudnie. Moje życie w MLS zaczęło się dokładnie tak, jak później miał się zaczynać i kończyć każdy dzień – od nabożeństwa. Gdy pastor zapowiedział końcowy hymn, zerknęłam w dół na folder z porządkiem nabożeństwa i zobaczyłam, że gdy skończy się ta pieśń, uczniowie spotkają się ze swoimi opiekunami, a rodzice udadzą się do domu. Ścisnęło mnie w gardle. Nie chciałam, żeby mama odjechała. Zmieniłam zdanie. Może przeprowadzka do Alpeny wcale nie była takim złym pomysłem.

Wcześniej tego ranka, gdy mama i ja uczestniczyliśmy w nabożeństwie w Salem, pastor Mueller ogosił, że zmarła pani Hatzung. Jej walka z rakiem piersi dobiegła końca. Została wezwana do domu, żeby zamieszkać ze swoim Zbawicielem – dla niej było to prawdziwe błogosławieństwo, lecz bolesna strata dla tych z nas, którzy ją kochali. Nie mogłam uwierzyć, że odeszła.

Pani Hatzung nie tylko mnie uczyła. Wychowywała mnie. Jej miłość, dobroć i łagodność pozwoliły mi czuć się bezpiecznie, gdy z dala od mamy kontynuowałam naszą ucieczkę. Pani Hatzung pomogła mi zburzyć mur, który zbudowałam wokół swojego serca. Zwróciła mi nawet Pana Bunny'ego. Wiedząc, jak bardzo za nim tęsknię, poprosiła swoją córkę o skopiowanie ze zdjęcia mojego tyczkowego zielonego przyjaciela. Ten nowy Pan Bunny był równie dobry jak stary i co więcej, pod jego nieobecność podarowano mi jeszcze lepsze źródło bezpieczeństwa, którego nigdy nie można mi było odebrać – Słowo Boże.

Z pewnością nie przez przypadek znalazłam się pod opieką pani Hatzung. Bóg zawsze stawiał na mojej drodze właściwych ludzi we właściwych momentach.

Kaplica rozbrzmiewała dźwiękami hymnu 332 „Idźcie moje dzieci z mym błogosławieństwem”. Łzy po cichu spływały mi po policzkach, bo znajomy hymn nabierał nowego znaczenia. Nie chciałam „iść”. Chciałam trzymać się kurczowo – pani Hatzung, Salem i przede wszystkim mamy, która siedziała obok mnie, płacząc nawet bardziej niż ja. Czując się odpowiedzialna za jej łzy, nie byłam w stanie na nią spojrzeć.

Nawet gdy po nabożeństwie przytuliłam się do mamy na pożegnanie, żadna z nas nie mogła wydusić z siebie słowa. Odwracając się szybko, zostawiłam ją samą w tłumie nieznanym. Serce mi się krajało. Byłyśmy zespołem. Wcześniej udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że nigdy mnie nie opuści. Jak ja mogłam ją

opuścić?

Moje poczucie winy i smutek nasiliły się, kiedy dowiedziałam się, co się wydarzyło później tamtego dnia. Para współczujących rodziców zaprosiła mamę na kawę. Łzy spływały jej po twarzy, więc tylko pokręciła głową i odeszła. Po przejechaniu kilku kilometrów zatrzymała się na parkingu przy jakimś sklepie spożywczym i siedziała w samochodzie, płacząc. W pewnym momencie poczuła w brzuchu rozdzierający ból, który uznała za skutek zmartwienia. Jednak ból nie słabł i wieczorem musiała zostać przyjęta do Carson City Hospital. Badania wykazały, jak bardzo poważne są jej kłopoty zdrowotne. Przewieziono ją do większego szpitala, gdzie miała zostać poddana natychmiastowej operacji.

Obiecałam, że jeśli w MLS będę tęskniła za domem, wrócę. W normalnych okolicznościach duma nie pozwoliłaby mi przyznać się do takiej słabości, jednak byłam nieznośnie stęskniona za domem. Codziennie płakałam i gdybym mogła, natychmiast pojechałabym z powrotem, ale choroba mamy wykluczała tę ewentualność. Była w szpitalu o wiele godzin drogi stamtąd i walczyła o życie. Przeszła poważną operację i podawano jej środki uspokajające. Hospitalizowano ją przez wiele tygodni, co oznaczało, że byłam zmuszona zostać w szkole.

Przez cały semestr codziennie tęskniłam za swoją atmosferą domu. Przez większość nocy płakałam po cichu w poduszkę, a podczas przerwy na Święto Dziękczynienia, kiedy mama na tyle odzyskała siły, że mogła mnie zabrać samochodem ze szkoły, byłam przekonana, że już tam nie wrócę. Po długich rozważaniach zdecydowałam się na powrót, ale postanowiłam, że zostanę tylko do końca semestru, nie dłużej.

Co najdziwniejsze, kilka następnych tygodni zmieniło moją postawę. Przed Bożym Narodzeniem byłam całym sercem przekonana do pozostania w MLS.

Pomogło to, że dane mi było mieszkać w pokoju z dwiema cudownie towarzyskimi koleżankami. Nadal byłam bardzo nieśmiała, ale dzięki nim krąg moich przyjaciół stale się powiększał. Polubiłam życie w internacie i nie przeszkadzało mi nawet dzielenie łazienki z całym piętrem dziewcząt. Mama i ja byłyśmy zdziwione, że moja nowa niezależność pomogła zażegnać napięcie, które pojawiło się w naszych stosunkach, gdy ona oznajmiła, że przeprowadzamy się do Alpey. Kiedy byłyśmy razem, ceniłyśmy sobie wspólnie spędzany czas.

Wszyscy w MLS znali moją historię, ale chyba nikogo ona nie bulwersowała. Nie znali natomiast nazwiska, którego używałam w szkole podstawowej – Amanda Smith.

Przy okazji confirmacji oficjalnie wróciłam do swojego pierwotnego nazwiska. Od pewnego czasu był spokój z moim ojcem, a ja rozpoczynałam nowy etap w swoim życiu. Chciałam od tej pory posługiwać się prawdziwym imieniem i nazwiskiem, ale to wymagało przystosowania. Moi nowi koledzy z klasy i nauczyciele znali mnie tylko jako Mahtob – albo Maht, jak zaczęły mnie nazywać

przyjaciele. Problem polegał na tym, że ja czasami nadal myślałam o sobie jako o Mandy.

Zaledwie kilka dni po rozpoczęciu roku szkolnego napisałam listy do swoich przyjaciółek z podstawówki, ale zapomniałam o znaczkach. Ogłoszono wtedy komunikat skierowany do wszystkich uczniów MLS, że w pojemniku na pocztę znaleziono rano kilka listów bez opłaty, z adresem zwrotnym na nazwisko Amanda Smith. Łamigłówka polegała na tym, że żadna Amanda Smith nie była zapisana do szkoły. „Czy nadawca listów mógłby zgłosić się do sekretariatu i zapłacić za znaczki?” Zawstydzona udałam się do sekretariatu.

W drugiej klasie nosiłam swoje prawdziwe imię z większą godnością, chociaż bywały chwile, kiedy wracałam do dawnych nawyków. Pewnego razu, gdy przez głośniki wywoływano „Amandę Smith”, zareagowałam na wezwanie skierowane do nowej pierwszoklasistki o tym nazwisku. Kiedy indziej moja koleżanka z pokoju wzięła do ręki Biblię, która leżała u nas na stercie innych książek, i zapytała:

– Maht, skąd się u nas wzięła Biblia Amandy Smith?

Była to oczywiście moja Biblia – ta, której używałam przez całą podstawówkę. Miała podarty grzbiet podklejony taśmą, postrzępioną okładkę i kartki pobrudzone na brzegach od wieloletniego studiowania. W tekście roiło się od moich podkreśleń, moje notatki ozdabiałały marginesy, a strony w naturalny sposób otwierały się na najczęściej czytanych ustępach. Ta książka, teraz zapełniona naukami, które ukształtowały mój charakter, pomogła mi czuć się bezpiecznie po naszej ucieczce. Na wewnętrznej stronie przedniej okładki mama napisała drukowanymi, choć zadziwiająco drobnymi literami: „Mandy Smith”.

Lato 1996 roku przyciągnęło cały świat do Atlanty w stanie Georgia w związku z igrzyskami olimpijskimi obchodzącymi wówczas swoją setną rocznicę. Mama i ja pojechałyśmy tam na zaproszenie pewnej belgijskiej parlamentarzystki, która nazywała się Anne-Marie Lizin. Pani Lizin działała w organizacji broniącej praw kobiet. Nosiła ona nazwę Atlanta Plus i protestowała przeciwko wykluczeniu kobiet z olimpiady przez świat muzułmański. Wśród winowajców na czoło wysunął się Iran, zabraniając kobietom udziału we wszelkich zawodach, które nie pozwalają im pozostać całkowicie zakryte hidżabem. Atlanta Plus zajęła w tej sprawie takie stanowisko, że każdy kraj, który nie zezwala kobietom brać udziału w olimpiadzie równie swobodnie jak mężczyznom, powinien zostać wykluczony z igrzysk.

Mama i ja nie mamy antymuzułmańskiego ani antyirańskiego nastawienia, opowiadamy się jednak za wolnością, więc przyjęłyśmy zaproszenie. W Atlancie połączyłyśmy siły z wybitnymi kobietami z Belgii, Francji, Niemiec, ze Szwecji i z innych krajów. Maszerowałyśmy ulicą w podobnych T-shirtach, niosąc transparenty i skandując feministyczne hasła. Po drodze pstrykałam zdjęcia, ale

gdy wokół nas zgromadziła się policja, opuściłam aparat. Anne-Marie Lizin zachęcała mnie, żebym nadal robiła zdjęcia.

– Jesteś tu najmłodsza – przekonywała. – Policja nie będzie cię niepokoić. Możesz być naszym oficjalnym fotografem.

Ponieważ żyłam kiedyś w społeczeństwie, w którym swobodne wyrażanie poglądów było zakazane, uznałam, że to bardzo emocjonujące korzystać z prawa do wolności słowa w tak jawny sposób. Maszerowałyśmy, skandowałyśmy i powiewałyśmy transparentami, a ja robiłam zdjęcia, podczas gdy policjanci tylko patrzyli. Dla mnie był to najwspanialszy przejaw demokracji.

Zorganizowano również spotkanie z przewodniczącym Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Gdy zostałam mu przedstawiona, delikatnie ujął moją rękę w obie dłonie i powiedział:

– No, no. To naprawdę przyjemność poznać najśłynniejszą córkę na świecie.

Cóż za dziwaczny pomysł. Całe to przeżycie wydawało się cudownie absurdalne. Już samo maszerowanie w proteście w wieku szesnastu lat wydawało się dziwne, a robienie tego na prośbę przedstawicielki europejskich władz było tym bardziej osobliwe. Jednak usłyszenie z ust przewodniczącego MKOl-u, że jest się „najśłynniejszą córką na świecie”, kojarzyło się z jakimś przedziwnym snem. Moje życie na ogół było bardzo zwyczajne, a potem nagle zdarzały się takie chwile jak ta.

Po pierwszej kuracji z zastosowaniem DSG stan mojego zdrowia wciąż był dość stabilny. Pomagały w tym regularne kroplówki. Co kilka miesięcy mama i ja leciałyśmy do Monachium na kolejną dziesięciodniową terapię. Nauczyciele pomagali mi nadrobić lekcje, które opuściłam z powodu wyjazdu. Przyjaciele również. Mimo to martwiłam się, że muszę odrywać się od zajęć krótko po rozpoczęciu trzeciej klasy.

Początek roku szkolnego zawsze był ekscytującym przeżyciem. Uwielbiałam radosne spotkania z przyjaciółmi, za którymi tęskniłam przez całe lato, i frajdę, jaką dawało urządzanie się w akademiku. Trzeba było podjąć mnóstwo ważnych decyzji – gdzie powiesić plakaty i jak poprzestawiać meble, żeby nasz pokój był jak najbardziej przytulny. Potem gdy już zaczynaliśmy popadać w codzienną rutynę, następowały podniecające przygotowania do dorocznego zjazdu absolwentów*. Ustalano temat przewodni, planowano widowisko w przerwie meczu i wybierano dwór. Czułam się poszkodowana, że muszę spędzać te chwile w klinice w Niemczech.

Wieczorem w dniu mojego powrotu do szkoły przyjaciele wyglądali przez okna swoich pokojów, czekając na mnie. Moja współlokatorka zbiegła na dół, żeby się ze mną przywitać i pomóc mi wnieść torby. Nasze wesołe głosy rozbrzmiewały na klatce schodowej, gdy próbowałyśmy błyskawicznie obgadać nowinki z dwóch tygodni w czasie potrzebnym do pokonania czterech kondygnacji. Kiedy

dotarliśmy na nasze piętro, otworzyła drzwi, a ja weszłam na korytarz, gdzie zgromadzili się moi przyjaciele. Gdy tylko mnie zobaczyli, wykrzyknęli chórem: „Gratulujemy, Maht!”. Wyściskali mnie wśród salw śmiechu. Nad ich głowami wisiał ręcznie wykonany transparent z napisem: „Gratl. Maht przedst. 98!”.

Pod moją nieobecność koleżanki z pokoju przeprowadziły kampanię na rzecz wybrania mnie w skład dworu jako przedstawicielkę naszej klasy podczas zjazdu absolwentów. Kręciło mi się od tego w głowie. Jak to możliwe? Koledzy z klasy rzeczywiście zagłosowali na mnie – cichą dziewczynę, która przemykała się przez szkołę, wpatrując się w swój zegarek w nadziei, że pozostanie niezauważona? Gdy dotarło do mnie, że to prawda, poczułam się zawstydzona i zachwycona.

Niemal natychmiast padło pytanie: „Kto ci będzie towarzyszył w drodze na boisko?”. Zwykle tato przedstawicielki brał córkę pod rękę i dumnie prowadził ją na boisko przed wielkim meczem futbolowym będącym główną atrakcją zjazdu absolwentów. Oczywiście w moim wypadku to nie wchodziło w grę.

Moje przyjaciółki wspaniałomyślnie zaoferowały własnych ojców, żeby zastąpili mojego, ale ja nigdy nie miałam wątpliwości, kto będzie mi towarzyszyć. Mama była moim uniwersalnym rodzicem i to ona musiała wystąpić w tej roli. Jednak pytanie wciąż powracało i kiedy w końcu padło z ust dziekana, uświadomiłam sobie, że to może się okazać problemem. Wobec tego poszłam zobaczyć się z rektorem.

Powitał mnie gorącym uśmiechem i gratulacjami.

– A więc – zapytał wesoło – co cię gnębi?

– Chcę z panem porozmawiać o zjeździe absolwentów. Wszyscy mnie pytają, kto odprowadzi mnie na boisko.

Przerwał mi, zanim zaczęłam przytaczać przygotowane zawczasu argumenty.

– Naturalnie twoja mama – powiedział z szelmowskim uśmiechem.

– Ach, okej, w porządku – wyjąkałam i odetchnęłam z ulgą.

– Miło będzie ją zobaczyć. Musi być bardzo zadowolona, słysząc, że została wybrana na przedstawicielkę swojej klasy.

– Tak, rzeczywiście jest zadowolona. Dziękuję.

Wyszłam z jego gabinetu sprężystym krokiem. Nie musiałam sprawić mamie zawodu.

Gdy nadszedł ów wieczór, mama i ja stałyśmy za trybunami, czekając, żeby nas zaanonsowano. Miałam na sobie szmaragdowozieloną suknię bez rękawów i szal pod kolor. Gdy przyszła nasza kolej, wkroczyłyśmy na boisko i odwróciłyśmy się twarzą do trybun. Powitały nas burzliwe owacje.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem. Jesteśmy klasą z dziewięćdziesiątego ósmego. Hura!

– Kochamy cię, Maht!

– I panią Mahmoody! – dodał ktoś.

Stałam, trzymając mamę pod rękę i spoglądając do tyłu na najpiękniejsze miejsce... na swoją rodzinę z MLS.

Jedyne słowa, jakie przyszły mi na myśl, to: „Kielich mój przelewa się” (Księga Psalmów 23, 5). W tamtej chwili moje serce przepełniała wdzięczność za chaos, który towarzyszył mojemu dzieciństwu. Gdyby nie podłość ojca, nigdy nie trafiłabym do Salem, a gdyby nie Salem, nigdy nie dowiedziałabym się o MLS. Gdyby nie planowana przez mamę przeprowadzka do Alpey i moje uparte dążenie do stabilizacji, nie miałabym odwagi zaryzykować. Tamta jedna surrealistyczna i wspaniała chwila była zwieńczeniem podejmowanych przez całe życie decyzji wymuszonych trudnymi sytuacjami. W tamtej chwili w moim sercu nie było niczego oprócz wdzięczności.

Ta sama postawa wdzięczności przykuła uwagę pewnej niemieckiej ekipy kręcącej filmy dokumentalne. Dowiedziawszy się o mojej walce z toczniem i o eksperymentalnej kuracji, która uratowała mi życie, przyjechali, żeby zrobić reportaż o mnie. Najbardziej zaintrygowało ich to, co uznali za moje pogodne podejście do życia w obliczu pozornie przytłaczających przeciwności losu.

Realizatorzy pomyśleli, że należy opowiedzieć moją historię, bo innym nastolatkom należy się tego rodzaju pozytywny przykład. Ja jednak nie uważałam się za wzór do naśladowania ani nie wydawałam się sobie wyjątkowa pod żadnym względem. Po prostu radziłam sobie z toczniem w taki sam sposób, w jaki wcześniej dawałam sobie radę z brutalnością taty – znajdując dobre strony w złej sytuacji i ufając, że Bóg ma względem mnie jakiś większy plan, którego nie mogę dostrzec ze swojej perspektywy. Nie mogłam przypisać sobie za to żadnej zasługi. Po prostu żyłam tak, jak nauczyli mnie optymistycznie nastawieni ludzie, których Bóg postawił na mojej drodze.

Po kilku dniach filmowania skierowałam się z ekipą do parku rozciągającego się naprzeciw naszego domu, po drugiej stronie ulicy. Mieliśmy nagrać wywiad. Gawędziłam z realizatorem, spacerując po zwirowej ścieżce wijącej się między drzewami wzdłuż brzegu rzeki. Kamerzysta szedł tyłem przed nami, kręcąc tę scenę, a fotograf pstrykał zdjęcia tuż spoza kadru. Inny mężczyzna dotrzymywał nam kroku, unosząc nad naszymi głowami mikrofon na wysięgniku. Idąc, stale zerkał do przodu i do tyłu, raz na nas, a raz na zestaw monitorujących dźwięk gadżetów, przewieszony przez ramię.

Gdy tak spacerowaliśmy i rozmawialiśmy, zaświtało mi w głowie, że może właśnie dlatego Bóg dopuścił, żebym miała tocznia. Dzięki sukcesowi książki mamy ludzie byli skłonni słuchać, co mam do powiedzenia, niezależnie od tego, czy ja sama czułam potrzebę, żeby o tym mówić, czy nie. W tamtym momencie ogarnęło mnie surrealistyczne i pokrzepiające uczucie, że Bóg odwija maleńki rożek kanwy, pozwalając mi zerknąć przez chwilę i zobaczyć, jaki jest Jego

zamysł względem mojego życia.

DSG uratowała mi życie. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Podobnie jak nie miałam żadnej wątpliwości, że niezliczone rzesze innych osób mogłyby odczuć dobroczynne skutki tego leku. Może po to oddano mi głos, żebym mogła się nim posłużyć właśnie w tym momencie i rzucić nieco światła na terapię, która być może będzie w stanie wyeliminować choroby autoimmunologiczne.

Mniej więcej w tym samym czasie poproszono mamę o udzielenie wywiadu dla jednego z programów tureckiej telewizji. Zgodziła się, ale ponieważ Turcja miała umowę ekstradycyjną z Iranem, wywiad był nagrywany w Paryżu. Po zakończeniu filmowania ekipa telewizyjna odleciała do Turcji, żeby nadać ten materiał, podczas gdy mama została w Paryżu, aby na żywo odpowiadać na pytania. W trakcie wywiadu powiedziano jej, że irańskie władze, gdy dowiedziały się, że weźmie udział w tym programie, zażądały, żeby znalazło się w nim również oświadczenie mojego ojca.

Byłam wtedy w domu sama, nie licząc jednej z moich współlokatorek. Po raz pierwszy spędzałam weekend bez nikogo z dorosłych. Wydawało się, że za każdym razem, gdy mama i ja popadałyśmy w samozadowolenie, działo się coś, co przypominało nam, że mój tato nadal jest dla nas zagrożeniem.

Mama zadzwoniła do mnie spanikowana.

– Mahtob, nie chcę cię niepokoić, ale...

Wiedziałam, że jeśli zaczyna od tego zdania, to rzeczywiście trzeba się niepokoić.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła mnie. – Po prostu musimy się mieć na baczności. Posprawdżaj drzwi i okna. Spuść żaluzje. Włącz alarm i nikomu nie otwieraj. Jeśli poczujesz się choć trochę niepewnie, zadzwoń na policję. Lepiej być bezpiecznym, niż żałować.

– Rozumiem. Nie martw się o mnie. Znam zasady. Zadzwoń do mnie, jak tylko wywiad się skończy, żebym wiedziała, że jesteś bezpieczna.

Wiedziałam, że mama zatrzymała się w Hôtel Balzac, który w tych okolicznościach był dla niej bardziej bezpiecznym miejscem niż jakikolwiek inny. Personel hotelu dobrze nas znał i zawsze otaczał znakomitą opieką.

Kiedyś byliśmy tam, gdy ktoś wrzucił do holu pojemnik z gazem łzawiącym. Gaz szybko rozprzestrzenił się po całym hotelu, więc wszyscy ruszyli do wyjść. Mama i ja wiedziałyśmy, że musimy się ewakuować, ale nie wiedziałyśmy, czy ten incydent był wymierzony przeciwko nam. Gdybyśmy wyszły z pokoju, mogłybyśmy wpaść prosto w zasadzkę. Personel hotelu, spodziewając się, że będziemy zaniepokojone, wyprowadził nas wąskimi korytarzami używanymi tylko przez pracowników na zewnątrz przez boczne drzwi do czekającego samochodu. Piekły mnie oczy i bolała klatka piersiowa, gdy z trudem łąpałam powietrze. Siedziałyśmy z mamą w samochodzie, kaszłąc

i patrząc, jak inni goście tłumnie wylegają przed główne wejście.

Po fakcie uznałam, że ten incydent nie miał nic wspólnego z nami, ale byłam zadowolona, że personel hotelu zareagował tak szybko i wykazał się taką zaradnością. Jednak nie potrafiłam przestać się martwić. Często podróżowałyśmy z ochroną, lecz tym razem nikt mamie nie towarzyszył.

Podskoczyłam, gdy zadzwonił telefon. Jakiś mężczyzna zapytał:

– Czy to Betty Mahmoody? – Miał dziwny akcent, ale nie potrafiłam odgadnąć jaki.

– Przepraszam, kto mówi?

Przeszkolono mnie, żebym przez telefon nigdy nie ujawniała swojej tożsamości nieznanym i nigdy nie przyznawała, że mamy nie ma w domu. Zanim się dowiedziałam, kto jest na drugim końcu linii, miałam za zadanie uzyskać informacje, sama nie zdradzając żadnej.

Domagając się rozmowy z mamą, mężczyzna podał mi swoje nazwisko, które nic mi nie mówiło. Twierdził, że dzwoni z Australii, że jego dzieci zostały uprowadzone przez matkę i że mama pracuje nad jego sprawą. Było w nim coś odpychającego, ale nie bardzo potrafiłam sprecyzować, co mnie niepokoi. Czy był to po prostu jego kategoriyczny ton, czy też w grę wchodziło coś bardziej złowieszczonego?

– Chętnie zanotuję pański numer – zaproponowałam.

– Ona ma mój numer, a ja mam wasz – wysyczał, co zabrzmiało jak pogrożka, i się rozłączył.

Jego reakcja zaszokowała mnie, chociaż wiedziałam, jak wielki stres odczuwają porzuceni rodzice. Może po prostu był bliski załamania, a jego telefon akurat zbiegł się w czasie z ingerencją irańskich władz w moje życie.

Kilka minut później telefon zadzwonił ponownie. Wtedy jeszcze nikomu się nie śniło o identyfikacji numeru. Znów podbiegłam do aparatu, modląc się, żeby usłyszeć w słuchawce głos mamy.

– Halo – powiedziałam niepewnie.

– Poproś do telefonu Betty Mahmoody.

– Proszę pana, chętnie przekażę wiado...

Odłożył słuchawkę, zanim skończyłam.

Telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Tym razem to była mama.

– Co się stało? – zapytałam. – Nic ci nie jest?

– Czuję się dobrze, a u ciebie wszystko w porządku?

Miałam wrażenie, że w jej głosie wyczuwam napięcie. Najwidoczniej coś się działo, ale nie chciała mnie martwić.

– Tutaj wszystko gra. Czy pracujesz z jakimś mężczyzną nad sprawą z Australii?

– Tak, czemu pytasz?

– To dobrze – zaśmiałam się. – Ulżyło mi. On ciągle wydzwania. Jest jakiś dziwny. Nie chcę popadać w paranoję, ale zważywszy na wszystko inne, co się teraz dzieje, zaczynałam się trochę niepokoić. Nie mówi z australijskim akcentem. Skąd pochodzi?

– Ze Skandynawii. Rzeczywiście ma w sobie coś odpychającego, ale to autentyczny przypadek i jestem pewna, że on nie ma nic wspólnego z twoim tatą ani z irańskimi władzami.

– A co u ciebie? Jak poszedł wywiad? Jakie było to oświadczenie?

– Powiedział, że jesteś Iranką i że w twoich żyłach płynie krew Fatimy**. Jesteś muzułmanką i on nie pozwoli, żebyś była kimś innym niż muzułmanką.

– No cóż, to miło z jego strony – powiedziałam z sarkazmem. – Myślałam, że może raczej powie, że za mną tęskni i ma nadzieję, że jestem szczęśliwa. Chyba powinnam była wiedzieć, że to niemożliwe.

– Mahtob, nie chcę cię martwić, ale uważam, że teraz naprawdę musimy być ostrożne.

Dopiero później się dowiedziałam, co jeszcze wydarzyło się tamtej nocy. Mama odpowiadała na pytania przez telefon z Hôtel Balzac. W pewnej chwili zadzwonił ktoś, kto przedstawił się jako Reza, kuzyn mojego taty, twierdząc, że tato jest w Paryżu i jej szuka. Było to w środku nocy i ludzie z tureckiego programu poradzili mamie, żeby natychmiast wyprowadziła się do innego hotelu. Zaczęła się gorączkowo pakować, ale zaraz sobie uświadomiła, że przecież tato może czekać przed hotelem. Przesunęła meble pod drzwi i powiedziała recepcjoniście, żeby nie wpuszczał nikogo, kto by chciał się z nią zobaczyć. Potem zadzwoniła do ambasady amerykańskiej, która odmówiła wpuszczenia jej wcześniej niż rano. Nie mając innego wyboru, przeczekała noc.

O szóstej rano zadzwoniła do Antoine'a, jednego ze swoich francuskich wydawców. Była zakłopotana, przyznając, że jest w Paryżu. Ponieważ miała zostać tylko na czas udzielania wywiadu, nie powiedziała mu, że przyjeżdża. Kiedy jednak wyjaśniła, w jakiej znalazła się sytuacji, natychmiast przyjechał do hotelu samochodem z kierowcą i ochroną. Załatwił kwestie związane z odlotem, zawiózł mamę na lotnisko i czekał razem z nią, chcąc się upewnić, że bezpiecznie opuści Francję.

Była to pierwsza bezpośrednia wiadomość, jaką otrzymałyśmy od mojego taty od czasu naszej ucieczki. Sprawiała, że popadłam w buntowniczy nastrój. Odczuwałam pewną przewrotną satysfakcję, wiedząc, że podczas gdy on w Iranie rozpowiada, jakobym była muzułmanką, ja, z własnego wyboru, uczęszczam do luterańskiej szkoły z internatem. Otaczam się innymi chrześcijanami, studiuję Biblię, nie zakrywam się, noszę makijaż, chodzę na szkolne bale, na których tańczę z chłopakami, a po ukończeniu szkoły średniej zamierzam podjąć studia na luterańskiej uczelni, w nadziei że zostanę kiedyś nauczycielką w luterańskiej szkole

podstawowej.

Nabierałam wiary we własne siły, widząc, jak żalosne są jego próby sprawowania nade mną kontroli. Jednocześnie drżałam na myśl, że nawet tylko jedno z moich licznych jawnych wykroczeń mogłoby w jego pojęciu usprawiedliwić jakieś skrajne działania. Odsunęłam jednak od siebie tę myśl i prowadziłam taki tryb życia, jak zwykle.

Pewnego wieczoru w ostatniej klasie koleżanka z pokoju zaciągnęła mnie do szkolnego klubu, żebyśmy pooglądały telewizję. Klub nawet w przybliżeniu nie wydawał mi się teraz tak przerażający jak w pierwszych dniach w MLS. Tamtego dnia był wypełniony uczniami, którzy rozsiedli się bokiem na fotelach, dyndając nogami nad podłokietnikami. Siedzieli na ceglany występie, który otaczał salę, albo nawet wyciągnęli się na podłodze, a wszyscy patrzyli do góry, gapiąc się w telewizor zawieszony pod sufitem. Skrzywiłam się, gdy skończył się jeden program i zaczął odcinek *South Park*. Był to prymitywny serial animowany prezentujący ten rodzaj poczucia humoru, którego nie lubiłam.

Przestałam zwracać uwagę na telewizor i zaczęłam rozmawiać z grupą przyjaciół. Gawędziliśmy, gdy nagle uświadomiłam sobie, że w pomieszczeniu zapanowała niezwykła cisza. Jedynymi dźwiękami były zrzędzące, piskliwe głosy bohaterów kreskówki skaczących po całym ekranie. Nikt się nie poruszył. Wszystkie oczy były utkwione w telewizorze. Poczerwieniałam na twarzy ze wstydu, gdy zdałam sobie sprawę, co się dzieje.

W końcu jeden z zapalonych sportowców powiedział to na głos.

– Hej, Maht, oni mówią o tobie! – wypalił.

Prawie nigdy nie oglądałam telewizji w klubie i nigdy nie oglądałam *South Park*. Jakie było prawdopodobieństwo, że będę siedziała tam akurat w chwili, gdy w ordynarny sposób parodiowano moją historię? Byłam zażenowana.

W końcu ktoś powiedział to, co wszyscy myśleli:

– Daj spokój, Maht. Musisz zobaczyć zabawną stronę tej sytuacji. Oczywiście to jest niesmaczne i niewłaściwe, ale przecież *South Park* parodiuje właśnie ciebie. To jest cholernie zdumiewające.

Musiałam przyznać im rację. Nie było to wyróżnienie, które sobie ceniłam, ale przypuszczam, że w niektórych kręgach mogło być poczytane za zaszczyt. Chłopaki z drużyny futbolowej chyba rzeczywiście myśleli, że to „fantastyczne”.

Lata, które spędziłam w MLS, okazały się beztrudne. Byłam względnie zdrowa, konflikty zdarzały się rzadko, a problemy związane z bezpieczeństwem prawie nie istniały. Kłopoty zdrowotne mamy trwały na tyle długo, żeby utwierdzić mnie w postanowieniu pozostania w MLS, a okres rekonwalescencji dał jej wystarczająco dużo czasu, żeby mogła zastanowić się nad własnym życiem. Lata intensywnych podróży w połączeniu z emocjonalnym napięciem wywołanym ciągłą walką z porwaniami dzieci poważnie nadszarpnęły jej zdrowie. Postanowiła,

że czas zwolnić. Gdy przeprowadziłam się do MLS, nie mogła się zmusić do tego, żeby przenieść się na stałe do Alpey. Byłaby zbyt daleko ode mnie. Wobec tego dzieliła swój czas między dotychczasowy dom a dom w Alpey.

Wiele z moich koleżanek z klasy mieszkało dość daleko. Niektóre pochodziły z innych stanów, a nawet z innych krajów. Ponieważ mama mieszkała zaledwie czterdzieści pięć minut jazdy samochodem od szkoły, mój dom stał się ich domem na czas rozłąki z rodziną. W piątki mama zwykle zabierała pełny samochód dziewcząt i rzeczy do prania. Jako znakomita gospodyni była w swoim żywiole, gdy miała w domu mnóstwo wyczekujących ust do nakarmienia. Jedzenie w stołówce MLS było znośne, ale po tygodniu żywienia się w niej domowe potrawy smakowały wspaniale. Weekendy w moim domu stały się tak ważną częścią naszych licealnych przeżyć, że wiele osób z mojej ostatniej klasy wymieniło w księdze pamiątkowej „weekendy u Maht” albo „kuchnię mamy Maht” wśród swoich ulubionych wspomnień z MLS.

Spędzone razem dni, czy to w akademiku, czy podczas odwiedzin w czyimś domu rodzinnym, były wypełnione śmiechem. Intensywne emocje szkolnych lat umacniały zawierane przez nas przyjaźnie – bardziej niż przyjaciółmi byliśmy rodziną połączoną Chrystusem i wspólnymi przeżyciami.

Jako stęskniona za domem pierwszoklasistka nigdy bym nie uwierzyła, że rozstanie z MLS będzie jedną z najtrudniejszych przeszkód, jakie kiedykolwiek miałam do pokonania. Dzięki nauczycielom i programowi nauczania zgodnemu z chrześcijańskim światopoglądem, a także dzięki przyjaciołom odzyskałam poczucie stabilizacji utracone wraz z ukończeniem Salem.

* Wiele amerykańskich uczelni i szkół średnich organizuje na jesieni imprezy o nazwie *homecoming*. Głównym punktem programu jest zwykle mecz futbolu amerykańskiego lub koszykówki, a niekiedy także parada i koronacja królowej.

** Fatima Az-Zahra, córka proroka Mahometa, była żoną Alego oraz matką Husajna i Hasana, trzech pierwszych imamów szyickich. W Iranie jest stawiana młodym dziewczętom za wzór.

ROZDZIAŁ 21

W życiu zdarzają się smutne dni. Inne wręcz rozdzierają serce. Dla mnie ukończenie nauki w Michigan Lutheran Seminary zaliczało się do tej drugiej kategorii. Gdy zbliżała się uroczystość rozdania świadectw, moi przyjaciele i ja baliśmy się tego nieuchronnego końca ważnego życiowego etapu – pewnej utopijnej epoki. Drażniło mnie nawet samo słowo „promocja”. Wcale nie kojarzyło się z początkiem.

Moje przyjaciółki Hannah i Mollie nadały uroczystości nabożny ton, wykonując w duecie na fortepian i organy kantatę Bacha *Owce mogą się paść bezpiecznie*. Przytłoczeni tą smętną melodią pozostali koledzy z klasy i ja wmaszerowaliśmy do audytorium parami dobranymi według wzrostu. Ponieważ należałam do najniższych, weszłam jako jedna z ostatnich. Kiedy stanęliśmy i odwróciliśmy się, żeby zaśpiewać hymn naszej klasy, znalazłam się z przodu, na środku.

„Panie, wyciągam ręce do Ciebie”, śpiewaliśmy na głosy i wtedy dotarło do mnie, że już ostatni raz cała nasza siedemdziesiątka chórem wielbi Boga. Hannah, która stała teraz obok mnie, najwyraźniej myślała o tym samym. Stałyśmy, trzymając się za ręce przed pełną widownią i łkając, niezdolne do zaśpiewania kolejnej nuty. *Amu* Kombiz, były najlepszy przyjaciel taty, który został moim adoptowanym perskim wujkiem, siedział razem z mamą kilka rzędów dalej, nagrywając na wideo ten łzawy spektakl.

Tamtego dnia kazanie wygłosił tato Hannah i Mollie, pastor Stern. Wychodząc od motywu przewodniego naszej klasowej pieśni, mówił o roli, jaką jego ręka odegrała w wychowaniu córek bliźniaczek. Wyciągnął ją przed siebie, żeby wszyscy mogli jej się przyjrzeć, i opowiedział o tym, jak jego ręka podtrzymywała je, kiedy się potykały, karciała i dodawała im otuchy.

– Drodzy absolwenci – mówił dalej pastor Stern. – Nad każdym z was czuwała i czuwa taka kochająca, hojna ręka. Ręka, która należy do waszych rodziców, waszych dziadków. Ręka, która należy do waszych nauczycieli, waszych pastorów... Te ręce, każda z osobna i wszystkie razem, odegrały ważną rolę, umożliwiając nadejście tego dnia. Jednak – przestrzegł słuchaczy – jest jedna rzecz, którą musicie sobie uświadomić w związku ze wszystkimi tymi rękami. Otóż wszystkie one są takie jak moja... Częściej, niż miałbym ochotę przyznać, te ręce zawodziły. Łamały swoje obietnice... Nie zawsze były tam, gdzie inni ich potrzebowali. I nie zawsze tam będą. Dlatego gdy podróżujecie przez życie, nie sięgajcie do tych rąk. Sięgajcie raczej do tej ręki, która zawsze na was czekała. Ręki, która kryje się za wszystkimi innymi rękami w waszym życiu. Ręki, która zawsze będzie gotowa wam pomóc. Ręki, która nigdy was nie zawiedzie. Ręki, która kocha was bardziej niż wszystkie ręce zgromadzone tu dzisiaj. Tej, która

przeprowadzi was bezpiecznie przez wszystkie przyszłe dni waszego życia.

Dla mnie jego słowa zabrzmiały wiarygodnie. Wiele z osób, których ręce poprowadziły mnie do tego dnia, było rozproszonych po sali gimnastycznej. Każda w jakiś sposób przyczyniła się do mojego wychowania. Wszystkie wzięły na siebie wzbogacenie mojego życia słowami zachęty i miłością.

Pastor Stern wskazał na zaczerpnięte z Biblii motto naszej klasy na transparenecie wiszącym za jego plecami: „Serce człowieka obmyśla jego drogę, lecz PAN kieruje jego krokami” (Przypowieści Salomona 16, 9).

– Innymi słowy, drodzy absolwenci, jako istoty ludzkie możemy planować, planować i jeszcze raz planować, lecz ostatecznie to Pan ma decydujące słowo i od Niego zależy, czy nasze plany kiedykolwiek się ziszczą.

Siedząc z kolegami z klasy tuż przed odebraniem dyplomu, czułam się bardzo niepewnie w związku z wybranymi przez siebie studiami. Wielu z moich najbliższych przyjaciół – faktycznie połowa naszej ostatniej klasy – postanowiło pójść do Martin Luther College w Minnesocie, żeby kontynuować naukę związaną z posługą kaznodziejską lub duszpasterską. Ja tylko z jeszcze jedną absolwentką wybierałam się na Michigan State University w East Lansing. Serce mi pękało na myśl, że po latach spędzonych ze swoją rodziną z MLS będzie mnie od niej dzielił obszar kilku stanów.

Pani Hatzung zaznajomiła mnie z ideą pracy misyjnej. Gdy analizowaliśmy nakaz misyjny Chrystusa w Ewangelii Świętego Mateusza, powiedziała nam, że dotyczy on każdego chrześcijanina, także nas. Jako dziecko byłam gotowa „iść i czynić uczniami wszystkie narody” i chciałam zacząć od Iranu. Chciałam, żeby moi irańscy koledzy dowiedzieli się, że Jezus umarł, aby zbawić także ich, i że pójdą do nieba, po prostu w Niego wierząc. Nie było potrzeby modlić się pięć razy dziennie z twarzą zwróconą w stronę Mekki ani biczować się, ani odbywać pielgrzymek, ani umierać w charakterze męczenników w świętej wojnie.

Jednak pod koniec pierwszej klasy postanowiłam, że zamiast zostać misjonarką, wolę być nauczycielką taką jak pani Hatzung. Dopiero pod koniec pierwszej klasy szkoły średniej rozważałam wybór innego kierunku studiów. Wzięłam kiedyś do ręki thriller psychologiczny zatytułowany *Pierwotny strach* i zanim przeczytałam ostatnie słowa, wiedziałam, że będę studiowała psychologię.

A gdybym nie przeczytała tamtej książki, rozmyślałam, patrząc, jak moi koledzy z klasy przechodzą przez scenę, żeby odebrać dyplom. Mogłabym wówczas pójść do MLC ze swoimi przyjaciółmi, zostać nauczycielką i już zawsze żyć szczęśliwie. Nawet wtedy wiedziałam jednak, że nie byłabym zadowolona z takiej drogi. Przez lata, które upłynęły od naszej ucieczki, stale pociągało mnie odkrywanie sekretów odporności psychicznej. Te poszukiwania w końcu sprawiły, że zainteresował mnie Michigan State University.

Czułam nieodpartą potrzebę, żeby dowiedzieć się wszystkiego co możliwe

o funkcjonowaniu ludzkiego umysłu. Zastanawiałam się, dlaczego ludzie robią to, co robią, i jak to jest, że pewne doświadczenia życiowe wpływają na różne osoby w tak odmienny sposób. Co odróżnia człowieka, który załamuje się w obliczu przeciwności losu, od tego, któremu one służą? I – co istotniejsze – jak mogę sobie zagwarantować, że nigdy nie będę tym, który się załamie? Przez lata niezmiernie mi ciążyło złe przeczucie, że jestem zaledwie o krok od tego, żebym się stała rozgoryczona i cyniczna, a nie mogłam dopuścić, by do tego doszło.

Udało mi się na tyle osuszyć łzy, żebym mogła odebrać dyplom. Gdy uroczystość dobiegła końca, wyszliśmy parami, tak samo jak weszliśmy, tylko że tym razem znajome korytarze prowadzące przed frontowe drzwi już do nas nie należały.

Moi koledzy i ja staliśmy ramię w ramię na trawniku przed szkołą, a nasze akademickie togi powiewały na lekkim wietrze, podczas gdy profesorowie prowadzili do nas długi orszak sympatyków. Te pożegnania okazały się niełatwe również dla nich. Jak na początek maja było wyjątkowo ciepło i słonecznie. Niebo było błękitne, a gęsta trawa zieleń się pod naszymi stopami.

Rektor przystanął, gdy doszedł do mnie.

– Mahtob – powiedział, podając mi rękę. – Jestem winny przeprosiny tobie i twojej mamie.

– Za co? – zapytałam, czekając na pointę. Rektor Prange był znany ze swojego poczucia humoru.

– Cztery lata temu na spotkaniu informacyjnym prowadziłem zapisy przy jednym ze stolików. Byłem świadomy, przez co przeszedłem, i wiedziałem, że jesteś naszą przyszłą pierwszoklasistką. Gdy rodzice podchodzili do mojego stanowiska, wręczałem im plik formularzy i żartowałem: „Podpiszcie tutaj, a sprawię, że wasze dzieci znikną”. Dopiero kiedy zobaczyłem podpis twojej mamy, uświadomiłem sobie, kim jesteście. Czułem się okropnie. Nie pomyślałem, co takie zdanie może dla was znaczyć. Co za nietakt z mojej strony! Przepraszam. Po prostu musiałem zrzucić ten ciężar z serca.

Gdy skończył swoje wyjaśnienia, ledwie mogłam złapać oddech. W innych okolicznościach prawdopodobnie nie rozśmieszyłoby mnie to tak bardzo, ale fizyczne i emocjonalne wyczerpanie związane z tamtą uroczystością zrobiły swoje i nie mogłam powstrzymać śmiechu. Była to bardzo potrzebna chwila wytchnienia od smutku.

Późnym wieczorem, nadal fizycznie i emocjonalnie wyczerpana, stawiałam czoło jeszcze jednej nieznośnej rundzie pożegnań i usiadłam ciężko za kierownicą swojego samochodu, ciesząc się, że nie muszę odbyć sama tej godzinnej podróży. Hannah postanowiła wrócić ze mną i zostać na noc w domu mojej mamy. Byłyśmy żalną parą, bo przez większą część drogi szlochałyśmy spazmatycznie.

Właśnie wtedy na pewnej ciemnej wiejskiej drodze, powstrzymując łzy,

Hannah nauczyła mnie wiersza, który na zawsze utkwiał mi w pamięci. Powiedziała, że nosi tytuł *Tkacz*. Później się dowiedziałam, że słowa, których mnie nauczyła, nieznacznie różnią się od tych pierwotnie napisanych przez autora. Jednak ich przejmujący sens jest taki sam:

Moje życie jest tylko kobiercem,
Który Pan mój i ja wspólnie tkamy.
Ja nawet barw dobierać nie umiem,
Lecz On pracuje bez wytchnienia.
Nierzadko wplata weń smutek,
A ja w śmiesznej swej dumie
Zapominam, że On widzi wierzch,
Ja zaś spodnią widzę stronę.
Dopiero gdy zamilkną krosna
I czółenka śmigać przestaną,
Rozwinie Bóg gotową tkaninę
I swój zamysł wyjawi.
Bo ciemne nici są tak niezbędne
W tkacza zręcznych dłoniach
Jak nici złote i srebrne
We wzorze, który On zaplanował.

Te piękne wersy pomogły mi zobaczyć wszystko we właściwej perspektywie. Podczas tamtej jazdy samochodem połączyły się przesłania minionego dnia – nasze klasowe motto, hymn klasy i zapewnienie pastora Sterna, że o każdy nasz krok troszczą się kochające ręce naszego Pana i Zbawcy.

Łzy i pożegnania, nieznośny żal z powodu utraty domu w MLS i, co ważniejsze, mojej szkolnej rodziny – wszystko to było zaledwie jedną bardzo ciemną nitką w kobiercu, który Bóg tkął z mojego życia. Bóg miał plan, którego nie mogłam w całości zobaczyć z miejsca, w którym stałam.

Wyobraziłam sobie wspaniałe perskie dywany, które otaczały mnie przez całe życie. Czymże by były bez ciemnych nici? Przecież to kontrast jasnych i ciemnych barw wraz ze wszystkimi pośrednimi nadaje im wyjątkowy charakter i dodaje energii – życia.

Wiele ciemnych nici zostało już wplecionych w moje życie, lecz z perspektywy czasu nauczyłam się cieszyć błogosławieństwami pozostawionymi w ich następstwie. Hannah we wzruszający sposób przypomniała mi, że w ogólnym rozrachunku ciężkie życiowe doświadczenia rzeczywiście sprowadzają najwspanialsze Boże błogosławieństwa. Jeśli kiedykolwiek czyjeś życie było dobitnym przykładem tej prawdy, to było to moje życie.

Mój żal, choć szczerzy i głęboki, był krótkowzroczny. Była to po prostu jedna z wielu nici w boskiej tkaninie. Bez wątpienia ta nić, tak jak wszystkie inne przed

nią, z czasem splecie się z pozostałymi, żeby utworzyć coś wyjątkowo pięknego.

ROZDZIAŁ 22

Jesień 1998 roku przyniosła kolejną przeprowadzkę. Jediną osobą, którą znałam na Michigan State University, była Trisha, moja współlokatorka. Trish i ja nie byłyśmy w szkole średniej bliskimi przyjaciółkami, ale poczułam wielką ulgę, gdy się dowiedziałam, że obie zostałyśmy przyjęte do Lyman Briggs College, jednego z mniejszych i w głównej mierze opartych na współzawodnictwie programów MSU. To interdyscyplinarne kolegium z internatem powstało zasadniczo w efekcie podziału jednego z największych uniwersytetów w kraju na łatwiejsze do zarządzania niewielkie placówki. Każdego roku wybierano zaledwie kilkuset studentów, którzy przystępowali do tego programu. Mieszkaliśmy, jedliśmy, a nawet odbywaliśmy większość zajęć w jednym gmachu.

Studenci Lyman Briggs byli pracowitą paczką – poważnymi badaczami nauk przyrodniczych doceniającymi jednocześnie nauki humanistyczne oraz społeczne konsekwencje postępu w nauce. Powiedzieć, że mieszkaliśmy z Trish na najbardziej rozwydrzonym piętrze w Holmes Hall, byłoby, choć to prawda, śmiechu warte. Nasze zbiorowe rozwydrzenie wypadało niezwykle blado na tle MSU. Było to piętro koedukacyjne, dzięki czemu poznałam Briana. Jego pokój znajdował się zaraz po drugiej stronie korytarza, po przekątnej od naszego, i gdy tylko zauważył mamę i mnie, jak taszczymy mój ogromny dobytek, od razu rzucił się nam na pomoc. Jeszcze tego nie wiedziałam, ale miał się on okazać wiernym przyjacielem i moim lojalnym obrońcą.

Chociaż początkowo postanowiłam skupić się na naukach przyrodniczych, takich jak biologia, fizyka i chemia, pasjonowałam się naukami społecznymi – psychologią, socjologią, antropologią i podobnymi. Moje pierwsze zajęcia z psychologii tylko potwierdziły te upodobania. Czytaliśmy książki takie jak *Your Drug May Be Your Problem* Breggina i Cohena, *Objaśnianie marzeń sennych* Freuda i *How to Become a Schizophrenic* Modrowa, dzieło, w którym winą za schizofrenię obarczano niekonsekwentne wychowanie dzieci. Mój profesor twierdził, że skutecznie leczył ludzi cierpiących na ubezwłasnowolniającą schizofrenię bez użycia leków psychotropowych.

Miałam bzika na tym punkcie. Wiedziałam, że moje serce należy do nauk społecznych. Nie obchodziły mnie substancje neurochemiczne ani funkcje różnych części mózgu. Kierowało mną pragnienie zrozumienia ludzkich myśli i zachowań. W jaki sposób myśli wpływają na nasze zachowanie i *vice versa*? Jak doświadczenia życiowe oddziałują na nasze myśli – a może jest odwrotnie? Czy myśli pobudzają nasze przeżycia? Jakie miejsce w tym równaniu zajmują kultura, środowisko, formy organizacji rodziny i religia?

Na tych pierwszych zajęciach z psychologii zaintrygowało mnie, że gdzieś u podstaw wielu czynników decydujących o zdrowiu psychicznym są emocje

związane z poczuciem winy i strachem. W głębokich zakamarkach mojego umysłu zrodziła się teoria, że poczucie winy jest siłą napędową chorób psychicznych. Nie roztrząsam tego jako faktu naukowego. To tylko obserwacje młodej osoby próbującej nieśmiało badać ludzką psychikę pod kierunkiem profesora, którego filozofia, choć fascynująca, uchodziła za niezwykle kontrowersyjną wśród jego kolegów.

Licencjackie kursy psychologii nie uczą prawie niczego o leczeniu, ale to nie powstrzymało mnie przed wymyślaniem swoich własnych metod terapeutycznych. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że skoro u podstaw problemu leży poczucie winy, to rozwiązaniem jest przebaczenie. A gdzie znaleźć przebaczenie? W Biblii.

Nauki biblijne można podzielić na dwie kategorie – prawo i ewangelię. Prawo pokazuje nam nasz grzech i potrzebę zbawcy. Od wieków w różnych religiach na świecie obowiązuje podobny kodeks moralny. Morderstwo uważane jest za coś złego, podobnie jak kradzież i cudzołóstwo. Nie tylko chrześcijanie uznają te wartości. Są one normami społecznymi. Bóg zapisał swoje prawo w naszych sercach. Niezależnie od tego, czy kiedykolwiek sięgamy po Biblię, znamy boskie prawo. Dowodem jest nasze sumienie. Nie znamy natomiast w sposób naturalny ewangelii, dobrej nowiny, która mówi nam, że naszym zbawcą jest Jezus.

Istotą problemu było w moim mniemaniu to, że często nie udaje nam się wybaczyć samym sobie, a zamiast tego trzymamy się poczucia winy i strachu przed karą, który ono wywołuje. Moja teoria polegała na tym, że metoda leczenia oparta na prawnym i ewangelicznym przesłaniu, kładąca nacisk na „dobrą nowinę”, mogłaby w znacznym stopniu wpłynąć na poprawę zdrowia psychicznego danej osoby.

Jak wielu ludzi, którzy dopiero zaczynają się zajmować psychologią, postawiłam sobie za cel lepsze zrozumienie siebie. Koncepcja przebaczenia będącego rozwiązaniem problemu poczucia winy była lekcją towarzyszącą mi od pierwszej klasy podstawówki. Czy to możliwe, że była ona najistotniejsza dla mojej odporności psychicznej?

Nie odważyłam się rozmawiać o tych sprawach ze swoimi profesorami. Po pierwsze, byłam zbyt nieśmiała, żeby się do nich zwrócić. Po drugie, przekonałam się, że MSU, zwłaszcza gdy chodzi o kwestie naukowe, prezentuje skrajnie laickie podejście – czasami wręcz antychrześcijańskie.

Dwukrotnie zostałam wezwana do publicznego wyznania swojej wiary podczas zajęć. W obydwu wypadkach było to trudne doświadczenie. Po raz pierwszy doszło do tego na zajęciach z biologii, podczas których moim zdaniem przesadnie akcentowano rolę ewolucji.

Wykładowczyni zaintrygowała mnie. Wyobrażałam sobie, że nauczycielka akademicka wysokiego szczebla będzie elegancka i profesjonalna, ubrana w żakiet

i buty na wysokich obcasach. Tymczasem ona miała długie siwe włosy w strąkach i nosiła podczas wykładów hippisowskie stroje oraz sandały. Podziwiałam jej nonkonformizm. Udowodniła, że można się wybić w środowisku akademickim i osiągnąć sukces zawodowy, zachowując własną indywidualność. Zachęcała swoich studentów do samodzielnego myślenia i swobodnego wypowiedzenia się, ponieważ uważała, że aktywny udział w zajęciach jest cennym elementem procesu dydaktycznego. Jeśli jakiś student udzielił niepoprawnej odpowiedzi na pytanie, mówiła zwykle coś w rodzaju: „Hm, to ciekawa myśl. Wiem, skąd mogłeś nabrać takiego przekonania. Czy ktoś z was widzi to inaczej?”

Pomimo tej atmosfery otwartości ja i tak chowałam się wstydliwie na tyłach sali wykładowej. Pewnego dnia kobieta zadała następujące pytanie:

– Jak powstał wszechświat?

Przyglądała się badawczo studentom, którzy siedzieli przed nią półkolem przy stolikach, przy czym każdy zakrzywiony rząd znajdował się nieco wyżej od poprzedniego.

Spróbowałam zastosować swoją typową taktykę uników. Wpatrywałam się w zeszyt, udając, że notatki, które w nim gryzmołę, mają fundamentalne znaczenie. Czułam jednak, że wykładowczyni patrzy na mnie.

– Śmiało – powiedziała.

Zerknęłam na studentów siedzących obok mnie, w nadziei że jeden z nich odpowie. Gdy się nie odezwali, wskazałam palcem na siebie i posłałam wykładowczyni potulne spojrzenie, które miało znaczyć: „Kto, ja?”

– Tak, ty – odparła. – Proszę, powiedz nam, jak powstał wszechświat.

Myślałam gorączkowo, co powiedzieć. Wiedziałam, jakiej odpowiedzi ode mnie oczekuje. Wiedziałam również, że w nią nie wierzę. Szybko rozważyłam, jaki mam wybór, i w końcu uznałam, że przecież nie jestem w irańskiej klasie, gdzie wymagano ode mnie udzielenia nauczycielce żądanej odpowiedzi. Byliśmy w Ameryce. Tutaj mogłam swobodnie myśleć i mówić to, w co wierzyłam.

Odchrząknawszy, bardzo cicho zacytowałam Księgę Rodzaju, pierwsze słowa Biblii: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię”.

Chociaż wiedziałam, że nie to chciała usłyszeć, zakładałam, że mimo wszystko zareaguje z typowym dla siebie taktem. Ona jednak mnie zwymyślała. Zostałam poniżona. Po zajęciach studenci, których widziałam po raz pierwszy, podchodzili do mnie, żeby przeprosić za jej zachowanie. Nie wszyscy zgadzali się z tym, co powiedziałam, ale czuli się źle, dlatego że zostałam tak bezlitośnie skarcona. Niektórzy jednak zgadzali się ze mną, a jedna studentka posunęła się nawet do podziękowania mi za to, że nie bałam się powiedzieć, co myślę.

– Żałuję, że nie jestem taka odważna jak ty – rzekła, poklepując mnie po ramieniu.

Do drugiego takiego zdarzenia doszło na innych zajęciach, niedługo po

skazaniu za morderstwo Jacka Kevorkiana, lekarza, który walczył o prawo do samobójstwa w asyście lekarza. Ta sala wykładowa była wąska i długa. Przekonałam się, że najlepszym miejscem, żeby się ukryć, jest środek pierwszego rzędu, tuż przed wykładowczynią. Ona w naturalny sposób patrzyła znacznie dalej, nade mną, na środek masy studentów.

– Ponieważ jestem pewna, że wszyscy słyszeliście już o tym, że Jack Kevorkian, „Doktor Śmierć”, został uznany za winnego morderstwa, chcę poznać waszą opinię. Czy powinien być zostać skazany? Czy to, co zrobił, rzeczywiście było morderstwem czy może miłosierdziem?

Siedziałam spokojnie, czekając, aż wykładowczyni wywoła do odpowiedzi kogoś ze środka sali. Zamiast tego stanęła przede mną i zapytała:

– Jak uważasz?

– Myślę, że sąd postąpił słusznie, skazując go.

– Okej, dlaczego?

– Wierzę, że Bóg daje życie i tylko on ma prawo je odbierać.

Na wzmiankę o Bogu sala eksplodowała. Wydawało się, że nagle każdy ma coś do powiedzenia. Atmosfera zrobiła się gorąca. Większość komentarzy wcale nie skupiała się na tym, czy eutanazja jest dobra czy zła. Zamiast tego koncentrowano się na atakowaniu mnie i mojej wypowiedzi. Niektórzy zapewniali, że Bóg nie istnieje. Inni utrzymywali, że to nie Bóg daje i odbiera życie. Jeszcze inni upierali się, że w nowoczesnym społeczeństwie nie ma miejsca na coś, co uważali za staroświeckie, ignoranckie i pełne uprzedzeń – na szkodliwe ideologie oparte na religii.

Byłam zszokowana i wściekła. Kto tu był pełen uprzedzeń? Nie ja, lecz ci, którzy rzucili się na mnie z powodu moich poglądów. Zapytano mnie o opinię, więc ją wyraziłam. Dlaczego całą tę złość kierowano bezpośrednio do mnie? Po co te krzyki? Po co ta wrogość? Dlaczego stałam się obiektem osobistego ataku? Przecież nie mówiłam im, że muszą myśleć tak jak ja. Nie wrzeszczałam i nie wytykałam nikogo palcem, dlatego że mamy różne poglądy.

Znów siedziałam, rozmyślając. Jesteśmy w Ameryce. Co się dzieje? Czy jako Amerykanka nie mam zagwarantowanego prawa do wolności religii? Czy nie gwarantuje mi się wolności słowa? Właśnie to sprawia, że ten kraj jest tak wspaiały. Nikt nie zabrania nam nie zgadzać się z sobą.

Kiedy byłam młodsza, mama przykleiła do rogu swojego monitora wycinek z gazety ze słowami przypisywanymi francuskiemu filozofowi Wolterowi: „Nie zgadzam się z tym, co mówisz, ale oddam życie, abyś miał prawo to powiedzieć”. Tamtego dnia stało się dla mnie przerażająco jasne, że na moim kampusie, gdy w grę wchodzi religia, ta filozofia nie ma zastosowania. W imię politycznej poprawności religia, zwłaszcza chrześcijańska, stała się tematem tabu.

Przysięgam sobie, że nigdy więcej nie otworzę ust na zajęciach. Jednak

moje postanowienie, żeby trzymać język za zębami, zostało wystawione na ciężką próbę na jednym z wykładów z socjologii, gdy wykładowczyni oświadczyła, że w społeczeństwie pojedyncza osoba nie może niczego zmienić. Powiedziała, że świat jest pełen niesprawiedliwości, a my, jako członkowie społeczeństwa, musimy to akceptować, ponieważ społeczeństwo jest silniejsze od jednostki.

Pomyślałam, że źle ją zrozumiałam. Jak w ogóle mogła tak uważać? I dlaczego nikt inny w tej sali nie wydawał się ani trochę zaniepokojony tym, że ona stoi tu przed nami i z pozycji autorytetu wygłasza takie bzdury? Siedziałam, słuchając jej z niedowierzaniem, i bardzo chciałam wstać, i powiedzieć wszystkim, że się myli – że jedna osoba naprawdę może wiele zmienić. Moja mama była tego dowodem.

Gdy w sądach mówiono mamie, że aby uzyskać rozwód, będzie musiała powiadomić mojego tatę, informując go w ten sposób, gdzie jesteśmy, nie powiedziała po prostu: „Och, w porządku. Chyba nic się z tym nie da zrobić”. Nie. Bez namysłu zaangażowała się w walkę o zreformowanie naszego systemu prawnego, żeby umożliwić jej i innym osobom uzyskanie rozwodu w sposób, który gwarantowałby przestrzeganie wymaganych procedur, a jednak zapewniał ochronę tym, którzy jej potrzebują. Głośno protestowała przeciwko niesprawiedliwości i uzyskała poparcie zarówno zwykłych obywateli, jak i polityków.

Lobbowali wspólnie, pracując w ramach systemu, żeby ten system zmienić. W pewnym momencie tryby demokracji drgnęły i Michigan został pierwszym amerykańskim stanem, który zezwolił na występowanie o rozwód w innym okręgu administracyjnym niż okręg stałego zamieszkania. Pięć i pół roku po naszej ucieczce mama zdołała uzyskać rozwód na zasadach, które respektowały prawo mojego taty do bronięcia się w sądzie, a jednak zapewniały nam ochronę. Jedna osoba może wiele zmienić.

Mama na tym nie poprzestała. Przepisy prawa federalnego uznawały za przestępstwo uprowadzenie dziecka przez jedno z rodziców i wywiezienie go poza granice stanu, ale przepisy te nie miały zastosowania, gdy w grę wchodziły granice kraju. W sensie prawnym nielegalne przetrzymywanie jest równoznaczne z porwaniem. Gdyby mój ojciec więził nas w Kansas, popełniłby przestępstwo. Ale on nie przetrzymywał nas jako zakładniczki w Kansas. Przetrzymywał nas w Iranie, więc z powodu luki w amerykańskim systemie prawnym był uznawany za niewinnego człowieka.

W tym samym czasie, kiedy mama prowadziła lobbując na rzecz reformy stanowej, robiła to również na rzecz reformy federalnej. Pod koniec 1993 roku, ponad siedem i pół roku po naszej ucieczce, prezydent Clinton podpisał ustawę federalną zakazującą rodzicielskich porwań dzieci za granicę. Jedna osoba może wiele zmienić.

Gdy zajęcia się skończyły, kipiałam z oburzenia. Wypadłam na zewnątrz

i tupiąc ze złości, poszłam na przystanek autobusowy. Zanim tam dotarłam, uznałam, że muszę coś powiedzieć. Usiadłam na ławce, wyjęłam zeszyt z plecaka i nabazgrałam zaciekły esej na temat wartości i społecznej odpowiedzialności jednostki w społeczeństwie. Mój autobus przyjechał i odjechał, a ja wciąż siedziałam na ławce, tak mocno ściskając długopis, że rozboleła mnie ręka.

Gdy na kilku stronach dałam upust swojej złości, w końcu byłam w stanie odetchnąć. Wsiadłam do następnego autobusu jadącego w kierunku mojego akademika i gdy tylko znalazłam się w pokoju, zadzwoniłam do mamy.

– Jak ona mogła powiedzieć coś takiego? – wściekałam się. – W dodatku wszyscy siedzieli jak gdyby nigdy nic, biorąc to za dobrą monetę. Powinniśmy raczej usłyszeć, że możemy zmienić świat. Demokracja jest skuteczna tylko wtedy, gdy obywatele odgrywają aktywną rolę w zwalczaniu niesprawiedliwości. Jak publiczny uniwersytet w Ameryce może tolerować taką zdradę?

Krzyczałam, przechadzając się po pokoju w akademiku i z oburzeniem wymachując rękami.

– To po prostu nie ma najmniejszego sensu. A co z Gandhim? Co z Rosą Parks*? Co z Hitlerem, na litość boską? Jego wkład był przerażający, ale przecież wpłynął na społeczeństwo. Jednostki bez przerwy wpływają na społeczeństwo.

– Nie sądzisz, że może powiedziała coś tak dziwnego po prostu po to, żeby wywołać reakcję słuchaczy? Może tylko próbowała prowokować dyskusję.

– Jeśli rzeczywiście to miała na myśli, posunęła się za daleko. Gdy używa się tego rodzaju przykładu, w pewnym momencie trzeba to sprostować, jeżeli nikt nie połknie haczyka.

Mama, która jak zawsze była głosem rozsądku, poradziła mi, żebym się zastanowiła, zanim wręcę swój esej wykładowczyni.

– Nie mówię ci, żebyś tego nie robiła. Mówię tylko, żebyś to przemyślała. Czy właśnie w taki sposób chcesz toczyć tę batalię? Masz rację, jednostki rzeczywiście wpływają na losy świata. Obie o tym wiemy i dobrze, że nie akceptujesz bezkrytycznie wszystkiego, czego cię uczą twoi profesorowie. Gdy będziesz zdawała egzamin, możesz napisać: „Nauczyła nas pani, że...”. To nie znaczy, że musisz się z tym zgadzać. Może te zajęcia są po prostu środkiem do jakiegoś celu. Może lepiej siedzieć cicho, przeczekać je i przejść do następnych. A może nie. Może warto, żebyś głośno wyraziła swoją opinię. Jeśli tak, musisz być gotowa żyć z konsekwencjami takiego kroku. To może zaszkodzić twoim ocenom. Będziesz umiała się z tym pogodzić?

Wiedziała, że nie.

– Cokolwiek robisz, pamiętaj, że złapiesz więcej much na miód niż na ocet.

Oczywiście miała słuszość. To nie była jakaś zasadnicza batalia. Mogłam próbować udowodnić swoje racje, ale co by to dało? Wiedziałam, w co wierzę. Wykładowczyni nie mogła tego zmienić. Nie potrzebowałam przekonywać nikogo

z tej grupy, że mam rację. Postanowiłam pozwolić, żeby moje czyny przemówiły zamiast słów. Zamierzałam trzymać się swoich przekonań i żyć w zgodzie z nimi. W ten sposób chciałam zmieniać świat.

* Amerykańska działaczka na rzecz praw człowieka walcząca z segregacją rasową.

ROZDZIAŁ 23

Odkąd książka *Tylko razem z córką* została opublikowana w 1987 roku, mama i ja otrzymywałyśmy tysiące listów od ludzi z całego świata, ale w lecie 2000 roku zaznaczył się pewien nowy trend. Nagle zaczęłam dostawać e-maile od obcych osób. Wiadomości od nich były takie same jak miłe listy, które dostawałyśmy z mamą od lat, jednak odbieranie ich na osobistym komputerze, w bezpiecznych ścianach swojego domu, swojego azylu, wydawało mi się niepokojącym rozwojem wydarzeń. Próbowałam udawać przed sobą, że mi to schlebia, lecz zamiast tego e-maile sprawiały, że czułam się zagrożona i nękana. Te życzliwe gesty przekraczały pewną niewidzialną granicę i oznaczały, w każdym razie dla mnie, niepokojące naruszenie prywatności.

Korzystanie z internetu nie było wtedy tym samym, czym jest dzisiaj. W ostatniej klasie szkoły średniej pewien dalekowzroczny profesor nauczył naszą klasę, jak prowadzić wyszukiwanie internetowe. Był to skomplikowany, niezwykle zaawansowany dyskurs przeplatany takimi terminami jak „operatory boolowskie” i „słowa kluczowe”. Mój komputer wciąż się zawieszał, a wyniki poszukiwań nie miały większego związku z zapytaniami.

Uznałam, że wszystkie te zabiegi są uciążliwe i ogromnie nieefektywne. Dlatego było to całkiem obce mi doświadczenie, kiedy nieznani ludzie zaczęli lokalizować mnie dzięki rozplątywaniu niewidzialnych sieci, w których za nic nie umiałam się połączyć, a które podobno pewnego dnia miały połączyć cały świat.

Jak mnie znaleźli? Skąd miałam wiedzieć, że są tymi, za kogo się podają? Mama i ja nie miałyśmy żadnych bezpośrednich wiadomości od mojego taty, odkąd przysłał oświadczenie, że nie pozwoli mi być nikim innym niż muzulmanką. To było prawie cztery lata wcześniej, ale wciąż miałyśmy się na baczności.

Czy była to jeszcze jedna z jego sztuczek? Skąd miałam wiedzieć, że nie podszywa się pod jakąś życzliwą osobę, żeby zyskać do mnie dostęp? A może zwerbował tych ludzi do pomocy, żeby wciągnąć mnie w rozmowę? Nawet gdyby nie miał nic wspólnego z tymi przypadkami naruszenia prywatności, jeśli ci ludzie mogli mnie znaleźć, mógł i on.

Prawdopodobnie e-maile nie wydawałyby mi się aż tak niepokojące, gdyby nie to, że od razu było ich tak dużo. Pierwszy przyszedł 12 lipca, a wkrótce po nim pojawiły się wiadomości z 25 lipca, z 26 lipca, z 5 sierpnia i z 19 sierpnia. Wyglądało na to, że co kilka dni kontaktowała się ze mną następna osoba, która mówiła mi, jak bardzo podziwia moją mamę i mnie, i chciała wiedzieć, czy jeszcze kiedykolwiek rozmawiałam z tatą.

Metodycznie analizowałam każdą wiadomość w poszukiwaniu jakichś wskazówek, doskonale zdając sobie sprawę, że jest zbyt wiele nieznanymi zmiennymi, żebym zdołała złamać szyfr. Jednocześnie dręczyło mnie poczucie

winy, że nie odpowiadam na e-maile. Jeśli były autentyczne, stanowiły uprzejme gesty ze strony obcych ludzi, którym na tyle na tym zależało, że postarali się do mnie dotrzeć.

Jednak gdy tylko moje postanowienie zaczynało słabnąć i byłam o krok od wysłania odpowiedzi, dostawałam wiadomość zawierającą jakąś informację, którą, o ile dobrze pamiętałam, nie dzieliłam się publicznie, i wtedy ponownie włączały się moje odruchy obronne. W dwóch e-mailach z rzędu gratulowano mi decyzji zostania lekarką, choć nie pamiętałam, abym kiedykolwiek powiedziała w wywiadzie, że uczęszczam na kurs przygotowujący do studiów medycznych. Instynkt podpowiadał mi, że na coś się zanoszą, a przez lata nauczyłam się, jak wielką wagę ma ufanie swojej intuicji.

Już wiele lat wcześniej postanowiłam, że nigdy nie wdam się w rozmowę ze swoim ojcem. Nie uważałam, że jestem mu cokolwiek winna. W głowie nadal rozbrzmiewała mi sentencja pana Voeltza: „Jeśli nadużywasz jakiegoś przywileju, tracisz go”. Wybaczenie ojcu nie oznaczało, że musiałam się narażać na dalsze nękanie z jego strony. Nie chciałam również wystawiać go na żadne niepotrzebne bolesne doświadczenia. Rozumowałam w ten sposób, że każde słowo ode mnie podsyciłoby jego nadzieję na odbudowanie naszych stosunków, a ja byłam temu całkowicie przeciwna. Wiedziałam również, że nic, co mam do powiedzenia, nie byłoby tym, co mój ojciec chce usłyszeć. Bałam się, że wiadomość ode mnie mogłaby go tylko rozwścieczyć i doprowadzić do katastrofalnych skutków. Wiedząc z pierwszej ręki, jak brutalny się stawał, gdy nie mógł postawić na swoim, byłam przerażona na myśl o tym, do czego jest zdolny.

Większość dzieciństwa spędziłam zaledwie kilka godzin jazdy od Dearborn, przedmieścia Detroit, w którym było podobno największe skupisko muzułmanów poza światem muzułmańskim. Nie wiedziałam, czy to prawda. Nigdy nie sprawdzałam tych danych. Wiedziałam natomiast, że co parę lat pojawia się wiadomość o kolejnym zabójstwie honorowym właśnie tu, w Michigan. Do domniemanego zabójstwa honorowego doszło nawet w East Lansing albo w jego pobliżu, mniej więcej wtedy, gdy zaczęłam naukę w MSU.

Wiedziałam, że ojciec próbuje do mnie dotrzeć, ale nie znałam jego zamiarów. Czy chciał tylko porozmawiać, czy chciał się ze mną zobaczyć? Czy chciał mnie zabrać z powrotem do Iranu? A może chciał przywrócić „honor” rodziny, zabijając mnie za to, że jestem chrześcijanką, że nie noszę hidżabu, że się maluję, słucham muzyki rockowej i czytam książki niezaaprobowane przez Islamską Radę Nadzorczą? Jeśli zamierzał mnie porwać, czy choć przez chwilę się zastanowił, jakie to miałyby dla mnie konsekwencje? Zabranie mnie z powrotem do Iranu oznaczałoby dosłownie wyrok śmierci, ponieważ byłam chrześcijanką, której ojcem był muzułmanin. Nawet jeśli nie zależało mu na przywróceniu honoru rodziny, któż mógłby zagwarantować, że tamtejsze władze nie są gotowe zrobić

tego za niego?

Było mi przykro, że tak cynicznie podchodzę do e-maili, ale mój tato stanowił realne i poważne zagrożenie. W miarę jak byłam coraz starsza, mama i ja czasami ostrożnie opuszczaliśmy gardę, lecz tamtego lata rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Miałam coraz większe wrażenie, że coś jest nie tak. Dzień po moich dwudziestych pierwszych urodzinach te podejrzania się potwierdziły, gdy przeczytałam brzemiennie w skutki słowa, które migotały przede mną na ekranie komputera.

Była to wiadomość od pewnego fińskiego producenta filmowego. Gdy był w Iranie w sprawach służbowych, poznał mojego ojca, który ze łzami w oczach wyraził głębokie pragnienie zobaczenia się ze mną.

Cudownie, pomyślałam, tylko tego mi było trzeba. Czy ten facet mówi poważnie?

Fiński producent napisał, że słyszał z „kilku źródeł”, iż chcę się znów zobaczyć z tatą.

Naprawdę? A cóż to za źródła – mój tato i jego niegodziwi poplecznicy? Czy nie należało zebrać informacji, zanim zaczniesz się ingerować w moje życie?

Moje stanowisko zawsze było niezachwiane. Jakikolwiek wywiad, który ów producent mógłby obejrzeć, ujawniłby moje zdanie na temat ponownego spotkania z ojcem.

Ten facet ewidentnie działa zgodnie z planem... planem mojego ojca.

Producent poinformował mnie, że kręci film dokumentalny o moim ojcu. Zaprosił mnie do wzięcia udziału w tym projekcie, a ściślej mówiąc, chciał, żebym spotkała się z ojcem.

Fantastycznie! Teraz ten facet, który sprzyja mojemu ojcu i jego misji odnalezienia mnie, zna mój adres elektroniczny, co oznacza, że zna go również ojciec. Jakie jeszcze informacje kontaktowe mają? Źle to wygląda. Bardzo, bardzo źle.

Ojciec poprosił go o przekazanie mi życzeń urodzinowych.

Ojciec może sobie darować życzenia urodzinowe. Powinien raczej przysłać przeprosiny.

Zignorowałam ten list. Dziewięć dni później przyszedł następny e-mail. Był identyczny jak pierwszy z wyjątkiem linijki mówiącej o moich urodzinach.

Wiadomość od producenta przeraziła mnie do tego stopnia, że usunęłam się ze świata, uciekając się do jedynej niezawodnej metody, jaką znałam – snu. Przesypiałam całe weekendy, skulona pod narzutami w swojej sypialni z dzieciństwa w domu mamy. W ciągu tygodnia zajęć, gdy byłam w swoim mieszkaniu w East Lansing, jeśli nie spałam, uciekałam od rzeczywistości, czytając całymi godzinami. Zagłębiałam się w lekturze podręczników, a kiedy nie było już nic do nauki, czytałam długie powieści. Rozpaczliwie próbowałam przez cały czas

tak intensywnie absorbować umysł, żeby nie myśleć o niczym innym.

Mama próbowała rozmawiać ze mną o tym, jak zamierzam postąpić w tej sprawie, ja jednak odmawiałam odpowiedzi, co zrozumiała w ten sposób, że może chcę się zobaczyć z ojcem. Ale ja nie chciałam. Nie chciałam go widzieć. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie chciałam mieć do czynienia z jego nagabywaniem. Chciałam, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Nie chciałam o niczym wiedzieć. Nie chciałam myśleć. Nie chciałam czuć. Nie chciałam istnieć. Chciałam jedynie pójść spać i obudzić się dopiero wtedy, gdy to wszystko się skończy.

W końcu w któryś weekend, kiedy byłam u niej, leżąc zwinięta w kłębek pod kocami, mama weszła do pokoju. Przysiadła na skraju łóżka i powiedziała cicho:

– Mahtob, wiem, że nie chcesz teraz o tym rozmawiać, ale musimy wysłać odpowiedź. Nie możemy już dłużej tego odkładać i myślę, że powinna ona pochodzić od ciebie.

Nie odpowiedziałam.

– Chcesz się zobaczyć z tatą? Jeśli tak, nie mam nic przeciwko temu.

– Nie chcę – odburknęłam, czując się odrętwiała.

Odkąd to wszystko się zaczęło, byłam w szoku. Zbyt oszołomiona, żeby płakać, trzęsłam się w niekontrolowany sposób, nawet pod kocami. Chociaż przygniatała mnie ciężar kilku ich warstw, miałam wrażenie, że unoszę się w powietrzu gdzieś w rogu pokoju, patrząc z oddali, jak mój świat się rozpada. Jedyne, co czułam, to strach przesycony zacieklą nienawiścią, z którą gruntownie zapoznałam się jako dziecko.

– Czy chcesz udzielić wywiadu?

– Nie. – Nie spodobał mi się dźwięk mojego głosu. Był lodowaty, pełen gorzkości.

– Wobec tego musisz im to powiedzieć.

– Nie. Przez te wszystkie lata nie dałam mu żadnego powodu, żeby miał nadzieję na ponowne spotkanie, ale on nadal nie daje za wygraną. Niezależnie od tego, co powiem, będzie zły. Wiesz, jaki on jest. Nie trzeba go prowokować, żeby wybuchnął gniewem. Jakikolwiek oświadczenie z mojej strony byłoby tylko prowokacją. Jeśli powiem, że nie chcę udzielić wywiadu, uzna to albo za dobry znak, sądząc, że zostawiam otwartą furtkę do kontaktów, albo za oznakę braku szacunku, i będzie nas prześladował. Tak czy inaczej, to tylko pogorszy sprawę. Nie zamierzam dolewać oliwy do ognia. Poza tym wiesz, jak działają media. Jeśli wydam jakieś oświadczenie, będą mogli nim żonglować, tak aby służyło ich planom. Nie ufam nikomu, kto w jakikolwiek sposób jest w to zaangażowany. Nie przekażę im żadnego oświadczenia.

Uświadomiwszy sobie, że nie ma nic, co mogłaby powiedzieć, żeby mnie przekonać, mama przygotowała odpowiedź w imieniu nas obu. Wróciła na swoje miejsce na skraju mojego łóżka i przeczytała mi ją.

– Nadal uważam, że lepiej byłoby, gdyby pochodziła od ciebie.

– Rób, co chcesz, ale ja nie zamierzam nic mówić. – Przekręciłam się na drugi bok, odwracając się do niej plecami.

Miałam złudną nadzieję, że ta ingerencja w moje życie ograniczy się do kilku niepokojących e-maili, chociaż wiedziałam, że to naiwność. Już wcześniej Departament Stanu skontaktował się z mamą, żeby ją ostrzec. Kilkoro przyjaciół rodziny dostało podobne prośby o udzielenie wywiadu. Zwrócono się nawet do sędziego, który orzekł rozwód moich rodziców. Wszystko wskazywało na to, że jest to groźna, zakrojona na dużą skalę kampania. Mimo to miałam nadzieję.

ROZDZIAŁ 24

W połowie października 2000 roku spełniły się moje najgorsze obawy. Stało się to w cudownie rześkie jesienne popołudnie.

Uwielbiałam jesień w Michigan. Pachnące ziemią opadłe liście, ich szelest pod stopami, orzeźwiający powiew powietrza muskającego moją twarz, gdy szłam ścieżką prowadzącą do drzwi swojego mieszkania – wszystko to było wspaniałe. Chociaż jesień zapowiadała zimę, która w Michigan zdawała się nie mieć końca, była moją ulubioną porą roku... to znaczy zanim nastawała wiosna.

Na trzecim roku studiów na MSU dzieliłam przytulne dwupokojowe mieszkanie – swoje pierwsze – z trzema innymi dziewczynami. Po sześciu latach spania w akademikach – czterech w szkole średniej i dwóch na uczelni – mieszkanie we własnym lokum wydawało się cudownie egzotyczne. Chociaż znajdowało się w pobliżu lotniska i dosłownie przy autostradzie, było to dla mnie bez znaczenia. Zgadzałam się na zgiełk wywołany ruchem lądowym i lotniczym w zamian za luksus spania w swoim pierwszym mieszkaniu.

W chwili gdy tamtego październikowego dnia otworzyłam drzwi, naszło mnie nagle jakieś złe przeczucie. Na ścianie tuż przede mną wisiała samoprzylepna karteczka z wiadomością: „Maht, zadzwoń do mamy. To pilne!”. Gdy minęłam zakręt schodów, mój wzrok padł na drugą wiadomość: „Maht, dzwoniła twoja mama”. Potem była trzecia i czwarta... i setna. No dobrze, może w rzeczywistości nie było ich aż tyle, ale ja miałam wrażenie, że te samoprzylepne karteczki są wszędzie, na prawie każdej ścianie, na lodówce, nawet na lustrze w łazience. Zanim do trzymanego w ręce pliku dodałam kartkę z drzwi sypialni, którą dzieliłam z Trish, byłam absolutnie pewna, że wydarzyło się nieszczęście. Poczulałam tę samą panikę, która ogarniała mnie wtedy, gdy dawało o sobie znać zagrożenie ze strony mojego ojca.

Było to uczucie, które dobrze znałam. Dręczyło mnie przez większość życia. Mogłam się przed nim schować, udawać, że nie jestem w niebezpieczeństwie, wmawiać sobie, że nie przeżywam każdego dnia w wielkim strachu, iż mój świat zostanie wywrócony do góry nogami jednym pstryknięciem, ale nie było przed nim ucieczki. Zagrożenie ze strony taty czaiło się w każdym cieniu.

Rzuciłam plecak na łóżko i gorączkowo w nim szperałam w poszukiwaniu telefonu. Nie chcąc zaliczać się do „tych ludzi”, z upodobaniem zwalczałam rewolucję komórkową, ale w związku ze wszystkimi tymi podejrzanymi wydarzeniami w ostatnich czasach ostatecznie przekonały mnie nieustające nalegania mamy, która mawiała, że „odrobina łączności oszczędza wielu żmartwień”.

Drżenie, które pojawiała się wraz z wtargnięciem taty w moje życie, zawsze zaczynało się gdzieś głęboko we mnie. Zwykle byłam w stanie je kontrolować,

ukrywając je przed światem, chowając pod maską stoickiego uśmiechu. Jednak w tamtej chwili ogarnęło całe moje ciało. Ręce trzęsły mi się tak gwałtownie, że palce z trudem chwyciły zamki plecaka. W uszach huczało mi od uderzeń własnego serca.

Powoli zmusiłam się do zrobienia kilku głębokich wdechów. Wszystko będzie dobrze, pocieszałam się. Nie ma powodu do paniki. Może nie chodzi o tatę. Może reaguję zbyt nerwowo. Gdzie jest telefon?

Na oślep otwierałam jedną przegródkę za drugą, szukając aparatu. W końcu sięgnęłam do kieszonki na przedzie plecaka, w której zawsze trzymałam telefon. Dlaczego było to ostatnie miejsce, które sprawdziłam? Przecież tam właśnie powinien być. Zdezorientowana otworzyłam klapkę telefonu i zobaczyłam liczne nieodebrane połączenia i komunikaty poczty głosowej.

Zmusiłam się do skupienia wzroku na telefonie i do skoncentrowania się. Wciskając przycisk walki-talki z boku aparatu, w myślach ćwiczyłam swobodne brzmienie głosu.

– Cześć, mamó. Co słyhać? Widzę, że dzwoniłaś. – Fu, zabrzmiało to zbyt radośnie, zupełnie niewiarygodnie.

– Mahtob, gdzie jesteś?

Mówiła urywanymi słowami, z trudem łapiąc powietrze. Znałam ten ton jej głosu. Była rozgorączkowana.

– Jestem w domu. Właśnie wróciłam z zajęć. Aż do teraz miałam wyłączony telefon.

Czy mój opanowany ton ją uspokoi?

– Nie chcę cię martwić, ale...

Nie jest dobrze.

– Twój tato nas znalazł. Dzisiaj odebrałam w domu telefon i to był on. Pytał o ciebie.

Otóż to. Jedyne, czego strasznie się bałam, teraz stało się rzeczywistością.

Od dzieciństwa do szalu doprowadzały mnie słowa „twój tato”. Tylko tym był dla całej mojej rodziny. Ludzie nie mówili do mamy „twój były mąż”. Nie, mówili „tato Mahtob”. Nie mówili do moich braci „wasz były ojczym” ani do mojej babci „twój były zięć”. Zawsze to był „tato Mahtob”. Był mój, niezależnie od tego, jak bardzo go nie chciałam. I niezależnie od tego, jak bardzo chciałam być swoją własną, byłam jego.

– Czy ktoś za tobą szedł? – zapytała mama.

– Nie, nie sędzę. Rozglądałam się uważnie, ale nie zauważyłam niczego podejrzanego.

– Idź sprawdzić, czy masz drzwi zamknięte na klucz – poleciała.

– Są zamknięte. Zawsze zamykam je na klucz.

– Jest ktoś u ciebie?

– Nie, jestem sama. – Fasada mojego spokoju legła w gruzach. Słyszałam, że głos zaczyna mi drżeć.

– Wiedziałyśmy już wcześniej, że zna twój adres elektroniczny. Teraz wiemy, że zna nasz telefon domowy, co oznacza, że zna również adres. Może też wiedzieć o twoim mieszkaniu. Musimy być bardzo ostrożne. Nikogo nie wpuszczaj. Jestem już prawie na miejscu – mówiła dalej. – Spakuj torbę. Nie wiem, dokąd pojedziemy ani jak długo nas nie będzie. Zawsze możemy znaleźć jakieś miejsce, żeby zrobić pranie.

Jej słowa płynęły nadal, ale moje myśli dryfowały w kotłującym się gwałtownie morzu niedawnych wydarzeń, a rozbijające się wokół mnie fale uświadamiały mi, że miriady niezależnych od siebie punkcików łączą się jednocześnie, ujawniając odrażającą scenę – głuche telefony w domu mamy, zalew e-maili od nieznanymi mi przypadkowych osób, ostrzeżenie z Departamentu Stanu, żebyśmy się miały na baczności, uparty producent filmowy z Finlandii... Producent z Finlandii. To wszystko jego wina.

Przez lata mama stawiała w różnych miejscach przed publicznością i mówiła, że jednym z najważniejszych czynników, które działały na naszą korzyść, było lenistwo mojego ojca. W Iranie wykorzystała jego słabość z pożytkiem dla nas. Po ataku dyzenterii, którego omal nie przyplącała życiem, uznała, że będziemy miały największe szanse na ucieczkę, jeśli okażemy się pracowitsze od mojego ojca.

Jej plan zadziałał. Lenistwo ojca rzeczywiście pomogło nam w ucieczce i to ono sprawiło, że od tamtej pory byliśmy bezpieczni. Brakowało mu motywacji. Owszem, chciał mnie znów zobaczyć, ale było niezwykle mało prawdopodobne, żeby na własną rękę podjął jakieś działania – chyba że zostałby sprowokowany albo znalazł kogoś, kto zrobiłby to za niego.

I tu wkracza producent z Finlandii.

Przez lata poznałam mnóstwo producentów. Byli nieustępliwymi ludźmi. Producent musi być bardzo ambitny, zaradny, kreatywny i przede wszystkim wytrwały. Mój ojciec natomiast był mistrzem w rozszyfrowywaniu ludzi i dostrzeganiu, jak najlepiej posłużyć się ich atutami dla własnej korzyści. Był to, jak sądzę, jeden z powodów, że on i mama tak dobrze się rozumieli przez te lata, zanim wyjechaliśmy do Iranu. Mama jest niezwykle pracowita. Tato nigdy nie musiał nawet kiwnąć palcem, bo zanim zdążył pomyśleć, czego chce, mama już się postarała, żeby to na niego czekało. Teraz omotał jakiegoś producenta.

Miotalam się po pokoju, otwierając i zamykając szuflady komody i drzwi szafy, wrzucając ubrania do worka marynarskiego bez zwracania sobie głowy ich składaniem. Nie mogłam tracić czasu na staranne pakowanie. Popędziłam za róg, do łazienki, z otwartym workiem w ręku i wrzuciłam do środka szczoteczkę do zębów, pastę i kosmetyczkę.

Czy o czymś zapomniałam? Czego jeszcze potrzebowałam? Nie mogłam się

skupić. Kręciło mi się w głowie.

Mój telefon zaczął wibrować i w głośniku rozległ się głos mamy:

– Podchodzę do drzwi. Chodź, otwórz mi.

Zbiegłam po schodach i uchyliłam drzwi na tyle, by mogła się przez nie przecisnąć. Ledwie znalazła się w środku, zatrzasnęłam je i przekręciłam zamek. Mama była blada i rozczochrana.

– Co zrobimy? – zapytałam, idąc za nią po schodach.

Gdy przechodziłyśmy przez salon, zaciągnęłam zasłony.

– Zanim wyszłam z domu, złapałam nasze paszporty, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy musiały wyjechać z kraju. Twój stracił ważność. Pierwsza rzecz, którą musimy zrobić, to pojechać do Chicago i przedłużyć go. Zresztą i tak nie powinnyśmy zostać w tej okolicy. Twój tato może tu być.

Nabazgrałam wiadomość dla swoich współlokatorek, wyjaśniając im sytuację i prosząc, żeby były ostrożne. Potem zabrałam z sypialni plecak oraz worek marynarski i skierowałam się do drzwi. Zatrzymałyśmy się na szczycie schodów. Czy wyjście na zewnątrz było bezpieczne? Zawróciłam i zerknęłam przez szparę w zaciągniętych zasłonach. Jedyny ruch na parkingu poniżej nas miał związek z opadłymi liśćmi unoszonymi przez wiatr po jezdni. Uznałyśmy, że droga wolna, i szybko ruszyłyśmy do drzwi.

Mama wypruła z parkingu, zanim zdążyłam zapiąć pasy.

– Muszę pojechać na kampus – oznajmiłam niecierpliwie.

– Co? Akurat teraz? To nie jest dobry pomysł.

Dla mamy priorytetem było wydostanie się z miasta i zejście z drogi burzy, która podążała naszym śladem.

– Dziś wieczorem miałam w planie pracę w Studium Matki i Dziecka. Nie mogę się tak po prostu nie zjawić. Będą się o mnie martwić, a jeśli zadzwonią, nie będę mogła im wyjaśnić, co się stało.

Już wcześniej uznałyśmy, że powinnyśmy wyjątkowo uważać, co mówimy przez telefon. Nie było gwarancji, że nasze łącza są bezpieczne.

– Masz rację. – Mama zawróciła w stronę kampusu. – Będziemy musiały załatwić to szybko i mieć nadzieję, że nikt nas nie zauważy.

Od drugiego roku studiów licencjackich byłam asystentką badawczą w Studium Matki i Dziecka, programie prowadzonym na MSU, i miałam wrażenie, jakbym brała udział w przełomowych pracach o historycznym znaczeniu. Nie słyszałam o żadnych innych badaniach naukowych, które tak wszechstronnie analizowałyby konsekwencje przemocy domowej w życiu matek i ich dzieci. Uważałam, że ta praca jest ambitna i ogromnie satysfakcjonująca.

Mama wysadziła mnie na tyłach starego ceglanego gmachu. Rozglądając się nerwowo dokoła, pomknęłam do drzwi, zbiegłam po schodach i wpadłam do biura, gdzie zastałam trzy doktorantki, które prowadziły ten program. Mój głos brzmiał

chłodno, gdy udzielałam im wyjaśnień.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro, ale nie mogę pracować dziś wieczorem i nie wiem, kiedy znów będę mogła. Tak mi przykro. Wiem, że to stawia was w kłopotliwej sytuacji.

Oparłam się o biurko, żeby poczuć się pewniej, i patrzyłam głównie na swoje stopy, nie potrafiąc spojrzeć żadnej z nich w oczy. Kiedy w końcu podniosłam wzrok, na ich twarzach malowała się identyczna troska. Było oczywiste, że nie powiodły się moje żalosne próby zachowania spokoju. Czułam, że drzę, podobnie jak mój głos.

– Co się stało? – zapytała jedna z nich. – Wszystko w porządku?

Czułam się tak, jakby z pokoju wypompowano całe powietrze. Pot perlił mi się na czole i nad górną wargą. Nie chciałam mówić tego głośno. Nie chciałam, żeby to była prawda, ale nie mogłam tak po prostu zostawić swoich koleżanek bez żadnego wyjaśnienia. Zasługiwały przynajmniej na to.

– Mój tato nas znalazł – wyszeptałam bez tchu.

Wraz z tymi słowami pękła tama i zaczęłam spazmatycznie szlochać. Do tamtej chwili nie uroniłam ani jednej łzy, odkąd dostałam e-mail z wiadomością, że mój ojciec zamierza zaaranżować spotkanie po latach. Ale tam, w tym maleńkim gabinecie, gdy głośno musiałam przyznać, w jakim położeniu się znalazłyśmy, zawładnęły mną emocje.

Słowo mówione ma tajemniczą moc. W milczeniu można zaprzeczać prawdzie, ale gdy tylko połączy się ją ze słowami i wypowiedzi na głos, przestacza się w namacalny, rzucający się w oczy twór, przed którym nie sposób się ukryć.

W tamtej chwili poczułam wielki ciężar nowej rzeczywistości. Tato nas znalazł. Stosowałyśmy wszelkie środki ostrożności, a jednak nas znalazł. Minęło prawie piętnaście lat od naszej ucieczki, ale wciąż nie byłyśmy wolne.

Dla mnie był to kluczowy dzień. Po raz pierwszy od ucieczki z Iranu mama i ja postanowiłyśmy znowu uciec. Poprzednio za każdym razem, gdy tato był dla nas zagrożeniem, nie ustępowałyśmy i podejmowałyśmy walkę, ale nie tamtego dnia. Wystarczył jeden telefon od taty, żebyśmy zwinęły manatki i porzuciły swoje dotychczasowe życie.

Siedziałam w milczeniu na fotelu pasażera, z rękami skrzyżowanymi na piersi, gdy mama wywoziła nas z East Lansing. Moja złość nasilała się, w miarę jak rosła odległość między mną a moim życiem. Za kogo uważał się tato, że ingerował w nie w taki sposób? Jakim prawem ten producent mieszał się do moich spraw? Dla niego była to tylko jeszcze jedna historia, ale to było moje życie.

Jak nas znaleźli? I dlaczego teraz? Skoro tato zamierzał pojawić się ponownie, dlaczego czekał z tym do czasu, aż w końcu ośmieliłam się uwierzyć, że mama i ja jesteśmy bezpieczne? Czy jego zamiarem było wymierzenie możliwie najpotężniejszego psychologicznego ciosu? Gdzie był? Został wciągnięty na

rządową listę osób niepożądanych, więc nie mógł legalnie wjechać do Stanów Zjednoczonych, ale wiedziałam, że to go nie powstrzyma. Gdyby chciał wjechać, zrobiłby to. Czy irańskie władze były w to jakoś zamieszane, jak wtedy, podczas fatalnego wywiadu dla telewizji tureckiej? Mój umysł zmagał się z pytaniami, na które nie znałam odpowiedzi.

Wieczór zapadł zaraz po tym, jak mama i ja rzuciłyśmy się do ucieczki. Byłam wściekła, dlatego nie chciałam przyznać, że linia horyzontu nad Chicago wyglądała naprawdę pięknie, gdy znalazłyśmy się bliżej. Zawsze ogromnie mi się podobał sposób, w jaki światła miast migoczą z oddali w ciemności. Nawet w Teheranie wieczorna przejażdżka krętą górską drogą wijącą się nad miastem napełniała mnie radością. Jednak tamtej nocy w ogóle nie czułam radości, tylko straszne rozgoryczenie i obezwładniające wyczerpanie.

Obie byłyśmy znużone, gdy wjeżdżałyśmy do centrum. Oszołomione, weszłyśmy do luksusowego hotelu Westin przy Michigan Avenue w handlowej dzielnicy Magnificent Mile. Mama zapłaciła niebotyczną sumę, żebyśmy mogły spędzić kilka krótkich godzin, śpiąc w miejscu, które wydawało się bezpieczne.

Łóżko, zgodnie z obietnicą, było boskie – jedna warstwa puszystych poduszek na drugiej, szeleszczące prześcieradła oraz najbardziej luksusowa puchowa kołdra – i całe w bieli. Zanurzyłam się w pokrzepiających objęciach pościeli i zapadłam w niewytłumaczalnie spokojny sen. Te kilka godzin wytchnienia było pięknym i miłosiernym darem od Boga.

Gdy zbudziłam się rano, przez ułamek sekundy nie czułam nic oprócz całkowitego odprężenia, jakbym unosiła się w obłokach puchu. Byłam całkowicie spokojna. Potem otworzyłam oczy, zobaczyłam światło, uświadomiłam sobie, gdzie jestem, i zostałam z powrotem wepchnięta do przerażającej rzeczywistości.

ROZDZIAŁ 25

Ponieważ nie wiedziałyśmy, jak daleko będziemy musiały uciec, żeby wymknąć się tacie, najpierw trzeba było przedłużyć mój paszport. Skierowałyśmy się zatem do urzędu federalnego w centrum Chicago. Z zewnątrz gmach wyglądał jak nowoczesny drapacz chmur, ale w środku, tam gdzie mama i ja siedziałyśmy, czekając godzinami, aż mój wniosek zostanie rozpatrzony, był słabo oświetlony i ponury. Dziesiątki innych ludzi siedziały na krzesłach ustawionych pod ścianami pomieszczenia, wszyscy czekali na swoje pięć minut z jednym z urzędników pracujących za szklaną przegrodą.

Godziny mijały, a mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Zaczynały do mnie docierać konsekwencje wtargnięcia ojca w moje życie i im więcej rozmyślałam o tej sytuacji, tym bardziej byłam zła. Wiedziałam, że w końcu zostanę wywołana do okienka, żeby podpisać formularze, i otrzymam nowy paszport, ale co dalej? Dokąd pojedziemy? Jak długo będziemy uciekać? Co z moim życiem – z moją rodziną, moimi przyjaciółmi, moim mieszkaniem, moimi badaniami, moją pracą, moimi zajęciami?

Na domiar złego był środek semestru. Miałam trzy egzaminy i pracę pisemną do oddania. Opuszczenie jednego czy dwóch dni nie było problemem, ale nie mogłam nie przyjść na egzaminy. Nie mogłam nie oddać referatu. Gdyby do tego doszło, nie tylko nie zaliczyłabym zajęć, lecz także przegrała toczącą się przez cały czas walkę o to, żeby prowadzić normalne życie.

Gdy siedziałam w tym ponurym biurze paszportowym, otoczona imigrantami, z których większość chyba nie mówiła po angielsku, do głosu doszedł mój upór. Nie zamierzałam zrezygnować ze swojego trybu życia. Nie zamierzałam pozwolić tacie, żeby odebrał nam wszystko, na co z takim trudem zapracowałyśmy. Wrócimy i będziemy walczyć!

W przeciwieństwie do mnie mama nie bardzo się do tego kwapiła. Odebranie telefonu od mojego taty i usłyszenie jego głosu było dla niej traumatycznym przeżyciem. Dowiedziałam się później, że po odłożeniu słuchawki zwymiotowała. Sam dźwięk jego głosu nadal ją przerażał, nawet po upływie prawie piętnastu lat. Gdyby o tym wiedział, prawdopodobnie poczułby jakąś chorobę satysfakcję.

Zawarłyśmy z mamą kompromis i uzgodniłyśmy, że wrócimy do Michigan, ale będziemy się trzymały z dala od jej domu i od mojego mieszkania. Byłyśmy w ciągłym ruchu i miałyśmy się na baczności. Każdego wieczoru, jak najpóźniej się dało, meldowałyśmy się w innym hotelu, gdzie robiłyśmy, co w naszej mocy, żeby przespać się kilka godzin. O świcie byłyśmy już wykąpane, ubrane i ruszałyśmy w dalszą drogę.

Wiedziałyśmy, że popadnięcie w jakąkolwiek rutynę stanowi ogromne ryzyko, ale ja za wszelką cenę chciałam skończyć semestr. Wobec tego mama

woziła mnie na zajęcia i rozglądała się, żeby mieć pewność, że nikt nie wchodzi za mną do budynku. Czasami parkowała i obserwowwała okolicę, gdy byłam w środku. Kiedy indziej jeździła w kółko bez celu, próbując uniknąć wyśledzenia.

Nie wiedziałyśmy, czy jesteśmy śledzone. Nie wiedziałyśmy, czy mój tato jest w kraju. Nie wiedziałyśmy również, czy fiński producent jest w Stanach i czy ktoś inny z nimi współpracuje ani jak daleko się posuną, żeby zaaranżować spotkanie.

Gdy zajęcia się kończyły, dzwoniłam do mamy. Jeśli droga była wolna, podjeżdżała samochodem jak najbliżej drzwi i zabierała mnie. Jeśli nie, chowałam się w budynku, próbując sprawiać wrażenie jak najspokojniejszej, aż mama zadzwoniła, że wszystko jest w porządku. Byłyśmy podejrzliwe wobec wszystkich i wszystkiego.

Szczególnie martwiłam się o bezpieczeństwo swoich współlokatorek. Wydawało mi się wyjątkowo frustrujące, że mogłoby im coś grozić tylko dlatego, że się znałyśmy. Trish była jedyną osobą, z którą utrzymywałam kontakt. Nasze rozmowy były urywane i posługiwałyśmy się zakodowanymi wiadomościami, które dało się rozszyfrować tylko dzięki długoletniej autentycznej przyjaźni. Moim zdaniem zakrawało na ironię, że kiedy byłam dzieckiem, niektórzy dorośli członkowie naszego Kościoła próbowali zabiegać o usunięcie mnie z ich szkoły, bo się bali, że moja obecność sprowadzi na nich niebezpieczeństwo, a jednak Trish, która ważyła chyba najwyżej czterdzieści pięć kilogramów, nie wahając się ani przez moment, wskakiwała do swojego kombi rocznik 86, takiego z okleiną drewnopodobną, i jechała, żeby się ze mną spotkać. Przywoziła mi czyste ubrania i podręczniki, ale przede wszystkim tak bardzo potrzebną dawkę otuchy.

W sprawę zaangażowały się organy ścigania. FBI, policja stanowa z Michigan, policja kampusu MSU, a nawet władze kanadyjskie – wszyscy starali się zapewnić nam bezpieczeństwo. Rodzice Trish zdawali już sobie sprawę z powagi sytuacji, dlatego Scott, jej narzeczony, zaczął wozić ją na zajęcia i czuwać nad nią. Nikt mi wtedy tego nie powiedział, ale podobno najbardziej bali się, że gdyby ktoś chciał mnie porwać, mógłby omyłkowo uprowadzić Trish, biorąc jej ciemne włosy i oliwkową cerę za oznakę irańskiego, a nie włoskiego pochodzenia.

W końcu mama i ja musiałyśmy wrócić do jej domu. Był to jedyny sposób, żeby zlokalizować połączenia i spróbować ustalić miejsce pobytu taty. Nigdy nie byłyśmy w domu same. Mężczyźni z naszej rodziny zmieniali się, pełniąc straż. Zasłony były przez cały czas zaciągnięte.

Wszyscy byli podminowani i rozgorączkowani. Stale dochodziło do jakichś tajemniczych zdarzeń – niewielkich, budzących wątpliwości incydentów, przez które wszyscy mieliśmy wrażenie, że tracimy zmysły. Jeden z moich wujków, uzbrojony w pistolet, robił obchód ogrodzonego trawnika na tyłach domu,

przystając, żeby się upewnić, czy bramy po obu stronach domu są porządnie zamknięte. Gdy je sprawdzał piętnaście minut później, stwierdzał, że są otwarte. Te drobne, ale niepokojące zdarzenia w połączeniu z silnym strachem sprawiały, że czuliśmy się jak paranoicy, i to do tego stopnia, że nie ufaliśmy własnej paranoi.

Jednocześnie telefon nie przestawał dzwonić. Musieliśmy odbierać, żeby można było wyśledzić połączenia. Słyszeliśmy, że na drugim końcu linii ktoś oddycha, ale nikt się nie odzywał. Ledwie się rozłączano, natychmiast znów rozlegał się dzwonek. Dostawaliśmy te telefony co półtorej minuty, czasami co minutę, a nawet co trzydzieści sekund. W niektóre dni, jeśli mieliśmy szczęście, co piętnaście minut. Ewidentnie była to gra – gra, która doprowadzała mnie do szaleństwa.

Ponieważ były to połączenia międzynarodowe, nie mogliśmy wyśledzić, skąd dzwoniono. Jediną rzeczą, jaką dało się ustalić, to że do Stanów Zjednoczonych trafiały z Montrealu. Tato miał krewnych w Kanadzie, więc w tamtych dniach wiedzieliśmy, że jeśli udało mu się znaleźć tak blisko, będzie mógł z łatwością przejechać przez granicę do Michigan, bo do podróżowania między obydwoma krajami paszport nie był potrzebny.

Gdy wróciłyśmy do domu, mama odtworzyła mi wiadomość od taty. Automatyczna sekretarka stała na półce na szczycie schodów, które prowadziły do piwnicy. Usiadłam na zimnej szarej płytce podłogowej i oparłam stopy na drugim stopniu poniżej, a mama wcisnęła klawisz „play”. Wysłuchałam nagrania tylko raz.

Ze zdziwieniem przekonałam się, że nie pamiętam jego głosu. Gdy jestem wystraszona, moje serce nadal bije w rytm głuchego dudnienia jego kroków, ale czas wymazał z pamięci jego głos. Miał silny brytyjski akcent. Gdyby jego słowa nie były tak irytujące, być może ów głos wydałby mi się nawet czarujący.

Podobnie jak w wypadku wszystkich innych zdarzeń związanych z jego ingerencją w moje życie, nigdzie nie odnotowałam daty, godziny ani metody ataku. Fizyczne dokumentowanie tych rzeczy było zbyt bolesne. Nie chciałam, żeby były rzeczywiste. Nie chciałam, żeby stanowiły część mojego życia, dlatego przez ponad dziesięć lat zostawiłam je w postaci nieuchwytnych odprysków, starannie zamkniętych gdzieś głęboko w najdalszych zakamarkach mojego umysłu.

Jego wiadomość, jak ją teraz pamiętam, brzmiała mniej więcej tak: „Mówi doktor Mahmoody”. Doktor Mahmoody! Zwracał się do mnie, swojej córki, i miał czelność mówić o sobie „doktor Mahmoody”. Powiedział, że chce ze mną porozmawiać, aby przedstawić mi prawdę.

„Masz dwadzieścia jeden lat. Możesz teraz myśleć samodzielnie”. Najwyraźniej nie wiedział o mnie najważniejszego. Może i byłam cicha, ale od dziecka jestem niezwykle upartym i niezależnie myślącym osobnikiem. Nikt mi nigdy nie mówił, co mam myśleć.

„Chcę ci powiedzieć prawdę, ponieważ to, co mówiono ci przez te wszystkie

lata, jest kłamstwem”. Słyszając to, dosłownie roześmiałam się w głos. Odwróciłam się do mamy z pełnym nienawiści złośliwym uśmiechem i zażartowałam z sarkazmem:

– Co? Czyżby zapomniał, że ja tam byłam?

Co za arogancki hochsztapler, pomyślałam. Co za przypadek absolutnego narcyzmu. Naprawdę uważał, że może się zjawić tak po prostu i napisać od nowa historię naszej rodziny. Wcisnąłby mi bajeczkę, a ja bym mu uwierzyła. Tylko dlatego, że on tak powiedział, wykluczyłabym wszystko, o czym wiedziałam, że jest oparte na faktach, i uznałabym jego kłamstwa za prawdę. Jakie to smutne i żalosne... i przerażające.

Zastanawiałam się, czy on rzeczywiście wierzy we własne kłamstwa. Tak długo opowiadał te swoje sfabrykowane historyjki, że zapomniał, co się naprawdę wydarzyło, czy jednak był jakiś maleńki kawałeczek jego duszy, którego nie dało się oszukać? Nadal nie znam odpowiedzi na to pytanie. Chciałabym wierzyć, że jego sumienie nie było całkowicie martwe.

Utrzymywał, że znalazł moje dane kontaktowe w internetowej książce adresowej studentów MSU. Nie wiedziałam, czy to prawda, ale kiedy sprawdziłam, okazało się, że rzeczywiście w niej figuruję. Epoka internetu przyniosła całe mnóstwo nowych okoliczności związanych z bezpieczeństwem.

Niedługo po tym pierwszym telefonie zaczął mi wysyłać pocztówki elektroniczne. Rzadko je otwierałam i nigdy na nie nie odpowiadałam. Chciałam tylko, żeby dał mi spokój.

Na kampusie zachowywałam najwyższą czujność. Kiedy prowadziłam samochód, wpatrywałam się uważnie w każdą osobę w każdym samochodzie, który mijałam. Próbowalam zapamiętać wszelkie szczegóły otoczenia – marki i modele samochodów, numery rejestracyjne, nazwy ulic, których nauką na pamięć wcześniej nie zawracałam sobie głowy. Gdybym musiała wezwać pomoc, potrzebowałabym tych szczegółów. Zmieniałam trasy, kiedy jechałam na zajęcia i z powrotem, próbując w ten sposób pozbyć się ewentualnych prześladowców. Problem polegał na tym, że miałam stały program dnia. Mimo to nie zamierzałam ułatwiać „im” zadania bardziej, niż musiałam.

Wszystkie te działania wymagały czasu oraz niesłychanych nakładów energii psychicznej i fizycznej. Rozpaczliwie potrzebowałam snu, ale byłam zbyt wystraszona, by na tyle zmniejszyć czujność, żeby móc odpocząć. Co by było, gdyby atak nastąpił w nocy, kiedy spałam? Zadowalałam się spaniem mniej więcej trzy godziny na dobę, ale z braku snu byłam roztrzęsiona i rozgorączkowana.

Przez lata mama i ja wkładałyśmy wiele wysiłku w godzenie normalności z bezpieczeństwem. Przyzwyczyłam się do zachowywania jak najdalej posuniętej ostrożności ze względu na własne bezpieczeństwo, ale jednocześnie udawało mi się angażować w większość przedsięwzięć, na których mi zależało. Aż do tamtego

momentu moje życie toczyło się raczej gładko – pomimo mojego taty. Wtedy po raz pierwszy okazał się on tak destrukcyjny dla mojego codziennego funkcjonowania.

Czułam, że jestem egoistką, chcąc wrócić do swojego normalnego trybu życia. Nie chciałam opuszczać mamy i nie chciałam narażać na niebezpieczeństwo współlokatorek, ale dojeżdżanie z jej domu do East Lansing było bardzo uciążliwe, a ja tęskniłam za przyjaciółkami i swoim mieszkaniem. Pewnego wieczoru tuż przed Bożym Narodzeniem postanowiłam wrócić do nich tylko na tak długo, żebyśmy mogły uczcić święta i wymienić się prezentami. Gdy już się tam znalazłam, poczułam się tak dobrze, mogąc ponownie zasmakować swojego prawdziwego życia, że zdecydowałam się zostać na jedną noc. Było już późno, a my wesoło spędzałyśmy czas. I akurat wtedy zadzwoniła mama.

Ktoś właśnie wystrzelił z pistoletu pod domem Johna. Na początku tygodnia pies Joego, nigdy nieopuszczający podwórka, zniknął bez śladu. Nie chciałam wierzyć, że to ma coś wspólnego ze mną, ale teraz, kiedy dotknęło to obydwu moich braci, nie mogłam zaprzeczyć, że istnieje prawdopodobieństwo, iż wszystkie te tajemnicze zdarzenia są z sobą powiązane.

W tej sytuacji przyjęcie dobiegło końca. Przemknęłam przez salon, wrzucając do torby swoje prezenty, i zbiegłam po schodach. Musiałam wrócić do domu. Nie mogłam znieść myśli, że to ja doprowadziłam „ich” do swoich przyjaciółek, tak jak wcześniej do swojej rodziny. Moje trzy współlokatorki odprowadziły mnie do drzwi i dodawały mi otuchy, gdy wkładałam buty. Nie znajdując słów pocieszenia, objęły mnie mocno.

– To się nigdy nie skończy – szlochałam, całkowicie przybita.

Z powodów, których nie byłam w stanie pojąć, zmagania mojej rodziny stały się udziałem znacznie większej grupy osób niż tylko moich bliskich. Były w nie uwikłane rządy, byli uwikłani czytelnicy i telewidzowie oraz pewien producent filmów dokumentalnych, a w ostatnich dniach dowiedziałam się, że został w nie również wciągnięty jakiś student MSU, pracujący jako stażysta przy tym projekcie filmowym. Uświadomiłam sobie wówczas, że nawet jeśli mój ojciec umrze, nigdy nie uwolnię się od tej klątwy.

Mniej więcej w tamtym okresie zabrano moją bratanicę Kelsey z przedszkola. Właśnie zaczęła do niego chodzić, gdy tato nas znalazł. Jak wyjaśnić czterolatce, że choć uwielbia przedszkole i chodzą do niego wszyscy jej koleżdy i koleżanki, żeby się z sobą bawić, ona musi zostać w domu, tak na wszelki wypadek, gdyby tatuś jej cioci próbował ją wykraść? Była tak bardzo podobna do mnie, gdy miałam cztery lata, że baliśmy się, iż tato mógłby spróbować ją porwać, usiłując w ten sposób przeżyć na nowo tamte lata, które stracił przeze mnie.

John, Dianne i Kelsey mieszkali w małym miasteczku odległym prawie o godzinę jazdy od domu mamy, jednak zdarzyło im się kilka tajemniczych

incydentów, które, jak się obawialiśmy, mogły nie być przypadkowe. Mój brat i szwagierka kilkakrotnie mieli dziwne wrażenie, że pod ich nieobecność ktoś był w ich domu. Strzał oddany w pobliżu zdawał się potwierdzać, że wszyscy mamy uzasadniony powód do zmartwienia. Te rzeczy nie były tylko wytworem naszej zbiorowej wyobraźni.

Synoptycy przewidywali burzę śnieżną w nocy przed moim ostatnim egzaminem na koniec semestru. Policja stanowa wydała komunikat, prosząc ludzi, żeby nie wyjeżdżali na drogi, więc nie miałam wyboru i musiałam zostać w swoim mieszkaniu. Rano wszędzie były ogromne zasy. Wszystkie szkoły oprócz MSU zostały zamknięte, podobnie jak wiele firm, a transport publiczny nie działał.

Gdy przyjechałam na kampus i zobaczyłam, że nie odśnieżono parkingów, zdenerwowałam się. Musiałabym zaparkować na wielopoziomym parkingu, co było sprzeczne z moimi zasadami. Po prostu stanowiło zbyt wielkie ryzyko. Liczba punktów wjazdowych i wyjazdowych była zdecydowanie zbyt ograniczona, za to praktycznie nieograniczona była ilość miejsc, gdzie mógłby się ukryć napastnik. Jeździłam w koło, mając nadzieję, że znajdę gdzieś na kampusie odśnieżony parking. Nawet gdyby oznaczało to dłuższą drogę do przejścia pieszo, byłoby lepsze niż zaparkowanie na rampie. W końcu nie widząc innego wyjścia, zawróciłam do najbliższego parkingu wielopoziomowego i tam zostawiłam samochód.

Jest coś radosnego w głębokim oddychaniu w śnieżny dzień i chyba wszyscy w sali wykładowej to czuli. Nastrój był lekki i przyjemny, czego nie doświadczyłam dotąd przy żadnym egzaminie. Studenci śmiali się, opowiadając sobie o przygodach związanych z dotarciem tamtego dnia na uczelnię. Uciszyliśmy się dopiero wtedy, gdy rozdano arkusze egzaminacyjne.

Szybko pochłonęły mnie bez reszty pytania testu wielokrotnego wyboru. Czym prędzej wypełniłam odpowiednie okienka. Znałam ten materiał. Dotarłam do końca z uśmiechem, czując się absolutnie pewna, że odpowiedziałam prawidłowo na każde pytanie. Odetchnęłam usatysfakcjonowana i gdy podniosłam głowę, zorientowałam się, że skończyłam jako pierwsza. W moim wypadku to było naprawdę niezwykle. Wolno czytam i wolno rozwiązuję testy, więc jest bardziej prawdopodobne, że skończę ostatnia niż pierwsza.

Zakłopotana, jeszcze raz przejrzałam swoje odpowiedzi. Nadal nikt inny nie skończył. Po raz trzeci przeczytałam wszystkie pytania egzaminacyjne i doszłam do wniosku, że czekałam wystarczająco długo. Po cichu podeszłam do przodu sali wykładowej i oddałam test profesorowi.

Na zewnątrz w głównym korytarzu tłoczyli się studenci. Przecisnęłam się przez tłum, przystanąłam przy drzwiach i dokonałam w myślach inwentaryzacji otoczenia. Wszystko wydawało się w porządku, więc pchnęłam drzwi i wyszłam na chodnik. Od razu ogarnął mnie strach przed powrotem do samochodu stojącego na

wielopoziomowym parkingu.

Inni studenci podążali w tym samym kierunku, ale ich liczba stopniowo malała, w miarę jak zbliżałam się do parkingu. Wkrótce zostało tylko dwóch w niewielkiej odległości za mną. Po drugiej stronie ulicy, na parkingu planetarium stał jakiś samotny pojazd. Było w nim coś, co mnie niepokoiło. Chodziło o furgonetkę w rodzaju tych, które nie mają z tyłu okien, zaparkowaną prostopadle do miejsc parkingowych. Na tyle, na ile mogłam zobaczyć, wokół nie było innych ludzi z wyjątkiem dwóch młodych mężczyzn idących za mną. Usłyszałam, że przyspieszają kroku.

Myślałam gorączkowo, usiłując zrozumieć sytuację. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to że w furgonetce jest mój tato z ekipą filmową. Jaki mieli plan? Zamierzali wyskoczyć z niej i zmusić mnie do wywiadu albo do spotkania z nim czy też po prostu chcieli mnie złapać, wrzucić do furgonetki i odjechać?

Usłyszałam kroki tuż za sobą. Potem poczułam klepięcie w ramię.

Wiedziałam, że jakiś student pracuje jako stażysta przy tym filmie dokumentalnym. Znałam jego nazwisko. Wiedziałam, z jakiego jest miasta. Wiedziałam, w którym akademiku mieszka, a nawet co studiuje. Jedyne, czego nie wiedziałam aż do ostatniej chwili, to jak wygląda.

Stałam jak wryta. Jeśli miało dojść do konfrontacji, musiało to być w tym miejscu, na otwartej przestrzeni, a nie pod osłoną wielopoziomowego parkingu.

– Ty jesteś Mahtob Mahmoody? – zapytał.

Jego kolega nie odezwał się słowem.

– Nie – skłamałam.

– Nie jesteś Mahtob Mahmoody?

– Nie. A czego od niej chcecie? – Trzęsłam się i przeklinałam swoją śmieszoną czapkę, która zsunęła mi się na czoło, częściowo przesłaniając widok furgonetki zaparkowanej po drugiej stronie ulicy.

– Próbuję dostarczyć jej przesyłkę. Jest od jej ojca.

– No to powodzenia. Nie wiem, kim ona jest.

Starając się ze wszystkich sił sprawiać wrażenie pewnej siebie, odwróciłam się i oddaliłam od nich spokojnie, przez cały czas się modląc, żeby za mną nie poszli, żeby drzwi furgonetki nie otworzyły się nagle, by mnie pochłonąć, żeby ekipa filmowa nie wychynęła z cienia. Z wielkim wysiłkiem uspokoiłam oddech i wyprostowałam ramiona. Zerknęłam jeden raz za siebie i zobaczyłam, że wciąż stoją tam, gdzie ich zostawiłam, jakby zastanawiając się, co robić. Potem zawrócili i usłyszałam, że ich kroki się oddalają.

Wtedy moja brawura legła w gruzach. Pobiegłam w kierunku wielopoziomowego parkingu, z trudem łapiąc powietrze. Po twarzy spływały mi łzy. Popędziłam na górę po schodach i rzuciłam się w bezpieczne miejsce, którym wydawał się mój samochód. Zamknęłam się w nim od środka i siedziałam za

kierownicą sparaliżowana ze strachu. Nie wiedziałam, co robić ani dokąd jechać.

– Dobry Boże, proszę, pomóż mi – błagałam na głos.

Nie zapytałam tego młodego człowieka o nazwisko. Dlaczego nie poprosiłam ich, żeby się przedstawili? Musiałam dać policji jakiś punkt zaczepienia. Wyjechałam z budynku parkingu i skręciłam w stronę akademika, w którym, jak wiedziałam, mieszkał stażysta. Tak jak przypuszczałam, po drodze zauważyłam ich obu. Skręciłam, zanim się z nimi zrównałam, i zatoczyłam koło akurat na czas, żeby zobaczyć, jak wchodzą po schodach do tego właśnie akademika.

Był to dla mnie wystarczający dowód, żebym mogła popędzić na posterunek policji, gdzie z płaczem zdałam sprawozdanie policjantce prowadzącej moją sprawę. Przesyłka, jak miałam się później dowiedzieć, była kasetą wideo od mojego ojca. Funkcjonariuszka zaproponowała, że spróbuje ją dla mnie zdobyć, ale powiedziałam, że jej nie chcę. Nie interesowało mnie, co mój tato miał do powiedzenia.

Tamta policjantka zdecydowanie wyróżniała się spośród wszystkich stróżów prawa, którzy nam pomagali. Tak bardzo chciała mi przyjść z pomocą. Dała mi przepustkę parkingową, dzięki której mogłam się dostać na wszystkie parkingi uczelni i zostawić samochód jak najbliżej miejsca zajęć. Sprawdzała każdy trop, wysyłała patrole do miejsc, w których miałam zajęcia, i zachęcała mnie do zgłaszania wszystkiego, co sprawiało, że czułam się choć trochę nieswojo. Zapewniała mnie, że nie ma znaczenia, jeśli nic z tego nie wyniknie. Żadne podejrzenie nie jest zbyt błahe.

W pewnym momencie usiadłam nawet z rysownikiem portretów pamięciowych i opisałam pewnego mężczyznę w średnim wieku, który uśmiechnął się do mnie, przechodząc. Nie był to kokieteryjny uśmiech. Po prostu uśmiech na powitanie. Jednak zdarzyło się to w połowie semestru, a ja dopiero od niedawna zaczęłam go widywać, idąc z jednych zajęć na drugie. To był pierwszy sygnał ostrzegawczy. Drugi był taki, że pewnego dnia, kiedy spotkaliśmy się na chodniku, nawiązał ze mną kontakt wzrokowy i uśmiechnął się. Na naszym kampusie ludzie po prostu tak się nie zachowują. Spuszczamy głowę i idziemy przed siebie, żeby dostać się z jednego budynku do drugiego. Ten mężczyzna natomiast szedł z podniesioną głową i miłym wyrazem twarzy, uśmiechając się po drodze do studentów. Na dokładkę przypominał nieco mojego tatę. Obaj mieli takie same obwisłe policzki.

Wiedziałam, że to prawdopodobnie nic nie znaczy, ale bałam się zostawić jakikolwiek trop bez sprawdzenia, więc wspomniałam policjantce o tym człowieku. Wezwała rysownika, żeby naszkicował podobiznę mężczyzny, którego widziałam, a potem poszła z nim porozmawiać. Okazało się, że był to po prostu życzliwy profesor, który prowadził zajęcia w pobliskim gmachu, jednak w tamtych dniach

dla mamy i dla mnie wszystko było niepokojące.

Następnej wiosny zabrałam Kelsey na noc do domu mamy. Kiedy odwoziłam ją następnego dnia wieczorem, John i Dianne byli w odwiedzinach u przyjaciół. Zostawili drzwi niezamknięte na klucz, żebym mogła wejść, i poprosili, bym zadzwoniła, gdy dojedziemy. Zanim zdążyłam wjechać na podjazd, ich pies, niezwykle inteligentny labrador o łagodnym usposobieniu, wybiegł na drogę. Chodził tam i z powrotem przed moim samochodem, szczekając i warcząc.

Nigdy nie widziałam, żeby Cocoa zachowywała się w ten sposób. Próbowала ze wszystkich sił przestrzec mnie, żebym trzymała się z daleka, ale ja nie zważałam na jej ostrzeżenia. Powolutku skierowałam się na podjazd i zaparkowałam. Biegła wkoło auta, błagając mnie, żebym została w bezpiecznym miejscu, jakim był zamknięty samochód. Nadal jej nie słuchałam. Kelsey i ja wysiadłyśmy, podeszłyśmy do bagażnika i wzięłyśmy na ręce stos rzeczy, których potrzebowała do przenocowania poza domem. Przez cały ten czas pies nie zaprzestał swoich gorączkowych błagań.

– Cocoa, to tylko my. Przecież nas znasz – powiedziałam, wyciągając do niej rękę, żeby mogła je obwąchać.

Kiedy przemawianie do rozsądku nie pomogło, spróbowałam innej metody i poleciłam jej, żeby się uspokoiła. Kelsey, już wtedy niezależna i nieustraszona, bardziej, niż wskazywałyby na to jej wiek, zmierzała w ciemnościach w stronę domu. Żwir na podjeździe chrzęścił pod kółkami jej małej różowej walizeczki, którą ciągnęła za sobą, a ja tymczasem zatrzasnęłam bagażnik i zamknęłam drzwi samochodu.

Cocoa nadal nerwowo zachodziła nam drogę, bardzo niechętnie pozwalając odepchnąć się do tyłu, gdy zbliżyłyśmy się do drzwi frontowych. Kiedy weszłyśmy po stopniach werandy, warknęła i obnażyła zęby. Z tego, co wiedziałam, nigdy czegoś takiego nie robiła.

– Co, u licha, w ciebie wstąpiło? Z drogi! – rozkazałam, ale mnie nie posłuchała.

Nawet gdy sięgnęłam do klamki, wcisnęła się między nas i niebezpieczeństwo, o którym wiedziała, że czyha w środku.

Drzwi ani drgnęły. Pociągnęłam jeszcze raz i znowu nic. Były zamknięte na klucz. Rozumiejąc w końcu udrękę psa, spokojnie odwróciłam Kelsey do tyłu i powiedziałam:

– Ruszaj, słoneczko, z powrotem do samochodu. Drzwi są zamknięte. Wygląda na to, że będziemy musiały zaczekać, aż mama i tato wrócą do domu, żeby nas wpuścić.

Nie zaprotestowała.

– Szybciotko – ponagliłam ją, starając się, żeby mój głos nie zdradzał

niepokoję. – Zobaczmy, jak szybko uda nam się wrócić do samochodu. Pośpiesz się.

– Wygram z tobą – zachichotała, poruszając swoimi małymi stópkami najszybciej, jak się dało.

– Idź do drzwi kierowcy. Możesz wspiąć się nad fotelem i przejść do tyłu, jak na torze przeszkód – pouczyłam ją, jakby chodziło o zabawę.

Nie widziała, że oglądam się przez ramię, chcąc się upewnić, że intruz nas nie goni. Cocoa, jak zawsze wierna, nadal stała na straży.

Otworzyłam drzwi samochodu i Kelsey wskoczyła do środka. Za jednym zamachem wrzuciłam walizkę na przednie siedzenie pasażera i z naręczem rzeczy wcisnęłam się za kierownicę, zatrzasnąłam drzwi i zamykając nas w środku. Byłam zagrzebana w różowych i fioletowych akcesoriach niezbędnych do pizama-party – miałam na kolanach jasiek, koc, maskotkę i plastikowy pojemnik wypełniony ciasteczkami domowej roboty, które Kelsey i ja upiekłyśmy razem z babcią Betty, bo były to ulubione słodczyce jej taty. Spychając to wszystko na walizkę, przyjrzałam się domowi. Moje spojrzenie przeskakiwało z okna do okna w poszukiwaniu jakiegoś ruchu, ale zobaczyłam jedynie ciemność.

– No, no, świetnie się spisałaś – powiedziałam do bratanicy. – Ależ byłaś szybka! Prawie nie mogłam cię dogonić. Ile ci zajmie zapięcie pasa?

Zapięłam swój i sięgnęłam po komórkę, żeby zadzwonić do brata. Cofałam, gdy Kelsey oznajmiła, że już jej się udało.

John odezwał się w typowy dla siebie, wesoły sposób.

– Haaaaa-lo – powiedział, akcentując i przeciągając pierwszą sylabę. – Co jest grane?

– Nie ma was w domu, prawda?

– Nie, jeszcze nie wyszliśmy od przyjaciół. Zaraz będziemy. Rozgość się. Cocoa jest na dworze. Możesz ją wpuścić. Najwyżej usiądzie na swojej macie przy drzwiach.

– Drzwi są zamknięte.

– Nie, nie są. Zostawiłem je otwarte dla ciebie.

– Drzwi są zamknięte na klucz. Cocoa dostawała szału, usiłując zmusić nas do trzymania się z dala od domu, a kiedy spróbowałam otworzyć drzwi, nie dało się. Nic nam nie jest. Wróciliśmy do samochodu i jedziemy. Wygląda na to, że nikt nas nie goni.

– Nie zatrzymuj się i nie wracaj, aż dam ci znać, że wszystko w porządku. Już jadę.

– Nie wchodź sam do środka – poprosiłam.

John przyjechał do domu w ciągu kilku minut i zastał go w takim stanie, w jakim go zostawił. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Niczego nie brakowało i wszystko było na swoim miejscu. Ktokolwiek był w środku, ulotnił się.

Ależ to było irytujące – jeszcze jeden incydent, który oczywiście mógł być wytworem wyobraźni, tylko że nie był. Kto za tym stał? Mój tato? Wątpiłam, czy zrobił to osobiście. Wynajął kogoś? Jakiego rodzaju osoba przyjmuje takie zlecenie? Do czego jeszcze są zdolni? Co mój ojciec próbuje w ten sposób osiągnąć?

Jak mogę położyć temu kres?

ROZDZIAŁ 26

Na jesieni, kiedy zaczynałam ostatni rok studiów, przeprowadziłam się do innego mieszkania, z Trish i Brianem. Mama się zgodziła, żebym się przeniósła z powrotem do East Lansing tylko pod warunkiem, że będę miała współlokatora, a Brian zawsze był wiernym przyjacielem od mojego pierwszego dnia pobytu na kampusie. Sytuacja z tatą nieco się uspokoiła, ale incydenty nie całkiem ustały, więc nadal wszyscy byliśmy w stanie najwyższej gotowości.

Pewnego wieczoru siedziałam przy małym stoliku w kawiarence biblioteki uniwersyteckiej, otoczona morzem studentów. Obok mnie był jakiś chłopak. Siedział samotnie, a jego stolik przypominał mój – zavalony książkami i kartkami. Wyglądał na kogoś pochodzenia azjatyckiego. Zastanawiałam się nad jego życiem. Czy tak jak ja łączył w sobie dwie kultury? Czy urodził się tutaj, czy tam – gdziekolwiek było to tam? Czy dorastał w strachu, że zostanie zabrany z powrotem przez jedno z rodziców?

Na lewo ode mnie grupa studentek przerywała od czasu do czasu flirtowanie, odczytując serię pytań ze swoich podręczników. Nieprzerwany strumień głodnych, uzależnionych od kofeiny studentów przewijał się przez kolejkę do baru kawowego tuż za mną.

Wolałam siadać pod ścianą, nie tylko dlatego że łatwiej mogłam podtrzymać swoje złudzenie niewidzialności, lecz także dlatego, że miałam wtedy mniej kierunków do monitorowania, więc było bezpieczniej. W ciągu czterech lat studiów na MSU dobrze poznałam bibliotekę i mogłam bez trudu, nie rzucając się w oczy, znaleźć między półkami drogę do kilku wyjść po różnych stronach budynku. Stało się to moją drugą naturą. Zawsze miałam pod ręką komórkę, podobnie jak pojemnik z gazem łzawiącym i masywny pęk kluczy wyposażony w łańcuch z karabińczyków oraz dodatkowe breloczki i gwizdek. Gdyby nikt nie usłyszał, jak gwizdzę, gaz łzawiący i zaimprovizowany metalowy bicz mogłyby posłużyć za broń.

Wkuwałam dopiero od niedawna, gdy kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Nie podnosząc głowy, patrzyłam, jak trzech nastolatków azjatyckiego pochodzenia podchodzi do chłopaka przy sąsiednim stoliku. Nie przysłuchiwałam się ich przyciszonym szeptom. Skupiłam się ponownie na swoich notatkach, gdy go usłyszałam. Ten dźwięk przebił się przez panujący wokół harmider i natychmiast mnie zaalarmował.

Ile lat minęło, odkąd ostatnio słyszałam ten straszliwy dźwięk? Obliczeń dokonałam później: 2002 minus 1986 równa się szesnaście lat. Jakże inaczej reagowałam na niego jako dziecko. Gdzieś na drodze życia straciłam odwagę. Zastanawiałam się, kiedy to się stało.

Teraz, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, odgłos pięści wściekle

okładających ludzkie ciało sprawił, że zamarłam z przerażenia. To dziwne, w jaki sposób ciało pochłania dźwięk wywołany uderzeniem pięści. Gdyby ktoś z taką samą siłą trzasnął w stół, podskoczyłyby talerze, zadźwięczały sztucce, a w szklankach zafalowałyby woda. Ale ciało wycisza cios do groteskowego głuchego dudnienia.

Ta scena rozegrała się przede mną w zwolnionym tempie. Chłopak, którego stolik przypominał mój, był sam, nie miał więc żadnych szans. Patrzyłam w milczeniu, jak tych trzech bandziorów go bije. Zrzućli go z krzesła, okładali pięściami, kopali i wyzywali. Popatrzyłam dokoła na wszystkich studentów i błagałam ich wzrokiem, żeby coś zrobili i obronili tego chłopaka, który nie był w stanie obronić się sam. Nikt się nie poruszył. W myślach krzyczałam, żeby ktoś, ktokolwiek, to przerwał. Jak to możliwe, że ani jedna osoba niczego nie zrobiła? Jak to możliwe, że kto jak kto, ale ja byłam jedną z nich?

Równie szybko, jak się pojawili, napastnicy uciekli, zostawiając na podłodze chłopaka, który z trudem łapał powietrze i skręcał się z bólu. Mój strach zamienił się w pełną goryczy udrękę. Miałam ochotę się rozplakać, ale nie zrobiłam tego. Chciałam podejść do niego, pomóc mu wstać, pocieszyć go, a jednak nadal siedziałam bez ruchu.

Całe pomieszczenie wypełniała przytłaczająca cisza. Wszystkie dźwięki sprzed kilku minut – syczenie ekspresu do kawy, gwar rozmawiających studentów, szuranie krzesel po podłodze, łoskot książek rzucanych na stoliki, pisk tenisówek na linoleum – zamarły, gdy pojawił się odgłos pięści tłukących ciało.

Trudno jest ukryć wstyd. Ujawnia się w naszym wyrazie twarzy, naszej mowie ciała. Wstyd unika oczu, pochyla głowę w stronę ziemi, przygarbia ramiona. Było to uczucie, które dobrze znałam.

Otóż właśnie ze wstydem tamten chłopak pozbierał swoje rzeczy, a odgłosy jego krzątania rozbrzmiewały w cichym pomieszczeniu. Zgarnął papiery, stukając nimi o stolik, żeby wyrównać brzegi. Ułożył książki jedna na drugiej, upchnął je do plecaka i zapiął go na zamek. Najpierw dał się słyszeć szelest plecaka ocierającego się o jego ramię, a potem ledwie słyszalne stęknienie, gdy ciężar wylądował mu na plecach.

Ja natomiast ze wstydem słuchałam jego nierównego kroku, gdy kuśtykał do głównego wyjścia. Nadal nie byłam w stanie się poruszyć. Odgłos pięści tłukących ciało przeniósł mnie z powrotem do Iranu.

Nie wiem, co tamtym razem wyprowadziło mojego ojca z równowagi. Wrzeszczał, okładając mamę pięściami i nazywając ją *sag*, psem, najbardziej znienawidzonym i nieczystym stworzeniem w perskiej kulturze.

– Zabiję cię – syczał ze złością. – Rozumiesz, co do ciebie mówię? Zabiję cię i już nigdy nie zobaczysz Mahtob.

Uniosła ręce, osłaniając twarz i bezskutecznie usiłując odeprzeć jego ciosy.

Podbiegłam do niej, wciskając się między nich, i błagałam tatę, żeby przestał ją bić, a jednocześnie próbowałam go odepchnąć. Odsunął mnie na bok.

Niezrażona, ponownie doskoczyłam do nich i włączyłam się do walki. Tym razem podniósł mnie i przerzucił przez pokój. Uderzyłam o ścianę i osunęłam się na podłogę.

Nadal niezrażona, zaczęłam wrzeszczeć:

– Muszę pójść do łazienki! Muszę pójść do łazienki!

W przeszłości to działało. Wiedział, że boję się łazienki. Nigdy do żadnej nie wchodziłam sama. Mama zawsze szła ze mną. Łazienka była naszym azylem, miejscem, gdzie szeptałyśmy modlitwy. Ale on o tym nie wiedział. To była nasza tajemnica.

Jednak tamtej nocy nie uratowała nas nawet łazienka. Tato, zerkając kątem oka, przyłapał mnie na tym, że wciskam sobie palce do gardła, żeby sprowokować wymioty, dokładnie tak jak wcześniej przećwiczyłam z mamą. To była nasza absolutnie ostatnia deska ratunku, do wykorzystania tylko w najgorszych tarapatkach. Odwrócił się, chcąc mnie dopaść, a mama krzyknęła, żebym pobiegła po pomoc.

Nie chciałam jej zostawiać, ale błagała mnie:

– Biegnij, Mahtob! Sprowadź pomoc. Schowaj się. Nie pozwól, żeby cię znalazł. Nic mi nie będzie. Biegnij!

Zbiegłam po schodach tam, gdzie mieszkali Reza i Essej. Rozpaczliwie waliłam do drzwi.

– Na pomoc! Proszę, pomóżcie! – krzyczałam, choć nie jestem pewna, czy te słowa rzeczywiście wydobyły się z moich ust.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Słyszałam, że tato idzie po mnie. Mama błagała:

– Nie, proszę, Moody. Nie rób tego.

Zatrzasnął drzwi i jej protesty zostały uciszone.

– Nigdy więcej nie zobaczysz Mahtob – warknął ponownie.

Nadal dobijałam się do drzwi Rezy i Essej. Wciąż nie było żadnej odpowiedzi. Serce biło mi jak oszalałe. Słyszałam, jak tato wsuwa klucz do zamka i rygiel wskakuje na swoje miejsce. Mama została uwięziona w mieszkaniu. Czy nic jej nie było? Schowaj się, myślałam. Muszę się schować.

Kroki stawały się coraz głośniejsze wraz z każdym stopniem, bo tupął, schodząc po schodach. Niosły się echem po klatce schodowej. Pobiegłam za róg. W korytarzu stało nieużywane łóżeczko dziecięce. Wpełzłam pod nie w ciemnościach, modląc się, żeby mnie nie znalazł. Oczywiście znalazł, bo miałam pięć lat, a pięciolatki chowają się w przewidywalnych miejscach.

Następne dwa tygodnie pamiętam jak przez mgłę. Zabrał mnie od mamy i powiedział, że już nigdy jej nie zobaczę. Miałam tylko nadzieję, że Bóg

zatoszczy się o jej bezpieczeństwo pod moją nieobecność. Każdej nocy wpatrywałam się w księżyc, bo wiedziałam, że niezależnie od tego, gdzie jesteśmy, mama i ja widzimy ten sam księżyc i myślimy o sobie. Obiecała mi to.

Mama przygotowała mnie na rozłąkę. Wytrenowała mnie i nauczyła piosenek, żebym je sobie śpiewała. Były naszym tajnym szyfrem. W ten sposób przekazywała mi słowa otuchy w chwilach, gdy nie mogła być przy mnie i pocieszać mnie osobiście.

Mówi się, że ciało atakuje w swoim najsłabszym punkcie. Jeśli to prawda, moim najsłabszym punktem w tamtych dniach był żołądek. Przez te dwa tygodnie miałam ostry przypadek biegunki. Na szczęście w mieszkaniu, do którego mnie tato zabrał, była muszla klozetowa zamiast standardowej dziury w podłodze. Dzień za dniem siedziałam na sedesie, zdawałoby się przez całą wieczność, podczas gdy on chodził tam i z powrotem, przepytując mnie.

– Mahtob, powiedz mi, co wy kombinujecie, ty i twoja mama – zażądał wyjaśnień. – Z kim rozmawiacie? Dokąd poszłyście, kiedy spóźniłaś się do szkoły?

– Nic nie kombinujemy. Z nikim nie rozmawiamy. Zabłądziłyśmy.

– Nie zabłądziłyście. Znacie drogę do szkoły.

– Właśnie, że tak. Zabłądziłyśmy. – Mama nauczyła mnie, żebym tak mówiła, jeśli będzie pytał.

– Okłamujesz mnie.

Czasami jego siostrzeniec siadał na podłodze między nami i apelował do niego, żeby się uspokoił. Oczywiście nic to nie dawało.

– Co knuje twoja mama? Dokąd chodzicie? Z kim się spotykacie?

Pytania padały nieustannie, ale ja byłam uparta. Czasami w ogóle nie odpowiadałam. Wpatrywałam się w podłogę i śpiewałam w myślach: „Bóg jest taki doooobry. Bóg jest taki doooobry”... Kiedy indziej śpiewałam: „Jutro znów (wdech) wyrzy słońce”...

– Odpowiedz mi! – wrzeszczał. – Dokąd chodzicie?

Cisza. „Oooo, jutro znów (wdech) wyrzy słońce”... Och, jak ja go nienawidziłam.

Gdybym wtedy wiedziała, że po dwóch tygodniach tato zabierze mnie z powrotem do mamy, rozłąka byłaby łatwiejsza do zniesienia. Naprawdę mu uwierzyłam, kiedy powiedział, że już nigdy jej nie zobaczę.

W moim więzieniu mieszkały dzieci. Nie pamiętam ich, ale musiały tam być dzieci, bo jeden z pokoi wypełniały ich zabawki. Pewnego dnia, siedząc na podłodze, zauważyłam znajomy skrawek wyglądający spod jakiejś sterty. Odsunęłam na bok inne zabawki i wygrzebałam coś cudownego, przypominającego mi o domu – moim prawdziwym domu, tym w Michigan. Była to mała szmaciana lalka z ciałem wypełnionym kulkami ze styropianu. Miała żółte ubranko i żółty, ozdobiony koronką kapelusz przymocowany do głowy. Jej uśmiechnięta buzia była

plastikowa, z drobnymi loczkami, wystającymi tam, gdzie kapelusz stykał się z czołem. Grzywka lalki była potargana i splątana, zupełnie jak moja.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Ach, dom. Prawie mogłam sobie wyobrazić, że pachniała domem. Tamta lalka była darem od Boga. Wszędzie ją z sobą nosiłam, czerpiąc potajemnie pociechę z jej swojskiego wyglądu.

W ciągu tych dwóch tygodni gorsze od napadów złości taty i nieustających pytań były naloty. Podczas bombardowań nie umiałam się uspokoić. Wciąż myślałam o mamie, samej w mieszkaniu, zamkniętej w środku, przez co nie mogła się schronić w korytarzu razem z innymi, którzy mieszkali w tym samym budynku. Co by się stało, gdyby bomby ją trafiły, a mnie tam nie było? Wiedziałam, że ona też musi się o mnie martwić, i myśl, że jestem powodem jej zgryzoty, była dla mnie równie bolesna, jak troska o jej bezpieczeństwo.

W końcu Amme Bozorg zaprotestowała.

– Nie widzisz? – zbesztła mojego ojca. – To dziecko nic nie wie. Zabierz ją z powrotem do matki.

Pomimo swojej brutalności kochał mnie. Widział, jak bardzo jestem zrozpaczona, i nie mógł tego znieść, podobnie jak jego rodzina. Podczas jednego z nalotów ostatecznie ustąpił i zabrał mnie z powrotem do mamy.

Przez lata wielokrotnie byłam zmuszona pogodzić się ze swoją przeszłością, jednak przeżycie z biblioteki – a konkretnie moja reakcja na nie – sprawiło, że czułam się zakłopotana.

Na zajęciach z psychologii dowiedziałam się, że ludzie są stworzeniami o niezmiennych przyzwyczajeniach. Tworzymy scenariusze na wewnętrzny użytek, żeby radzić sobie z emocjami oraz przeżyciami, i na ogół się ich trzymamy. Innymi słowy, zazwyczaj reagujemy na określone sytuacje podobnie, jak reagowaliśmy na nie w przeszłości.

Wobec tego dlaczego nie interweniowałam, gdy bito tego chłopaka? Kiedy mój scenariusz został napisany od nowa? Czy traciłam odporność psychiczną? Załamywałam się czy zawodziła mnie pamięć? Może tylko wmówiłam sobie, że byłam zادیornym dzieckiem, które nie bało się interweniować?

Zmagałam się z tymi myślami przez kilka dni, a potem zadzwoniłam do mamy i opowiedziałam jej, co się stało. Zapytałam, jak zazwyczaj reagowałam, kiedy tato ją bił. W swojej mądrości odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– No a co ty pamiętasz?

– Byłam nieustraszona – powiedziałam. – Nie stałam z boku, czekając, aż to się skończy. Skakałam przed nim, odpychałam go, wrzeszczałam na niego. Robiłam zamieszanie, żeby odwrócić jego uwagę, i błagałam innych o pomoc.

– Mahtob, zawsze miałaś dobrą pamięć – zapewniła mnie. – Pamiętasz, jak pojechałyśmy do Teksasu, żeby odwiedzić Bartonów zaraz po powrocie do domu z Iranu? Weszłyśmy do pewnej restauracji, a ty od razu opowiedziałaś mi wszystko

o tym, kiedy byłaś tam trzy lata wcześniej, mając zaledwie cztery lata. Nie tylko pokazałaś mi stół, przy którym wtedy jedliśmy, ale dosłownie wskazałaś każde krzesło i powiedziałaś: „Tutaj siedziałam ja, tutaj ty, a tu siedział tato”. Powiedziałaś mi nawet, co każde z nas zamówiło. Masz znakomitą pamięć.

A zatem to była prawda. Nie pamięć mnie zawodziła, lecz moja odporność psychiczna. To zaś było znacznie bardziej przerażające.

ROZDZIAŁ 27

Kiedy tato ingerował w moje życie, nigdy nie zdarzało się, by był łaskaw odwołać alarm, gdy przestawał mi się narzucać. Dlatego żyłam wtedy wciąż w zawieszaniu, w stanie ciągłego lekkiego niepokoju. Tak i toczeń, który jest oportunistycznym potworem, wykorzystał okazję, żeby ponownie dać mi odczuć swój uścisk wyniszczający mój organizm.

Doktor Beals, świetnie zdając sobie sprawę z tego, że organizm robi wszystko, co w ludzkiej mocy, walcząc wytrwale, aby jak najdłużej zachować zdrowie, wiedziała, że jeśli chce się wskazać przyczynę nawrotu choroby chronicznej, należy przeanalizować ostatnie sześć miesięcy. Byłam tego w pełni świadoma, gdy zbliżało się sześć miesięcy od ponownego pojawienia się taty w moim życiu. Ku mojej uldze szósty miesiąc nadszedł i minął bez żadnych medycznych incydentów, podobnie jak siódmy, ósmy, dziewiąty i dziesiąty. Dopiero w okolicach dwunastego musiałam w końcu zmierzyć się z faktem, że toczeń ponownie wymknął się spod kontroli.

Wiedząc, jak poważne są moje komplikacje zdrowotne, zwróciłam się do swojej niezmiennie wiernej reumatolog, licząc na jej medyczną wiedzę.

– Powiedz mi, jakie wiadomości miałaś w ostatnich dniach od taty – poprosiła, siadając na swoim stołeczku z kółkami.

Ja siedziałam na zielononiebieskim fotelu z uszakami. Doktor Beals wołała, żeby jej pacjenci podczas wizyty rozmawiali z nią, siedząc wygodnie w fotelu w gabinecie medycznym, a nie przysiadając niepewnie na skraju zimnej kozetki.

– W zasadzie nic się nie zmieniło – odparłam. – Nadal wysyła e-maile, a ja nadal nie odpowiadam. Nie zrezygnował ze sfilmowania naszego ponownego spotkania, tyle że teraz zmienił strategię. Zamiast utrzymywać, że jest moim ojcem i nie pozwoli mi być nikim innym niż muzulmanką, zaczął mówić, że jest umierający. Myślę, że po prostu ma nadzieję wywołać wrażenie, iż jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. Jego film dokumentalny wciąż jest w fazie produkcji. Odkąd widziałam się z panią ostatnio, dowiedziałam się, że zatrudnili pewnego studenta MSU w charakterze stażysty przy tym projekcie. Śledzi mnie.

– Masz zatem dużo problemów na głowie. Jak sobie z tym wszystkim radzisz? – zapytała, poświęcając mi całą swoją uwagę.

Moja nieotwarta karta leżała na jej kolanach pod splecionymi dłońmi.

– Świetnie mi idzie. Mam dużą praktykę w radzeniu sobie z chaosem. Wszystko w porządku. – Robiłam, co mogłam, żeby uśmiech sięgnął moich oczu, ale byłam zbyt wyczerpana.

– A jak naprawdę sobie radzisz?

Dobrze mnie znała. Przy niej nie dało się nadrabiać miną.

Łzy napłynęły mi do oczu, a podbródek zaczął drżeć.

– Nienawidzę tego. – Słowa uwięzły mi w gardle. – Nienawidzę wszystkiego, co się z tym wiąże, i nienawidzę jego.

Pochyliła się do przodu i wzięła mnie za rękę. Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała po prostu:

– To rozumiałe.

– Ale ja nie chcę go nienawidzić – szlochałam. – Nie chcę żyć z tym rozgoryczeniem. Wiem, że to niezdrowe. Dla mojego ciała i dla mojej duszy. Już wiele lat temu wybaczyłam mu to, co nam zrobił w Iranie, lecz on nie zamierza tego tak zostawić. Musiał znów zacząć sprawiać kłopoty. Chcę tylko, żeby zostawił nas w spokoju. Tak strasznie mnie męczy to, że przez cały czas się boję.

– Czy próbowałaś się za niego modlić? – spytała łagodnie doktor Beals.

– Co?

– Próbowałaś się za niego modlić?

Siedziała w milczeniu, dając mi czas na zastanowienie się nad jej pytaniem.

Pokręciłam głową i wzięłam chusteczkę higieniczną, którą mi podała. Nie mogłam oddychać.

– Może warto spróbować. Wykonuję ten zawód od wielu lat i przez ten czas nauczyłam się jednego, a mianowicie że do ciała dociera się przez duszę. Najpierw trzeba uleczyć duszę. Potem można zająć się ciałem.

Doktor Beals miała w sobie mądrość, która wydawała mi się pokrzepiająca. Gdy byłam zrozpaczona, dawała mi nadzieję. Wiedziałam, że ma rację. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby ponownie pogodzić się z myślą o ojcu, nadal będę podupadała na zdrowiu.

– Nie zniechęcaj się znanadto z powodu tego kroku wstecz w twoim stanie zdrowia. To jedna z cech tej choroby. – Pocieszyła mnie doktor Beals. – Jak dotąd dobrze sobie radziłaś, ponieważ twój stan był tak długo bardzo stabilny, pomimo całego tego stresu, na który byłaś narażona. Już przez to przechodziłyśmy i uporamy się z tym wspólnie, tak jak zawsze do tej pory.

– Wiem, tylko że ja nie chcę wracać do leków. Nie mogę znieść myśli, że będę na lekach przez resztę życia.

– No to nie myślmy o tym w tych kategoriach. Zacniemy agresywnie i zobaczymy, czy uda się nam powstrzymać nawrót choroby. Potem będziemy odstawać leki, gdy tylko twój organizm nam na to pozwoli.

– Ile to potrwa pani zdaniem? – zapytałam przygnębiona. – Sześć miesięcy? Rok?

– Wiesz, że nie mogę ci niczego zagwarantować, ale zrobimy, co tylko się da, żebyś jak najszybciej mogła odstawić wszystko z wyjątkiem Plaquenilu. Uważam, że dobrze ci robi, jeśli ten jeden lek będziesz nadal zażywała jako środek zapobiegawczy. Będziemy uważnie śledzić wyniki laboratoryjne i zacniemy zmniejszać dawki, gdy tylko twój stan będzie stabilny. Jednak to

zadziała tylko wtedy, jeśli będziesz brała leki zgodnie z zaleceniem. Pamiętaj o naszej umowie?

– Pamiętam. Zrobi pani wszystko, co w pani mocy, żeby pomóc mi wyzdrowieć. Ale będzie pani mogła mi pomóc tylko wtedy, gdy będę z panią zupełnie szczerą i zastosuję się do naszego planu leczenia co do joty.

– Otóż to.

Po raz pierwszy zawarłyśmy takie porozumienie, gdy miałam zaledwie trzynaście lat. To były warunki, na których doktor Beals zaakceptowała mnie jako pacjenta. Gdybym nie dotrzymała swojej części umowy, musiałabym sobie poszukać innego lekarza, bo ona nie byłaby w stanie zapewnić mi skutecznego leczenia bez mojego udziału.

Doktor Beals dobrze mnie wyszkoliła. Stanowiłyśmy zespół i nawet gdy byłam nastolatką, to ja dyktowałam warunki. Nauczyła mnie brać odpowiedzialność za decyzje, które podejmowałam, i za ich wpływ na moje zdrowie. Wierząc w edukację, lekarka wzbudziła we mnie pragnienie zrozumienia mechanizmów funkcjonowania mojego organizmu, żebyśmy mogły lepiej współpracować przy planowaniu leczenia. Była dla mnie tylko pewną pomocą, źródłem wiedzy i rad. Moim zadaniem, jako tej, która na co dzień dźwigała brzemień swojej choroby, było wykorzystanie każdego narzędzia pozostawionego do mojej dyspozycji, żeby polepszyć jakość własnego życia.

Nie byłam jedyną osobą, która otrzymywała od doktor Beals takie spersonalizowane leczenie. Z każdym pacjentem spędzała tyle czasu, ile potrzebował. Właśnie owa uwaga poświęcana ludzkiemu wymiarowi opieki nad pacjentem w znacznej mierze uczyniła z doktor Beals tak wybitnego lekarza. Kiedy zgłaszałam się na wizytę, recepcjonistka często wręczała mi plik artykułów z czasopism medycznych albo wycinki z gazet, mówiąc, że doktor Beals prosiła, abym przeczytała je, czekając, tak żebyśmy mogły przedyskutować w jej gabinecie najnowsze odkrycia. Nierzadko wychodziłam z niego ze stosem książek i receptą na kolejne zalecane lektury.

Od samego początku doktor Beals traktowała mnie jak równą sobie, doceniając mój wkład w proces leczenia. „Jeśli chodzi o twoje zdrowie, jesteś jedynym ekspertem – powiedziała mi, kiedy byłam właściwie jeszcze dzieckiem. – Organizm każdego człowieka jest inny i inaczej reaguje na różne metody leczenia. Jesteś jedynym na świecie ekspertem od twojego konkretnego przypadku. Jesteś naszym najlepszym źródłem informacji”.

Nie zawsze podobały mi się jej zalecenia, ale nigdy nie wątpiłam, że troszczy się o moje dobre samopoczucie. To nie była jej wina, że w przypadku tocznia standardowa terapia polegała na zażywaniu leków. Nie ponosiła winy również za to, że ja miałam tak złe nastawienie do łykania tabletek.

Po dzisiejszej wizycie przytuliła mnie na pożegnanie i wręczyła mi

skierowanie na badania laboratoryjne oraz plik recept. Miałam mieszane uczucia. Wydawało mi się, że naładowałam akumulatory i jestem gotowa podjąć walkę o swoje zdrowie, a jednak byłam sfrustrowana tym, że ponownie znalazłam się na owym aż zanadto znajomym rozdrożu. W moim świecie odstawienie leków było niemalym osiągnięciem, a obywanie się bez nich oznaczało największe zwycięstwo. Konieczność powrotu do zażywania lekarstw wydawała się zatem bolesną klęską.

Po każdej wizycie mama niecierpliwie czekała na wiadomość, jak sprawy stoją. Staralam się, żeby mój głos brzmiał optymistycznie, gdy odczytywałam listę przepisanych lekarstw. Znała je równie dobrze jak ja. Podanie jej nazwy i dawki leku wystarczyło, żeby zrozumiała, jak poważny jest nawrót choroby. Ten cios był dla niej chyba nawet boleśniejszy niż dla mnie.

Dobrze znałam ten tryb życia. Błat mojej toaletki ponownie był zastawiony brzydkimi pomarańczowymi fiolkami z białymi wieczkami, a dni ponownie upływały pod znakiem nieznośnego leczenia farmakologicznego. Część tabletek miała za zadanie neutralizować objawy toczenia, pozostałe zaś miały przeciwdziałać efektom ubocznym innych tabletek.

Tak jak podczas poprzednich nawrotów leki rzeczywiście powstrzymywały postępy choroby i łagodziły niektóre jej symptomy, mimo to nie czułam się dobrze. Nękało mnie skrajne wyczerpanie, które sprawiało, że trzymanie się harmonogramu na uczelni i w pracy było ogromnym wyzwaniem. Bóle głowy nie ustępowały, nadal wypadaly mi włosy i bolały mnie stawy, a badania laboratoryjne ciągle potwierdzały, że toceń powoduje, iż mój organizm zwraca się przeciwko sobie. Chyba najtrudniejszym do zniesienia aspektem choroby było piętno, jakie odcisnęła ona na mojej psychice. To straszne być uwięzionym w ciele, które sprawia, że zwykłe codzienne funkcjonowanie jest tak uciążliwe.

Z każdym dniem łykanie tabletek przychodziło mi z coraz większym trudem. W pewnym momencie zaczęły dosłownie pozostawiać niesmak w ustach. Wreszcie pewnego wieczoru stanęłam przed swoją toaletką w pokoju, który dzieliłam z Trish, i uświadomiłam sobie, że już dłużej tego nie zniosę. Nie potrafiłam się zmusić do połknięcia choćby jeszcze jednej tabletki, więc przestałam to robić. Doskonale wiedziałam, że decyzja o zaprzestaniu zażywania leków może mieć katastrofalne skutki, ale doszłam do kresu wytrzymałości.

ROZDZIAŁ 28

Ćwiczenia zaczynały się o 10.40 i odbywały tylko dwa razy w tygodniu. Właśnie te dwie rzeczy spowodowały, że zapisałam się na zajęcia doktora Gershena Kaufmana „Afekt i poczucie własnej wartości”. W styczniu 2002 roku zaczynałam drugi semestr ostatniego roku i byłam wypalona – przytłoczona życiem, wymogami bezpieczeństwa, powracającymi problemami zdrowotnymi i zbliżającym się kryzysem tożsamości, który niewątpliwie będzie towarzyszył ukończeniu studiów. Nigdy nie radziłam sobie zbyt dobrze z nieznanym, tymczasem nieznanie było tym, z czym stykałam się niemal w każdym aspekcie swojego życia.

Do ukończenia głównego kierunku brakowało mi tylko jednego cyklu ćwiczeń z psychologii i wcale nie szukałam takich, które zmieniłyby moje życie. Potrzebowałam po prostu czegoś, co mogłabym odbębnić, zdobywając jednak wymagane cztery punkty. Dlatego gdy na pierwszych zajęciach profesor powiedział nam otwarcie, że to nie będą ćwiczenia, na których można się objąć, byłam gotowa zrezygnować. Poinformował nas, że aby je zaliczyć, musimy pracować ciężiej niż na jakichkolwiek wcześniejszych zajęciach. Lektur będzie dużo, a co tydzień poprosi nas o napisanie referatu. Jakby tego było mało, oceny będą wystawiane na zasadzie zaliczone/niezaliczone. Nie dostaniemy żadnych punktów za swoje wysiłki.

Nie ma mowy, żebym została na tych ćwiczeniach, pomyślałam. Postanowiłam jednak wysiedzieć do końca zajęć przez szacunek dla profesora, no i dlatego, że byłam zbyt nieśmiała, żeby wstać i wyjść. Skąd mogłam wiedzieć, że Bóg wykorzystuje moje wyczerpanie, aby umieścić mnie tam, gdzie powinnam się znaleźć, i moją nieśmiałość, żeby mnie tam zatrzymać.

Już prawie przestałam słuchać, kiedy doktor Kaufman przykuł moją uwagę pewną obietnicą. Powiedział mianowicie, że przez następne piętnaście tygodni każdy z nas będzie eksperymentatorem w swoim własnym studiu badawczym, którego sam będzie przedmiotem. To, w jakim stopniu przyłożymy się do stosowania narzędzi, z którymi nas zapozna, przełoży się bezpośrednio na ich wpływ na nasze życie.

Byłam pasjonatką badań naukowych. Przez większą część studiów pracowałam przy projektach badawczych z zakresu psychologii, często przy dwóch lub trzech naraz. Jak mogłabym zrezygnować z okazji wykorzystania tego, czego nauczyłam się przez ostatnie cztery lata?

Doktor Kaufman mówił dalej, wyjaśniając, na czym będą polegały ćwiczenia. Zostaniemy podzieleni na małe grupy. Co tydzień poznamy nowe narzędzie, zastosujemy je w swoim życiu, a następnie omówimy własne doświadczenia w swoich grupach.

Nasze pierwsze zadanie polegało na kolekcjonowaniu szczęścia. Wydawało się dość proste. Codziennie musieliśmy zrobić listę pięciu konkretnych rzeczy, które zdarzyły się tego dnia i nas uszczęśliwiły. I tyle. Z tym mogłam sobie poradzić.

Tamtego wieczoru siedziałam w swoim mieszkaniu przy stole, przy którym jadałaliśmy posiłki, i wpatrywałam się w pustą kartkę notesu. Trish zwinęła się w kłębek na dwuosobowym fotelu, z podręcznikiem w ręku, a Brian siedział na sofie, ze stopami opartymi na niskim stoliku i z codzienną gazetą otwartą na stronie z krzyżówką. Ja zaś myślałam, myślałam, myślałam.

I nic.

Napisałam u góry kartki swoje nazwisko. Nadal nic.

Pod nazwiskiem dopisałam: „PSYCH 325 Afekt i poczucie własnej wartości”. Nadal nic.

Dodałam: „Profesor Gershen Kaufman”, a na środku onieśmiałającej białej przestrzeni u góry kartki umieściłam nagłówek: „Kolekcjonowanie szczęścia”. Nadal nic.

Z brzegu kartki wpisałam cyfrę jeden. Przecież musiało być coś, co mnie uszczęśliwiło. Odtworzyłam w głowie cały dzień. Myśl, myśl, myśl. Co cię dziś uszczęśliwiło?

Uważałam się za osobę myślącą pozytywnie. Dziadek wpoił mamie wiarę w stare porzekadło: „Dla chcącego nie ma nic trudnego”. Te słowa były naszą mantrą w Iranie. Zakładały postawę wymagającą działania, niepozostawiającą miejsca na rozpacz. Trzeba było wysiłku, pomysłowości i wytrwałości. Jeśli się to połączy, w końcu da się znaleźć rozwiązanie każdego problemu. Później, gdy umocniłyśmy się w wierze, tamto przesłanie zostało umieszczone w szerszym kontekście, to znaczy, że „u Boga wszystko jest możliwe” (Ewangelia św. Mateusza 19, 26).

Takie były ziarna odporności psychicznej, które zasiała we mnie mama. Dorastałam, słuchając, jak udziela rad rodzicom pogrążonym w rozpacz po nieudanych próbach odzyskania swoich porwanych dzieci. Mówiła im, żeby sporządzali listy pozytywnych rzeczy. Mnie radziła robić to samo, ilekroć byłam przygnębiona.

Jednak na proponowanej przez mamę liście rzeczy pozytywnych mogłam zapisywać wszelkie ogólne powody, dla których czułam się szczęśliwa. Często umieszczałam na niej takie, które dobrze wyglądały na papierze, choć nie było to coś, co rzeczywiście szczególnie mnie ekscytowało w tamtym momencie – przypominało uśmiech, który unosi kąciki ust, ale nie posuwa się do tego, żeby rozweselić oczy. Moje listy rzeczy pozytywnych były pełne punktów w rodzaju: Żyję. Mam rodzinę, która mnie kocha. Mam dobrych nauczycieli. Pogoda jest przyzwoita. Jestem wolna. Bla, bla, bla.

Zadanie od doktora Kaufmana było inne. Każdy punkt na jego liście musiał się odnosić do konkretnego dnia.

Dopisałam cyfry od dwóch do pięciu wzdłuż lewego brzegu kartki i nadal zadrezczałam się brakiem powodów do szczęścia. Obracałam długopis w palcach. Im bardziej byłam sfrustrowana, tym szybciej nim kręciłam. W końcu wymyśliłam dwa mizerne punkty i dołączyłam do Briana na sofie, żeby rozwiązywać z nim krzyżówkę.

Wkrótce Trish zamknęła książkę i też wcisnęła się na sofę. Moi współlokatorzy i ja nierzadko kończyliśmy dzień, siedząc ramię w ramię i tuląc się do siebie nad krzyżówką. Na naszym stoliku były zwykle trzy przedmioty: moja Biblia, gotowa i czekająca na naszą następną debatę religijną, słownik Trish, do sprawdzania podpowiedzi, i gazeta, starannie złożona, tak jak lubiliśmy – otwarta na stronie z codzienną krzyżówką. Najczęściej utykaliśmy na czytaniu haseł i gubiliśmy się w rozwiązywaniu łamigłówek.

Nazajutrz podjęłam kolejną próbę kolekcjonowania szczęścia, ale efekt był mniej więcej taki sam. W myślach odtworzyłam przebieg dnia, chwytając się każdego najmniejszego powodu do szczęścia. Tym razem wymyśliłam cztery punkty, a przy cyfrze pięć napisałam: „Ułożyłam listę”.

Po wielu dniach zmagania z listą ulepszyłam strategię, robiąc rzeczy, o których wiedziałam, że mnie uszczęśliwią, właśnie po to, żebym mogła je odnotować. Otworzyłam w lodówce szufladę na jarzyny i opróżniłam ją ze wszystkich torebek z warzywami, które albo były rozmiękłe, albo kiełkowały. Wymyłam szufladę i włożyłam do niej z powrotem te warzywa i owoce, które nadal miały w sobie nieco życia. Gdy skończyłam i miałam już to z głowy, poczułam się szczęśliwa. „Numer jeden: wyczyściłam szufladę na jarzyny... Numer pięć: Ułożyłam listę”.

Tak właśnie to wyglądało aż do któregoś popołudnia w pracy. Byłam wtedy asystentką w zakładzie fotograficznym i przez większą część tamtego popołudnia pomagałam pewnej matce zamówić zdjęcia na zakończenie roku szkolnego. Wybranie odpowiedniego zestawu fotografii okazało się niełatwym zadaniem.

Gawędziłyśmy, przedzierając się przez formalności związane z zamówieniem, gdy nagle klientka zaskoczyła mnie komplementem. Ledwie miłe słowa padły z jej ust i dotarły do moich uszu, uświadomiłam sobie, że jestem szczęśliwa. Nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam na głos: „Jestem szczęśliwa! Pani komplement sprawił, że czuję się szczęśliwa. Muszę pamiętać, żeby wieczorem to zanotować. Dziękuję”.

Kobieta popatrzyła na mnie tak, jakbym była z innej planety. Uśmiechając się od ucha do ucha, wyjaśniłam jej ze śmiechem, na czym polega moje zadanie domowe i jak trudne okazało się kolekcjonowanie szczęścia.

Dla mnie był to punkt zwrotny. W końcu zaczęłam zwracać uwagę na rzeczy, które mnie uszczęśliwiają w chwili, gdy się zdarzały.

Niedługo potem jechałam samochodem z kampusu do swojego mieszkania oddalonego o niecałe pięć kilometrów. Był to jeden z pierwszych wyjątkowo pięknych wiosennych dni, takich, kiedy kilka stopni ciepła odczuwa się jak falę upałów. Ptaki śpiewały. Świeciło słońce. Niebo było czyste i błękitne, a powietrze pachniało świeżością.

Skręciłam w jedną z bocznych ulic na północ od kampusu – taką, przy której stały domy wynajmowane przez studentów. Gdy dotarłam do połowy przecznicy, zobaczyłam grupę chłopaków w przydomowym ogródku. Podjeżdżając bliżej, uświadomiłam sobie, że wynieśli sprzęty z salonu na trawnik przed domem, żeby móc się delektować pięknem dnia. Jedni rozsiedli się w fotelach i trzymając nogi w górze, oglądali telewizję, patrząc w odbiornik, który wystawili na zewnątrz przez otwarte okno, a inni grali wokół nich w piłkę. Ich twarze rozjaśniał uśmiech.

Jechałam w samochodzie sama i nagle głośno zachichotałam. Ten dźwięk był tak niespodziewany, że aż się wystraszyłam, co jeszcze bardziej mnie rozśmieszyło. Widok tamtych chłopaków tak zapamiętałe rozkoszujących się narodzinami wiosny sprawił, że poczułam się szczęśliwa. Odnotowałam w pamięci, żeby zapisać to przeżycie po powrocie do domu.

Dojechałam do rogu, a gdy skręciłam, zobaczyłam parę starszych, wytwornie wyglądających ludzi, którzy spacerowali, trzymając się za ręce. Oni też się uśmiechali. W sposobie, w jaki na siebie patrzyli, było coś, co mnie wzruszyło. Cóż to było, dzięki czemu mogli wymieniać z sobą takie spojrzenia, zastanawiałam się. Czy chodziło o zażyłość, która powstaje po latach wspólnych cierpień i radości? Czy była to wiara we wzajemne oddanie? A może po prostu tajemnicza sympatia, którą do siebie żywili? Rozmawiali, przechadzając się chodnikiem, najwyraźniej bardzo w sobie zakochani.

Ależ to urocze, pomyślałam. Dzięki temu czuję się szczęśliwa. Ponownie odnotowałam w pamięci, żeby dodać to do swojej listy.

Nieco dalej musiałam znowu skręcić. Za rogiem zobaczyłam kogoś, kto wyglądał na dziadka ciągnącego małą wnuczkę w czerwonym wózku. Na widok wyrazu ich twarzy moje serce wypełniło się radością. Pomyślałam o beztrudnych letnich dniach, kiedy mój dziadek przyczepiał wózek ogrodowy do ciągnika i woził mnie wokół podwórka. Patrzyłam, jak tamten dziadek uśmiecha się promiennie do swojej wnuczki, i przypomniało mi się, jak wielką miłość okazywał mi mój dziadek, gdy byłam dzieckiem. Znowu poczułam się szczęśliwa. Po raz kolejny odnotowałam w pamięci tę chwilę z myślą o swojej liście.

Podczas tej krótkiej przejażdżki zauważyłam trzy okruchy szczęścia warte odnotowania. Ile razy przejeżdżałam tą samą drogą? Dziesiątki, a może setki? Ile radości się pozbawiałam, dlatego że miałam zwyczaj pędzić, nie zważając na dobre rzeczy, które rozgrywały się wokół mnie?

Gdy przyjełam tę nowo odkrytą filozofię polegającą na robieniu w swoim

życiu miejsca na rzeczy, które lubię, zmusiłam się do znalezienia czasu na odwiedzenie miejscowych libańskich delikatesów. W drzwiach powitały mnie przecudne aromaty. Lada była zastawiona najróżniejszymi odmianami bakławy przepięknie skrzącymi się z wierzchu od złocistej polewy. Niektóre były nadziewane posiekanymi orzechami włoskimi, inne pistacjami, a jeszcze inne domowym serem. Za szybą stały misy, w których piętrzyły się moje ulubione potrawy: hummus, baba ghanusz, dolme, tabule, fatusz, kibbe (pieczone i smażone), icz, sfiha, chleb z za'atarem. W dodatku ledwie przemknęło mi przez myśl, że lepiej już być nie może, mój wzrok padł na menu z napojami. Podawali arabską kawę!

Natychmiast pomyślałam o Vergine. Ona i Annie zawsze starały się mnie nauczyć czegoś nowego. Vergine nie tylko pokazała mi, jak malować oczy, kiedy byłam dzieckiem. Pokazała mi również, jak się parzy arabską kawę w miedzianym dzbanku z długim uchwytem, zwanym *ibrik*. Podczas gdy ona na piecu mieszała mocną, drobno zmieloną kawę z wodą, ja ustawiałam na spodeczkach maleńkie filiżanki gotowe do napełnienia. Pierwsza filiżanka zawsze była przeznaczona dla mamy, która wolała kawę niesłodzoną. Gdy nalałyśmy dla niej, dodawałyśmy do dzbanka mnóstwo cukru, zanim napełniłyśmy swoje filiżanki.

Tak jak dorośli, piłam małymi łydkami ten gorący eliksir aromatyzowany kardamonem, aż docierałam do ostatnich kropli, zawsze gęstych i ziarnistych od fusów, które opadły na dno. Potem sięgałam do środka i zataczałam kciukiem kółko po dnie filiżanki. Umieszczałam odwrócony do góry nogami spodeczek na wierzchu naczynia, ostrożnie odwracałam za jednym zamachem filiżankę i spodek i podawałam je Vergine. Wszyscy gromadzili się wokół niej, żeby popatrzeć, jak czeka, aż skapujące drobinki kawy zapiszą moją przyszłość na ściankach naczynka. Od czasu do czasu stuknęła delikatnie w filiżankę i zaglądała do środka, żeby się przekonać, czy jest gotowa. Uznawszy, że jeszcze nie pora, odstawiła ją na spodeczek w takiej samej pozycji.

W końcu Vergine z szerokim rozmachem odwracała filiżankę dnem do dołu i badała ją z uniesionymi brwiami, serwując nam ochy i achy oraz kilka „bardzo ciekawe”, żeby spotęgować napięcie. Potem przystępowała do opowiadania mi, jak piękne życie mnie czeka. Moje dni będą pełne radości. Poślubię miłego, kochającego mężczyznę, który będzie mnie traktował jak klejnot. Będzie przystojny jak legendarny armeński książę Ara i będziemy razem bezgranicznie szczęśliwi.

Czasami mówiła mi, że napotkam na życiowej drodze pewne wyzwania, lecz Bóg w swojej mądrości zamieni je w błogosławieństwa.

– Widzisz to, Mahtob? – mówiła, wskazując na wzór, który fusy utworzyły w filiżance. – Widzisz te strome góry? To są przeszkody, które będziesz musiała przezwyciężyć. Wszyscy je napotykają. Wiesz, życie nie zawsze jest usłane

różami. Ale spójrz tutaj. – Pokazywała jakieś miejsce czubkiem małego palca. – Widzisz słońce świecące nad górami? To Bóg uśmiecha się do ciebie z nieba. Bardzo cię kocha i zawsze będzie się o ciebie troszczył. Musisz o tym pamiętać, gdy w twoim życiu pojawią się góry. Początkowo mogą wydawać się złe, ale Bóg wykorzysta je, żeby ci błogosławić. To jest bardzo, bardzo dobry los. Bóg ma wobec ciebie piękne plany.

Ceremonialnie odstawiała filiżankę na stół, ujmowała moją twarz w dłonie i mocno cmokała mnie w policzek. Czasami Annie brała filiżankę i oglądała ją dokładnie, kiwając głową z wyrazem twarzy, który miał oznaczać intensywne badanie. Uśmiechem potwierdzała interpretację Vergine, a potem i ona tuliła moje policzki w dłoniach i całowała mnie.

Dla Annie, Vergine i ich mamy Nany byłam jednym z ich dzieci, córką, którą pragnęły mieć, toteż gdy dorastałam, obdarzały mnie całą tą miłością i wiedzą, których nie szczędziły własnym synom, dzieląc się ze mną swoim dziedzictwem za pośrednictwem rodzimej historii i potraw oraz swym niezachwianym optymizmem.

Z uśmiechem zamówiłam do lunchu filiżankę arabskiej kawy. Mężczyzna za ladą, biorąc mnie za naiwną amerykańską studentkę, nie chciał mi jej zaparzyć.

– Co to znaczy, że nie? – zapytałam zdumiona.

– Dla ciebie za mocna. Ty nie lubisz. Dla ciebie amerykańska kawa – upierał się łamaną angielszczyzną.

– Nie, nie chcę amerykańskiej kawy.

– Dla ciebie lepsza – powiedział, starając się być pomocny.

– Wiem, co to jest – odparłam. – Wychowałam się na niej.

Oczywiście po mojej jasnej karnacji nie mógł poznać, że w moim drzewie genealogicznym jest gałąź armeńska.

Choć rozsądek podpowiadał mu co innego, ustąpił. Jednak żeby udowodnić, że ma rację, zaserwował mi cały *ibrik* w ogromnym kubku na wynos, jakby chodziło o kawę z czekoladą albo z mlekiem. Chcąc mu dowieść, że to ja mam rację, usiadłam i wypiłam wszystko do ostatniej kropli. Kusilo mnie, żeby go poprosić o powrót z mojego kubka, ale uznałam, że nie spodobałoby mi się to, co by mi powiedział. Pewnie nie zobaczyłby mojego przystojnego księcia Ary.

Na zajęciach, gdy dyskutowaliśmy w grupach, okazało się, że nie jestem jedyną osobą, która miała trudności z rozpoznawaniem darów nieba otaczających nas ze wszystkich stron. Byliśmy zgodni co do tego, że wielu z nas ma skłonność do żeglowania przez życie z włączonym autopilotem.

Smutna rzeczywistość polegała na tym, że byłam po prostu zbyt zajęta, żeby być szczęśliwa. Studiowałam w pełnym wymiarze godzin i pracowałam na część etatu, a także brałam udział w dwóch projektach badawczych z dziedziny psychologii. Jakby tego było mało, musiałam sobie radzić z dodatkowym stresem

wynikającym z nękania przez ojca i przez kolegę z uczelni oraz z nawrotu choroby, nie wspominając już o tym, że nie miałam pojęcia, co począć ze swoim życiem po ukończeniu studiów. Musiałam znaleźć pracę i miejsce do zamieszkania. Szczęście nie było moim priorytetem.

To jednak szybko zaczęło się zmieniać. Wymagało tego przygotowywanie się do zajęć. W miarę upływu tygodni moje listy szczęścia wydłużały się, a mój pogląd na życie ulegał poprawie. Bezwiednie przyswoiłam sobie narzędzie do kolekcjonowania szczęścia. Codziennie rano budziłam się, mając cel, którym było delectowanie się każdym okruczem radości, jaki zdołam znaleźć w ciągu dnia. A znajdowałam ich wiele. Raz za razem łapałam się na tym, że zadziwia mnie miłosierdzie Boga. Zaczęłam myśleć o swoim spisie powodów do szczęścia jako o dzienniku wdzięczności. W moim życiu było tak wiele rzeczy, za które mogłam być wdzięczna, że wyzwaniem stało się wybranie tylko pięciu punktów do zapisania.

Inną zaskakującą rzeczą wyniesioną z dyskusji w naszej grupie było odkrycie, jak bardzo podnosi na duchu dzielenie się swoim szczęściem z innymi. Słuchając, jak koledzy relacjonują najważniejsze dla siebie momenty minionego tygodnia, odczuwałam coś z ich radości, i *vice versa*. Szczególnie uderzały mnie podobieństwa i różnice na naszych listach. Było tak wiele powodów do bycia szczęśliwym, które przeoczyłam.

Uczyliśmy się od siebie i dodawaliśmy sobie otuchy poprzez bezwarunkowe pozytywne nastawienie. W naszej grupie było miejsce na okazywanie słabości oraz na dzielenie się z innymi swoimi najskrytszymi myślami i obawami. Panowała atmosfera wzajemnego szacunku i współczucia, o której nigdy nawet nie marzyłam, bo nie wydawała mi się możliwa między niemal obcymi sobie ludźmi. Nie byłam przygotowana na to, że atmosfera panująca w grupie będzie miała tak zbawienne działanie.

Kilka tygodni po rozpoczęciu semestru miałam zaplanowaną wizytę u doktor Beals. Wiedziałam, że będzie rozczarowana tym, że nie dotrzymałam umowy, i zżerał mnie strach, że nie będzie już chciała mnie prowadzić. Jakim cudem znajdę innego reumatologa, który będzie podzielał naszą filozofię leczenia?

Czekając w gabinecie, próbowałam się uspokoić. Usłyszałam jej zbliżające się kroki. Przystanęła przed zamkniętym gabinetem i wyjęła moją kartę z plastikowej kieszeni na drzwiach, a potem nacisnęła klamkę i weszła z uśmiechem.

Pod białym kitlem doktor Beals nosiła pięknie uszyte designerskie ubrania i mimo długich godzin spędzanych w pracy jej makijaż i włosy zawsze były w nienagannym stanie. Powitała mnie z typową dla siebie wesołością, pełną entuzjazmu i ciepła.

– Jak zawsze miło mi cię widzieć, kochanie – powiedziała, obejmując mnie

i przytulając mocno. – Spójrz na siebie. Wyglądasz fantastycznie! Co porabiasz?

Nie takiej reakcji się spodziewałam.

– Czuję się świetnie – odparłam. – Nie czułam się tak dobrze od wieków. Chodzę na fascynujące zajęcia.

Opowiedziałam jej wszystko o narzędziach doktora Kaufmana, a zwłaszcza o kolekcjonowaniu szczęścia.

– No cóż, to chyba rzeczywiście ci służy – zauważyła, zerkając na moją kartę. – Och, widzę, że przestałaś zażywać leki. Co z objawami choroby?

Posłała mi podejrzliwe spojrzenie, które powiedziało mi, że zapala się jej czerwona lampka.

– Naprawdę uważam, że jest mi lepiej bez lekarstw niż z nimi – odparłam, broniąc się. – Nie pogorszyło mi się, gdy zaczęłam je zażywać, ale też właściwie nie bardzo się polepszyło. Spodziewałam się, że objawy się nasilą, kiedy przestałam, ale nie wydaje mi się, żeby tak się stało.

– Co z twoją energią?

– Nie jest idealnie, ale dużo lepiej niż wcześniej. Znacznie łatwiej znoszę trudy dnia. Jestem zmęczona, lecz to normalne wyczerpanie, nie obezwładniające wycieńczenie spowodowane toczniem, a to różnica.

– Hm. Sypiasz dłużej?

– Chciałabym. Kto ma czas na sen? Zajęcia, praca, zadania domowe i moje projekty badawcze nie dają mi chwili wytchnienia.

– Widzę, że wcale nie masz mniej stresu.

– Nie.

– A jak się mają sprawy z twoim tatą?

– Bez zmian. Jednak modlę się za niego i miała pani rację, to pomaga. Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałam. To powinna być pierwsza rzecz, która przyjdzie mi na myśl. Pewnie byłam po prostu tak zaabsorbowana tym, że jestem nieszczęśliwa, iż ktoś musiał mi zwrócić na to uwagę.

– Cieszę się, że to pomaga, kochanie. A co z twoim apetytem?

– W normie.

– Ćwiczysz?

– Wcale. Policja dała mi kartę magnetyczną, która pozwala wjeżdżać na parkingi należące do uczelni, więc teraz chodzę dużo mniej niż wcześniej. Ale to miło, że mogę zaparkować tuż obok budynku, kiedy idę na zajęcia. Dzięki temu czuję się trochę bezpieczniej. A więc dramat z moim tatą przyniósł przynajmniej jedną uboczną korzyść – zażartowałam.

– No, teraz to jest Mahtob, którą znam, odnajdująca dobrą stronę w każdym nieszczęściu. Wskakuj na kozetkę. Zbadamy cię.

Gdy doktor Beals mnie badała, opowiedziałam jej więcej o teoriach doktora Kaufmana.

– Doktor Kaufman mówi, że nosimy w swoich głowach wspomnienia z życiowych doświadczeń prawie tak jak zdjęcia i możemy wybrać, które fotki z danego wydarzenia chcemy z sobą zabrać. Na przykład cała ta sytuacja z parkingiem. Mogłabym się martwić, że obawiam się o swoje bezpieczeństwo, dlatego że tato mnie prześladowuje albo dlatego że jakiś podstępny kolega z uczelni dla niego pracuje, czy też dlatego, że policja niewiele może zrobić, żeby mnie chronić. To wszystko prawda. Mogłabym jednak skupić uwagę na dobrych rzeczach wynikających ze złych. Gdyby mój tato nie stwarzał tych problemów, to policja nie dałaby mi specjalnej przepustki parkingowej. Gdyby nie dała mi przepustki, przegapiłabym wspaniałą naklejkę na zderzak, którą zobaczyłam kilka dni temu. Zaparkowałam obok starego gruchota pokrytego takimi naklejkami. Był strasznie tandetny, ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przystanąć i nie przeczytać kilku. Na jednej z nich było napisane coś takiego: „Dziela nas nie różnice między nami, lecz to, że nie potrafimy rozpoznawać i akceptować tych różnic oraz cieszyć się nimi”. Podoba mi się to.

– Powiedz „aaa” – wtrąciła się doktor Beals, gdy przerwałam, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Aaa.

– Dobrze.

– Jest jeszcze drugi samochód, zawsze zaparkowany obok budynku, w którym mam zajęcia z filozofii. Przez cały semestr próbowałam rozgryźć, co znaczy napis B-U-G-U-Y na tablicy rejestracyjnej. Zwykle wchodzę bocznymi drzwiami, bo wtedy mam bliżej do sali wykładowej, ale parę dni temu skorzystałam z głównego wejścia. Okazuje się, że w tamtej części budynku mieści się wydział entomologii. Nagle mnie olśniło. Wydział entomologii – badanie owadów. B-U-G-U-Y... *bug guy*, facet od robali. Czy to nie sprytne?

Doktor Beals uśmiechnęła się, doceniając poczucie humoru kolegi naukowca.

– W każdym razie – mówiłam dalej – to są zdjęcia, które wybieram, żeby je z sobą nosić. Dobro nie jest mniej rzeczywiste od zła, więc czemu się na nim nie skupić?

Doktor Beals słuchała z autentycznym zainteresowaniem, sprawdzając jednocześnie, czy nie mam spuchniętych węzłów chłonnych, analizując kolor nasady paznokci i odnotowując temperaturę oraz stan skóry. Zbadala odruchy, siłę mięśni i zakres ruchu. Posłuchała oddechu i bicia serca, popukała mnie po brzuchu, żeby ocenić rozmiar śledziony, i uciskała go, żeby sprawdzić, czy nie jest twardy.

– Hm, zdecydowanie wyglądasz świetnie i tryskasz optymizmem. Cokolwiek robisz, tak trzymaj. Jesteś na właściwej drodze. Chcę przeprowadzić kilka badań laboratoryjnych, żeby potwierdzić, że twój stan rzeczywiście się poprawia, bo na to wygląda.

Pomogła mi zejść z kozetki i wskazała miejsce na fotelu.

Zebrałam się w sobie. Był to ten moment wizyty, w którym zazwyczaj bawiłyśmy się w negocjacje. Ona proponowała różne leki, a ja przedstawiałam swoje argumenty, żeby wykrecić się od ich zażywania. W końcu osiągałyśmy kompromis, z którego obie mogłyśmy być zadowolone.

– Będę z tobą szczerą – powiedziała. – Cieszę się, że tak dobrze się czujesz, ale nadal mam pewne obawy. Nie sądzę, żebyś już wyszła na prostą. – Obejrzała się przez ramię, myjąc ręce w umywalce po drugiej stronie gabinetu. – Musisz zwracać baczną uwagę na sygnały, które wysyła ci twój organizm. Gdyby pojawiły się najdrobniejsze oznaki nasilenia się objawów, chcę, żebyś tu wróciła.

Odwróciła się i spojrzała mi w oczy.

– Mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą – ciągnęła. – Mówimy nie tylko o twoim zdrowiu dzisiaj. Musimy myśleć również o przyszłości. Decyzje, które podejmujesz teraz, mogą mieć konsekwencje w dalszym życiu.

– Wiem – powiedziałam.

– To dobrze. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko będę miała wyniki badań. Do tego czasu rób nadal to, co robisz. Zdaje się, że bardzo ci to pomaga.

Wyniki badań potwierdziły, że stan mojego zdrowia rzeczywiście się polepszył. Zachęcona tym wyraźnym postępem, który odczułam dzięki zmianie swojej postawy, zagłębiłam się w badania nad zdrowym żywieniem.

Mój ojciec bardzo wcześnie zasiał we mnie ziarno holistycznego podejścia do opieki zdrowotnej. Był osteopatą, który uważał, że ciało jest tak zaprojektowane, żeby leczyło się samo, o ile będzie miało odpowiednie warunki. Zaczynałam wierzyć, że to może się sprawdzić w moim wypadku. Musiałam tylko wykombinować, jak stworzyć te odpowiednie warunki.

Dostępna literatura na temat diety i tocznia była zadziwiająco skąpa. Jediną rzeczą, jaką zdołałam znaleźć, była cienka książeczka, niewiele grubsza od dużej broszury, o żywieniu i fibromialgii. Był to jednak jakiś punkt wyjścia.

Starannie analizowałam, jak się czuję po zjedzeniu różnych potraw. Zauważyłam, że mięso najwyraźniej niekorzystnie wpływa na mój organizm, zostałam więc wegetarianką. Po mleku miałam wzdęcia i czasami nawet po jednym łyku czułam rozdzierający ból w brzuchu. Kiedy jednak poczytałam trochę na ten temat, uznałam, że moim problemem prawdopodobnie nie jest samo mleko, ale być może pestycydy w paszy zwierzęcej oraz hormony wzrostu i antybiotyki rutynowo podawane krowom w celu zwiększenia produkcji mleka. Przekonałam się, że mogę pić całymi litrami mleko organiczne, nie odczuwając żadnych dolegliwości.

Zadowolona ze swoich odkryć, jadłam jak najwięcej produktów organicznych. Wypróbowałam jogę, stosowałam ćwiczenia głębokiego oddechu, wizualizację i uwalnianie wyobraźni, a przede wszystkim w pełni przyswoiłam sobie narzędzia doktora Kaufmana. W ciągu trzech miesięcy, po raz pierwszy od

zdiagnozowania u mnie toczenia, nastąpiła pełna remisja choroby. Nie dokonała tego nawet metoda DSG.

Williamowi Jamesowi, jednemu z prekursorów psychologii, przypisuje się następujące powiedzenie: „Największe odkrycie moich czasów to prawda, że człowiek może zmienić swoje życie, zmieniając swoją postawę”. Zajęcia z doktorem Kaufmanem dały mi ów dar, ucząc mnie, jak zmienić swoją postawę w taki sposób, żeby na zawsze zmienić swoje życie.

Szczególne wrażenie wywarło na mnie jeszcze jedno ćwiczenie przeprowadzone na tych zajęciach. Doktor Kaufman poprosił, żebyśmy dobrali się parami z osobami, których nie znamy, i ustawili swoje biurka w taki sposób, abyśmy byli zwrócenii do siebie twarzami. Polecenie, które otrzymaliśmy, było proste: mieliśmy patrzeć sobie w oczy, aż on da nam znać, byśmy przestali. Bez rozmów, bez robienia min, bez komunikowania się w jakikolwiek sposób. To nie były zawody w przyglądaniu się. Nie było zwycięzców i przegranych. Mieliśmy po prostu patrzeć sobie w oczy i chłonąć doznania.

Gdy wstaliśmy z miejsc i porzuciliśmy swoje małe grupy, w których czuliśmy się komfortowo, poziom zaniepokojenia poszybował w górę i salę wypełniły nerwowe śmiechy. Mimo że MSU nie był nieprzyjaznym miejscem, patrzenie innym w oczy w pewnym sensie wykraczało poza normę. Tydzień po tygodniu mijałam tych samych ludzi w drodze na zajęcia. Jeździliśmy tymi samymi autobusami. Siedzieliśmy obok siebie na wykładach. Prawie nigdy nie utrzymywaliśmy z sobą kontaktu wzrokowego.

Utworzyłam parę z dziewczyną z drugiego końca sali. Wyglądała na równie skrępowaną, jak skrępowana czułam się ja.

– Okej, zaczynam mierzyć czas – oznajmił doktor Kaufman. – Nawiażcie kontakt wzrokowy i nie zrywajcie go, aż wam powiem. Możecie poczuć potrzebę chichotania, częstego mrugania, zerkania na nos swojego partnera albo patrzenia raz jednym, raz drugim okiem. To są wyuczzone reakcje. Przeciwwstawcie się im. Jeśli wasze myśli będą błędziły, delikatnie przywróćcie je do teraźniejszości. Skupcie się tylko na patrzeniu w oczy waszego partnera. Niech wszystko inne zniknie.

Kiedy pozwolił, żeby jego głos zamarł, poczułam się ogromnie niezręcznie. I najwyraźniej nie byłam w tym odosobniona, bo w sali zapanowało nerwowe podniecenie i dały się słyszeć zaniepokojone chichoty.

– Ciii – szepnęła łagodnie doktor Kaufman. – Skupcie się na oczach waszego partnera.

Czułam, że moje ciało się napina, a ramiona unoszą się do góry i przygarbiają do przodu. Dobrze znałam to uczucie. Przeniosło mnie ono z powrotem do szkoły średniej. Byłam pierwszoklasistką i siedziałam w kaplicy na porannym nabożeństwie. Czułam się ogromnie skrępowana, jakby wszyscy w tym

pomieszczeniu wpatrywali się we mnie. Z nerwów zaczęło mi burczeć w brzuchu i dostałam drgawek. Wiedziałam, że to nadchodzi, ale byłam bezsilna i nie mogłam tego powstrzymać.

Poprawiło mi się, gdy przywykłam do szkolnego życia, ale teraz, siedząc naprzeciwko nieznajomej koleżanki z zajęć, czułam, że to powróciło. Zamrugalam, próbując to przezwyciężyć. Byłam roztrzęsiona. Nie potrafiłam już dłużej tego powstrzymać. Głowa odskoczyła mi niezgrabnie na prawo. Zagryzłam wargi i ponownie utkwiałam spojrzenie w oczach swojej partnerki.

– Skup się – powiedziałam sobie, powtarzając jak echo polecenia doktora Kaufmana. – Łagodnie przywróć swoją uwagę do teraźniejszości.

Moja koleżanka miała uderzająco piękne oczy, w hipnotyzującym odcieniu świeżej zieleni. Skupiłam się na nich i zmusiłam się, żeby oddychać. W jej oczach było coś kojącego. Zatraciłam się w nich i wtedy poczułam, że wszystko inne w tamtej sali dosłownie odpływa w dal. Byłyśmy pogrążone w milczeniu. Nawet nie dostrzegałam jej twarzy. Jedyne, co widziałam, to para pięknych zielonych oczu, które też na mnie spoglądały. Z jakiegoś powodu poczułam się całkowicie swobodnie.

Jak zwykle łagodny głos doktora Kaufmana przerwał nasz trans. Czas dobiegł końca. Mogliśmy popatrzeć w bok. Czułam się ożywiona i lekko dezorientowana. Ponieważ podczas tego doświadczenia całkowicie straciłam poczucie czasu, wiadomość, że upłynęło pięć minut, była szokująca. Przypuszczałabym, że minęło zaledwie trzydzieści sekund, najwyżej minuta. Czy rzeczywiście utrzymywałam z kimś kontakt wzrokowy przez pełne pięć minut? To było nie do pomyślenia. To było zaskakujące. To było porywające!

Nasze zadanie na następny tydzień polegało na przećwiczeniu świeżo udoskonalonych umiejętności nawiązywania kontaktu wzrokowego. Nagle myśl o popatrzeniu komuś w oczy przez ułamek sekundy, gdy mijaliśmy się na chodniku, nie wydała się tak bardzo onieśmielająca. I okazało się, że nie jest.

Ten jeden eksperyment miał duże znaczenie, jeśli chodzi o moją nieśmiałość. Ponieważ zostałam zmuszona do konfrontacji ze swoim strachem, dosłownie do wygrania z nim pojedynku wzrokowego, wyzwoliło mnie to z jego mocy. Teraz ilekroć czuję, że ta dawna niepewność znów wypływa na powierzchnię, już nie grzęznę w skrępowaniu pierwszych dni w szkole średniej, lecz przypominam sobie tamte pięć minut, które dzieliłam z piękną zielonooką nieznajomą – pięć minut, które nauczyło mnie, że bycie widzianą jest okej.

Człowiek naprawdę „może zmienić swoje życie, zmieniając swoją postawę”. To jest lekcja, której doktor Kaufman dobrze mnie nauczył. Mimo to kiedy uczęszczałam na jego zajęcia, nadal byłam na tyle zamknięta w sobie, że ani razu z nim nie rozmawiałam. Nigdy mu nie powiedziałam, jak bardzo cenię sobie jego wskazówki ani jak bezcenne okazały się dla mnie jego lekcje. Zmienił moje życie,

lecz właściwie nigdy się nie spotkaliśmy.

 Nie zawsze uświadamiamy sobie, w jaki sposób wpływamy na innych. Jakiś głupi wybryk, wymieniony przelotnie uśmiech, niespodziewany komplement, życiowa lekcja udzielona bezimiennej twarzy – te pozornie nieistotne wydarzenia były dla mnie czymś, co zmieniło moje życie.

ROZDZIAŁ 29

Mężczyźni, z którymi byłam związana, musieli się zmagać z moją przeszłością, a ich metody radzenia sobie z tym problemem bardzo się różniły. Kiedy miałam prawie trzydzieści lat, zostałam przedstawiona pewnemu mężczyźnie przez naszych wspólnych znajomych. Przyłączyli się oni do nas podczas naszej pierwszej randki. Poszliśmy grać w kręgle, potem nieśpiesznie zjedliśmy kolację. Rozmowa toczyła się swobodnie, a kiedy skończyliśmy jeść, ów mężczyzna zaprosił mnie na spacer nad jezioro. Przechadzając się, gawędziliśmy o wszystkim i o niczym, jak to na pierwszej randce – rodzina, rodzeństwo, praca, wykształcenie i tak dalej.

Zwykle potrafię się zorientować, czy ktoś wie o mojej przeszłości – jest wtedy nieco zdenerwowany i skrępowany, bo chce dowiedzieć się więcej, ale nie wie, jak zapytać. Jednak tym razem nie dostałam żadnego z tych sygnałów. Wobec tego kiedy spytał mimochodem, czy jest coś, co powinien o mnie wiedzieć, uśmiechnęłam się, spojrzałam mu w oczy i powiedziałam: „Nie, jestem po prostu zwyczajną dziewczyną z sąsiedztwa”.

W poniedziałek rano przyjaciółka, która zaaranżowała randkę, przysłała do mojego biura.

– No więc, jak poszło? – zapytała. – Wyglądało na to, że naprawdę przypadliście sobie do gustu.

Powiedziałam jej o naszym spacerze brzegiem jeziora i o naszej rozmowie.

– Miło jest spotkać dla odmiany kogoś, kto nic nie wie o mojej przeszłości – powiedziałam, co wywołało u niej salwę śmiechu.

– Nie powiedział ci? – dopytywała się. – Gdy zorientował się, kim jesteś, poszedł prosto do księgarni, kupił książkę i przesiedział całą noc, czytając. Nie spał przez dwie doby. Nie wiem, jak udało mu się nie zasnąć podczas kolacji, nie mówiąc już o spacerowaniu po plaży.

Poczułam się jak idiotka. Wciskam temu facetowi kit, a on łaskawie udaje, że mi wierzy.

Po naszej drugiej randce powiedziałam mu, że przez następne dwa tygodnie będę niezwykle zajęta. Pracowałam wtedy przez wiele godzin i byłam w trakcie przeprowadzki. Mama miała do mnie przyjechać, żeby mi pomóc, i po prostu nie miałam czasu na życie towarzyskie.

Sądziłam, że więcej o nim nie usłyszę, ale dwa tygodnie i jeden dzień później moja komórka zadzwoniła, kiedy byłam w sklepie z akcesoriami domowymi i kupowałam pastę uszczelniającą do swojej nowej wanny oraz rolety do okien w salonie. Chciał mnie zabrać na kolację.

– Przepraszam, ale nie – powiedziałam. – Nadal brak mi czasu na życie towarzyskie. W ten weekend mam w planie wyłącznie rozpakowywanie rzeczy

i urządzanie się. Akurat teraz jestem w sklepie. Dziś wieczorem będę uszczelniała wannę i zakładała rolety. To jedyna emocjonująca rzecz, na którą mogę sobie w tej chwili pozwolić.

– Wobec tego przyjdę ci pomóc – zaproponował. – Będzie łatwiej z dodatkową parą rąk.

Ponieważ byłam bardzo niezależna, natychmiast wyprowadziłam go z błędu.

– Nie potrzebuję pomocy. Potrafię sobie doskonale z tym poradzić. Mama nie miała w domu mężczyzny, żeby załatwiał za nią tego rodzaju sprawy. Robiła wszystko sama i przy okazji nauczyła mnie. Kiedy miałam dwanaście lat, wymieniłam klamkę w drzwiach...

– Okej, okej, zrozumiałem. Nie potrzebujesz mojej pomocy. Wobec tego po prostu przyjdę i popatrzę.

Nie umiałam wymyślić żadnych dalszych wymówek, więc ustąpiłam. Kiedy przyszedł, stałam w wannie, rozprowadzając materiał uszczelniający. Wskoczyłam z niej tylko na chwilę, żeby mu otworzyć. Wyglądałam jak straszdyło, w niechlujnym stroju roboczym i z rękami umazanymi po łokcie białą pastą.

– Wejdz – powiedziałam, od razu wracając do rozpoczętej pracy. – W łazience prawie skończyłam. Możesz dotrzymywać mi towarzystwa, kiedy będę finiszować.

Dokładnie tak zrobił. Oparł się o umywalkę i gadał, podczas gdy ja kończyłam naprawiać uszczelnienie wokół wanny. Ani razu nie powiedział mi, że nie robię tego właściwie ani że on umie to zrobić lepiej.

Pozwoliłam mu pomóc przy roletach.

– Nie dlatego, że nie potrafię tego zrobić samodzielnie – przypomniałam mu. – Ale skoro już tu jesteś, równie dobrze mogę cię zaprząć do pracy.

Tylko się zaśmiał i otworzył pudełko. Kiedy zadanie zostało ukończone, skierowaliśmy się w stronę sofy.

Tym razem faktycznie rozmawialiśmy o mojej przeszłości – o tym, co pamiętam ze swojego pobytu w Iranie, o tym, jak to jest dorastać w strachu przed porwaniem i jakie to uczucie, gdy cały świat ma dostęp do tak wielu szczegółów z mojej młodości. Powiedziałam mu o filmie dokumentalnym taty i o studencie, który nękał mnie w jego imieniu. Następnie wyjaśniłam mu, jak doszło do tego, że zamieszkałam w jego mieście.

Po tym jak dokument taty, kreatywnie zatytułowany *Without My Daughter** (Bez mojej córki), ujrzał światło dzienne w 2002 roku, wydawało się, że sytuacja nieco się uspokoiła. Moi współlokatorzy i ja ukończyliśmy studia. Trish wyszła za mąż za Scotta, a Brian przeprowadził się do zachodniej części stanu. Ja wynajęłam niewielkie mieszkanie i po raz pierwszy zamieszkałam sama. Miałam dwadzieścia pięć lat i dostałam posadę w Carson City Hospital, w którym poznali się moi

rodzice. Czułam się całkiem dorosła. Jednak niepokojące rzeczy nadal się zdarzały.

Pewnego dnia wróciłam z pracy i odkryłam, że deska sedesowa jest opuszczona. Ktoś był wcześniej w moim mieszkaniu. W pracy wszyscy obrócili to w żart, mówiąc, że po prostu jestem paranoiczką i że zaszkodziło mi przebywanie całymi dniami na zamkniętym oddziale psychiatrycznym. Jednak kilka dni później, wcześniej rano w sobotę, obudził mnie odgłos zatraskiwanych drzwi mojego mieszkania. Najwyraźniej intruz wrócił, ale zastawszy mnie w domu, wystraszył się i rzucił się do ucieczki.

Powiedziałam sobie, że to nie wydarzyło się naprawdę. Że mi się przyśniło. Później, tego samego dnia przed południem, przyszła mama i pojechałyśmy na uroczystość wręczenia dyplomów. Nie było nas nieco ponad dwie godziny. Gdy wróciłyśmy, mama poszła do łazienki, ale zaraz się cofnęła, żeby zapytać mnie, czy czyściłam sedes, zanim wyszłyśmy.

– Nie, dlaczego?

Weszłam do łazienki. Tym razem kłapa od sedesu była podniesiona.

Spakowałam torbę i przeniosłam się do mamy, bo jej dom był bezpieczniejszy. Jednak chociaż czułam się tam bezpieczniej, byłam wściekła. Miałam wrażenie, że stwarzam precedens, że jeśli ucieknę, to będę uciekała do końca życia. Byłam zdecydowana się bronić, złapać tego kogoś, kto to robił. Miałam pewność, że jest w to zamieszany mój tato, ale nie przypuszczałam, żeby to on włamywał się do mieszkania. Domyślałam się, że ma kogoś, kto robi to na jego polecenie.

Przez sześć miesięcy zostawiałam mieszkanie w takim stanie, jakbym nadal w nim mieszkała. Próbowałam wszystkiego, co tylko mi przyszło do głowy, żeby złapać tę osobę na gorącym uczynku. Współpracowałam z policją i prywatnymi detektywami. Zainstalowałam nawet kamery monitorujące aktywowane ruchem. Ktoś, kto włamywał się do mieszkania, bacznie mnie obserwował. Odgadywał każde moje posunięcie. Zainstalowałam czujniki w ogrodzie, żeby kamera ukryta w mieszkaniu zaczynała nagrywać, ilekroć ktoś przechodził. Musiał się dostać do środka, przewinąć taśmę i nagrać coś innego w miejscu, w którym widać było, jak wchodzi. Potem zostawił włączony telewizor, żebym wiedziała, że próby złapania go są stratą czasu.

Jednak dwa razy byłam blisko. Za pierwszym razem widać było, że śpieszyło mu się, żeby wyjść, bo od telewizora do drzwi biegła wyraźna ścieżka zniszczeń. Uciekając w pośpiechu, wpadł na stolik i na stół oraz strącił doniczkę. Za drugim razem najwyraźniej również pośpiech spowodował, że nie zdążył wymazać swojego wizerunku z taśmy, więc wychodząc, zabrał ją z sobą.

Nie wiem, co miał na punkcie łazienki, ale z pewnością był to jakiś rodzaj obsesji. Ciągłe zostawiał deskę sedesową i kłapę w różnych pozycjach. Kiedyś zrobił kupę i nie zadał sobie trudu, żeby spuścić wodę. Chciał, żebym wiedziała, że

tam był.

To był okropny okres w moim życiu. Z każdym włamaniem czułam się bardziej sfrustrowana i bardziej bezbronna. Chcąc zwalczyć to uczucie, zapisałam się na lekcje strzelania, ale nie posunęłam się do tego, żeby kupić sobie pistolet. Nie chciałam żyć w taki sposób. Jestem gorącą zwolenniczką prawa do noszenia broni, ale sama nie czuję się swobodnie, gdy w pobliżu są pistolety. Nie chciałam nosić broni, chociaż przekonałam się, że strzelanie dodaje mi wiary we własne siły.

Po sześciu miesiącach zadzwoniła policja z wiadomością, że zamyka sprawę. Rozłączyłam się, zatelefonowałam do mamy i poprosiłam ją, żeby pomogła mi się wyprowadzić z mieszkania. Następnego dnia rano wrzuciłyśmy cały mój dobytek do pudeł, a pracownicy firmy przeprowadzkowej załadowali je na ciężarówkę. Tak po prostu porzuciłam swoje życie i czułam się strasznie nieszczęśliwa. Byłam bardzo niezależną dwudziestopięciolatką, która z powrotem miała zamieszkać u mamy. Cieszyłam się, że mam się gdzie podziać, ale nie znosiłam tam mieszkać. Chciałam żyć własnym życiem.

Bóg jak zawsze postawił właściwych ludzi na mojej drodze życia i zrobił to w najodpowiedniejszym momencie. Z obawy o moje bezpieczeństwo ktoś z przyjaciół zaoferował mi pracę w miejscu oddalonym o kilka godzin, w mieście, w którym nigdy wcześniej nie byłam i z którym nic mnie nie łączyło. I tak znalazłam się w nowym środowisku, nad brzegiem jeziora. Przeprowadziłam się tam po cichu, zostawiając za sobą dotychczasowe życie, w nadziei że zacznę od nowa.

Opowiedziałam to wszystko swojemu nowemu przyjacielowi siedzącemu na sofie, a on zapytał, czy miałam jakieś problemy, odkąd się przeprowadziłam. Zaczęłam mówić, że nie, gdy nagle przerwał mi jakiś odgłos dochodzący od strony frontowych drzwi. Oboje zamarliśmy, rzucając nerwowe spojrzenia to na siebie, to na wejście. Zewnętrzne, dodatkowe drzwi zaskrzypiały, otwierając się. Wyglądało to tak, jakby ktoś nacisnął klamkę, próbując dostać się do środka, zaledwie niecałe pół metra od miejsca, gdzie siedzieliśmy z gwałtownie bijącymi sercami.

Po cichu zerwaliśmy się na równe nogi i ruszyliśmy w kierunku drugiej części domu. Chwyciłam komórkę, a mój nowy przyjaciel błyskawicznie przystąpił do działania, wpychając mnie do łazienki.

– Zostań tutaj i zamknij drzwi na klucz. Wyjdę zobaczyć, kto to jest.
– Nigdzie nie pójdziesz – zaprotestowałam. – Dzwonię po policję.
– Mogą nie dojechać na czas – wyszeptał. – Wychodzę. Nie otwieraj drzwi, zanim ci nie powiem, że jest bezpiecznie. – Następnie popędził korytarzem w stronę garażu.

Uniosłam żaluzję i upewniłam się, że zaschnięta farba nie okaże się przeszkodą przy otwieraniu okna do łazienki, które mogło być moją rezerwową drogą ucieczki.

Następnego dnia po wprowadzeniu się zima zaatakowała zawzięcie i ziemię zdążyła już pokryć gruba warstwa śniegu. Drżałam, słuchając, jak skrzypi pod stopami kogoś przemieszczającego się na tyłach domu. Sekundy ciągnęły się jak godziny, gdy rozważałam, czy dzwonić na policję, czy nie. Może to nie było nic groźnego. Mieszkałam w tym domu zaledwie od dwóch dni, więc jeszcze nie poznałam charakterystycznych dla niego odgłosów. Może istniało jakieś sensowne wyjaśnienie.

Gdy tak czekałam, strach zamienił się w złość. To było śmieszne. Co jeszcze mogłam zrobić, żeby wymknąć się swojemu ojcu? To się musi skończyć, pomyślałam i uniosłam telefon, żeby wybrać numer 911. Właśnie wtedy usłyszałam, że otwierają się tylne drzwi.

– To ja! – krzyknął znajomy głos.

Kroki były coraz głośniejsze, bo zbliżały się do zamkniętych na klucz drzwi łazienki, a ja wyobrażałam sobie ślady śniegu zostawione w całym holu.

– To ja – powtórzył.

Uchyliłam drzwi i zobaczyłam swojego nowego przyjaciela stojącego w korytarzu, w spodniach do kolan oblepionych śniegiem i ze śrubokrętem w ręce. Z wyrazu jego twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Chodź, chcę ci coś pokazać.

Zaprowadził mnie do frontowych drzwi i otworzył je. Dodatkowe zewnętrzne drzwi były szeroko otwarte.

– Wyjrzyj na zewnątrz. Ile szeregów śladów widzisz na śniegu?

– Tylko jeden. – Uśmiechnęłam się i odetchnęłam z ulgą.

– Tylko jeden – powtórzył ze śmiechem, zerkając w dół na trzymany w ręku śrubokręt i kręcąc głową. – To musiał być wiatr, jednak dałem się nabrać.

– Tak, ja też. Zgranie w czasie nie mogło być bardziej idealne. Nic dziwnego, że najedliśmy się strachu.

Przyciągnęłam do siebie zewnętrzne drzwi i zamknęłam je na klucz, żeby wiatr znów ich nie otworzył. Następnie zamknęłam wewnętrzne drzwi i nacisnęłam klamkę, upewniając się, że są zabezpieczone. Potem opadliśmy na sofę ze śmiechem.

Kiwnęłam głową w kierunku śrubokręta.

– Też coś! – zakpiłam.

– Mnie to mówisz? Nie wiem, do czego by mi się przydał śrubokręt, gdyby rzeczywiście ktoś był na zewnątrz, ale nic innego nie mogłem znaleźć.

Jeszcze przez jakiś czas żartowaliśmy sobie z tego incydentu i śmialiśmy się ze swoich reakcji, ale w głębi duszy byłam wściekła. Niezależnie od tego, ile razy bym się przeprowadziła i jak daleko od domu pojechała, nadal зараżałam życie otaczających mnie osób strachem i wystawiałam je na niebezpieczeństwo. Nie zasługiwały na to.

Spojrzałam na chłopaka siedzącego naprzeciw mnie na sofie, wiedząc, że choć tym razem wszystko skończyło się dobrze, następnym może być inaczej. Czy etyczne było wystawianie innej osoby na takie zagrożenia? Czy byłam egoistką, prosząc kogoś, żeby prowadził dla mnie takie życie?

Próbowałam odsunąć od siebie te pytania. Znałam odpowiedzi i wcale mi się nie podobały.

Chodziliśmy z sobą przez kilka miesięcy. Po tamtym wieczorze, kiedy zaspokoiliam jego ciekawość, naprawdę stałam się typową dziewczyną z sąsiedztwa. W moim życiu prawie zawsze tak to wyglądało i wolałam, żeby tak było. W towarzystwie przyjaciół i kolegów nie byłam Mahtob, córką z *Tylko razem z córką*. Byłam po prostu Mahtob, zwyczajną osobą z interesującym życiorysem.

Nigdy go nie zapytałam, dlaczego czuł potrzebę przeczytania książki, zanim się poznaliśmy, ani dlaczego do razu mi nie powiedział, że ją przeczytał. Przypuszczam, że był podekscytowany naszą randką i chciał się jak najwięcej o mnie dowiedzieć. To wcale aż tak bardzo nie różniło się od początku jakiegokolwiek obiecującej znajomości – kiedy jedna osoba odkrywa, kim jest ta druga i czy pasują do siebie, czy nie. On po prostu już na starcie miał przewagę w swoich poszukiwaniach. Inni mężczyźni podchodzili do tego inaczej i chcieli wiedzieć tylko to, co ja sama decydowałam się im powiedzieć, kiedy postanawiałam podzielić się tym z nimi.

Pewnego razu, gdy miałam niewiele ponad trzydzieści lat, inna koleżanka z pracy postanowiła zabawić się w swatkę. Przez niemal rok próbowała nakłonić mnie do spotkania z jej znajomym, ale ja za każdym razem znajdowałam jakąś wymówkę. Właśnie zakończyłam bardzo poważny związek i moje serce wciąż jeszcze powracało do zdrowia. Jednak pewnego popołudnia koleżanka pojawiła się przy moim biurku, kiedy byłam pochłonięta pracą. Odwrócona do niej plecami, w roztargnieniu odpowiedziałam na jej powitanie, nie przerywając pisanie.

– Jak ci leci? – zapytała.

– Świetnie – odpowiedziałam, próbując dokończyć myśl, zanim się ulotni.

– Co zamierzasz robić w weekend? Coś fajnego?

Nadal roztargniona, skończyłam pisać i odłożyłam długopis.

– Nie, po prostu spędzę spokojnie te dwa dni w domu. Tym razem nie mam żadnych konkretnych planów.

Właśnie taką odpowiedź miała nadzieję ode mnie wyciągnąć.

– To wspaniale. Wobec tego masz czas na kolację w sobotę. Dam mu znać.

Nie było sposobu, żeby się taktownie z tego wykręcić, więc wyraziłam zgodę. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Jednak po kilku miesiącach trwania naszego związku powiedział mi, co się stało, kiedy moja koleżanka powiedziała mu o mnie.

Nic wtedy nie wiedział o mojej historii, ale akurat tamtego wieczoru włączył

telewizor i trafił na *Tylko razem z córką*. Obejrzał film, jednak potem, kiedy się spotkaliśmy, poczuł się winny, że szperał w mojej przeszłości bez mojego pozwolenia. Wydawało mu się nieuczciwe, że miał dostęp do intymnych i traumatycznych szczegółów mojego dzieciństwa, zanim jeszcze się poznaliśmy i zaufaliśmy sobie na tyle, żeby dzielić się z sobą tego rodzaju rzeczami. Było to w pewnym sensie naruszenie mojej prywatności, wręcz zdrada.

Kiedy już znaliśmy się od dłuższego czasu, ponownie włączył telewizor, gdy nadawano ten film. Jednak tym razem rozzłościło go to, co zobaczył, i musiał wyłączyć. Ponieważ był ze mną związany, okazało się, że trudno mu znieść myśl, iż przeżyłam takie cierpienia.

Nie jest jedyną osobą, która odczuwała to w ten sposób. Gdy tylko blednie ciekawość wynikająca ze złej sławy, na ogół pozostają jedynie fakty związane z maltretowaniem nas przez mojego ojca. Dla ludzi, którym na mnie zależy, jest to znacznie trudniejsze do zaakceptowania. Najczęściej ogarnia ich złość, której ja z takim trudem wyzbywałam się przez lata po naszej ucieczce. Niekiedy czują potrzebę chronienia mnie, nawet jeśli oznacza to narażanie się na niebezpieczeństwo.

Dla mnie jest to pochlebające, poniżające i smutne, wszystko naraz. Teraz poświęcam swojemu dzieciństwu bardzo niewiele myśli. Jest ono czymś, co należy do przeszłości, zaledwie jedną z wielu nici w moim kobiercu, i do tej pory miałam parę dziesięcioleci na to, żeby zacząć doceniać dobro, które pojawiło się z jego powodu w moim życiu. Jednak od czasu do czasu dobrze mi robi przelotne spojrzenie na swoją przeszłość oczami osób, które się o mnie troszczą.

Moja rodzina rzadko rozmawia o tym, co się stało. Nasze życie toczy się dalej. Jednak ostatnio jedna z moich kuzynek zapytała mnie o krzywdy, których doznałyśmy z mamą w Iranie. Słyszając o niezwyklej brutalności mojego ojca, wpadła we wściekłość, lecz rozprawiając o tym, jakim był draniem, ku własnemu zdumieniu uświadomiła sobie, że przez wszystkie te lata, które upłynęły od naszej ucieczki, ani razu nie słyszała, żeby mama mówiła źle o tym człowieku. Rzeczywiście tak było. Mama opowiadała otwarcie i rzeczowo o naszych przeżyciach, ale nie wypowiadała się surowo o moim ojcu.

Inni byli mniej życzliwi. Większość członków naszej rodziny nie pamięta już ani jednej dobrej rzeczy dotyczącej mojego ojca. Zważywszy ogrom jego zdrady, nie ma w tym nic dziwnego. Ojciec zasłużył sobie na ich pogardę. Nie współczuję mu z tego powodu.

Gdy dorastałam, szczególną sympatią darzyłam wujka Pete'a, brata mamy. Był moim obrońcą. Ten weteran z Wietnamu i pracownik General Motors wydawał mi się niezwyciężony. Wujek Pete nienawidził mojego ojca nie tylko za to, co zrobił nam w Iranie, ale także za zagrożenie, jakie stanowił dla naszej rodziny nawet wtedy, gdy już uciekłyśmy.

Niedługo przed moimi trzydziestymi urodzinami wujek Pete oraz długoletni przyjaciel rodziny Myrt wybrali się w trzypółgodzinną podróż samochodem, żeby odwiedzić mnie w weekend. W miejscowej restauracji podającej steki snuliśmy wspomnienia o tym, jak zawsze owijałam go sobie wokół palca.

– Mandy – powiedział. – Wiesz, że nie ma na świecie niczego, czego bym dla ciebie nie zrobił, prawda?

Minęły lata, odkąd myślałam o sobie jako o Mandy, ale podobało mi się, że nadal nazywa mnie moim przybranym imieniem. Brzmiałoby dziwnie, gdyby padło z ust prawie każdej innej osoby, ale nie jego. Sięgnęłam nad stołem i poklepałam jego krzepkie ramię.

– Ja też cię kocham, wujku Pete – powiedziałam z uśmiechem.

Wyszczrzył do mnie zęby i nie mogłam nie zauważyć, jak bardzo z biegiem lat upodobnił się do dziadka.

– Wiesz – powiedział. – Kiedy byłaś małą dziewczynką, złamałaś mi serce.

– Czyżby? – odparłam figlarnie, sądząc, że droczy się ze mną jak zwykle. Po dziadku odziedziczył nie tylko urodę, lecz także poczucie humoru. – A niby jak to zrobiłam?

– Kiedy byłaś mała, wszyscy myśleliśmy, że pojawi się twój tato i zrobi coś głupiego. Byłem na to przygotowany. Zamierzałem zrobić wszystko, co będzie konieczne, żeby moja mała Mandy Sue była bezpieczna.

Głos uwiązał mu w gardle i zauważyłam, że jego oczy zaszły mgłą. Mimo tych mocnych słów wujek miał gołębie serce i był sentymentalny, gdy chodziło o mnie.

– Pewnego dnia objęłaś mnie mocno, spojrziałaś do góry tymi swoimi dużymi brązowymi oczami i powiedziałaś: „Wujku Pete, jeśli mój tatuś wróci, żeby mnie zabrać, nie zastrzelisz go, prawda?”. To złamało mi serce. Żadna mała dziewczynka nie powinna się martwić takimi rzeczami.

Dobrze pamiętam ten strach, że ktoś z rodziny zabije mojego ojca, żeby mnie chronić. Nawet w tak młodym wieku zdawałam sobie sprawę, jak mocno wszyscy byli przeświadczeni, że muszą mi zapewnić bezpieczeństwo. Bałam się ojca, ale jednocześnie nadal się o niego troszczyłam. Nie chciałam, żeby go skrzywdzono z powodu jego miłości do mnie, niezależnie od tego, jak wypaczone mogły się okazać wyrazy tej miłości. Martwiłam się również o swoich bliskich, którzy tak bardzo mnie kochali, że gotowi byli uciec się do przemocy z mojego powodu. Przemoc rodzi przemoc. Gdy byłam dzieckiem, wydawało się, że bez względu na to, jak zdecydowanie pragnęłam pokoju, i tak wszędzie wokół mnie szalała przemoc. Z trudem przełknęłam ślinę, żeby powstrzymać coraz mocniejszy ucisk w gardle.

– Rzeczywiście byś go zastrzelił – powiedziałam żartem, próbując rozładować atmosferę. – Gdy w grę wchodziło chronienie mnie, nie zastanawiałbyś

się nad tym dwa razy. Zawsze wiedziałam, że mnie osłaniasz!

– No jasne! – wykrzyknął z entuzjazmem, waląc dłonią w stół. – Nie zamierzałem go szukać, ale gdyby się pojawił, zaopiekowałbym się tobą. Niech nikt nie myśli, że może zdrzeć z moją Mandy Sue i że ujdzie mu to na sucho. Nie wtedy, gdy ja jestem w pobliżu!

– Otóż to. Właśnie dlatego martwiłam się o ciebie. Nie chciałam, żebyś zapłacił wysoką cenę za moje bezpieczeństwo. Poza tym nie chciałam być zmuszona odwiedzać cię w więzieniu. Wydaje mi się, że w pomarańczowym ci nie do twarzy – droczyłam się z nim.

Mogłam sobie pozwolić na wybranie ścieżki pokoju częściowo dlatego, że byłam chroniona przez armię swoich bliskich, gotowych na wszystko dla mojego dobra. Mogłam przemawiać łagodnie, bo oni trzymali grubą pałkę w moim imieniu. Nieustannie modliłam się, żeby tato nigdy nie pojawił się pod moimi drzwiami, nie tylko dlatego że bałam się o niego, ale także dlatego że się bałam, jak daleko posuną się moi bliscy, żeby mnie przed nim bronić.

* Książka Betty Mahmoody nosi w oryginale tytuł *Not Without My Daughter*.

ROZDZIAŁ 30

Nie mogąc się doczekać dalszego szperania w pudle, odkładam złoty notes i zamieniam go na szarą kopertę. Jednak gdy zaczynam ją otwierać, uświadamiam sobie, że dzień minął niepostrzeżenie, a ja nic nie jadłam. Kieruję się do zamrażarki, żeby zobaczyć, co jest na kolację.

Mama wyraża miłość za pomocą jedzenia. Jeśli nie może tu być, żeby nałożyć mi na talerz stos parujących, świeżo przyrządzonych domowych przysmaków, upewnia się, że mimo wszystko będę miała porządną porcję dzięki zamrażarce wypełnionej pojemnikami z jednorazową porcją, które są wyrazem jej oddania. Niezależnie od tego, czy jesteśmy razem, czy nie, mama wiecznie się o mnie troszczy. Sprawdziwszy, co mam do wyboru, decyduję się na pasztecik. Podobno podczas wyrębu lasu fińscy osadnicy z lodowatego Górnego Półwyspu Michigan zabierali do pracy te paszteciki z nadzieniem z mięsa i warzyw. Rano umieszczali ciepłe zawiniątko na głowie pod czapką, żeby zapewnić pasztecikom nieco dodatkowego ciepła do pory obiadowej.

Wrzucam pasztecik do piekarnika i nastawiam zegar. Dwadzieścia minut – wystarczy, żeby jeszcze trochę poszperać. Na mojej werandzie panuje coraz większy rozgardiasz, wraz z każdą nową turą wykopalisk. Przeszuję zmiętą gazetą i chwytam szarą kopertę, zagłębiając się w rozkładanym fotelu z podnóżkiem. Adres zwrotny głosi: „Studia licencjackie, Wydział Psychologii”. Moje nazwisko jest wypisane z przodu odblaskowym zielonym markerem. Koperta ewidentnie należy do mnie, lecz jej nie rozpoznaję.

Wertując jej zawartość, poznaję papierowe dowody swojej akademickiej kariery. Certyfikat uznający mnie za dożywotniego członka Psi Chi, ogólnokrajowego honorowego towarzystwa psychologicznego. List gratulacyjny z okazji ukończenia przeze mnie studiów z wynikiem osiągniętym jedynie przez piętnaście procent najlepszych absolwentów z mojego rocznika, zarazem informujący o przyjęciu mnie do Golden Key International Honour Society. Inny certyfikat, potwierdzający przyznanie mi członkostwa w Phi Beta Kappa i zapewniający mnie, że dzięki temu znalazłam się w towarzystwie prezydentów i laureatów Nagrody Nobla.

To, że kto jak kto, ale właśnie ja zostałam wybrana do takich zaszczytów, stanowi dla mnie zagadkę. Tak wiele się wtedy działo w moim życiu, że ledwie byłam w stanie uświadomić sobie, a tym bardziej docenić, ogrom tych wyróżnień, gdy mnie nimi obdarzano. Wsuwając kartki z powrotem do koperty, dostrzegam jeszcze jeden dokument, w którym rozpoznaję wyciąg ze swojego indeksu. Gdy go oglądam, mój wzrok wędruje najpierw do listy ocen z pierwszego semestru 2000 roku. To był ten semestr, w trakcie którego odnalazł mnie tato. Zdobyłam osiemnaście zaliczeń, znacznie powyżej wymagań dla studentów stacjonarnych, to

znaczy dwunastu zaliczeń na semestr. I z każdych zajęć dostawałam ocenę 4,0. Nie wiem, czy osiągnęłam to mimo złości na tatę, czy żeby mu zrobić na złość.

Moje oceny były dla mnie dowodem, że jakoś się trzymam, że tato nie może mnie pokonać. Stanowiły namacalną miarę mojej odporności psychicznej. Przez cztery semestry z rzędu nie miałam średniej niższej niż 4,0. W tamtym okresie, kiedy czułam się tak całkowicie bezradna, osiągnięcia akademickie stały się sposobem na odzyskanie pewnej kontroli nad własnym życiem. Może powinnam dziękować tacie, że przyłożył rękę do zdopingowania mnie do nauki, która okazała się ucieczką od rzeczywistości...

Złożywszy ponownie wyciąg z indeksu, kładę go na podstawce obok siebie i sięgam po szydełkową narzutę babci. Dokoła mnie wiruje pokrzepiający zapach pasztecika piekącego się w piekarniku. Wciskam się głębiej w fotel i podpórka pod stopy wysuwa się, zapraszając moje oczy do zamknięcia powiek.

Budzi mnie dzwonek zegara w piekarniku. Kolacja gotowa. Paszteciki znajdują się na czele mojej listy potraw poprawiających nastrój. Na jesieni robimy z mamą ogromną ich partię, często dwieście albo i więcej naraz, żeby włożyć je do zamrażarki. Może się wydawać, że to dużo, ale gdy już podzielimy się nimi z rodziną, w końcu musimy zwykle racjonować swoje zapasy, żeby wystarczyły do lata.

Po kolacji rozważam spędzenie reszty wieczoru z dala od pudła, lecz ciekawość bierze górę. Jeszcze tylko jedna rzecz, mówię sobie. Jedna, nie więcej. Klęcząc obok otwartego pudła, przetrząsam jego zawartość, aż dostrzegam zdjęcie, na którym tańczę z pastorem Muellerem na jakimś weselu. Serce podchodzi mi do gardła. Tak bardzo go kocham.

Od lat pozostaję w kontakcie z wieloma moimi nauczycielami z Salem i nadal czujemy wzruszenie, gdy się widzimy. Pastor Mueller i ja nie umiemy nawet na siebie patrzeć, nie płacząc. Trudno mi o nim myśleć bez łez napływających do oczu. Miłość i opiekuńczy instynkt osób, które kształciły mnie w Salem, z biegiem lat jeszcze bardziej się nasiliły. Pan Milbrath, mój nauczyciel z czwartej klasy, bez skrępowania przyznaje, że nadal wzdryga się na odgłos przelatującego w górze samolotu, gdy pilnuje dzieci na szkolnym boisku. Niebezpieczeństwo minęło, jednak wciąż tkwi w nim głęboko potrzeba chronienia mnie.

Obok zdjęcia pastora Muellera jest stara pocztówka od pani Janetzke. Ona i pani Norder były moimi cudownymi nauczycielkami w piątej klasie. Gdy pani Janetzke dowiedziała się, że mój toczeń znów się uaktywnił, skontaktowała się ze mną, oferując mi swoje modlitwy i wsparcie. Rozwijała we mnie zamiłowanie do muzyki, przedmiotów ścisłych i sztuki, lecz najważniejszą lekcją, jakiej mi udzieliła, było służenie Panu z radością. Kiedy tato po raz pierwszy nas odnalazł, pani Janetzke natychmiast zareagowała, zapraszając mamę i mnie do schronienia

się na farmie należącej do jej rodziny. Ona i jej mąż gotowi byli nas ukryć na tak długo, jak potrzebowałyśmy. Nie skorzystałyśmy z jej propozycji, lecz świadomość, że mamy taką możliwość, była wielką pociechą.

Z sercem przepelnionym ciepłem i wdzięcznością odkładałam na bok zdjęcie oraz pocztówkę i wyciągam z pudła następną rzecz. Jednak gdy tylko widzę kopertę ze znaczkami w kwiaty, sztywnieję ze złości. Znow znalazłam się twarzą w twarz z tą częścią swojej przeszłości, którą przez całe życie usilnie starałam się pozostawić za sobą. Dlaczego nie przestałam, kiedy to jeszcze było przyjemne? Dlaczego musiałam nadal szperać?

Skutecznie unikałam tej koperty, odkąd mama dała mi ją mniej więcej cztery lata wcześniej.

Byłam w biurze tamtego dnia, gdy mama przyjechała z jedną ze swoich częstych wizyt. Mieszkałyśmy kilka godzin jazdy samochodem od siebie, ale żadna odległość nie była na tyle duża, żeby rozdzielić nas na długo. Kiedy przebywałam akurat w pracy, mama wchodziła do mieszkania i znajdowała sobie zajęcie w kuchni. Tamtego wieczoru, gdy wjeżdżałam do garażu, wiedziałam, że zastanę stosy swoich papierów uporządkowane, pranie w toku i dom wypełniony najcudowniejszą wonią cebuli podsmażanej na oliwie z oliwek, przyrumienionego mięsa i parującego ryżu.

Mama zawsze wiedziała, jak sprawić, żeby człowiek czuł się w mieszkaniu – w każdym mieszkaniu – jak u siebie w domu. Błyskawicznie przyrządzała wykwintne potrawy z niezrównaną biegłością, od razu po sobie sprzątając, więc bez względu na to, ile dań przygotowywała, zawsze pracowała w czystej i uporządkowanej kuchni.

Wiedząc, że długie godziny pracy utrudniają mi gotowanie perskich potraw, które uwielbiałam, korzystała z każdej okazji, żeby przyrządzać moje ulubione dania. Dziedzictwo kulturowe jest przekazywane za pośrednictwem jedzenia, a ona nie zamierzała pozwolić, żeby moje mi się wymknęło. Była zdecydowana nie dopuścić, aby apatia pierwszych lat dorosłości odarła mnie z kulturowego bogactwa, które należało mi się z racji urodzenia.

Gdy tamtego dnia wróciłam do domu, celowo narobiłam sporo hałasu, zatraskując drzwi samochodu, tupiąc na schodach i pukając, zanim weszłam.

– Cześć, już jestem! – zawołałam, zerkając zza rogu do holu, chcąc się upewnić, że mama wie, iż jestem w domu.

Jej reakcja na nieoczekiwane bodźce od dawna była bardzo gwałtowna, a nie miała już takiego słuchu jak kiedyś. Często się zdarzało, że podnosiła wzrok i widząc kogoś stojącego w pokoju, podrywała się i chwytła za serce, z trudem łapiąc oddech.

Jak było do przewidzenia, stała przy kuchence. Mieszając w dużym garnku choresz-e bademdżan, apetyczny gulasz z bakłażanów i duszonej wołowiny,

pokręciła głową i powtórzyła swoją zwykłą śpiewkę:

– Nie wiem, jakim cudem wyszło mi tak dużo. Staralam się zrobić małą porcję.

Zawsze to mówiła, gdy mieszała w garnku choresz. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek faktycznie udało jej się zrobić małą porcję. Gdyby jednak tak się stało, co zostawiłaby mi do jedzenia, kiedy wracała do domu?

Mama nigdy nie rozumiała, jak rodzina może mieszkać pod jednym dachem i nie jeść wspólnie posiłków – bo każdy robi to o własnej porze, tkwiąc samotnie przed ekranem telewizora albo komputera. W naszym domu pora posiłków była czasem przeznaczonym dla rodziny. Nawet gdy byłam dzieckiem i mieszkaliśmy tylko we dwie, czas posiłków wyznaczał porządek dnia. Jedzenie było podawane na półmiskach, na których leżały łyżki do nakładania. Nakrycie obejmowało przynajmniej nóż, widelec i łyżkę, a wszystkie sztucce były starannie ułożone na właściwym miejscu. Serwetka, czy to papierowa, czy płócienna, zawsze trafiała na kolana. Podczas posiłków nie odbierało się telefonu, a telewizor był wyłączony. Stół, przy którym się jadło, był tym miejscem, gdzie najprzyjemniej spędzaliśmy czas, rozmawiając, rozmowa zaś była ciekawsza, gdy towarzyszyły jej potrawy przyrządzone przez mamę.

Gdy podawałyśmy sobie półmiski, zapytałam mamę, jaką miała podróż, a ona spytała, jak minął mi dzień w biurze. Kiedy miałyśmy już za sobą wymianę uprzejmości, przeszła do tego, co rzeczywiście leżało jej na sercu.

– Czy ostatnio wydarzyło się coś podejrzanego?

Tłumaczenie: Czy twój tato znów stwarza problemy?

– Nie, cały czas jest spokojnie.

Tłumaczenie: Grrr, tylko nie to! Co on teraz kombinuje? Dlaczego nie zostawi nas w spokoju?

– Czy twój tato próbował się z tobą skontaktować?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Parę lat temu przestałam sprawdzać swoje konto pocztowe w MSU. Myślę, że zrezygnował z wysyłania do mnie e-maili z okazji każdego najdrobniejszego święta, gdy skrzynka się zapchała. O co chodzi? Czy coś się stało?

– Mahtob, wiesz, że jeśli kiedykolwiek zechcesz się skontaktować ze swoim tatą, możesz to zrobić. To zawsze zależało tylko od twojej decyzji.

– Wiem. Gdybym chciała się z nim skontaktować, zrobiłabym to. Z twoim pozwoleniem czy bez. Ale nigdy nie chciałam. Nie interesuje mnie wysłuchiwanie jego kłamstw. Dlaczego to wszystko akurat teraz przyszło ci do głowy?

– Dostałam przesылkę od Kombiza. Rozmawiał z twoim tatą. Kombiz uważa, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś ponownie nawiązała kontakty z ojcem.

Oślupiałam.

– *Amu* Kombiz tak powiedział? Nie wierzę. Jak mógł? Może sobie myśleć,

co chce. Nie zamierzam otwierać furtki do kontaktów ze swoim tatą. Koniec, kropka.

– Kombiz mówi, że tato jest chory i możliwe, że długo już nie pożyje. Być może powinnaś rozważyć skontaktowanie się z nim, jeśli nie z innego powodu, to ze względu na jego historię medyczną. Nie wiesz, jakiego rodzaju problemy zdrowotne czekają cię w przyszłości. Może dobrze by było, gdybyś dowiedziała się czegoś więcej o medycznej historii jego rodziny. Oboje jego rodzice zmarli młodo. Amme Bozorg też miała jakieś kłopoty ze zdrowiem. Nie wiem, czy ona jeszcze żyje. Kombiz mówi, że twojemu tacie przeszczepiono nerkę. Wiesz, że kiedy miałaś pierwszy nawrót choroby, toczył ją zaatakował nerki.

Spróbowałam perskiej sałatki, nie wierząc własnym uszom. Najpierw *amu* Kombiz nakłaniał mnie do skontaktowania się z tatą, a teraz mama podsuwa mi ten pomysł. Co tu się dzieje?

– Mahtob, powinnaś to przemyśleć. Nie mów tak po prostu nie, nie upewniwszy się, czego naprawdę chcesz. Cokolwiek postanowisz, poprę twoją decyzję. Twój tato i Kombiz rozmawiali przez telefon i wymieniali e-maile. Kombiz przysłał mi list, prosząc, żebym przekazała ci ich korespondencję. Do ciebie też napisał list.

– To jest kolejny fortel taty. Gdy jeden sposób nie działa, zmienia taktykę. Interesuje go tylko kontrolowanie mnie i utrwalanie swoich kłamstw. Nie ma do powiedzenia nic, czego musiałabym wysłuchać. – Przerwałam na chwilę. – Nie mogę uwierzyć, że *amu* Kombiz dał się na to nabrać. Kto jak kto, ale on powinien umieć przejrzeć mojego tatę i jego intrygi.

– Może wobec tego powinnaś porozmawiać z Kombizem. Być może on mógłby dowiedzieć się czegoś więcej o problemach zdrowotnych twojego taty. Po prostu przeczytaj to, co jest w tej przesyłce, i zastanów się nad tym, zanim podejmiesz decyzję.

Wręczyła mi kopertę, a ja odrzuciłam ją na bok. Kipiałam ze złości na myśl, że mój *amu* Kombiz, mój ukochany adoptowany wujek zdradza mnie, spiskując z moim ojcem.

Amu Kombiz i mój tato przez większą część życia byli bliskimi przyjaciółmi, ale ich przyjaźń skończyła się z powodu tego, jak tato traktował mamę i mnie w Iranie. Przez lata Kombiz wspierał mamę w jej wysiłkach zmierzających do wychowania mnie w taki sposób, żebym szanowała i ceniła swoje perskie korzenie. Gdy byłam młodsza, granaty, czyli owoce znane mi jako *anar*, nie były łatwo dostępne w Michigan. Kombiz mieszkał w Kalifornii, gdzie było ich pod dostatkiem, więc raz do roku przysyłał mi całą skrzynkę, żebym mogła się nimi delektować podczas obchodów Nouruzu.

Jedzenie granatów należało do moich najszcześniejszych wspomnień z naszego pobytu w Iranie. Jednak żeby zjeść *anar*, potrzeba pewnej zręczności.

Należy zacząć od toczenia tego pięknego czerwonego owocu w kształcie bombki choinkowej po blacie. Najważniejsze to naciskać wystarczająco mocno, żeby zgnieść ziarenka po wewnętrznej stronie, zmuszając je do wydzielenia soku, jednak nie tak mocno, żeby spowodować pęknięcie skórzastej łupiny granatu. Jest to czasochłonny proces wymagający wielkiej cierpliwości. Pamiętam, jak czekałam z zapartym tchem, gdy tato toczył przeznaczony dla mnie *anar*. Pamiętam odgłos ziarenek pękających wewnątrz ochronnej błonki oraz to, jakiej wprawy wymagało wynioskowanie, w którym dokładnie momencie granat był już toczony wystarczająco długo, by był w stanie wytrzymać bez pęknięcia skórki. Pamiętam swój zachwyty, gdy dostawałam idealnie przygotowany *anar*, gdy obracałam go w dłoniach, chcąc znaleźć najodpowiedniejsze miejsce do ugryzienia, a potem zbliżałam do ust i zatapiałam dwa przednie zęby w łupinie, żeby uwolnić gejzer smakowitego karmazynowego soku.

Granat robił się sflaczały, gdy wysączałam z niego jasny, orzeźwiający sok, dzięki czemu mogłam wycisnąć jeszcze trochę z ziarenek w samym środku, do których wcześniej nie dało się dostać. Gdy wysłałam ostatnią kroplę płynu, z radością oddawałam *anar* tacie, a on swymi mocnymi dłońmi rozrywał łupinę na strzępy, ujawniając ukryty skarb w postaci ziarenek schowanych w sanktuarium owocu – ziarenek, do których nie można dotrzeć nawet przez najdłuższe toczenie czy wyciskanie. Wydłubywał je zręcznie kciukami do miseczki, żebym mogła je zjeść, tak jak inne amerykańskie dzieci jedzą żelki albo groszki owocowe.

Mama robiła, co mogła, żeby podtrzymać tę tradycję, ale ponieważ nie wychowała się z granatami, które należało toczyć po blacie, nie opanowała tej sztuki w wystarczającym stopniu. Czasami z pośpiechu od początku naciskała zbyt mocno i skórka pękała. Kiedy indziej, nie potrafiąc odczytać sygnałów wysyłanych przez granat, wyciskała z niego sok ponad miarę i owoc rozrywał się, zostawiając na blacie kałużę cennego płynu. Potem przesadnie starając się to zrekompensować, przestawała toczyć granat za wcześnie, zanim uzyskała maksymalną ilość dostępnego soku, dlatego w owocu zostawały częściowo wyciśnięte ziarenka, które nie nadawały się do jedzenia. Jednak najczęściej gwiazdy jej sprzyjały i promieniejąc z radości, wręczała mi idealny granat. Nie wiem, która z nas bardziej ceniła sobie takie chwile: czy mama, dlatego że była w stanie dać mi tak pożądaną dar, czy ja, dlatego że go otrzymałam.

Przekazywanie tej i innych tradycji było wielkim źródłem radości także dla *amu* Kombiza. Czasami planował odwiedziny u nas w czasie Nouruzu, starając się wypełnić próżnię, którą zostawił po sobie tato. Uwielbiał opowiadać mi tradycyjne legendy związane z perskim Nowym Rokiem. Najbardziej lubiłam tę o baranie.

„*Mahtob dżan* – zaczynał zwykle. – Widzisz, żyjemy w ogromnym wszechświecie, a naszą planetę trzyma na swoim miejscu gigantyczny baran. Przez cały rok ów baran utrzymuje Ziemię w równowadze na jednym rogu. Jak możesz

sobie wyobrazić, nie jest to łatwe zadanie. Planeta jest dość ciężka, więc baranowi męczy się szyja od noszenia ciężaru świata. Raz do roku, dokładnie w porze wiosennej równonocy, baran przekręca głowę, przenosząc Ziemię z jednego rogu na drugi. W tym właśnie momencie zaczynają się obchody Nouruzu. Jeśli będziesz stała nieruchomo i patrzyła bardzo uważnie – dodawał z uśmiechem – zobaczysz, że kołyszają się jajka na *haft sin*”.

To nie było dla mnie nowością. Widziałam to na własne oczy. Gdy byliśmy w Iranie, zostałyśmy zbombardowane przez Irakijczyków akurat w chwili, gdy baran zmieniał rogi. Tamtego roku jajka nie tylko się kołysały.

Spoglądam teraz na swój *haft sin* i ogarnia mnie poczucie wdzięczności. Tak bardzo się cieszę, że już nie muszę się martwić jajkami kołyszącymi się z innego powodu niż doroczny obrót głowy mitycznego barana. Ponownie zwracam uwagę na niewielką kopertę, którą trzymam w ręku. Znaczki pasują do obchodów Nouruzu – trzy po czterdzieści jeden centów, a na każdym znaczku jest przedstawiony jeden kwiat: jakiś czerwony z kolcami, żółty tulipan z czerwonymi żyłkami na każdym płątku i irys. Jakże to typowe dla mojego adoptowanego wujka, przywiązywanie wagi do tego rodzaju szczegółów.

Przez lata *amu* Kombiz miał stały wpływ na moje życie. Był ogniwem łączącym mnie z tym, co dobre w moim perskim dziedzictwie, i buforem chroniącym mnie przed wynikającymi z niego zagrożeniami. To mój *amu* Kombiz sadzał mnie obok siebie, żebym przeglądała pożółkłe karty jego albumów ze zdjęciami, i pokazywał mi fotografie przedstawiające towarzyskiego młodzieńca, który miał zostać moim ojcem. To mój *amu* Kombiz, fizyk jądrowy, podsuwał mi pomysły do referatów naukowych w podstawówce. To ten sam *amu* Kombiz nagrał na wideo uroczystość wręczania świadectw w szkole średniej i nauczył mnie, jak podłączyć kablami magnetowid do telewizora, żebyśmy mogli oglądać nagrywane przez siebie filmy.

Jednak otwierając furtkę do kontaktów z moim tatą, *amu* Kombiz przekroczył pewną granicę, zmieniając się z zaufanego członka rodziny w podstępny konspiratora. Czułam się z tego powodu szczególnie zagrożona, bo Kombiz tak dużo wiedział o moim życiu. Zadałam sobie wiele trudu, żeby uniemożliwić tacie odnalezienie mnie. Nie chciałam być zmuszona do ponownego porzucenia swojego życia.

Ponieważ czułam się zdradzona i byłam rozczarowana, nie przeczytałam przesyłki od *amu* Kombiza tamtego wieczoru, gdy mama mi ją dała. Następnego dnia rano chwyciłam kopertę i w pośpiechu wrzuciłam ją do swojej torby z komputerem. Zwalniając tylko na tyle, żeby pocałować mamę w policzek, krzyknęłam: „Miłego dnia!”, i wyruszyłam do biura.

Praca okazała się dobrą rzeczą, żeby o wszystkim zapomnieć, i zanim się zorientowałam, patrzyłam przez okno w swoim biurze na pusty parking, na którym

stał tylko mój samochód. Zamknęłam laptop, sięgnęłam po torbę i znów zauważyłam tę kopertę. Już dawno przekonałam się, że niezależnie od tego, jak bardzo jestem zaabsorbowana innymi sprawami, nawet największy nawał zajęć nie wystarczy, żeby uwolnić mnie od zajmowania się swoją wciąż powracającą przeszłością.

Z ciężkim westchnieniem obróciłam w palcach kopertę, podziwiając wesołe kwiaty na znaczkach. To tylko informacje, powtarzałam sobie jak zawsze w takich razach, odkąd tato po raz pierwszy ponownie pojawił się w moim życiu.

Jego nowa taktyka polegała na skontaktowaniu się z *amu* Kombizem.

To dobrze, że zmienił podejście, powiedziałam sobie. To znaczy, że uświadomił sobie, jak nieskuteczne były jego wcześniejsze metody. Jest teraz o jedną próbę bliżej do zrezygnowania i zostawienia mnie w spokoju.

To tylko informacje, powtarzałam sobie, ponownie odchylając się do tyłu na swoim biurowym krześle i wyjmując z koperty gruby plik zadrukowanych stron.

Pierwszy list był od *amu* Kombiza i nosił datę 22 czerwca 2008 roku. To tylko informacje, przypomniałam sobie, nabierając powietrza. Pod datą widniała linijka z pozdrowieniem: „Droga Betty *dżan*”, a przecież słowo *dżan* wyraża dużą sympatię. Jak on mógł wbić nam nóż w plecy i nadal mieć czelność nazywać ją Betty *dżan*? Za kogo on się uważa?

To tylko informacje, powtórzyłam, wiedząc, że rośnie mi ciśnienie krwi, a na szyi już pojawiły się czerwone plamy, charakterystyczna oznaka zdenerwowania. To tylko informacje.

Droga Betty *dżan*, przesyłam pozdrowienia.

Jak się masz, jak traktuje Cię życie? Od tak dawna nie miałem od Was wiadomości. Mam nadzieję, że u Ciebie i u Mahtob wszystko dobrze...

Niespodzianka! Zgadnij, z kim ostatnio rozmawiałem. O tym jest mój list.

Ale po kolei. Mój kuzyn przysłał mi adres strony internetowej o Dżawadzie Marufim. To najbardziej znany pianista w Iranie. Zmarł kilka lat temu. Przeglądałem jego stronę i natrafiłem na innego perskiego kompozytora, który mieszka w Wiedniu. Nazywa się Sassan Mohebbi. Przypomniał mi się wtedy Szahrdad Rouhani, inny znany perski dyrygent i solista. Kilka lat temu... Zajrzałem na jego stronę i okazało się, że ma tam mnóstwo zdjęć. Na dole była fotografia przedstawiająca go z Moodym i z żoną Sassana. Początkowo myślałem, że to jest żona Moody'ego. W każdym razie napisałem do Sassana, że Moody jest moim przyjacielem, i poprosiłem, żeby mi odpowiedział, jeśli dostanie tę wiadomość. Wziął to sobie do serca i przesłał mój list Moody'emu w Iranie. Następnego dnia zadzwonił do mnie Moody i długo rozmawialiśmy, zanim połączenie zostało przerwane. Jednak zdążył mi podać swój adres elektroniczny. Wysłałem mu swój adres elektroniczny, a następnego dnia znów zadzwonił. Potem ja zadzwoniłem do niego i długo rozmawialiśmy. Wymieniliśmy też kilka e-maili. Załączam naszą

korrespondencję... Chciałbym to z Tobą przedyskutować.

Proszę, wysłuchaj mnie. Nadal jestem na sto procent po Waszej stronie i możecie mi ufać w stu procentach. Wiem, że to, co zrobił, jest niewybaczalne. Wiem również, że bardzo kocha Mahtob i chce nawiązać z nią kontakt. Uważam też, że w ostatecznym rozrachunku Mahtob sama zdecyduje, czy chce mieć coś wspólnego ze swoim ojcem. Myślę, że nie tyle przez wzgląd na Moody'ego, ile przez wzgląd na Mahtob, jeśli ona porozmawia z ojcem, wyjdzie jej to na dobre. Moody powiedział mi, że stracił obie nerki i kupił zapasową, ale ta również zawiodła. Co dwa tygodnie chodzi na filtrowanie krwi przy użyciu aparatu do dializy. Dowiedziałem się o tym, gdy spytałem go o bandaż na rękę na tamtym zdjęciu. Właśnie to mi powiedział.

Wiem, że nakręcił dokument zatytułowany *Without My Daughter*. Opuścił „Not”*. Powiedział, że mi go przyśle. Nie oglądałem tego filmu, jednak mam wyrobioną opinię na jego temat. Myślę, że to bardziej propaganda niż dokument. Powiedziałem mu, że to pogłębi przepaść między nim a Mahtob. Jakkolwiek obrona z jego strony będzie dla Was obrazą i nie jest to coś, co spodobałoby się Mahtob. Ale zostawmy to. Myślę tylko o Mahtob. W głębi duszy uważam, że w przebaczeniu jest radość, której nie daje zemsta. Niezależnie od wszystkiego, on bardzo kocha Twoją córkę i jest z niej niezmiernie dumny. Wiem, że istnieje pewien problem logistyczny, który w powszechnej opinii może stanowić trudność.

Byłbym niezwykle szczęśliwy, odgrywając rolę pośrednika. Mogę zorganizować połączenie konferencyjne między Tobą i Mahtob a nim. W ten sposób Mahtob będzie mogła porozmawiać z ojcem bez żadnego rozgłosu i bez wiedzy kogokolwiek innego. Nie sądzę, żeby Moody wykorzystał to do celów komercyjnych.

Pozostawię to ocenie Twojej i Mahtob. Absolutnie nie chcę mówić Tobie czy Mahtob, co macie robić. Decyzja należy do niej.

Koniecznienie przeczytaj moją korespondencję z Moodym. To bardzo ciekawe usłyszeć, jak mówi, że tak, że popełnił błąd.

W każdym razie przekazuję Ci wszystkie informacje. Przeczytaj je i proszę, odezwij się.

Dbaj o siebie.

Serdecznie pozdrawiam

Kombiz

Tymczasem na zewnątrz pociemniało. Byłam wzburzona. Trzęsącymi się rękami sięgnęłam nad biurko i opuściłam żaluzje. Ulotniła się nadzieja, że mama błędnie oceniła intencje zawarte w liście. Kombiz rzeczywiście próbował ułatwić ponowne spotkanie, doskonale wiedząc, co mój tato zrobił nam w Iranie oraz że mama i ja przez całe życie codziennie żyłyśmy w strachu, że zostaniemy przez

niego odnalezione. A mimo to ma czelność mówić mi o przebaczeniu. Dość tego! Przecież wiedział, że przebaczyłam ojcu. Czy myślał, że przebaczenie mu oznacza, że muszę się narażać na dalsze nękanie z jego strony?

Odwrociłam kartkę i znalazłam list zaadresowany do mnie. „Najdroższa Mahtob *dżan*”. Znow to pieszczotliwe określenie. Co za zdrajca.

Najdroższa Mahtob *dżan*,

mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku i że Twoje życie jest wspaniałe. Jestem pewien, że tak. Właśnie skontaktowałam się z Twoją mamą i poprosiłam ją, żeby zastanowiła się nad pozwoleniem Ci nawiązania kontaktów z ojcem.

Od kiedy mama musi udzielać mi pozwolenia na kontaktowanie się z tatą? O tym zawsze decydowałam sama. Skąd się to bierze, że ludzie uważają, iż to ona pociąga za sznurki, gdy chodzi o mojego ojca? Nawet tamtego wieczoru, kiedy wyszliśmy z naszego domu w Iranie, to ja podjęłam decyzję, że mamy kontynuować ucieczkę. Nie chciałam do niego wrócić, kiedy miałam sześć lat, i z pewnością nie chcę tego, mając dwadzieścia osiem.

Rozmawiałem z nim dwa razy i pisaliśmy do siebie e-maile. Załączyłem naszą korespondencję, żebyś mogła się z nią zapoznać. On chce się z Tobą skontaktować. Decyzja należy wyłącznie do Ciebie. Ja tylko rozważam, co jest dla Ciebie najlepsze i jak będziesz na to patrzyła za 20–30 lat.

Cóż, zważywszy, że moje stanowisko nie zmieniło się w ciągu pierwszych dwudziestu dwóch lat od naszej ucieczki, szczerze wątpię, czy zmieni się w ciągu następnych.

Wiem, że on naprawdę Cię kocha i żałuje tego, co Ci się przytrafiło.

Czyżby? Żałuje tego, co mi się przytrafiło? To, co mi się przytrafiło, było jego sprawką. Czy to oznacza, że żałuje tego, co mi zrobił? Czy bierze odpowiedzialność za swoje czyny? Bo wszystkie informacje, którymi dysponuję, mówią mi, że żałuje tylko tego, iż został przechytrzony. Żałuje, że sprawy nie potoczyły się po jego myśli. Żałuje, że zdemaskowano go jako agresywnego łajdaka kontrolującego swoich bliskich. Czy naprawdę żałuje podjętych przez siebie decyzji, które zniszczyły naszą rodzinę? Szczerze wątpię.

Wiem również, że kilka lat temu pewna europejska agencja informacyjna podjęła próbę zorganizowania waszego spotkania, ale odrzuciłaś tę propozycję.

Otóż to! Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Chcę, żeby on przestał mnie nękać.

Pragnę odegrać rolę pośrednika między Tobą a Twoim ojcem i umożliwić wam obojgu porozmawianie z sobą przez telefon. Zorganizuję połączenie konferencyjne między Tobą a nim. Nikt inny oprócz Ciebie i Twojej mamy nie musi o tym wiedzieć. Jeśli uznasz, że chcesz to kontynuować, znow będzie to wyłącznie Twoja decyzja. Jeśli nie chcesz, żebym się wtrącał, wyślę Ci jego numer

i będziesz mogła to zrobić samodzielnie.

Na kilka lat zerwałem stosunki ze swoim bratem z powodu polityki. W końcu pogodziliśmy się i to jest wspaniałe uczucie nawiązywania kontaktów, zamiast ich zrywania.

Powtarzam, to jest moja sugestia, a decyzję podejmiesz Ty. Cokolwiek postanowisz, będę Cię wspierał.

Serdecznie pozdrawiam
wujek Kombiz

Siedząc samotnie w biurze, gdzie szum górnego oświetlenia rywalizował z dudnieniem serca w moich uszach, odwróciłam stronę i natychmiast zatraciłam się w ich e-mailowej korespondencji. Kiedy skończyłam czytać, słowa obu mężczyzn rozbrzmiewały w mojej głowie. Byłam pogrążona we wzburzonym morzu sprzecznych emocji.

* Zob. poprzedni przypis.

ROZDZIAŁ 31

Dobry Boże – modłę się samotnie na werandzie, po raz pierwszy od tamtego bardzo już odległego wieczoru, wpatrując się w tę przerażającą kopertę w swoich dłoniach. – Proszę, napelnij moje oczy i serce współczuciem. Proszę, pomóż mi pamiętać, że te słowa są jedynie informacjami. Nie ma w nich niebezpieczeństwa, tylko informacje. Amen”.

Byłam tak przybita pierwszą lekturą listów od Kombiza, że wcisnęłam je z powrotem do koperty i zagrzebałam to wszystko w tym pudle. Moja strategia postępowania z tatą nie zmieniła się z biegiem czasu. Nadal byłam zdecydowana unikać wszelkich kontaktów.

Zmieniły się natomiast moje stosunki z ukochanym *amu* Kombizem. Ponieważ wyglądało na to, że zaangażował się w misję pogodzenia mnie z ojcem, ze smutkiem postanowiłam również jego usunąć ze swojego życia. Nie zdziwiłam się, że tato wykorzystał okazję omotania kolejnej osoby, nakłaniając go do pomocy w swoich staraniach o kontrolowanie mnie. Byłam jednak zaskoczona, że Kombiz mnie zdradził i nabrał się na fortel taty.

Przez wiele lat starałam się sobie wmawiać, że ataki mojego taty należy traktować jako „tylko informacje”. Mam w tym sporą praktykę, a jednak wymaga to świadomego wysiłku. Gdy nauczyłam się kontrolować swoje myślenie w taki sposób, przekonałam się, że faktycznie pomaga mi to zapanować nad własnym życiem. Pozwalało cofnąć się o krok i obiektywnie przeanalizować metody taty, nie poddając się emocjom, które one we mnie wywoływały. Z takiego punktu obserwacyjnego mogłam wyraźniej dostrzec jego desperację. Właśnie patrzenie z tej perspektywy uświadomiło mi, jaką władzę nad nim miałam. Może i nie potrafiłam powstrzymać ojca przed prześladowaniem mnie, ale uporczywe unikanie go miało na niego wpływ.

Kiedy miałam szesnaście lat, jego przesłanie było następujące: jestem jego córką, płynie we mnie krew Fatimy, a on nie pozwoli mi być nikim innym niż muzułmanką. Gdy miałam dwadzieścia dwa lata, wzywał mojego Boga, w którego kiedyś zabronił mi wierzyć, bezskutecznie usiłując mnie nakłonić do korespondencji słowami w rodzaju: „Niech nasz Pan i Zbawca Jezus Chrystus zachowa cię”... Nieustający strumień jego e-maili był obezwładniający, zanim nauczyłam się zmieniać swój punkt widzenia i zaczęłam dostrzegać w nich „tylko informacje”. Jednak czasami, mimo usilnych starań, ponosiłam sromotną klęskę. Tak było niewątpliwie owego wieczoru, gdy siedziałam samotnie w biurze i czytałam plik listów, które teraz trzymam w rękach. Mimo wszystko być może zbyt długo ignorowałam te kartki. Poza tym jest Nouruz, a ja tęsknię za wujkiem. Może już czas zakopać topór wojenny, zwłaszcza teraz, kiedy nie da się ułatwić żadnego spotkania. Teraz to są naprawdę tylko informacje.

Mój tato zmarł 22 sierpnia 2009 roku. Dowiedziałam się o jego zgonie w tym samym dniu, w którym nastąpił. Pewien przyjaciel z Niemiec zobaczył to w wiadomościach i zadzwonił. Śmierć taty miała na mnie niewielki wpływ. Jeśli o mnie chodzi, umarł w dniu, w którym powiedział nam, że nie możemy wyjechać z Iranu.

Nabierając głęboko powietrza, wracam do słów, które po raz pierwszy przeczytałam cztery lata temu.

Od Kombiza do Moody'ego

Drogi Bozorg, jak zawsze Cię nazywaliśmy, Moody *dżan*, ucieszył mnie telefon od Ciebie, lecz zasmuciła wiadomość o Twoim stanie zdrowia. Ale po kolei, a chodzi o Mahtob... Zawsze byłem pełen podziwu, jaka jest wspaniała. Wielka szkoda, że nie byłeś świadkiem jej dorastania... Zważywszy na to, przez co przeszła, naprawdę świetnie sobie poradziła. Osiągała znakomite wyniki w nauce i była towarzyskim dzieckiem, niezwykle odpowiedzialną osobą. Jeśli coś po Tobie odziedziczyła, to z pewnością energię i niezależność. Nie była kimś, kogo można przymusić do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty. Słuchała mamy, którą kochała i ogromnie szanowała. Wiem, bo byłem tego świadkiem, że Betty poświęciła jej swoje życie, a efekt jest naprawdę godny uwagi...

Jak ci wspominałem, kilka lat temu ze strony europejskich mediów (telewizji czy gazet) doszło do próby sponsorowania Twojego spotkania z Mahtob w Europie. Ona była już całkiem dorosła i mogła podróżować bez przeszkód. Jednak Mahtob odrzuciła ten pomysł. Myślę, że teraz jest odpowiedni moment, żeby wrócić do tej sprawy i przekonać się, czy ten pomysł może przynieść efekty. Jeśli nawiążę kontakt z Betty i Mahtob, będę realizował tę opcję...

Uważam, że Mahtob i Ty możecie nawiązać z sobą stosunki. Z całą pewnością musisz być przekonany, że Betty nie jest, nie była i nie będzie przeciwna takiemu posunięciu. Jestem tego tak samo pewien, jak tego, że wiem, jak się nazywam. Nie będzie się w ogóle wtrącała i zostawi to Mahtob. Jeśli ona nie chce i nie będzie chciała, to będzie jej własna decyzja. Jedyne, co możesz zrobić, to położyć ją na stole operacyjnym i usunąć ten gen, który jej dałeś. Jeśli mógłbyś usunąć jej ten gen, wtedy chętnie zrobiłaby wszystko, co ktoś by jej powiedział...

Żeby wyrazić, do jakiego stopnia Betty jest pozbawiona złej woli, wystarczy powiedzieć, że nie sprzeciwiałaby się, gdyby ona wybrała sobie Persa na męża. Rzeczywiście, przez jakiś czas Mahtob miała przyjaciela perskiego pochodzenia...

Uważam, że... religia jest przyczyną większości nieszczęść człowieka, niezależnie od tego, o jakiej religii mówimy. Gdybyśmy całkowicie zlikwidowali religię i przestrzegali jednej prostej zasady traktowania innych w taki sposób, w jaki sami chcemy być traktowani, znikłaby potrzeba istnienia wszystkich religii i przyczyna ludzkich krzywd. To jest całkowicie niedorzeczne, że zabijamy

i rujnujemy innych, bo Bóg, którego nigdy nie widzieliśmy, nie jest Bogiem opisywanym tak, jak inni go postrzegają. Wspominam o tym, ponieważ zauważyłem kiedyś, że również Mahtob ma silne przekonania religijne. Długo dyskutowaliśmy na ten temat i doszedłem do tego wniosku. Powinieneś to zaakceptować jako jej wybór, tak jak ja zaakceptowałem to jako wybór moich dzieci...

Zresztą, nie mam pojęcia, czy cenisz sobie moją opinię, czy nie. Jednak jeśli jeszcze ma ona dla Ciebie jakąś wartość, muszę ci powiedzieć, że po prostu masz fantastyczną córkę. Jak już przekazałem Sassanowi, odpowiednią karą, jaką poniosłeś za ten numer, który wykręciłeś, było to, że nie byłeś świadkiem dorastania Twojej cudownej córki. Nie sądzę, żeby jakakolwiek inna kara była właściwa...

Przeszłość to przeszłość i nie zamierzam się nad nią rozwodzić. Wszyscy Twoi przyjaciele byli ogromnie rozczarowani, bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Wszyscy byliśmy zdumieni, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś. Troską o kwestie humanitarne można się dzielić z innymi. Jednak ci z nas, którzy Cię znali i uważali za naszego przywódcę, naszego bohatera, człowieka o niezrównanej uczciwości, mądrości i zdolnościach przywódczych, byli całkowicie zaszokowani. W każdym razie pewnego dnia podzielę się z Tobą tym, co przychodziło nam do głowy...

Kombiz

Od Moody'ego do Kombiza

Kombiz dżan, ghorbanat gardam!

Dziękuję Ci za Twój piękny, długi i pouczający list. Czytałem go z przyjemnością i miałem nadzieję, że nigdy się nie skończy! Jednocześnie mnie uradował i zasmucił...

Dziękuję, że tak dużo opowiedziałeś mi o Mahtob. Sprawileś, że poczułem się z niej dumny jeszcze bardziej niż wcześniej. Wiedziałem, że jest inteligentna i ma cechy przywódcze. Życzę jej szczęścia i sukcesów. Wiesz, że kocham ją podwójnie: po pierwsze, jako swoją córkę, a po drugie, odkąd po raz pierwszy spojrzałem na jej twarz, widziałem w niej twarz swojej matki. W tamtej chwili podziękowałem Bogu, że dał mi córkę i że zwrócił mi matkę, którą straciłem, gdy byłem małym chłopcem. Dlatego kochałem ją i dbałem o nią, a ona o tym wiedziała, Mówię to, bo gdy wracałem do domu ze szpitala, podbiegała do mnie, zarzucała mi ręce na szyję i całowała w policzek ze słowami: „Tatuś mnie kocha *YE ALAME*”.

Jeśli chodzi o to, jak traktowałem Betty, gdy mieszkaliśmy w Iranie, byliśmy kochającą się trzyosobową rodziną. Co do moich irańskich krewnych, wiedząc

o dzielących nas różnicach kulturowych, trzymaliśmy się od nich z daleka, utrzymywaliśmy natomiast kontakty towarzyskie z innymi parami mieszanymi kulturowo (irańscy mężowie z amerykańskimi żonami). Mieliśmy taki ciepły i przyjazny dom (powinienem powiedzieć DOM PEŁEN MIŁOŚCI). Nasze stosunki rodzinne były przedmiotem zazdrości wielu naszych amerykańskich i brytyjskich przyjaciół. Niestety, współautor książki Betty i filmu *Tylko razem z córką* zignorował to i zostałem zaprezentowany jako brutalny, agresywny mężczyzna bijący żonę, który oddzielił dziecko od matki (albo na odwrót). Betty zaś została przedstawiona jako maltretowana kobieta. Było wprost przeciwnie, kochałem żonę i córkę i troszczyłem się o nie.

Ogólnie rzecz biorąc, sympatyzuję z Betty (taką, jaka została przedstawiona w KSIĄŻCE i w FILMIE *Tylko razem z córką*). Któż o zdrowych zmysłach i dobrym sercu, kierujący się UCZCIWĄ oceną, NIE zareagowałby w ten sposób?! Kobieta wraz ze swą ukochaną córką została PORWANA i zabrana do obcego, tak niecywilizowanego kraju jak IRAN. Była regularnie bita, trzymana jako zakładniczka i więziona bez jedzenia (ta odrobina jedzenia, jaką dostawały, była pełna LARW i KARALUCHÓW) oraz bez swobody rozmawiania i wychodzenia z domu. Nie miała wody, żeby się wykąpać (nie licząc półtora raza podczas osiemnastu miesięcy, które spędziła w IRANIE – wiecie, „Irańczycy biorą prysznic raz na ROK”). Grożono jej śmiercią, więc musiała UCIEC do WOLNOŚCI (do Stanów Zjednoczonych!). W marznącym deszczu i śnieżycy z maleńką dziewczynką (swoją UKOCHANĄ CÓRKĄ) pomimo czujnych oczu OKRUTNEJ rodziny męża i BRUTALNEJ policji Pasdaran, a także innych niezliczonych PRZECIWNOCI i NIEBEZPIECZEŃSTW, KLĘSK ŻYWIOŁOWYCH, BOMB i EKSPLOZJI...

Nie tylko SYMPATYZUJĘ z TAMTĄ Betty i jej CÓRKĄ, wielkie brawa dla kobiety, która potrafiła zabrać swoją CÓRKĘ przez lodowate góry Zagros do WOLNOŚCI (powinna być bohaterką nie tylko w oczach maltretowanych żon, lecz także dla WSZYSTKICH SZLACHETNYCH ludzi, niezależnie od ich płci i doświadczeń małżeńskich), lecz sympatyzuję także z jej SYMPATYKAMI na całym świecie, zwłaszcza z kobietami, które tak jak TAMTA Betty były maltretowane i poniewierane przez kogokolwiek, a zwłaszcza przez swoich MĘŻÓW!... Co więcej, jestem zadowolony, widząc, że jest tylu miłośników wolności i tych, którzy sprzeciwiają się ludzkiej krzywdzie i uciskowi. Jednak jeszcze bardziej jestem ZDZIWIONY, że tak niewielu z jej czytelników kocha SPRAWIEDLIWOŚĆ i ma szacunek dla praw kobiet!! (Bądźmy uczciwi, przynajmniej jest ich więcej niż lokatorów tak zwanego BIAŁEGO DOMU – CZARNY dom lepiej pasuje). Bóg wie, że moje serce krwawi na myśl o TAKIEJ Betty i jej CÓRCIE!

ALE TAKA BETTY NIGDY NIE ISTNIAŁA!!

To był tylko wymysł pana Williama Hoffer'a, a NIE córka pana Harold'a i pani Fern Loverów, z którą ożeniłem się 6 czerwca 1977 roku w meczecie przy Richmond Avenue w Houston w Teksasie w Stanach Zjednoczonych. Nie była również kobietą, która urodziła moje dziecko. Ani nie była PRAWDZIWA Betty, która została panią MAHMOODY! Ta PRAWDZIWA Betty L. Lover Smith, która później została PRAWDZIWA panią MAHMOODY, była kobietą traktowaną jak królowa. Na ślubie dostała komplet diamentowych pierścionków jako posag. Trzy dni później, na jej urodziny, zrobiłem jej niespodziankę – przyjęcie urodzinowe z ponczem, tortem, wystawnym posiłkiem i diamentowym zegarkiem. Wkrótce po tym, jak rozpocząłem praktykę medyczną w Teksasie, wysłaliśmy bilety w dwie strony dla jej dzieci i rodziców, żeby przylecieli na południe do Teksasu i spędzili z nami wakacje. Gdy byli w Corpus Christi, zabieraliśmy ich do najlepszych restauracji dla smakoszy, z daniami różnych narodów, na przykład meksykańskimi, irlandzkimi, japońskimi, i oczywiście do barów z owocami morza. Podobnie jak innych krewnych, rodzeństwo i przyjaciół Betty, zabraliśmy ich na trzygodzinną wycieczkę do miast nad granicą meksykańską, na zwiedzanie i zakupy. A na wakacje – do letnich kurortów w Teksasie. Nie mówiąc już o wycieczkach na piaszczyste plaże Padre Island, żeby popływali w ciepłych wodach Zatoki Meksykańskiej.

Wstrzymując oddech, przypominam sobie raz jeszcze, że to są tylko informacje. To tylko informacje. To tylko informacje.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy moja prywatna praktyka w Teksasie rozkwitła, a moje dochody wzrosły do około 30 000 dolarów miesięcznie. Wkrótce kupiliśmy największy i najatrakcyjniejszy dwukondygnacyjny dom z marmuru, wystawiony na licytację w zamożnej dzielnicy miasta. Dom był otoczony aksamitną trawą świętego Augustyna, przypominającą zielony, ręcznie tkany, perski dywan. Rosło tam mnóstwo kwiatów i był unikalny ogród kaktusów, a także palmy, drzewa oliwne, pomarańczowe i grejpfrutowe...

Nie przez przypadek PRAWDZIWA Betty także w Iranie korzystała z PODOBNYCH wygod. Tu także mieliśmy duży, przypominający willę dom w Pasdaran (zamożnej części północnego Teheranu), z ładnym trawnikiem, licznymi kwiatami i kilkoma drzewami, między innymi czereśnią (Mahtob i córki naszych sąsiadów w jej wieku zrywały dla nas czereśnie)... W dodatku ten dom w Teheranie miał basen. Na tym polegała jego przewaga nad naszym domem w Teksasie. Dom był w pełni wyposażony we włoskie meble i amerykańskie urządzenia, a także perskie ręcznie tkane dywany, kolorowy telewizor i organy elektryczne. Mogła swobodnie wychodzić na zakupy albo odwiedzać swoje przyjaciółki, kiedy tylko miała ochotę (zawsze miała pliki *ESKENAS*** do wydawania na zakupy.) Kilka razy kupiła ręcznie robione perskie upominki i wysłała je do rodziny w Stanach. Pan William Hoffer, współautor jej książki,

upolitycznił miły związek rodzinny, żeby zaatakować nie tylko mnie, lecz także Islamską Republikę Iranu.

Kombiz-e *AZZIZAM*, mój przyjazd do Iranu nie miał oznaczać poparcia dla **POLITYCZNEGO** ustroju w Iranie (wcale nie), ale pomóc ofiarom wojny, rannym, którzy byli głównie moimi krewnymi, mieszkańcami i mieszkankami mojego miasta, a jeśli nawet nie, moimi rodakami i rodaczkami. A nawet jeśli i to nie, byli **LUDŹMI**. Jako dobrze wykształcony irański lekarz (anestezjolog) miałem obowiązek wobec swoich rodaków służyć im podczas niechcianej, narzuconej wojny. Na Boga, gdybym ja jako irański lekarz **NIE** przyjechał z pomocą, czy lekarze, powiedzmy z Kanady, Holandii albo Francji, pojechaliby do obcego, rozdartego wojną kraju i pomagali licznym ofiarom wojny? Otóż jeśli niesienie takiej pomocy w tak krytycznym momencie i okresie rozdrażniło niektórych Irańczyków za granicą, niech tak będzie. Są rozdrażnieni, bo nie zostali właściwie poinformowani. Naprawdę uważam, że to, co zrobiłem i kiedy to zrobiłem, zasługuje na **NAGRODĘ HUMANITARNA**. Jestem dumny z tego, co zrobiłem. Uważam, że wykładanie na uniwersytecie i kształcenie pokoleń młodych lekarzy dla mojego kraju oprócz oferowania swoich usług medycznych jest czymś, dzięki czemu wszyscy, którzy **KOCHAJĄ IRAN**, mogą być jeśli nie dumni, to przynajmniej zadowoleni. Ponieważ **JA ZROBIŁEM** to, co tak wielu z nich pragnęło zrobić, ale **NIE** miało ku temu okazji. Wiesz, że przyjaciół poznaje się w biedzie. Myślę, że wypełniłem swoją misję.

A teraz oceń **UCZCIWIE**. Ja rozdzieliłem Mahtob z rodzicem, czy to Betty rozdzieliła Mahtob z jej **BIOLOGICZNYM OJCEM**? To ona **ZABRAŁA** ją z domu pełnego miłości i ciepła!...

Możesz przesłać kopię tego listu naszym wspólnym przyjaciołom, żeby poinformować ich, jaka jest prawda. Być może skłoni ich to do ponownego rozważenia swojej opinii o moim postępowaniu. Tą drogą przepraszam, jeśli sprawiłem im przykrość.

Proszę, pozostań w kontakcie. Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich
Ghorbanat

Moody

PS Przekaż moje serdeczne pozdrowienia Mahtob, jeśli kiedyś uda Ci się z nią skontaktować...

Co za tupet! Przeprósł swoich przyjaciół, ale nie mnie! Zresztą, cóż to za puste przeprosiny. Właściwie wcale nie mówi, że jest mu przykro. Chce tylko, żeby uwierzyli w jego urojoną wersję prawdy.

Oddychaj głęboko, przypominam sobie. To tylko informacje.

Od Kombiza do Moody'ego

Moody *dżan, salaam,*

Twój angielski nadal jest doskonały. Pozwól, że zadam ci osobiste pytanie. Czy w głębi duszy nie sądzisz, że popełniłeś wielki błąd? Jestem zszokowany, kiedy myślę o tym, kim byłeś, co mogłeś mieć i czego nie miałeś. Jak śmiałeś mnie opuścić? Opuściłeś nawet Farjara. Nawet się nie pożegnałeś. Proszę, nie mów mi, że to były dwutygodniowe wakacje. Gdybyś nie miał licencjatu i magisterium z matematyki, powiedziałbym, że jesteś kiepski z rachunków. Nie wiedziałeś, że stopnie naukowe z matematyki będą Cię kiedyś przesładować. Gdybyś nie wybrał matematyki na główny kierunek, teraz mógłbyś mieć jakieś wytłumaczenie...

Cóż, drogi przyjacielu, dbaj o siebie. Nadal jesteś szczęściarzem. Masz córkę, która jest bezpieczna, szczęśliwa i ma wspaniałe życie...

Miłych snów

Kombiz

Od Moody'ego do Kombiza

Kombiz-e *azziz,*

jest mniej więcej 13.30 Twojego czasu. Mam nadzieję, że smakował ci lunch, ale zanim utniesz sobie drzemkę, przeczytaj odpowiedzi na swoje pytania...

„Jak śmiałeś mnie opuścić? Opuściłeś nawet Farjara”.

Nigdy was nie opuściłem, chłopaki! Nie wziąłem z sobą waszych numerów telefonu, więc nie miałem dostępu do Was wszystkich. Powinniście mi to wybaczyć.

„Proszę, nie mów mi, że to były dwutygodniowe wakacje”.

To nie były dwutygodniowe wakacje! Wcale nie miały być! Planowaliśmy zostać przez jakiś czas. Był to pobyt na czas nieokreślony... Więc bynajmniej nie były to dwutygodniowe wakacje i jeśli wojna by się skończyła, wrócilibyśmy wszyscy razem do Stanów. Nie było potrzeby, żeby Betty porywała Mahtob i robiła wokół tego tyle hałasu! Wystarczyłoby, gdyby Betty powiedziała mi, że chce wrócić do Ameryki.

„Pozwól, że zadam ci osobiste pytanie. Czy w głębi duszy nie sądzisz, że popełniłeś wielki błąd?”

Tak właśnie sądzę. Nigdy nie myślałem, że:

1) Betty zniszczy naszą rodzinę. Prowadziła tu, w Iranie, wygodne życie, którego zazdrościła jej większość zagranicznych przyjaciółek!...

2) Irańscy urzędnicy państwowi tak źle mnie potraktują. Musiałem pracować i uczyć przez sześć miesięcy prawie za darmo, żeby zaakceptowali mój amerykański dyplom medyczny. Poza tym moi koledzy byli zazdrośni o moje

amerykańskie wykształcenie i wysokie umiejętności. Stwarzali mi wszelkiego rodzaju problemy. Pomimo tego wszystkiego wytrwałem i zdołałem wykształcić pokolenia młodych lekarzy dla MOJEGO NARODU. To było zadanie, któremu niewielu innych dałoby radę! Robiłem to tak dobrze i tak długo, że w końcu przyznali mi tytuł LEKARZA ROKU w 2003. Nie zważając na te osiągnięcia, kilka miesięcy później zrobili na mnie zamach i Z DNIA NA DZIEN wysłali mnie na emeryturę, robiąc miejsce pewnemu młodemu lekarzowi ze swojej mafijnej kliki. Oczywiście jest i druga strona medalu. Cieszę się, że byłem – i nadal jestem – użyteczny dla swojego kraju i dla ludzi, których kocham! Bądźmy w tej sprawie uczciwi – kosztowało mnie to wygodne rodzinne życie, jeśli nie znacznie więcej.

„Twój angielski nadal jest doskonały”.

...Och, przecież mieszkałem przez całe życie w świecie angielskojęzycznym. Poza tym jestem z ABADANU!...

Fadajat

Moody

Od Kombiza do Moody'ego

Drogi Moody,

mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, że humor Ci dopisuje, cieszysz się dobrym zdrowiem i jesteś zadowolony z życia.

Zamierzam odpisać Ci szczegółowo, dzieląc się z Tobą tym, co leży mi na sercu i na duszy. Podzielę się z Tobą swoimi myślami, poglądami i przekonaniem, słusznie czy niesłusznie. Gdybym nie podzielił się z Tobą tym, co myślę i w co wierzę, nasza przyjaźń byłaby bezwartościowa.

1) Jeśli chodzi o Twoje stosunki z Mahtob, mam nadzieję, i modłę się o to do Boga, że nawiążesz z nią stosunki, choćby tylko przez wzgląd na nią.

Ja zasadniczo wierzę, że krew przyciąga krew. Myślę, że Ty przyciągasz Mahtob, a Mahtob przyciąga Ciebie. Związek ojca z córką jest równie święty jak związek matki z synem. Naprawdę mocno w to wierzę, że każdy mężczyzna na ziemi miałby niezwykle szczęście, będąc jej ojcem. Do tego stopnia jest dobra. Nie sądzę, żebyś mógł się przekonać, jak dobrą osobą jest Mahtob. Musisz naprawdę zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że przeszła w życiu ogromną traumę, i mimo całej miłości i szacunku, jakimi Cię darzę, jestem głęboko przekonany, że to Ty byłeś przyczyną tej traumy.

Jestem skłonny uwierzyć Ci na słowo i przyjąć do wiadomości, że nie było Twoim pragnieniem, zamiarem czy życzeniem, żeby doznała traumy. Znam Cię od dawna i wiem, że jesteś niezwykle współczującym człowiekiem. Współczułeś swoim pacjentom, przyjaciółom i partnerom. Doskonale pamiętam, że wszyscy Cię

szanowali i wszyscy bardzo dobrze się o Tobie wyrażali.

Pomimo wszystkich tych faktów i danych zrobiłeś kolosalny błąd w ocenie. Zabrałeś do Iranu amerykańską małżonkę, doskonale wiedząc, że będziesz chciał wychować swoją córkę w Iranie, chociaż dobrze wiedziałeś, że jej mama robi wszystko, co możliwe, żeby do tego nie dopuścić. Mahtob musiała przejść traumę związaną z ucieczką z Teheranu w niezwykle niebezpiecznych i złych warunkach. Poza tym doprowadziłeś do tego, że dorastała bez obecności, rad i miłości kochającego ojca.

Niezależnie od wszystkiego, co jej mama dla niej robiła, zawsze istniał element ryzyka, że zostanie porwana. Z natury rzeczy była to próba sił na odległość. Konieczność założenia alarmu w domu i w samochodzie oraz ciągłego obserwowania otoczenia stawiała ją w niepewnej sytuacji. Pomimo tego wszystkiego wyrosła na bardzo zdrową kobietę, która nie czuje złości do mężczyzn ani ich nie potępia. Zasadniczo uważam, że jeśli ona nie chce nawiązać z Tobą kontaktu, jest to w stu procentach jej własna decyzja...

Nigdy nie słyszałem, żeby Betty mówiła o Tobie coś niezyczliwego, przynajmniej w mojej obecności. Należy bardzo jasno powiedzieć, że gdyby sfabrykowała jakąś historię w swojej książce, Mahtob jest wystarczająco silna, żeby się temu przeciwstawić. Mahtob bynajmniej nie jest frajerką. Takie osoby nie zostają najlepszym absolwentem roku. Ona potrafi postawić na swoim i bronić własnych przekonań. Ilekroć się z nią spotykałem, myślałem o Tobie i o tym, jak mi jest przykro, że nie możesz widzieć, jak dorasta.

2) Nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że ona uwielbia swoją mamę i rzeczywiście ma za co, bo przez te wszystkie lata była dla niej wielką podporą i najbliższą przyjaciółką. Możesz sobie nakręcić dokument, żeby kwestionować książkę Betty, film czy jej twierdzenia, ale to niewątpliwie wbije jeszcze większy klin między Ciebie a Mahtob. Jakakolwiek obrona z Twojej strony zostanie odczytana jako zniewaga pod adresem Mahtob. Zyskasz poparcie innych ludzi i być może zaszłysz sobie na sympatię innych. Jednak powiedz mi szczerze, jaki to będzie miało wpływ na Mahtob? Czy Mahtob będzie miała o Tobie lepsze zdanie, jeśli będziesz atakował jej mamę? Mama była w oczach i w przekonaniu Mahtob jej wybawieniem. A tu zjawia się jej ojciec i po tych wszystkich latach tworzy książkę, tworzy film dokumentalny i atakuje jej matkę. Gdyby Mahtob całkowicie zapomniała, przez co przeszła, to może byłaby szansa. Jeśli to, co Betty napisała w książce, jest w osiemdziesięciu procentach prawdą, masz absolutnie zerowe szanse, żeby zdobyć miłość Mahtob.

3) Jedyna możliwa droga postępowania... z Mahtob (zapomnij o wszystkich innych ludziach na świecie) powinna być moim skromnym zdaniem taka, że nie miałaś racji i popełniłeś kolosalny błąd.

Jest całkiem prawdopodobne, że obroniłeś się w oczach i w mniemaniu ludzi

na świecie. Jednak co do Mahtob, ona tam była. Pamiętaj, czy zabrałaś ją od matki. Pamiętaj, czy uderzyłaś jej matkę. Pamiętaj, czy uwięziłaś jej matkę. Gdyby te rzeczy nie były prawdą, znienawidziłaby swoją matkę za takie wymysły i wskoczyłaby do samolotu, żeby przylecieć do Iranu w tej samej minucie, w której skończyła osiemnaście lat.

Są pewne rzeczy, których Betty nie mogłaby zmyślić ani wyolbrzymić. Jeśli się ze mną nie zgadzasz, porozmawiaj z psychologiem dziecięcym w Iranie. Bądź z nim absolutnie uczciwy i szczery. To będzie za zamkniętymi drzwiami gabinetu, między Tobą a psychologiem. Powiedz mu, że te rzeczy i wydarzenia miały miejsce na oczach Mahtob. Była świadkiem tych wydarzeń. Teraz jest dorosłą kobietą. Zapytaj go, jak mógłbyś nawiązać z nią stosunki. Niech psycholog Ci powie, jakie powinno być Twoje podejście. Zapytaj, czy Twój film dokumentalny pomoże, czy zaszkodzi Twoim stosunkom z Mahtob...

4) Moody *dżan*, pozwól, że będę z Tobą bardzo szczery. Moim zdaniem jest absolutnie w porządku, że się bronisz i próbujesz usprawiedliwić to, co zrobiłaś. Możesz to robić ze wszystkimi ludźmi na świecie z wyjątkiem mnie. Ja przy tym byłem, byłem tego świadkiem i wiem wszystko o tej sprawie. Oto, co pamiętam i dlaczego nie kupuję Twojej historii.

a) Gdy tylko zaczęła się rewolucja, zmieniłaś się z dnia na dzień. Zdecydowanie opowiadałaś się za Chomeinim i za tym, że Iran musi się stosować do doktryny islamskiej. Czy pamiętasz naszą długą rozmowę telefoniczną?... Możesz próbować przekonywać innych, że chciałaś wyjechać do Iranu z powodów humanitarnych, ale proszę, nie próbuj tego ze mną. Wiesz dlaczego? Bo to znaczyłoby, że mówisz mi: „Jesteś tak głupi, że mogę ci mydląć oczy”.

b) Podczas mojej ostatniej podróży do Michigan odwiedziłem Ciebie i Betty. Ona chowała Twój paszport, bo bardzo się bała, że wywieziesz Mahtob z kraju. Powiedziałem jej, że pod żadnym pozorem nie powinna jechać do Iranu. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego pojechała. Kiedy jedliśmy kolację w restauracji, zapytałem Cię, czy się zastanawiasz nad wyjazdem do Iranu, żeby tam praktykować. Pamiętasz, co odpowiedziałaś? Pozwól, że odświeżę Ci pamięć. Wiedziałem, że nie mówisz mi prawdy. Powiedziałaś: „Jak mógłbym, skoro nie znam terminów medycznych ani procedur obowiązujących w Iranie?”.

c) Jak powiedziałem Ci wcześniej przez telefon, byłem w Atenach jako turysta. Zorientowałem się, że mój paszport stracił ważność. Poszedłem do ambasady amerykańskiej i gdy czekałem, usłyszałam, że jakaś Amerykanka rozmawia z personelem, prosząc ich, żeby zabrali jej amerykański paszport do ambasady Szwajcarii i wysłali go do ambasady Szwajcarii w Iranie, dokąd pojedzie i odbierze swój paszport. Zrobiła tak wcześniej w Teheranie i kiedy przyjechała do Aten, odzyskała swój amerykański paszport. Zaczęliśmy rozmawiać, gdy czekaliśmy, i opowiedziała mi, jak ciężkie życie mają Amerykanki, które wyszły za

Irańczyków. Potem powiedziała mi, że w Teheranie jest pewna pani z Ameryki, która błaga ambasadę Szwajcarii, żeby pomogli jej uciec z córką z Iranu. Jej mąż był lekarzem wykształconym w Ameryce. Jeszcze w Stanach próbowałem się z Tobą skontaktować i dzwoniłem kilka razy. Dostałem odpowiedź, że wasz numer telefoniczny z Alpenie został odcięty i że nie ma żadnego numeru. Nabrałem przekonania, że wszyscy wyjechaliście do Iranu. Gdy ta kobieta, która również miała męża Irańczyka w Teheranie, powiedziała mi w Atenach o Amerykance więzionej w Teheranie, skojarzyłem fakty. Zapytałem ją o nazwisko tamtej kobiety. Nie była pewna, ale powiedziała coś, co brzmiało jak Mohammadi. Zapytałem, czy może Mahmoody, a ona powiedziała: „Och, tak, właśnie tak się nazywa”... Wobec tego gdy przeczytałem w jej książce o chodzeniu do ambasady Szwajcarii, wiedziałem, że to jest na sto procent prawda.

d) Następną wiadomość, jaką usłyszałem, pochodziła od pewnego Persa. Ten Irańczyk, który wyjechał z Iranu i należał do kręgu Twoich przyjaciół, zadzwonił do mnie do Kalifornii i powiedział: „Mam dla ciebie wiadomość od Betty Mahmoody. Jest w Iranie, jest więziona i czuje się strasznie nieszczęśliwa”. Powiedział, że ona chce tylko, żebym o tym wiedział, ale prosiła, żebym nie kontaktował się z Moodym. Pobiłby ją i zatruł jej życie... Po pierwsze, nie wiedziałem, gdzie jesteś, a po drugie, nie mogłem zrobić czegoś, co naraziłoby życie Betty na większe niebezpieczeństwo. Byłem bardzo smutny i rozczarowany...

e) Kiedy Betty w końcu wydostała się z Iranu i wróciła do Michigan, skontaktowała się ze mną... Pierwsze pytanie, które jej zadałem, brzmiało: „Dlaczego pojechałaś do Iranu, skoro mówiłem ci, żebyś tego nie robiła?”. Pamiętała o moim ostrzeżeniu, ale powiedziała mi, że się bała, że jeśli zabierzesz Mahtob do Iranu samą, już nigdy nie będzie mogła zobaczyć swojej córki. Mogę się czymś z Tobą podzielić? Oceniam prawdopodobieństwo tego na dziewięćdziesiąt pięć procent. Innymi słowy, gdybyś zabrał Mahtob do Iranu, wychowałbyś ją jak muzułmańską córkę i do diabła z jej matką. Czy wiesz, ilu mężczyzn z Bliskiego Wschodu tak zrobiło? Wobec tego ani trochę nie winię Betty za to, że pojechała z Tobą do Iranu... Rzeczywiście powiedziała mi, że po jakimś czasie wróciłbyś do Stanów Zjednoczonych. Ty jednak wiedziałeś, że gdybyś wrócił z nią do Stanów Zjednoczonych, z pewnością rozwiodłaby się z Tobą. Powiedziała, że faktycznie tak by zrobiła. Z tego powodu wcale nie miałeś zamiaru wrócić do Stanów ani pozwolić przyjechać Mahtob. Betty mogłaby to zrobić, ale bez Mahtob. W rzeczywistości chciałeś, żeby Betty przyjechała do kraju, po to żeby upłynnić wasz majątek w Michigan. Właśnie z tego powodu, nawet gdy się zorientowałeś, że nie masz pozwolenia na pracę jako lekarz, nie chciałeś wrócić do Stanów. Zostawiłeś tu swój majątek i swoje rzeczy, bo chciałeś ją przekonać, że wyjeżdżacie do Iranu na krótko. Coś jeszcze ją przekonało, że być może jest szansa, że wrócicie wszyscy razem. Przysięgłeś na Koran, że wrócicie.

Powiedziałeś, że stałeś się ofiarą polityki między Iranem a Ameryką, ale całkowicie się z tym nie zgadzam. Stałeś się ofiarą własnych uprzedzeń i fanatyzmu. Przedłożyłeś własną polityczną ideologię ponad dobro swojej rodziny. Nigdy nie zapomnę przekleństw, które kierowałeś zwykle pod adresem mediów, kiedy oglądaliśmy telewizję w waszym domu w Alpenie. Przeklinałeś Amerykę, a ja mówiłem sobie: „Jak to jest, że on to robi, skoro jego żona jest Amerykanką?”. Zastanawiałem się, jak byś zareagował, gdyby ona powiedziała: „Do diabła z Iranem”. Pamiętam, że powiedziałeś wyraźnie: „Do diabła z Ameryką”...

Nie możesz mieszać religii z polityką, a już z całą pewnością nie możesz mieszać religii z zasadą utrzymania rodziny. Twoim pierwszym i najważniejszym obowiązkiem była odpowiedzialność za swoją wspaniałą córkę i jej matkę.

To, co zrobiłeś, stało się największym nieszczęściem, jeśli chodzi o wizerunek Irańczyka i muzułmanina w umysłach ludzi na całym świecie... Brałem kiedyś udział w ogromnej irańskiej konferencji w Berkeley w Kalifornii. Uczestnikami było bardzo wielu irańskich naukowców ze Stanów Zjednoczonych i z zagranicy... Pewnego popołudnia w programie znalazła się dyskusja nad *Tylko razem z córką*... Nawet ci, którym nie podobała się książka Betty, nie mieli sympatii dla Twoich postępów...

Nie sądzę, żeby w całym tym scenariuszu byli jacyś zwycięzcy. Betty wcale nie była zwycięzcą. Miała nieszczęśliwe życie. Życie z wiszącą nad głową groźbą, że straci swoje dziecko, nie jest życiem. Mahtob na pewno też nie wygrała, a największym przegranym jesteś Ty...

Twoim zadaniem nie było powstrzymanie wojny czy pomaganie pacjentom. Pacjentom pomagałeś tutaj, a oni też są stworzeniami bożymi. Co za różnica, gdzie urodziła się dana osoba i jaką religię wyznaje. Koniec końców, on czy ona jest stworzeniem bożym. Zdecydowałeś się mieszkać w tym kraju. Twoje zezwolenie na wykonywanie zawodu lekarza nie określało, że masz ratować tylko perskich pacjentów. Miałeś tak dużo pieniędzy, że mogłeś sponsorować kilkoro dzieci z Iranu czy z Tybetu, jeśli o to chodzi.

Nie cofaj się myślami do tego, co powinieneś był zrobić albo co mógłbyś zrobić. Było, minęło. Zabawa w obwinianie innych nigdy nie przynosi owoców. To strata czasu. Musisz mieć jeden godny uwagi cel. A jest nim nawiązanie kontaktów z Twoją córką.

Nie możesz tego zrobić, atakując jej matkę. Wysuwając zarzuty wobec jej matki, będziesz miał zero, nie więcej niż zero szans na nawiązanie kontaktów z Mahtob. Co w tym dziwnego? Czy byłbyś moim przyjacielem, gdybym szkalował Twoją mamę? Dlaczego Mahtob miałaby być inna?

Tym, co zrobiłeś Betty i Mahtob, nie zdobędziesz u mnie punktów...

Mam nadzieję, że nie pogniewałeś się na mnie, bo podzieliłem się z Tobą tym, co mi leżało na sercu.

Ghorbanat

Kombiz

Upuszczam listy na kolana i odchylam się do tyłu na fotelu. Każdy milimetr ciała boli mnie od napięcia. Czytając słowa taty, nadal słyszę znajome warczenie lisa, który mnie prześladował, gdy byłam małą. Jakże nie znosiłam jego tyrad. Na pozór niczym niesprowokowany, zaczynał perorować, wygłaszając przydługie diatryby pełne kłamstw, przesady i pompatycznych oskarżeń, które często nie miały większego albo i żadnego sensu ani żadnych podstaw w rzeczywistości. Im więcej krzyczał, tym bardziej się denerwował i wkrótce było pewne, że nastąpi wybuch oraz dojdzie do przemocy fizycznej. Widzę jego głos na kartce, bo każde słowo napisane dużymi literami to wirująca w powietrzu pięść.

Trzęsę się z wściekłości. Mam ochotę wrzeszczeć na niego i powiedzieć mu, że zapomniał, iż mieliśmy więcej niż jeden basen. Mieliśmy dwa. Basen u Baby Hadziego i Amme Bozorg miał cienką warstwę stojącej zielonej wody przez cały czas, kiedy tam byłam, a basen na podwórzu naszego ostatniego mieszkania był pustą cementową dziurą w ziemi. Nawet gdyby było inaczej, zdziczałe perskie koty doprowadziłyby do tego, że nie nadawałby się do użytku.

Tak wiele z tego, co twierdził, praktycznie każdy aspekt tego, co twierdził, jest ewidentnym oszustwem. Jeśli zamierzał kłamać, mógł przynajmniej postarać się, żeby jego kłamstwa były prawdopodobne. Zresztą nawet gdyby wszystko, co powiedział, było prawdą, czy to usprawiedliwiłoby jego brutalność? Co z tego, że kupił swojej żonie diamentowy zegarek. Czy to daje mu prawo przetrzymywania jej w charakterze zakładniczki, bicia czy grożenia, że ją zabije? Co z tego, że mieliśmy basen. Czy przez to jest okej, że bije moją mamę w mojej obecności albo mówi mi, że już nigdy jej nie zobaczę?

Podnoszę kartki i ze złością raz jeszcze je przeglądam. Rzucają mi się w oczy słowa „najlepszy absolwent”. Czy tato rzeczywiście pytał Kombiza, czy byłam najlepszą absolwentką? Jeśli tak, może było to podczas jednej z ich rozmów telefonicznych. Tak czy inaczej, Kombiz mówił mi, jaki to cud, że mimo wszystkich cierpień, których nam przysporzył, wyrosłam na zrównoważoną osobę. Wydaje się jednak, że tato przejmując się raczej tym, czy byłam, czy nie byłam najlepsza na roku. Jakie to do niego podobne – obsesja na punkcie pozycji, prestiżu i perfekcji.

Czy to było źródłem destrukcyjnej nieśmiałości, z którą tak długo walczyłam? Nigdy nie sprosttałabym jego oczekiwaniom. Gdyby odgrywał aktywną rolę w moim życiu, kiedy dorastałam, zawsze czułabym, że najlepsze, na co mnie stać, o ile nie byłoby lepsze od najlepszych osiągnięć wszystkich innych, nie jest wystarczająco dobre. On nie troszczył się o mnie. Troszczył się o to, jaki wpływ

mam na jego pozycję. Zależało mu, aby mógł się przechwalać, że jest ojcem najlepszej absolwentki. Dobrze pamiętam tę pozę zarozumiałstwa. Zawsze chciałam wierzyć, że tato mnie kocha, ale teraz zastanawiam się, czy wiedział, co to miłość. Czy w ogóle był zdolny do miłości? Jego miłość do mnie istniała tylko w powiązaniu z nim samym. Nie kochał mnie za to, kim byłam – za moją osobowość, mój charakter, moje przekonania, nawet nie za moje osiągnięcia. Kochał mnie, ponieważ byłam jego.

W oczach mojego taty nic z tych rzeczy nie miało związku ze mną. Wykorzystywał mnie w charakterze pionka w swoich próbach ratowania twarzy i atakowania mamy za to, co uważał za osobistą zniewagę. Gdyby naprawdę wierzył w historię, którą przedstawiał reszcie świata, i gdyby naprawdę troszczył się o mnie, wniósłby sprawę do sądu już po kilka dniach, jeśli nie godzinach od mojego rzekomego uprowadzenia. Pracowałby niestrudzenie i wykorzystywał wszelkie niezbędne środki, żeby mnie odzyskać, tak jak mama pracowała niestrudzenie, żeby mnie przed nim chronić.

A Kombiz to rozumiał! Dotarło do niego, że sama pamiętam, co się stało. Zrozumiał, że nie pozwoliłabym na manipulowanie sobą za pomocą wymysłów taty. Po tych wszystkich latach mój tato nadal był na tyle arogancki, aby myśleć, że może mnie okłamywać, a ja uznam jego słowa za prawdę, całkowicie lekceważąc własne wspomnienia i wspomnienia mamy, a nawet dokumenty rządowych agencji w Iranie, Turcji, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych – jakby to, co mówi, mogło tego dokonać.

To był szczyt megalomanii – podręcznikowe myślenie magiczne. Nie przejawiał najmniejszego szacunku dla rzeczywistości. Mój tato stworzył swoją własną rzeczywistość i w jego mniemaniu każdy, kto mówił coś przeciwnego, po prostu był w błędzie.

Nadal rzucam okiem na kartki. „Nagroda humanitarna”? Znowu to on był ofiarą. Świat go skrzywdził. Wszystko obracało się wokół niego.

Co najsmutniejsze, gdy czytam to teraz, muszę przyznać, że tato naprawdę nie miał wobec mnie żadnej empatii. Mogę przyjąć, że nie miał empatii dla mamy. To zrozumiałe – no cóż, na tyle, na ile rozumiała jest cała reszta – że stała się obiektem jego pogardy, ale brak jakiegokolwiek empatii dla mnie? Przecież znał prawdę. Wiedział, co nam zrobił. Jak mógł nie odczuwać empatii wobec mnie, swojej córki – tej, po której stracie, jak twierdził, był tak bardzo załamany?

Czy był aż tak bezduszny, czy po prostu żył złudzeniami? Czy wiedział, że kłamie, czy też powtarzał te kłamstwa tak wiele razy, że faktycznie w nie uwierzył? Uważam, że to nie ma większego znaczenia.

Wyczerpało mnie napięcie emocjonalne wywołane konfrontacją ze swoją przeszłością. Jestem znużona, ale podejmuję zdecydowany wysiłek, żeby skierować myśli na rzeczy pozytywne. W moim życiu dobre strony znacznie

przeważają nad złymi i nad trudnościami. Mimo to zagrożenia z przeszłości, rzeczywiste czy domniemane, wyłaniają się wciąż od nowa. Gdy tak się dzieje, łapię się na tym, że wykonuję zawsze ten sam taniec. Czuję się zagrożona, a w efekcie jestem zła. Potem muszę przebrnąć przez cały cykl polegający na ponownym pogodzeniu się z tym wszystkim.

Czując się starsza, niż wskazywałyby na to mój wiek, wlokę się do kuchni na nocną przekąskę. W zeszłym tygodniu odwiedziłam Annie i Vergine, a one odesłały mnie do domu z nadziewanymi liśćmi winogron i hummusem. Starannie wydzielam sobie te smakołyki, nie chcąc, żeby się skończyły. Wyjmuję je z lodówki i nastawiam czajnik, żeby zaparzyć filiżankę herbaty. Opierając się o blat kuchenny, zjadam kilka ostatnich kęsów dolme i hummusu, delektując się przy tym mieszanką oliwy z oliwek i przypraw.

Czekając, aż woda się zagotuje, wracam do listów. Najtrudniej mi zrozumieć, jak to możliwe, że Kombiz był tą osobą, która wysunęła pomysł spotkania. Wracam myślami do chwili, gdy po raz pierwszy przeczytałam jego słowa, gdy siedziałam w swoim biurze. Tak bardzo czułam się zdradzona, że mój ukochany *amu* Kombiz poradził ojcu, iż powinien „nawiązać stosunki” ze mną. Ogarnia mnie znajoma fala smutku. Jak on mógł mi to zrobić? Raz jeszcze przypominając sobie, że to „tylko informacje”, ponownie czytam słowa Kombiza i mam wielką nadzieję, że znajdę odpowiedź.

Jeśli chodzi o Twoje stosunki z Mahtob, mam nadzieję, i modłę się o to do Boga, że nawiążesz z nią stosunki, choćby tylko przez wzgląd na nią.

„Przez wzgląd na nią”. Jednak jest wyjaśnienie. Nie słyszałam wcześniej tych słów. W gniewie przestałam słuchać od „mam nadzieję, i modłę się o to do Boga, że nawiążesz z nią stosunki”. Decyduję się rozstrzygnąć wątpliwości na korzyść Kombiza i postanawiam przedstawić jego motywy w jak najkorzystniejszym świetle. Proponował spotkanie przez wzgląd na mnie. Nie muszę się z nim zgadzać, żeby wziąć pod uwagę jego punkt widzenia.

Na zewnątrz księżyc świeci jasno na czystym nocnym niebie. Żdźbła pszenicy na moim *haft sin* rzeczywiście urosły. Prawie nadszedł czas, żeby je wyrzucić. Patrząc na nie, zastanawiam się, czy *amu* Kombiz również posiał w tym roku pszenicę. Brałam pod uwagę skontaktowanie się z nim, gdy dowiedziałam się o śmierci ojca, lecz tego nie zrobiłam.

Raz jeszcze zerkam w dół na jego słowa. „Przez wzgląd na nią”. Czy zwracał się do mojego taty przez wzgląd na mnie? Czy próbował skłonić go do wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny, do przyznania, że to on był przyczyną traumy w moim życiu? Czy *amu* Kombiz rzeczywiście usiłował wydobyć przeprosiny od mojego taty? Czy o to chodziło? Czy uważał, że przeprosiny w jakimś sensie przyniosą mi korzyść?

Czajnik gwizdże, więc kieruję się z powrotem do kuchni, żeby zrobić sobie

herbatę. Pochyłam się nad kubkiem i pozwalam, żeby para ogrzała mi twarz. Zamykam oczy i powoli nabieram głęboko powietrza. Potem robię wydech, pragnąc, żeby napięcie ustąpiło.

„Przez wzgląd na nią”. Te słowa rozbrzmiewają w mojej głowie. Co jeszcze pominęłam?

Zdecydowana przeczytać te listy jeszcze raz, wyłącznie w celach informacyjnych, odsuwając na bok wszelkie emocje, zwijam się w kłębek na fotelu i zaczynam od początku. Zmuszając się do spojrzenia na to wszystko świeżym okiem, ponownie zagłębam się w ich konwersację.

Moody *dżan*, pozwól, że będę z Tobą bardzo szczerzy. Moim zdaniem to jest absolutnie w porządku, że się bronisz i próbujesz usprawiedliwić to, co zrobiłeś. Możesz to robić ze wszystkimi ludźmi na świecie z wyjątkiem mnie. Ja przy tym byłem, byłem tego świadkiem i wiem wszystko o tej sprawie...

Stałeś się ofiarą własnych uprzedzeń i fanatyzmu...

Jak to możliwe, że poprzednio przeoczyłam wszystkie te słuszne argumenty, które wysuwał Kombiz? Powiedział wszystko, co ja sama powiedziałabym tacie, gdybym uznała, że warto podjąć takie ryzyko. Jakie to fascynujące, że właśnie Kombiz wytknął te rzeczy mojemu ojcu. Mieli z sobą tak wiele wspólnego – obaj byli Irańczykami, obaj byli dobrze wykształconymi naukowcami, obaj byli miłośnikami sztuki, obaj byli niezmiernie dumni ze swojego dziedzictwa kulturowego. W którym momencie ich drogi się rozeszły?

Wiele jest spraw w irańskiej polityce – zresztą również w amerykańskiej – których nie rozumiem, jednak zarówno mama, jak i Kombiz opisali ideologiczną i behawioralną przemianę mojego ojca w taki sam sposób. Jednego dnia był beztroskim, towarzyskim, miłym człowiekiem, a następnego fanatycznym bojownikiem skłonny do wybuchów agresji. Dlaczego tato przestał widzieć w ludziach ludzi, a zaczął widzieć w nich Irańczyków albo Amerykanów, dobrych albo złych?

Czytam dalej i w moim umyśle zaczyna się krystalizować inny obraz – oto jeden z dwóch starych przyjaciół odnawia ich długo uspioną więź. Widzę każdego z tych mężczyzn, jak siedzi przy komputerze po przeciwnej stronie globu, ciesząc się z ponownego nawiązania kontaktów – śmieją się i żartują, rozmawiają o wszystkim i o niczym, dzielą się miłymi wspomnieniami, a ich uśmiech gaśnie dopiero wtedy, gdy wypływa sprawa odpowiedzialności.

Pozwól, że zadam ci osobiste pytanie. Czy w głębi duszy nie sądzisz, że popełniłeś wielki błąd?

Tak właśnie sądzę. Nigdy nie myślałem, że... Betty zniszczy naszą rodzinę.

Otóż to. Tato miał okazję wyznać prawdę, przyznać się do błędu, a co zrobił? Wskazał oskarżycielskim palcem na mamę. Smutno mi, gdy to czytam, ale jednocześnie znajduję potwierdzenie własnej opinii. Takiej odpowiedzi się po nim

spodziewałam.

Przede wszystkim z tego powodu jako dziecko postanowiłam nie wdawać się z nim w rozmowę. Nie czułam potrzeby otwierania się na jego kolejne kłamstwa czy machinacje. Jednak jakaś część mnie do samego końca miała nadzieję, że skonfrontowany z prawdą, okaże się uczciwy przynajmniej względem samego siebie i względem mnie. Chyba mogę być zadowolona, że nie komunikując się z nim przez te wszystkie lata, zaoszczędziłam sobie dziesięcioleci takich łgarstw.

Jestem głęboko przekonana, że do samej śmierci tato uważał, iż to mamę, a nie jego własne zachowanie należy winić za jego nieszczęścia. Uważał, że mama oczerniła Irańczyków, opowiadając naszą historię, a nie dostrzegał, że to raczej jego postęпки stawiają w złym świetle jego naród, jego kulturę i jego religię. Mama zawsze bardzo się starała odróżniać czyny jednego człowieka od charakteru całego narodu. To ona wychowała mnie w taki sposób, żebym był dumna ze swojego irańskiego dziedzictwa. Cóż to za smutna, pokrętna ironia losu, że mój tato nie chciał tego dostrzec.

Składałam listy, wsuwam je z powrotem do koperty i wchodzę do swojego gabinetu, żeby włączyć komputer. Orzechowe biurko wydaje się przyjemnie chłodne i solidne pod moimi palcami. Światelka migoczą na ekranie, a mój umysł usiłuje się pogodzić ze wszystkim tym, co właśnie przeczytałam.

Ostatnim razem, gdy próbowałam znaleźć sens w treści tych listów, byłam całkowicie przytłoczona emocjami. Byłam zła, czułam się zdradzona i zagrożona. Teraz czuję jedynie smutek. Smutek z powodu taty i złych decyzji, które podejmował, smutek, że w taki sposób zmarnował życie i że miało to negatywny wpływ na tak wielu ludzi.

Gdy dowiedziałam się, że zmarł, poczułam chwilową ulgę. Pomyślałam, że wreszcie cała ta saga dobiega końca. Owa ulga ustąpiła miejsca strachowi przed odwetem ze strony ludzi, którzy podchwycili jego cele. A potem, niemal w tej samej chwili pojawił się smutek. Nie był to smutek z powodu mojego ojca, którego życie właśnie się skończyło. Byłam smutna, że ten człowiek pozwolił, aby jego życiem kierowały zaburzenia psychiczne.

Googluję słowa „DSM-IV***”, kryteria narcystycznego zaburzenia osobowości”. Na ekranie pojawia się opis, a moje oczy natychmiast napotykalają prawdę, którą moje serce już zna: „pretensjonalne poczucie własnego znaczenia... potrzeba bycia podziwianym... brak empatii... fantazjowanie o nieograniczonych sukcesach, władzy, błyskotliwości, pięknie lub idealnej miłości... wykorzystywanie innych do osiągnięcia swych celów”. I tak dalej.

To go nie tłumaczy. To go nie usprawiedliwia. To w żaden sposób nie powoduje, że to, co zrobił, jest okej, mnie jednak pozwala znaleźć w tym sens. Rzeczywiście pozwala mi zrozumieć poziom zaburzeń u mojego taty i konsekwencje, jakie to miało dla naszej rodziny.

Ogarnia mnie dziwne uczucie ulgi. Przez całe lata miałam obsesję na punkcie zrozumienia, jak funkcjonuje ludzki umysł, bo chciałam w ten sposób uchronić samą siebie przed załamaniem, a jednak tak niewiele czasu poświęciłam na prawdziwe dociekanie, co pchnęło tatę do takiego zachowania. Teraz, gdy już rozumiałam jego rozmowę z Kombizem, uświadamiam sobie, że w dużej mierze zawdzięczam swoją odporność psychiczną nieobecności ojca w moim życiu. Udało mi się dostać to, co najlepsze z obydwu światów. Po drodze mama i Kombiz oraz mnóstwo innych osób pomogli mi nabrać pewności, że otrzymałam wszystko to, co mój tato miał dobrego do zaoferowania, a jednocześnie przez znaczną część życia izolowali mnie od większości jego destrukcyjnych sztuczek.

Te listy na bardzo wiele sposobów potwierdziły słuszność mojej decyzji wykluczenia ojca ze swojego życia. Stanowią również prezent, w tym sensie, że dają mi, jako osobie dorosłej, pojęcie, jakim był człowiekiem. A był właśnie taki, jakim go zapamiętałam, i teraz nie muszę się zastanawiać, czy moje wspomnienia zostały wypaczone przez moje własne opinie lub opinie innych.

Nie był to prezent, który Kombiz zamierzał mi dać, lecz prezent, którego potrzebowałam. Kombiz nie rozumiał jednego: że ja nie potrzebuję rozmowy z ojcem, aby pogodzić się z tym, jakie miejsce zajmuje on w moim życiu. Zrobiłam to już wiele lat wcześniej i mozolnie powtarzałam ten zabieg, ilekroć tato znów się pojawiał. Ten raz nie był wyjątkiem.

* Bardzo (perski).

** Banknoty (perski).

*** Klasyfikacja zaburzeń psychicznych według Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. DSM-IV jest też obowiązującym standardem w armiach NATO.

ROZDZIAŁ 32

Otacza mnie światło. Wlewa się przez okno sypialni i ogrzewa mnie swoim ciepłem. Otwieram oczy w nowym dniu i już wiem, co muszę zrobić. Owijając się w stary sweter taty, przystaję w kuchni tylko na tyle, żeby nastawić dzbanek kawy, zanim wrócę do biurka. Pokrzepiający aromat Highlander Grog firmy Berres Brothers wypełnia pokój, gdy zaczynam stukać w klawiaturę.

Cześć, *amu* Kombizie,
tak dużo o Tobie myślę, zwłaszcza o tej porze roku. Modłę się, żebyś był zdrowy i szczęśliwy i żeby nasz nowy rok przyniósł Ci wiele radości.

Mama przywiozła mi pudła ze starymi zdjęciami. Niektóre należały do mojego taty, jeszcze zanim rodzice się poznali. Pomyślałam, że może spodoba Ci się ta fotografia przedstawiająca dwóch przystojnych mężczyzn.

Ach, dorzucam też zdjęcie mojego *haft sin*. Brakuje jedynie *anara* i mojego ulubionego perskiego wujka.

Serdecznie pozdrawiam
Mahtob

Skanuję czarno-białe zdjęcie przedstawiające Kombiza z tatą i dołączam je do wiadomości. Przed przyciśnięciem „wyślij” dopisuję słowa: „Spóźnione *Eid-e Szoma Mobarak!*” w linijce tematu. Spóźnione życzenia szczęśliwego Nowego Roku.

Ten e-mail jest całkiem zwyczajny, ale nie rozmawialiśmy z sobą od lat. Chcę go wybadać, zanim powiem to, co mam do powiedzenia.

Nie każe mi długo czekać na odpowiedź. Następnego dnia rano po przebudzeniu zastaję jego list.

Cześć, cudowna Mahtob *dżan*,
Eid-e Szoma Mobarak także ode mnie. Nie, wciąż jeszcze nie jest za późno na Eid Mobaraki. Obchody Nowego Roku trwają do niedzieli, która jest trzynastym dniem pierwszego miesiąca. Nazywamy ten dzień *Sizdeh Bedar*. *Sizdeh* to po persku trzynaście.

Nouruz jest całkowicie perską tradycją i nie ma nic wspólnego z religią. Zaczyna się w ostatni wtorek roku, kiedy ludzie rozpalają ognisko i skaczą przez nie. A gdy przez nie skaczą, recytują: „Moja żółtość dla ciebie, twoja czerwień dla mnie”. Ta tradycja pozostała z czasów zoroastryjskich, kiedy Persowie czcili ogień. Rozpalali ogień, co miało oznaczać, że oddają swoją żółtość (słabość i złe rzeczy) ogniewi, żeby je spalił, a w zamian biorą od ognia czerwień, czyli czystość, żar i ciepło.

To właśnie zrobiliśmy parę tygodni temu, kiedy pewien właściciel restauracji ustawił na asfalcie na parkingu cztery zestawy pojemników i przyszło kilkuset

Persów, żeby skakać przez ogień. Największą zabawę miały dzieci. Co ciekawe, ułożyli na asfalcie kilka warstw metalowych pojemników i cegieł, kiedy więc wszystko zostało sprząnięte, na asfalcie nie było ani śladu uszkodzeń.

Wiele lat temu perska społeczność z rejonu San Jose postanowiła zrobić to samo, ale w miejskim parku. Poszli na komendę policji, żeby dostać pozwolenie na taką imprezę. Jak wyjaśnili funkcjonariuszom, zamierzali rozpać w parku kilka ognisk, żeby dzieci i dorośli mogli przez nie skakać.

Funkcjonariusze zapytali: „Co takiego zamierzacie zrobić?!!! Rozpać ognisko i pozwolić dzieciom przez nie skakać? Kiedy ostatnio badaliście sobie głowę?”.

Odpowiedzieli, że to jest perska tradycja mająca cztery tysiące lat.

Tamci powiedzieli: „Nic nas to nie obchodzi, na pewno tego nie zrobicie”.

Ale w końcu policjanci się zgodzili: „Będziemy mieli w pogotowiu wóz strażacki, wy pokryjecie koszty, a my będziemy wszystko monitorować”. Więc tak zrobili, a w następnym roku poszło trochę łatwiej. Jednak na naszej planecie nadal nie brakuje idiotów. Dwie panie przysły w długich nylonowych spódnicach. Wystarczyłoby, żeby jedna z tych spódnic zajęła się ogniem. Już widzę te nagłówki w gazetach następnego dnia.

Bardzo mi się spodobał Twój *haft sin*. Sprawiałaś mi także wielką przyjemność, dzieląc się ze mną zdjęciem swojego taty. Był tam jednak tylko Twój tato i nie widziałem innego faceta na zdjęciu, co usprawiedliwiałoby to o „dwóch przystojnych” facetach. Kim był ten drugi?

Inna sprawa, którą chciałbym się z Tobą podzielić, to użycie przez Ciebie słowa „tato”. Przypuszczałbym raczej, że będziesz nazywać go swoim ojcem, a nie tatą. Bardzo się cieszę, że wybrałaś to słowo. Nie wiem, czy kiedykolwiek mu przebaczyłaś. Przez wzgląd na Ciebie mam nadzieję, że tak.

Wymieniłem z nim kilka szczerych listów, gdy już nawiązaliśmy kontakt e-mailowy, i parę razy rozmawialiśmy przez telefon. Kiedyś zapytałem go, czy kiedykolwiek żałował tego, co zrobił. Odpowiedział: „Oczywiście”. Podzieliłem się tą korespondencją z Twoją mamą. Nie wiem, czy podzieliła się nią z Tobą. Powiedział mi kiedyś, że w Corpus Christi zarabiał trzydzieści tysięcy dolarów miesięcznie i miał najbardziej luksusowy dom w tym mieście. Wszystko to zmarnował przez swoją ideologię religijną. Jaka szkoda, że był do tego stopnia oddany idei, która moim zdaniem jest bezwartościowa. Przekonał się, że popełnił poważny błąd w ocenie, kiedy już było za późno. Jeśli chcesz, prześlę ci tę naszą korespondencję.

Opowiedz mi coś o sobie. Gdzie jesteś, jeśli chodzi o swoje studia (czy skończyłaś uniwersytet i zostałaś psychologiem dziecięcym), żyjesz samotnie czy w związku? Gdzie jesteś, jeśli chodzi o przekonania religijne? Doskonale pamiętam, że kiedyś w samochodzie dyskutowaliśmy o religii i byłaś bardzo

stanowcza w sprawie swojej wiary. Wybacz mi, proszę, ale ja nie jestem wyznawcą żadnej religii, zwłaszcza islamu. Uważam, że religia jako wiara wyrządziła ludzkości więcej szkody niż wszystkie inne przyczyny razem wzięte. Chociaż tak mówię, szanuję prawo każdego mężczyzny i każdej kobiety do własnych poglądów religijnych. Dbaj o siebie i bądź absolutnie pewna, że zawsze Cię kochałem i zawsze będę Cię kochał.

Pozdrawiam serdecznie
wujek K.

Czuję, że zdjęto mi ciężar z ramion, gdy czytam te uprzejme słowa. Kombiz miał rację, kiedy napisał do mamy: „W głębi duszy uważam, że w przebaczeniu jest radość, której nie daje zemsta”. Szepczę modlitwę dziękczynną, a potem otwieram oczy i zaczynam pisać na klawiaturze.

Mój drogi *amu* Kombizie,
jak wspaniale jest z Tobą rozmawiać! Jesteś dokładnie taki, jak zapamiętałam, i tak bardzo się z tego cieszę. Śmiałam się na głos, gdy zaczęłam czytać Twój e-mail, i przekonałam się, że pierwszorzędne znaczenie ma dla Ciebie uczenie mnie o moim perskim dziedzictwie. Tak bardzo cenię sobie Twoje lekcje. Nie pamiętałam o tradycji skakania przez ogień. Jedyne ognie, jakie zapamiętałam z Iranu, były efektem irackich bomb. Wygląda to na fajną tradycję i ciekawie jest się przekonać, jak odniesienia do koloru przenikają nawet do dzisiejszej kultury zachodniej. Jeśli mówi się o kimś, że ma żółty brzuch, to znaczy, że nazywa się go słabeuszem i tchórzem. Jaka to frajda świętować Nouruz z tak wieloma Persami...

W zeszłym roku na Nouruz miałam wielu gości na kolacji. Przyszedł mój pastor z rodziną i moja współlokatorka ze studiów ze swoją. Przyrządziłyśmy z mamą perskie potrawy wszelkiego rodzaju. Mieszkałam wtedy w małym mieszkaniu i jedynym sposobem, żeby cała nasza dwunastka mogła wspólnie zjeść, było podawanie dań na podłodze, więc jedliśmy tradycyjny perski posiłek, siedząc na podłodze w moim salonie.

Było kilkoro małych dzieci i kiedy się zorientowały, że przymierzamy się do jedzenia na podłodze, musiały uznać, że urządziliśmy sobie kolację na niby z wyimaginowanymi daniami, coś jak podwieczorek na niby. Trzeba było widzieć ich miny, kiedy zaczęliśmy stawiać przed nimi ogromne półmiski z ryżem, z choreszem i z kebabami. Ale była uciecha! Posialiśmy pszenicę i pomalowaliśmy jajka, a potem pomogły mi ułożyć *haft sin*. Opowiedziałam im tę legendę, którą zwykle mi opowiadałeś, gdy byłam mała, o baranie trzymającym przez cały rok świat na jednym rogu.

W tym roku odwiedziły mnie mama i Vergine... W każdym razie Vergine przyjechała tamtego dnia, bo chciała przyrządzić armeńskie jedzenie z mamą i ze mną. Gotujemy razem, odkąd byłam mała. No więc ustawiłyśmy wspólnie *haft sin*

i zanim zaczęłyśmy gotować armeńskie potrawy, zjadłyśmy szisz kebab z sumakiem i ryżem (szkoda, że nie widziałaś tahdig – był piękny, ale nie mogę sobie przypisać żadnej zasługi, bo zrobiła go mama) z ghorme sabzi oraz pyszne torszi* mamy. Nadal robi je każdego lata na cały rok.

Znalazłyśmy restaurację, w której podają autentyczne perskie potrawy. Ale torszi nie są zbyt dobre. Mama tak bardzo żartowała sobie z kelnera z tego powodu, że powiedział nam, żebyśmy następnym razem przywiozły własne i jego też poczęstowały. Cha, cha! Tak właśnie zrobiłyśmy. Żeby uczcić nasz dzień wolności, poszłyśmy tam na lunch i zostawiłyśmy dla niego słoik torszi. Nie pracował tamtego dnia, a ja już tam nie byłam od tamtej pory, więc nie wiem, czy skosztował.

Co do zdjęcia, chyba się nie doceniasz. Jestem pewna, że nadal jesteś bardzo przystojnym mężczyzną. Mama przywiozła mi masę pudeł z luźnymi fotografiami. Jeszcze ich wszystkich nie przejrzałam, ale zdażyłam już natrafić na kilka fajnych zdjęć z Tobą i Twoją rodziną. Kiedyś zeskanuję dla Ciebie też te inne.

Mój tato to mój tato. Uporałam się z tym. Wściekanie się za każdym razem, gdy ktoś tak o nim powiedział, było stratą czasu... Ilekroć o nim wspomiano, robiono to w związku ze mną. Przez pewien czas próbowałam nazywać go Moody, ale wtedy ludzie czuli się skrępowani, więc nauczyłam się radzić sobie z tatą.

Tak, rzeczywiście przebaczyłam tacie. Przebaczyłam mu to, co zrobił nam w Iranie, chyba już w ciągu pierwszego roku po naszej ucieczce. Wiem, co sądzisz o religii, ale to właśnie religia nauczyła mnie przebaczać i czuję z tego powodu wdzięczność. Z trudem natomiast przychodziło mi wybaczenie mu wielokrotnego ingerowania w moje życie. Przerazał mnie. Bałam się nawet wtedy, gdy siedział cicho. Kiedy znów się pojawiał, zwłaszcza gdy studiowałam, a on kręcił swój dokument, powracała również moja nienawiść. Tamto wtargnięcie w moje życie paraliżowało mnie bardziej niż jakiegokolwiek poprzednie takie przypadki. Popadłam w bardzo, bardzo poważną depresję i niezwykle negatywnie odbiło się to na moim zdrowiu fizycznym. On naprawdę uprzykrzał mi życie przez wiele lat. Potrzebowałam głębokiego zastanowienia się nad sobą, żeby nauczyć się raz jeszcze mu przebaczyć.

Trafnie oceniłaś mamę. Jest miłą i niezwykle uczciwą kobietą. Dała mi wasze listy, jednocześnie zachęcając mnie do skontaktowania się z tatą. Uważała, że szczególnie dobrze mi zrobi, jeśli dowiem się więcej o jego historii medycznej, zważywszy na moje problemy zdrowotne, z którymi zmagalam się latami. To ja byłam nieugięta i nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Przebaczyłam mu, ale mu nie ufałam i nadal się go bałam. Nie zamierzałam nigdy więcej znosić jego agresji i jego kłamstw.

Lektura waszej korespondencji tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że miałam rację. Tak wiele z tego, co opisał, było ewidentnym kłamstwem.

Powiedziałeś, że żałował. Czytałam w kółko jego słowa w nadziei, że zobaczę ten żal, ale nie sądzę, żeby dało się go odnaleźć. Żałował, że nie dopiął swego. Nie żałował swoich czynów. Nie żałował cierpienia, które zadał mamie i mnie. Nie żałował tego, że żyłyśmy w strachu przed nim. Nie żałował z powodu swojej fizycznej i emocjonalnej brutalności. Żałował tylko tego, że mama i ja uciekłyśmy i że opowiedziałyśmy światu, co zrobił.

Jeśli chodzi o miłość do mnie, wierzę, że rzeczywiście mnie kochał, lecz nie kochał mnie za to, kim byłam. Kochał mnie, dlatego że do niego należałam i dlatego że przypominałam mu matkę. Naprawdę okazywał bardzo małą troskę o mnie i moje dobro. Troszczył się o zachowanie twarzy i o bicie mojej mamy. Ja stałam się jego obsesją, nie tyle obiektem bezinteresownej miłości, ile raczej symbolem zniewagi, której doświadczył.

Ponowne spotkanie ze mną posłużyłoby mu za sposób na odniesienie zwycięstwa. Byłoby dla niego okazją, żeby zasypać mnie kłamstwami, którymi próbowałby mnie przekonać, że to, co pamiętam, nigdy się nie wydarzyło. Tak właśnie powiedział, gdy zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce w domu mamy, kiedy kręcił film dokumentalny...

Mnie również właściwie oceniłeś. Nie zapomniałam. Rzeczywiście moją pierwszą reakcją po wysłuchaniu jego wiadomości było odwrócenie się do mamy i zapytanie jej: „Czyżby zapomniał, że ja tam byłam?!”.

Gdy mama dała mi listy, które jej wysłałeś, rozłościłam się. Byłam wściekła na CIEBIE za to, że padłeś ofiarą jego intryganckich zdolności. Myślałam, że kto jak kto, ale Ty nie dasz się nabrać na jego urok i zdołasz przejrzeć jego kłamstwa. Schowałam kopertę i nie wyciągałam jej przez parę lat.

Dopiero niedawno ponownie przeczytałam te listy i jestem Ci winna przeprosiny. Znałeś prawdę i odważnie mu ją przedstawiłeś. Nie powinnam była wątpić w Twoją miłość ani w uczciwość Twoich intencji. Nigdy mnie nie zdradziłeś. Nie byłeś jego marionetką, kierowałeś się autentyczną troską o moją pomyślność. Teraz wiem, że chciałeś tylko tego, co było dla mnie najlepsze, i szanuję Cię za to, że robiłeś coś, co Twoim zdaniem wyszłoby mi na dobre. Dziękuję Ci. To musiała być dla Ciebie niezręczna sytuacja.

Postępki mojego taty pozostawiły po sobie szeroką ścieżkę zniszczeń. Zranił nie tylko mamę i mnie. Dla Ciebie utrata przyjaźni, którą tak bardzo sobie ceniałeś, musiała być bardzo bolesna. To naprawdę wiele dla mnie znaczy, że mimo to, jak Cię potraktował, Ty nadal traktowałeś mamę i mnie jak rodzinę.

Jeśli chodzi o Twoje pytania, uzyskałam dyplom z psychologii, tylko licencjat, i pracuję w tej dziedzinie od ukończenia studiów w 2002 roku. Chyba jestem taka jak tato. Mam wiele zainteresowań, ale nie potrafię wybrać jednego, żeby podjąć studia magisterskie. Choć może kiedyś...

Co do miłości... Przez cały okres dorastania unikałam związków, głównie ze

strachu, że koniec końców trafię na brutalnego męża. Wygląda jednak na to, że zwykle mam jakiegoś bardzo bliskiego platonicznego przyjaciela. Przez lata było kilka takich bliskich przyjaciół i nawet teraz nadal mam szczęście do mężczyzn, którzy są dla mnie drogimi przyjaciółmi. Dopiero w wieku dwudziestu kilku lat zaczęłam na tyle opuszczać gardę, żeby wchodzić w poważniejsze związki...

Co do religii, uważam, że życie doczesne jest krótkie i stosunkowo nieistotne. Nasza śmierć prowadzi do życia, które będzie trwało wiecznie. Moim zdaniem właśnie to życie naprawdę się liczy. Religia daje mi pewność, że dzięki śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa będę spędzała wieczność w niebie zamiast w piekle – po prostu dzięki wierze, a nie moim własnym zasługom, pracy, pieniądзом czy z jakiegokolwiek innego powodu. Po prostu poprzez wiarę, dzięki łasce Bożej, jestem zbawiona na wieki.

Co można stracić na tym, że się wierzy? Jeśli się mylę i śmierć oznacza koniec, cóż takiego stracę? Nic. Jeśli natomiast Biblia mówi prawdę, a ja nie będę wierzyła, po śmierci pójdę do piekła. Jesteś matematykiem, sam powiedz – czy to nie jest sensowna kalkulacja?

Zgadzam się z Tobą, że w ciągu dziejów ludzie robili i nadal robią odrażające rzeczy w imię religii. Żadna religia nie jest wolna od tych, którzy przywłaszczają sobie idee, wykorzystując je do własnych niecznych celów. Gdy do tego dochodzi, diabeł się cieszy, bo to jego triumf.

Sam fakt, że mój tato był Persem i robił wstrętne rzeczy, nie oznacza, że wszyscy Persowie są wstrętnymi ludźmi. Tak samo jest z religią, więc podobnie jak nie akceptuję swojego ojca z powodu tego, co zrobił, nie akceptuję fanatyków religijnych, niezależnie od ich wyznania, z powodu zła, które czynią.

Tak jak Ty cenię wartości, jakimi są wolność wyznania i rozdział Kościoła od państwa. Jestem jak najdalej od tego, żeby mówić komuś, co ma myśleć albo w co wierzyć. Uważam, że wszyscy powinniśmy mieć swobodę podejmowania własnych decyzji – dobrych, złych lub obojętnych.

Dzieląc się z Tobą swoimi przekonaniem religijnymi, nie twierdzę, że musisz wierzyć w to co ja. Czy ucieszyłabym się, gdybyś uwierzył? No jasne! Tak samo jak Ty, mój drogi wujku, ucieszyłbyś się, gdybym potępiła religię. Obawiam się, że w tej sprawie nadal będziemy musieli być zgodni co do tego, że się nie zgadzamy.

Jestem szczęśliwa, zdrowa i mam udane życie. Sprostalam sporym wyzwaniom, które przypadły mi w udziale, ale życie wciąż pełne jest niezmiernych błogosławieństw. Biblia mówi, żeby dziękować w każdych okolicznościach, i to właśnie staram się robić. Na własnej skórze przekonałam się, że zło prowadzi do wielkiej obfitości dobra.

Czy słyszałeś o wierszu *Tkacz*? Załączyłam go dla Ciebie. Pamiętam, że jesteś miłośnikiem sztuki. Może docenisz jego symbolikę, nawet jeśli nie zgodzisz

się z wymową. Czytając go, nie potrafię nie myśleć o uroku kolorowych perskich dywanów, które są tak ważną częścią naszego dziedzictwa. Mam nadzieję, że uspokoi Cię wiadomość, iż przebaczyłam tacie. Nie jestem rozgoryczonym więźniem nienawiści.

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Przesyłam Ci najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy najgłębszego szacunku

Mahtob

* Marynaty (perski).

EPILOG

Ta książka dała mi piękny prezent. Już nie muszę dźwigać wspomnień o cierpieniu i udręce z przeszłości, które dźwigałam przez te wszystkie lata. Gdy odkładam pióro, że się tak wyrażę, odsuwam na bok tamte szczegóły. Uwalniam umysł i serce od obowiązku pamiętania.

Tamum... skończone. Już nie jestem prześladowana.

Teraz jestem wolna.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Bogu za to, że dał mi sposobność rozpoczęcia tej przygody literackiej. Niektórych ludzi dręczy palące pragnienie, żeby opowiedzieć swoją historię, zostać wysłuchanym i zrozumianym. Z najgłębszych zakamarków ich duszy emanuje potrzeba, wręcz przymus, napisania o własnych przeżyciach. Ja nigdy nie odczuwałam takiego pragnienia. Mimo to już od dzieciństwa inni prosili mnie, żebym opowiedziała im swoją historię – nieznajomi, którzy nieco mnie poznali dzięki książkom czy filmom, dziennikarze, dokumentaliści... i wydawcy. Ich zainteresowanie wydawało mi się pochlebne i bardziej niż trochę oszłamiające. Tak więc przyjąłam to zaproszenie ze szczerą pokorą i prawdziwą wdzięcznością za niezwykle okazje, które podsuwa mi Bóg.

Ten projekt prawdopodobnie nie zostałby zrealizowany, gdyby nie wysiłki Anji Kleinlein. Anja była legendą w świecie wydawniczym i bardzo drogą przyjaciółką naszej rodziny. Przez wiele lat jej marzeniem było, żebym napisała książkę, dzieląc się swoimi doświadczeniami z własnej perspektywy i rzucając światło na dobro, które tak miłosiernie wzięło się ze zła w moim życiu. W ostatnim roku życia Anja pracowała nieustrudzenie jako moja agentka, żeby wynegocjować warunki umowy. Robiła to z potrzeby serca. Żałuję, że nie skończyłam pisania na czas, żeby mogła zobaczyć, zanim została wezwana do swojego domu w niebie, jak ta książka nabiera kształtu.

Proces pisania stanowił wyzwanie na wielu poziomach, dlatego jestem niezmiernie wdzięczna za wsparcie ze strony rodziny i przyjaciół. Jak zawsze skupili się wokół mnie i wychodzili ze skóry, robiąc absolutnie wszystko, co w ich mocy, aby dodać mi otuchy i podtrzymać na duchu w trakcie tego długotrwałego i często bolesnego okresu poświęconego autorefleksji. Szczególny dług wdzięczności mam wobec swoich dwóch nowych agentów, Michaela Carlisle'a, który po wielu latach ponownie wjechał w moje życie na śnieżnobiałym koniu, i Sebastiana Ritschera, który podjął ryzyko współpracy z nieznajomą autorką. Wspólnie uwolnili mnie od sytuacji, która stała się toksyczna.

Na koniec, ale z pewnością nie mniej serdecznie, dziękuję mojej mamie za jej bezgraniczną miłość i mądrość. Być może teraz, gdy już skończyłam pisać, powie mi wreszcie, które wydarzenia zapamiętałyśmy inaczej.

